

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ



NORA
ROBERTS

Pogoda dla dwojga

NORA ROBERTS

Pogoda dla dwojga

Jak dobrze mieć sąsiada

Dziewczyna z okładki

Jak dobrze mieć sąsiada.....4

Po rozstaniu z mężem Hester przeprowadza się na Manhattan. Wierzy, że wraz z synem szybko ułożą sobie życie w nowym miejscu. Ale początki są zawsze trudne... Na szczęście tuż obok mieszka ktoś, kto nigdy nie odmawia pomocy. Mitch szybko staje się prawdziwym autorytetem dla jej dziewięcioletniego syna. W dodatku nie ukrywa, że Hester bardzo mu się podoba...

Dziewczyna z okładki.....262

Tę piękną twarz znają wszyscy z branży... Hillary od dwóch lat należy do najlepiej opłacanych modelek i może przebierać w propozycjach. Jednak w głębi serca jest nadal skromną dziewczyną z Kansas, dlatego z obawą podejmuje pracę dla magnata prasowego znanego z licznych podbojów sercowych. Nie chce być kolejną zdobyczą playboya...

JAK DOBRZE MIEĆ SĄSIADA

ROZDZIAŁ 1

Zark czuł potworny ból w płucach. W statku rozpaczliwie brakowało tlenu, a to oznaczało tylko jedno: śmierć. Mężczyzna wiedział, że za chwilę ujrzy w ostrym i jak błyskawica oślepiającym skrócie całe swoje życie. Dobro i zło, czyny mądre i głupie, chwile radosne i pełne smutku. Ostateczny bilans tych lat, które dane mu było przetrwać. Był sam i cieszył się z tego, bo nikt nie powinien mu towarzyszyć w tak szczególnej chwili.

Leilah, zawsze Leilah. Widział jasne, niebieskie oczy i złote włosy swojej ukochanej. Wycie syreny alarmowej w kokpicie mieszało się z jej śmiechem, najpierw czułym i słodkim, potem drwiącym.

- Na wszystkie słońca galaktyki, jak bardzo byliśmy szczęśliwi! - wykrzyknął, z trudem podciągając się z podłogi do konsoli dowodzenia. - Miłość, przyjaźń, partnerstwo...

Ból w płucach stawał się nie do zniesienia. Przeszywał go dziesiątkami rozżarzonych noży nasączonych trucizną z kraterów Argenham. Zark nie powinien był marnować powietrza na bezużyteczne słowa, lecz jego myśli... jego myśli nawet teraz należały do Leilah.

To na pewno ona, jedyna kobieta, którą kochał, spowodowała ostateczną zagładę! Zagładę zarówno Zarka,

jak i świata, który znali... ich świata. Co za szatański obrót fortuny sprawił, że z wybitnego naukowca stała się wcieleniem zła i nienawiści?

Przemieniła się w jego wroga. Leilah, kobieta, którą pojął za żonę. Nadał nią była, powtarzał w myślach, z nadludzkim wysiłkiem posuwając się w kierunku konsoli. Jeśli uda mu się przeżyć, jeśli uda mu się zniweczyć jej plan zniszczenia cywilizacji Perth. ruszy za swą żoną w pogoń. Stanie się dla niej przekleństwem, nieuchronnym wyrokiem losu. Będzie musiał ją zniszczyć, unicestwić. Leilah, kobietę, którą kochał. Zrobi tak, bo tego wymaga sprawiedliwość i ład świata. O ile starczy mu sił.

Komendant Zark. obrońca wszechświata i przywódca Perth, bohater kosmosu i mąż pięknej, zbrodniczej Leilah, nacisnął guzik. O dalszych, niezwykłych przygodach komendanta Zarka przeczytasz w następnym odcinku.

- Cholera! - wymamrotał Radley Wallace i rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy matka nie usłyszała.

Zaczął kłąć, choć tylko po cichu, jakieś sześć miesięcy temu i nie chciał, żeby wyszło to na jaw, bo wtedy matka zrobiłaby tę swoją minę.

Na szczęście właśnie rozpakowywała pudła wniesione przez pracowników firmy przewozowej. Radley dobrze wiedział, że nie powinien teraz, zajmować się lekturą, lecz zrobił sobie przerwę. No cóż, broszury Universal Comics, a szczególnie przygody komendanta Zarka. stanowiły zbyt wielką pokusę. Wprawdzie mama wolałaby, żeby czytał prawdziwe książki, lecz te miały za mało ilustracji. Radley bardziej sobie cenił Zarka niż

Długiego Johna czy Hucka Finna.

Przetoczył się na plecy i ujrzał świeżo pomalowany sufit swego nowego pokoju. Uznał, że nowe mieszkanie jest w porządku. Najbardziej podobał się mu widok na park, a także winda. Przyjemny nastrój chłopca mącił jedynie zbliżający się poniedziałek, czyli pierwszy dzień w nowej szkole.

Mama powiedziała, że będzie świetnie. Pozna nowych przyjaciół, a przecież nadal może odwiedzać starych. Była w tym naprawdę dobra. Zmierzyła mu włosy i tym swoim specjalnym uśmiechem natchnęła go wiarą, że wszystko pójdzie dobrze. No tak, ale nie będzie jej przy nim, gdy dzieci zaczną mu się przyglądać. Ile czasu upłynie, zanim z „tego nowego” stanie się normalnym kolegą? Tydzień, może nawet dwa, czyli niewyobrażalnie długo. Oczywiście nie włoży kupionego specjalnie na tę okazję swetra, choć mama twierdziła, że pasuje do koloru jego oczu. Też coś! To dobre dla dziewczynek. Wciągnie na siebie jakąś starą koszulkę, bo w niej będzie czuł się pewniej w tych trudnych chwilach. Mama na pewno to zrozumie. Zawsze rozumiała.

Była naprawdę w porządku i Radley to doceniał, dlatego tym bardziej bolało go, gdy dostrzegał w jej oczach smutek. Pragnął, by mama przestała wreszcie cierpieć po odejściu ojca. Wydarzyło się to dawno temu i sam prawie nie pamiętał taty, który nie odwiedzał go, tylko co kilka miesięcy dzwonił. Chłopiec zacisnął zęby. Mężczyźni przecież nie płaczą. W porządku, byłoby nawet lepiej, gdyby ojciec w ogóle przelał się wysilać na te telefony.

- W porządku, mamó. wszystko jest w porządku,

radzimy sobie bez niego - szepnęła.

Mama nic powinna tego usłyszeć. Naprawdę nie potrzebował ojca, gdyż miał ją. Powiedział jej to kiedyś. Uściskała go tak mocno, że nie mógł oddychać. Potem, późnym wieczorem, usłyszał, jak płakała w swym pokoju. Nie powtarzał więc już tych słów.

Dorośli są zabawni, myślał Radley z mądrością dziewięcioletniego mężczyzny. Mama jednak była najlepsza. Nigdy... no, prawie nigdy na niego nie krzyczała, a jeśli już, to później tego żałowała. No i była ładna. Radley uśmiechnął się. Mama była piękna jak księżniczka Leilah, tyle że zamiast złocistych miała brązowe włosy, a zamiast ciemnoniebieskich oczu - szare.

Obiecała, że następnego dnia zjedzą pizzę, żeby uczcić przeprowadzkę do nowego mieszkania. Pizzę bardzo lubił. Zaraz po komendancie Zarku.

Wreszcie zasnął, i wreszcie z pomocą Zarka mógł zabrać się do ratowania wszechświata.

Gdy Hester zajrzała do jego pokoju, zobaczyła syna, czyli swój prywatny wszechświat. Spał z dłonią zaciśniętą na komiksie. Pozostałe książki nadal spoczywały w pudłach. Gdy Radley się obudzi, zrobi mu łagodny wykład o odpowiedzialności, lecz teraz oczywiście nie miała serca wyrwać go ze snu. Tak dobrze zniósł przeprowadzkę, kolejny wstrząs w swoim życiu.

- Tym razem na pewno ci się spodoba, kochanie - szepnęła.

Zapomniała o stosach nierozpakowanych rzeczy. Usiadła na brzegu łóżka i wpatrzyła się w chłopca.

Z wyglądu przypominał ojca. Włosy blond, ciemne oczy i zdecydowana linia podbródka. Teraz już rzadko, spoglądając na syna, wspominała człowieka, który był kiedyś jej mężem. Ten dzień był jednak inny. Oznaczał dla nich początek nowego życia. Zawsze, gdy coś się zaczynało, przypominała sobie o tym, co dobiegło kresu.

To już ponad sześć lat, pomyślała nieco zdziwiona upływem czasu. Allan odszedł, gdy Radley był jeszcze malutki. Zmęczyły go rachunki, zmęczyła rodzina, a zwłaszcza żona. Ból zdążył przeminąć, choć trwało to bardzo długo. Nigdy jednak nie wybaczyła i nie wybaczy człowiekowi, który bez namysłu porzucił swego syna.

Zdawać by się mogło, że Radley nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Nie zdążył przywiązać się do ojca, nie darzył go żadnym żywszym uczuciem. Hester czuła z tego powodu samolubną ulgę, dzięki temu miała bowiem syna tylko dla siebie, wiedziała jednak, że nie była to cała prawda. Instynktownie rozumiała, że jej chłopczyk krył w sobie głęboki uraz, z którym musiał sam się zmagać, bo za nic by się nie przyznał do trapiącego go bólu. Mały, dzielny mężczyzna.

Lecz ona nigdy nie wybaczy Allanowi, że naraził swoje dziecko na takie cierpienia.

Gdy jednak teraz spojrzała na spokojnie śpiącego chłopca, uznała, że przesadza w swoich obawach. Jak każda matka jest po prostu przewrażliwiona. Zmierzyła Radleyowi włosy i przeniosła spojrzenie na okno, za którym rozpościerał się widok na Central Park. Jej syn był otwarty na ludzi, szczęśliwy i obdarzony dobrym charakterem. Bardzo się zresztą o to starała. Nigdy nie

mówiła źle o Allanie, choć trudno jej było zapanować nad gniewem i goryczą. Próbowwała nie tylko spełniać dobrze obowiązki matki, lecz również zastąpić ojca. Na ogół jej się to udawało.

Czytała książki o bejsbolu, by towarzyszyć Radleyowi w treningach. Dreptała, trzymając za siodełko pierwszy dwukołowy rower, a gdy chłopiec z entuzjazmem ruszył na swoją pierwszą samodzielną przejażdżkę, potrafiła ustać na miejscu i tylko niespokojnym wzrokiem śledziła chwiejne wyczyny synka. A kiedy upadł, powstrzymała się od dramatycznego okrzyku i spokojnie poinstruowała małego cyklistę, że ma wracać na siodełko i jechać dalej.

Znała też komendanta Zarka. Z uśmiechem wyciągnęła komiks z dłoni śpiącego syna. Biedny, heroiczny Zark i jego zbłąkana żona Leilah. Tak, Hester wiedziała wszystko o polityce i kłopotach planety Perth. No cóż, wprawdzie tylko połowicznie udało jej się przekonać Radleya do Dickensa czy Twaina. lecz i tak, jak na samotną matkę, spisywała się nieźle.

- Jeszcze zdąży przekonać się do prawdziwej literatury - mruknęła, wyciągając się na łóżku obok syna. Prawdziwa literatura, prawdziwe życie... Wszystko to było przed tym małym, dzielnym, kochanym chłopcem.

Miała nadzieję, że postępowała właściwie. Lecz skąd mogła wiedzieć, czy tak jest naprawdę? Zamknęła oczy. Los samotnej kobiety, samotnej matki... Tak bardzo pragnęła, by obok niej był ktoś, z kim mogłaby porozmawiać, poradzić się w tych wszystkich trudnych sprawach, ktoś, komu mogłaby zaufać, zawierzyć jego

opinii. Ktoś, kto od czasu do czasu podjąłby za nią decyzję, nieważne, dobrą czy złą. Byleby choć na chwilę zdjął z niej przygniatający ciężar odpowiedzialności za wszystko.

Hester zasnęła.

Gdy się obudziła, panował półmrok. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje, potem wszystko sobie przypomniała. Nowe mieszkanie, pokój synka. Rozejrzała się wokół, lecz Radleya nie było obok niej. Odczuła lekki niepokój, choć wiedziała, że jest bezpodstawny. Radleyowi można było zaufać. Na pewno nie wyszedł samowolnie z domu. Nie był ślepo posłuszny, lecz przestrzegał dziesięciu ustanowionych przez nią najważniejszych zasad. Wstała i wyruszyła na poszukiwanie chłopca.

- Cześć, mamo.

Oczywiście był w kuchni. Trzymał w rękach kostkę masła orzechowego i kanpkę z galaretką owocową.

- Myślałam, że chciałeś pizzę. - Naturalnie zauważyła, że stół aż kapał od galaretki, a kromka oklejona była celofanem, Radley bowiem zbyt się spieszył, by przed przyłożeniem noża zdjąć go z bochenka.

- Jasne, że chcę. - Odgryzł duży kawał chleba i uśmiechnął się. - To tylko tak, żeby silnik odpalił.

Chętnie by go pocałowała, ale wiedziała, że dziewięcioletni chłopcy nie lubią babskich czułości.

- Mogłeś mnie obudzić, dałabym ci paliwa. Lepiej znam się na dystrybutorze.

- Nie ma sprawy, tylko nie mogłem znaleźć szklanki.

Hester rozejrzała się. W poszukiwaniu szklanek jej syn opróżnił dwa pudła.

- Jasne, zaraz poszukamy.

- Gdy się obudziłem, padał śnieg.

- Tak? - Odgarnęła włosy z oczu i wyjrzała przez okno. - Dalej pada.

- Może nasypie ze dwa metry i w poniedziałek zamkną szkołę - rozmarzył się Radley i usiadł na krześle.

- I moją nową pracę... - niepedagogicznie wyrwał się Hester. Roześmiała się. - No cóż, porzućmy złudne nadzieje. - Znalazła szklanki i zaczęła je myć. - Naprawdę tak bardzo się niepokoisz?

- Trochę. Wzruszył ramionami. Do poniedziałku zostało jeszcze sporo czasu i wszystko mogło się zdarzyć. Trzęsienie ziemi, burza śnieżna, atak kosmitów... Atak kosmitów!

- Bohaterski kapitan Radley Wallace z Ziemskich Sił Specjalnych - niemal usłyszał głos spikerki - ocalił nasz świat przed inwazją...

- Jeśli chcesz, mogę z tobą pójść.

- Coś ty, mamó, to byłby straszny obciach! - Zatopił zęby w kanapce. - Spoko, przynajmniej w nowej szkole nie będzie tej głupiej Angeli Wiseberry.

Nie chciała mu mówić, że głupie Angele Wiseberry rozpleniły się po wszystkich szkołach.

- Panie pułkowniku, zgodnie z rozkazem naczelnego dowódcy ma pan dokonać bojowego zwiadu na terenie

oznaczonym kryptonimem „Nowa Szkoła”, a ja mam sprawdzić kwartał „Nowa Praca”. O szesnastej koma zero zbiórka w Kwaterze Głównej, kryptonim „Nowy Dom”, w celu zdania raportów.

Natychmiast się uśmiechnął. Jeśli miała to być wojskowa operacja, to on był za.

- Tak jest, pani gene... - Zastanowił się chwilę i postanowił zdegradować matkę. - Dziękuję za przekazanie informacji, pani sierżant. - Udało mu się zachować kamienną twarz, lecz Hester ta sztuka nie wyszła.

- Pułkowniku, jeśli pan pozwoli, zamówię pizzę. Proponuję też, abyśmy do czasu jej dostarczenia rozpakowali resztę naczyń.

- Mamy od tego jeńców.

- Uciekli. Wszyscy.

- Spadną głowy - groźnie mruknął Radley i pochłonał resztę kanapki.

Mitchell Dempsey II ze smętną miną siedział przy stole kreślarskim i wpatrywał się w pustą kartkę. Żadnego pomysłu. Pociągnął łyk zimnej kawy w nadziei, że pobudzi tym wyobraźnię, jednak bez skutku. Wiedział, że tak się zdarza, ale innym, lecz nie jemu. A jeśli już, to nie wtedy, gdy zbliżał się termin oddania pracy. Po raz kolejny sięgnął do miseczki z orzeszkami, lecz i to nic nie pomogło. Pomysł, rozpaczliwie potrzebował pomysłu. Stworzenie samych ilustracji było kaszką z mlekiem, lecz jak miał rysować, gdy nie wiedział co? Z rozpaczy postanowił odwrócić kolejność i coś tam nabazgrał... Bez sensu, zupełnie bez sensu!

Zamknął oczy i zaczął modlić się do muz... Bo była chyba jakaś muza od komiksów? Lecz cóż, widocznie przestała go lubić. Przymknął oczy i usiłował poszybować w dwudziesty drugi wiek, wiele lat świetlnych od Ziemi, gdzie toczyła się okrutna kosmiczna wojna...

I nic. Jałowa pustka, żadnego pomysłu. Mitch otworzył oczy i spojrzął na czystą kartkę. Jej nieskalana biel była jak wyrzut sumienia. A przecież jego wydawca, Rich Skinner, nie przyjmował żadnych wymówek. Brak natchnienia uznawał za zwyczajne lenistwo, a zarazę, tornado lub powódź za drobne niedogodności, które w niczym nie usprawiedliwiały zawalenia terminu.

Załamany Mitch znów zanurzył dłoń w miseczce z orzeszkami. Tylko tyle mógł zrobić. Katastrofa, kompletna kłapa.

Potrzebował zmiany otoczenia, nowych wrażeń, ruchu. Jego życie stało się zbyt uporządkowane, łatwe i nudne. I przez to jałowe. Żadnych podniet, żadnej inspiracji. Tak dłużej być nie mogło.

Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, rozgniatając bosymi stopami skorupki po orzeszkach, które swoim zwyczajem ciskał gdzie popadło.

Był wysoki i silny, a jego gibkie ruchy zdradzały, że od lat systematycznie trenował. Jako chłopiec był przeraźliwie chudy, choć zawsze jadł za dwóch. Nie przejmował się tym, dopóki nie zainteresował się dziewczętami. To odmieniło jego życie, bo obok umysłu zaczął również ćwiczyć ciało. Zjadł, uparcie, bez żadnej taryfy ulgowej. Z czasem przyniosło to wspaniałe rezultaty i nikt już nie pamiętał śmiesznej, chudej tyczki. I tak

pozostało do dziś. Kobiety patrzyły na niego z uwielbieniem, a mężczyźni z respektem. Mitch każdy dzień zaczynał od intensywnych ćwiczeń fizycznych, potem zabierał się do pracy. Nie zaniedbywał też rozrywek intelektualnych, szczególnie pasjonowała go szeroko pojęta literatura.

Zgromadził niezwykle bogatą bibliotekę. Na podłodze kusocielsko leżała nierozpakowana paczka z księgarni wysyłkowej. Nie teraz, nie teraz, ze smutkiem pomyślał Mitch. Jeśli zawalę termin, ten cholerny Skinner mnie zabije...

Duży brązowy kundel wylegiwał się na podłodze i obserwował swego pana. Mitch nadał mu imię Taz, tak jak nazywał się diabeł tasmański ze starych filmów rysunkowych. Jednak w przeciwieństwie do swojego imiennika, Taza wcale nie rozpierała energia. Wręcz przeciwnie, charakter miał raczej flegmatyczny. Teraz ziewnął i leniwie potarł grzbietem o dywan. Lubił Mitcha, nigdy bowiem do niczego go nie zmuszał ani nie robił rabanu o sierść na dywanie czy grzebanie w śmieciach. Zawsze też wiedział, gdzie należy podrapać swojego pupila. Naprawdę wielce chwalebne cechy, niestety rzadko występujące u ludzi.

Taz uwielbiał, gdy Mitch kładł się obok niego na podłodze, bawił się jego gęstym, brązowym futrem i opowiadał o swoich pomysłach. Wprawdzie dzisiaj jego pan był dziwnie milczący i duchem jakby nieobecny, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Kundel leniwie ziewnął i ponownie zasnął.

Gdy ktoś zapukał do drzwi, obudził się, poruszył

ogonem i cicho warknął.

- Kto to może być? - zdziwił się Mitch. - Z nikim się nie umawiałem. Może ty zaprosiłaś jakąś miłą suczkę?

Miażdżąc skorupki, ruszył ku wyjściu. Ominął stos gazet torbę z ubraniami, której nie odniósł do pralni, na koniec odsunął nogą kość pozostawioną przez Taza i wreszcie mógł otworzyć drzwi.

- Pizza.

Chudy wyrostek trzymał pudło, które pachniało wprost niebiańsko. Mitch z zachwytem wciągnął powietrze.

- Nie zamawiałem pizzy.

- Mieszkanie 406?

- Tak, ale nie dzwoniłem do was. A szkoda.

- Wallace?

- Dempsey.

- No to kłapa.

Wallace, pomyślał Mitch, gdy chłopak bezradnie przestępował z nogi na nogę. Ktoś o nazwisku Wallace wprowadził się do mieszkania Henleyów pod 604. Z namysłem potarł dłonią szyję. Czyżby to była ta długonoga brunetka, która poprzedniego ranka wносиła pakunki? Jeśli tak, sprawę najeżało dokładnie zbadać.

- Znam Wallaców - oświadczył, wyciągając z kieszeni zmięte banknoty. - Zaniosę im.

- Nie wiem, czy nie powinienem...

- Nie przejmuj się. - Mitch uspokoił sumienie

chłopaka następnym banknotem o przyzwoitym nominale. Ta inwestycja miała sens, bowiem pizza i nowa sąsiadka mogły przynieść zmianę, której potrzebował.

- W porządku, przekonał mnie pan. - Młodzieniec uśmiechnął się szeroko i poszedł sobie. Takiego napiwku nigdy jeszcze nie dostał.

Dempsey, uzbrojony w pachnące pudełko, wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi i do kieszeni wytartych dżinsów włożył klucze. Te jednak natychmiast wysunęły się przez dziurę, zjechały po nodze i z brzękiem upadły na podłogę. Szczęśliwie druga kieszeń okazała się cała. Mitch miał nadzieję, że na pizzy znajdzie się trochę pepperoni.

- O, na pewno pizza! - ucieszyła się Hester. Chwyliła Radleya, zanim ten zdążył popędzić do drzwi. - Ja otworzę. Pamiętasz zasady?

- Nie otwieraj drzwi, jeśli nie wiesz, kto za nimi stoi - wyrecytował i za plecami matki przewrócił oczyma.

Hester położyła rękę na klamce i spojrzała przez wizjer. Zmarszczyła brwi. Zdawało się jej, że jasnoniebieskie oczy posłańca patrzą wprost na nią. Potem dostrzegła zbyt długie i potargane, ciemne włosy. A na koniec stwierdziła, że szczupła nieogolona twarz mężczyzny najzwyczajniej w świecie i fascynowała.

- Mamo, otworzysz w końcu?

- Co?

- Jestem głodny. Otwórz.

- Jasne. Przepraszam.

Gdy spełniła prośbę syna, ujrzała na progu

wysokiego, atletycznie zbudowanego mężczyznę. Odziany był niechlujnie, jego wołały o pomstę do nieba, a przede wszystkim...

Dlaczego on jest bosy?! - pomyślała z przestachem. Czyżby miała do czynienia z jakimś psycholem?

- Zamówiła pani pizzę?

- Tak.

- Doskonale.

Zanim Hester zdążyła się zorientować, Mitch wszedł do środka.

- Proszę mi ją dać - powiedziała nerwowo. - Zanieś pizzę do kuchni, Radley.

Desperacko zasłoniła syna własnym ciałem. Za jedyną broń miała paznokcie, mogła leż gryźć. I krzyżeć.

- Fajne mieszkanie - stwierdził Mitch, obrzucając wzrokiem kosze i pudła.

- Zaraz panu zapłacę.

- Nie trzeba - odparł z uśmiechem Mitch.

Hester przypomniała sobie, że kiedyś uczestniczyła w kurs samoobrony. Jak to było? Kopniak w krocze, kciukami po oczach, wykręcić rękę do tyłu, wygiąć ją w nadgarstku... i wrzeszczeć bez opamiętania.

- Radley, zanieś to do kuchni, a ja panu zapłacę.

- Już wszystko uregulowałem - powiedział Mitch. - Jestem pani sąsiadem, mieszkam pod 406, dwa piętra niżej. Przez pomyłkę dostarczyli ją do mnie.

- Ach tak...

Wcale nie poczuła się bezpieczniej.

- Przepraszam za kłopot - powiedziała, sięgając po portmonekę.

- Naprawdę nie trzeba. - Zastanawiał się, kiedy otrzyma pierwszy cios od pani Wallace. Była przerażona, ale nie wpadła w panikę. Oczywiście wzięła go za jakiegoś rzezimieszka, co do tego Mitch nie miał żadnych wątpliwości.

Musiał jednak przyznać, że trafił pod właściwy adres. Kobieta była wysoka i szczupła, zgrabna jak marzenie. Duże, szare oczy patrzyły spod bujnych włosów w ciepłym, brązowym kolorze. Gdyby ktoś szukał jakiejś skazy, mógłby przyczepić się do nieco zbyt dużych ust. Ale to kwestia gustu.

- Proszę potraktować pizzę jako sąsiedzkie powitanie - dodał po chwili. - Niestety, nie ja ją przyrządziłem.

- To bardzo miłe, ale naprawdę nie mogłabym...

- W Ameryce tak już jest, że nie odrzuca się sąsiedzkiej pomocy. To święta tradycja pochodząca z czasów osadnictwa... - plótł Mitch, uśmiechając się przy tym uroczo. Nie mógł dopuścić, by zapadło milczenie, bo wtedy musiałby pożegnać te progi. Jak na jego gust pani Wallace zachowywała się zbyt chłodno, z nadmierną rezerwą, poszukał więc pomocy u chłopca: - Cześć, jestem Mitch.

Tym razem jego uśmiech został odwzajemniony.

- Rad. Właśnie się wprowadziliśmy.

- Aha, widzę.

- Zamieniliśmy mieszkania, bo mama dostała nową pracę, a poprzednie było za małe. Teraz mam widok na park.

- Ja też.

- Przepraszam, pan... ?

- Mitch - powtórzył, przenosząc wzrok na Hester.

- Tak, postąpił pan bardzo miło. - A zarazem dość dziwacznie dodała w myślach. - Nie chcę zajmować panu czasu.

- Może pan dostać kawałek - zaprosił go Radley. - Sami całej nie zjemy.

- Rad, jestem pewna, że pan... pan Mitch jest bardzo zajęty.

- Wcale nie.

Oczywiście wiedział, że dostał odprawę i zgodnie z elementarnymi zasadami dobrego wychowania powinien natychmiast stąd wyjść. Jednak ta chłodna kobieta i jej uroczy synek... było w nich coś tak bardzo intrygującego...

- Dostanę piwo? - rzucił z głupia frant.

- Nie, przykro mi, ale...

- Mamy wodę sodową - wtrącił się Radley. Uwielbiał towarzystwo i nie zamierzał rezygnować z okazji. - Chcesz zobaczyć kuchnię?

- Pewnie.

Mitch uśmiechnął się do Hester i ruszył za chłopcem u głąb mieszkania.

Była wściekła. Wprawdzie uznała, że jednak ten cały Mitch nie jest groźnym psychopata, za to natrętem co się zowie. Akurat teraz, zaraz po przeprowadzce, potrzebne jej były sąsiedzkie wizyty! Da mu kawałek tej cholernej pizzy, a potem niech znika.

- Mamy młynek do odpadków. Strasznie hałasuje.

- Jasne.

Mitch uprzejmie pochylił się nad zlewem, gdy Radley włączył urządzenie, żeby je zademonstrować.

- Rad, nie włączaj tego bez potrzeby - pouczyła syna Hester i zwróciła się do Mitcha: - Jak pan widzi, jeszcze się nie urządziłam.

- Podobnie jak ja, choć mieszkam tu od pięciu lat.

- Będziemy mieć kota - poinformował Radley, wspinając się na wysoki stółek i sięgając po serwetki. - W poprzednim domu nie wolno było trzymać zwierząt, ale tutaj możemy, prawda, mamó?

- Gdy tylko do końca się rozpakujemy. Dietetyczną czy zwykłą? - zapytała Mitcha.

- Zwykłą. Jak na jeden dzień, bardzo dużo udało się wam zrobić.

W kuchni panował wzorowy porządek. Jedyne okno zdobiła wisząca doniczka z paprocią. Mitch zauważył, że pomieszczenie jest mniejsze niż u niego. Szkoda, pomyślał, bo Hester bardziej potrzebuje kuchni niż on. Usiadł i jeszcze raz się rozejrzał. Zobaczył rysunek przedstawiający

statek kosmiczny, przyczepiony magnesem do lodówki.

- Ty to narysowałeś? - zapytał chłopca.

- Aha - odpowiedział Rad i wbił zęby w kawał pizzy.

- Dobra robota.

- A wiesz, co to jest? Second Millenium. Statek komendanta Zarka.

- Wiem. - Mitch również zaczął jeść pizzę. - Nieźle rysujesz.

Radley wcale się nie zdziwił, że Mitch znał Zarka i jego środek transportu. Było dla niego oczywiste, że wszyscy go znają.

- Próbowałem narysować Defiance, statek Leilah, ale jest trudniejszy. Zresztą i tak komendant Zark może go zniszczyć w następnym odcinku.

- Tak uważasz?

Mitch czarująco uśmiechnął się do Hester, gdy się do nich przysiadła.

- Nie wiem, teraz jest w trudnym położeniu.

- Poradzi sobie.

- Czyta pan komiksy? - zapytała Hester.

Dopiero teraz zauważyła, że jej gość ma duże i zręczne dłonie, a przy tym zadbane, w przeciwieństwie do ubrania. Na okrągło.

- Nikt nie ma tak dużej kolekcji jak ja - pochwalił się Radley. - Mama dała mi na Gwiazdkę pierwszy numer, w którym pojawił się komendant Zark. Ma już dziesięć lat.

Wtedy był tylko kapitanem. Chcesz zobaczyć?

Fajny chłopak, pomyślał Mitch. Miły, inteligentny, bezpośredni i szczerzy. Jednak jeśli chodzi o jego matkę, nie miał ze jasnego zdania. Tak, jasne. Zanim Hester zdążyła go zatrzymać, chłopiec wybiegł z kuchni. Była naprawdę zaskoczona, że dorosły mężczyzna i czyta komiks. Jej natrętny sąsiad wprawdzie wyrósł na dużego faceta, ale w głębi duszy pozostał małym chłopcem. Pewnie tak było. Infantylny i tyle. Oczywiście ona również przeglądała komiks, ale tylko dlatego, by wiedzieć, czym interesuje się jej syn. Natomiast Mitch, ech, szkoda gadać.

- Wspaniały chłopak - zauważył.

- Tak, rzeczywiście. To miło, że pan z takim zainteresowaniem słucha... kiedy opowiada o komiksach.

- Komiks to całe moje życie - wyjaśnił.

Spojrzała na niego wymownie.

- Rozumiem. Po prostu lubi je pan - powiedziała z nadmierną delikatnością, jakby zwracała się do niedorozwiniętego dziecka.

Mitch uznał, że zabawa robi się przednia.

- Komiks dają mi wszystko. Dzięki nim żyję - powiedział z emfazą.

- Rozumiem. Każdy ma swój świat, w którym czuje się dobrze.

- Jak rozumiem, nie lubi pani komiksów?

- Nie lubię? Zbyt mocno powiedziane. Po prostu wolę inne lektury. Gdzie jest więcej literek, a mniej

obrazków. - By zatuszować mimowolną złośliwość, szybko dodała: - Chce pan jeszcze pizzy?

- Aha. - Sięgnął po następny kawałek. - Myślę, że jednak mogłaby pani poświęcić komiksom trochę czasu, bywają bowiem bardzo pouczające. - Gdy odpowiedziała mu pobłażliwym spojrzeniem, zmienił temat: - Co to za nowa praca?

- Praca? A, w banku. Będę odpowiedzialna za pożyczki w National Trust.

Popatrzył na nią z podziwem.

- Fiu, fiu, w twoim wieku... Szybko awansowałaś.

Hester zeszywniała. Słowa Mitcha zabrzmiały dość dwuznacznie.

- Pracuję w bankowości od szesnastego roku życia. I nigdy się nie objąłem. Wszystko zawdzięczam ciężkiej harówce.

Widać było, że jest na tym punkcie przewrażliwiona. Mitch nie dziwił się temu. Młoda, piękna kobieta na wysokim stanowisku... no cóż, różne drogi prowadzą do kariery.

- To miał być komplement - sumitował się. Wcale nie chciał sprawić jej przykrości. - Jak widzę, nie przyjęłaś go zbyt dobrze.

Uśmiechnęła się konwencjonalnie. Mitch wiedział, że jak do tej pory nie udało mu się skruszyć ani okruszyny lodu z tej wielkiej zimnej góry, która stała między nimi.

Hester była twardą sztuką. Zdobyć taką kobietę, to byłoby coś. Zerknął na jej dłoń. Ani śladu obrączki.

- Załatwiam w bankach różne sprawy. Wiesz, wpłacam, wypłacam realizuję czeki...

Poruszyła się niespokojnie. Dlaczego Radley tak długo nie wraca? Przebywanie sam na sam z tym mężczyzną wyprowadzało ją z równowagi. Zwykle nie czuła się zakłopotana, patrząc komuś w oczy, lecz teraz tak.

- Obecnie nie można normalnie funkcjonować bez pomocy banków.

- Tak, oczywiście. A więc gdybym chciał wziąć kredyt w National Trust, do kogo powinienem się zwrócić?

- Do pani Wallace.

Faktycznie twarda, uznał.

- A czy ta pani Wallace ma jakoś na imię?

- Hester - odparła, przewracając oczami w sposób, który przejęła od syna.

- A więc Hester. - Wyciągnął rękę. - Miło cię poznać.

Uśmiechnęła się zdawkowo, i nagle poczuła się źle w tej sztucznej, fałszywej atmosferze. Ostatecznie gawędziła sobie z sąsiadem, wprowadzicie dziwakiem i infantylnym miłośnikiem komiksów... ale będą mieszkali w jednym domu przez długie lata.

- Przepraszam, jeśli byłam niegrzeczna, ale miałam ciężki dzień, a tak naprawdę tydzień.

- Też nie znoszę przeprowadzek. Ktoś wam pomagał?

- Nie. - Szybko cofnęła rękę, którą mu podała, gdyż uścisk jego dłoni był zbyt mocny... zbyt zaborczy. - Ale

świetnie sobie radzimy.

- Tak, widzę.

„Nie potrzebuję pomocy” Taki komunikat napisała wołami na wielkiej tablicy. Nie znał wielu kobiet takich jak ona, całkowicie, wręcz obsesyjnie niezależnych i tak bardzo podejrzliwych wobec mężczyzn, że nie tylko kryły się przed nimi pod obronnym pancerzem, ale zawsze miały na podorędziu zatrute strzały. Rozsądny człowiek powinien ich unikać. Przełamywać' opór kobiety „nie do zdobycia” to fascynujący sport, ale zmagać się z dziką amazonką, nienawidzącą mężczyzn bardziej niż zarazy, to sport ekstremalny, grożący poważnym uszczerbkiem na zdrowiu.

Tak więc Mitch musiał zdecydować, czy jest człowiekiem rozsądnym, czy też nie.

Do kuchni wpadł Radley.

- Zapomniałem, gdzie są spakowane - wyjaśnił swą długą nieobecność. - To klasyka. Tak sprzedawca powiedział mamie.

I odpowiednio wycenił, pomyślała. Musiała jednak zapłacić. Ten prezent znaczył dla Radleya więcej niż jakikolwiek inny.

Mitch otworzył komiks z ostrożnością jubilera rozcinającego diament.

- Zawsze myję ręce, zanim zacznę go czytać - oznajmił chłopiec.

- Dobry pomysł.

Już na pierwszej stronie zobaczył to, czego szukał. Tekst i rysunki Mitcha Dempseya. Komendant Zark był

jego dzieckiem, z którym przez dziesięć lat zdążył się bardzo zaprzyjaźnić.

- To wspaniała historia. Wyjaśnia, dlaczego komendant Zark poświęcił swoje życie, by bronić wszechświat przed złem i korupcją.

- Tak, wiem. Czerwona Strzała, chcąc zdobyć władzę, uczył jego rodzinę.

- Aha. - Twarz Radleya pojaśniała. - Ale w końcu zmierzył się z Czerwoną Strzałą.

- W numerze 73.

Hester oparła głowę na dłoniach i wpatrywała się w nich ze zdumieniem. Była przekonana, że Mitch uwielbia komiksy jako wspomnienie z chłopięcych lat, lecz mimo wszystko ma do tego jakiś dystans. Ot, trochę infantylny, ale jednak dorosły mężczyzna. Lecz sprawa przedstawiała się inaczej. Jej sąsiad mówił z pełną powagą, niczego nie udawał. Nie chodziło mu o to, by znaleźć wspólny język z dzieckiem. Miał taką samą obsesję na punkcie komiksów jak jej dziewięcioletni syn. Tylko że Radlcy kiedyś z tego wyrośnie, natomiast Mitch wyrósł dawno temu i już się nie zmieni...

Dziwne, przecież mimo niewątpliwej abnegacji wyglądał zupełnie normalnie, nawet wysławiał się prawidłowo. I jest bardzo męski, pomyślała. Właśnie dlatego tak bardzo ją niepokoił... Zaraz, zaraz, o czym ona myśli?! To sąsiad, nikt więcej. A ponadto ma umysł dziecka. Na pewno nie zainteresuje się kimś takim.

Mitch przewrócił kilka stron. Przez tych dziesięć lat jego rysunki stały się dużo lepsze, stary komiks mówił o

tym jednoznacznie. Zawsze jednak wyróżniały się szlachetną kreską i doskonałą czytelnością, dzięki czemu Mitchell Dempsey II zrobił karierę w tej branży.

- Czy właśnie jego lubisz najbardziej? - zapytał, wskazując postać Zarka.

- Tak, jasne. Lubię Trzy Twarze, również Czarny Diament jest w porządku, ale komendant Zark to naprawdę ktoś.

- Też tak uważam.

Poczochrał włosy chłopca. Gdy postanowił przynieść pizzę, miał cichą nadzieję, że znajdzie tu inspirację, której tak rozpaczliwie potrzebował.

- Możesz sobie czasami poczytać, pożyczylbym ci, ale...

- Rozumiem. - Zamknął ostrożnie komiks i podał go chłopcu. - Ozdoby kolekcji nie wypuszcza się z rąk. To pierwsza zasada prawdziwych zbieraczy.

- Lepiej już go odniosę.

- Zanim się zorientujecie, sami zamienicie się w komiks - zgryźliwie rzuciła Hester.

Wstała i zaczęła sprzątać talerze.

- Bardzo cię to śmieszy, prawda?

Jego ton sprawił, że szybko się odwróciła. Nadal patrzył na nią przyjaźnie, jednak dziwny błysk w jego oczach sprawił, że postanowiła zachować ostrożność.

- Nie chciałam cię urazić. Po prostu uważam, że to dość... nietypowe, gdy dorosły mężczyzna nałogowo czyta

komiksy. - Włożyła talerze do zmywarki. - Zawsze sądziłam, że w pewnym wieku wyrasta się z tego, ale może... No cóż, widocznie takie masz hobby.

Uniósł brwi. Znów na niego patrzyła, lekko się przy tym uśmiechała. Najwidoczniej usiłowała naprawić swój błąd. Nic przypuszczał, że tak szybko się podda.

- Pani Wallace, jak już mówiłem, komiksy są dla mnie wszystkim, bo dzięki nim żyję. Ale z całą pewnością nie są moim hobby - wyjaśnił. - Czytuję je w celach zawodowych, jako że sam je tworzę. Rysuję i piszę.

- Cholera, naprawdę? - zaklął Radley, nabożnie wpatruje się w Mitcha. - Nie buja pan? Przecież pan nie jest Mitchem Dempseyem? Prawdziwym Mitchem Dempseyem?

- We własnej osobie.

Żartobliwie pociągnął Radleya za ucho. Hester wpatrywała się w gościa, jakby przybył z kosmosu.

- Rany, Mitch Dempsey tu jest! Mamo, to komendant Zark! Nikt mi nie uwierzy. A ty wierzysz, mamo? Komendant Zark w naszej kuchni!

- Nie - odpowiedziała, nie odrywając wzroku od gościa. Ja też nie mogę w to uwierzyć.

ROZDZIAŁ 2

Hester żałowała, że nie może sobie pozwolić na tchórzostwa. Tak łatwo byłoby wrócić do domu, nakryć głowę kocem i przeczekać w ukryciu do powrotu Radleya ze szkoły. Nikt, kto ją widział, nie uwierzyłby, że mimo lodowatego wiatru, który uderzył w wyłaniające się ze stacji metra tłumy pracujących na Manhattanie ludzi, ma spoczone dłonie.

Nawet najbaczniejszy obserwator ujrzałby spokojną, nieco zamyśloną kobietę w długim czerwonym płaszczu z wełny, z białym szalem. Na szczęście dla Hester wiatr zabarwił jej policzki, tak że nienaturalna bladość ustąpiła. W drodze do National Trust, gdzie miała rozpocząć pierwszy dzień pracy, musiała pamiętać, żeby przygryzaniem warg nie zniszczyć szminki.

Zaledwie dziesięć minut zabrałby jej powrót do domu, zabarykadowanie drzwi i telefon do biura z jakąś wymówką. Zachorowała, ktoś zmarł. Została obrabowana.

Ścisnęła mocniej teczkę i przyspieszyła. Rano odprowadziła Radleya do szkoły, wygadując nonsensy o tym, jak to fantastycznie jest zaczynać coś nowego. Bzdury, pomyślała, mając nadzieję, że jej mały facet nie jest nawet w połowie tak przerażony jak ona.

Zasłużyłam sobie na to stanowisko, powtórzyła w myślach. Kwalifikacjami i kompetencją, dwunastoletnim doświadczeniem. Nie pomogło. Wzięła głęboki oddech i przekroczyła próg banku.

Dyrektor Laurence Rosen rzucił okiem na zegarek, z uznaniem skinął głową i wyszedł jej naprzeciw. Miał na sobie granatowy garnitur o tradycyjnym kroju. W błyszczących czarnych butach można się było przejrzeć.

- Punktualnie, pani Wallace, znakomity początek. Jestem Jumny z tego, że cały mój personel optymalnie wykorzystuje i nas.

Zaprosił ją gestem na zaplecze.

- Chciałam jak najszybciej zacząć panie Rosen - wyjaśniła zgodnie z prawdą. Zawsze lubiła przychodzić do banku, zanim otwierano go dla klientów. Napawała się dostojną ciszą, poprzedzającą rozpoczęcie gry.

- Świetnie, doskonale, na pewno nie będzie się pani nudziła. - Zmarszczył brwi, dostrzegając kątem oka, że dwie sekretarki nie zajęły jeszcze miejsca za swymi biurkami.

Pani asystentka pojawi się za chwilę. Oczekuję, że będzie pani skrupulatnie notować, kiedy Kay Lorimar przychodzi i wychodzi. Pani wydajność zależy w dużym stopniu od niej.

- Oczywiście.

Jej pokój okazał się mały i dość brzydki. Starła się tym nie przejmować, podobnie jak tym, że Rosen okazał się szefem nudnym i nadętym. Podwyżka wynikająca z

objęcia nowego stanowiska pomoże w wychowywaniu Radleya. Tylko to się liczyło. Poradzi sobie, bo nie miała innego wyjścia.

Rosen z pewnością zaakceptował jej czarny kostium i dyskretną biżuterię. W banku nie było miejsca dla barwnych strojów i niekonwencjonalnego sposobu bycia.

- Oczywiście zapoznała się pani z tymi aktami, które pani dałem?

- Tak, poświęciłam na to weekend. - Stanęła za biurkiem, akcentując w ten sposób swoją pozycję. - Sądzę, że rozumiem zasady i tryb postępowania w National Trust.

- Doskonale, doskonale. Zostawiam więc panią, żeby mogła pani poukładać papiery. Ma pani pierwsze spotkanie - spojrzął na leżący na biurku kalendarz - o dziewiętej piętnaście. W razie jakichkolwiek problemów proszę zwracać się do mnie, zawsze jestem na miejscu.

Nie wątpiła w to.

- Jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze, panie Rosen. Dziękuję.

Skinął głową i wyszedł. Hester opadła na krzesło. A więc wystartowała, lecz przed nią długi, najeżony licznymi przeszkodami bieg. Rosen uważał, że jest kompetentna i że się nadaje na to stanowisko. Była odpowiedzialna za realizację ważnego fragmentu polityki finansowej National Trust. Liczono na nią i ona nie zawiedzie tych oczekiwań. Zależy od tego przyszłość jej syna, a poza tym nie może zrobić z siebie idiotki, na przykład jak podczas rozmowy z nowym sąsiadem.

Nawet teraz zaczerwieniła się na to wspomnienie. Nie chciała urazić Mitcha, choć nadal uważała, że to, czym się trudni, jest mało poważne. Problem polegał na tym, że ten facet ją zaskoczył. Wprosił się, zaczął jeść z nimi obiad i oczarował Radleya. Zrobił to wszystko w kilka minut. Bardzo się jej to nie spodobało, no i w rezultacie zupełnie się w tym pogubiła.

Za to Radley był uszczęśliwiony. Po prostu promieniał radością. Po wyjściu Mitcha Dempseya mówił tylko o nim.

Jedno w tym wszystkim było dobre, a mianowicie jej syn przestał denerwować się nową szkołą. Zresztą Radley zawsze łatwo nawiązywał przyjaźnie, a Dempsey, mimo że oryginał, wydawał się nieszkodliwy. Hester tłumiała w sobie myśl, że i na niej ten mężczyzna zrobił niezwykle wrażenie. Rysownik komiksów, też coś! Czy kogoś takiego można traktować poważnie?

Usłyszała ciche pukanie. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry, pani Wallace. Jestem Kay Lorimar, pani asystentka. Pamięta pani? Rozmawiałyśmy ze sobą kilka tygodni temu.

- Oczywiście. Dzień dobry, Kay.

Asystentka wyglądała tak, jak Hester zawsze chciała wyglądać. Drobna, kształtna blondynka o delikatnych rysach twarzy. Hester złożyła ręce na leżącej przed nią księdze, starając się wyglądać na szefową.

- Przykro mi, że się spóźniłam. - Kay uśmiechała się i wcale nie wyglądała na osobę, która ma wyrzuty

sumienia. - Nie wiem dlaczego, ale w poniedziałki wszystko zabiera więcej czasu, nawet gdy udaję, że jest wtorek. Zrobić kawę?

- Nie, dziękuję, za kilka minut mam spotkanie.

- Gdyby zmieniła pani zdanie, wystarczy zadzwonić.
- Kay zatrzymała się w drzwiach. - Przydałoby się w tym pokoju coś weselszego - zauważyła. - Ciemno jak w lochu. Pan Blowfield, który tu przedtem pracował, lubił szare, nudne meble. Pasowały do niego.

Hester powstrzymała się od uwag. W nowym miejscu należy zachowywać się ostrożnie.

- Gdyby pani chciała coś tu zmienić, proszę dać mi znać. Mieszkam z projektantem wewnątrz. To prawdziwy artysta.

- Dziękuję, zastanowię się. Gdy pan i pani Browning się zjawią, od razu skieruj ich do mnie.

- Tak jest, psze pani - powiedziała Kay. Wprawdzie jej nowa szefowa wyglądała o niebo lepiej od pana Blowfielda, lecz najwidoczniej duszę miała taką samą. Sztwywniactwo, sztywniactwo i jeszcze raz sztywniactwo. - Formularze wniosków kredytowych są w górnej lewej szufladzie biurka - poinformowała. - Dokumenty prawne w prawej. Papier z nadrukiem banku w górnej prawej. Tabele aktualnych stóp procentowych w środkowej. Browningowie chcą wziąć kredyt na przebudowę poddasza, bo spodziewają się dziecka. On jest elektronikiem, ona pracuje na pół etatu w Bloomingdale. Powiedziałam im, jakie dokumenty mają przynieść. Mogę zrobić kopie, kiedy będzie pani z nimi rozmawiać.

- Dziękuję, Kay - odpowiedziała Hester, nie wiedząc, czy powinna odczuwać podziw, czy rozbawienie.

Gdy asystentka wyszła, uśmiechnęła się. Pokój mógł sobie wyglądać ponuro, lecz Kay była w porządku. Poza tym Hester dobrze wiedziała, jaka praca ją czeka, i nie spodziewała się większych niespodzianek.

Mitch lubił okno od frontu. Dzięki niemu, gdy robił sobie przerwę, mógł obserwować wchodzących i wychodzących sąsiadów. Po pięciu latach znał wszystkich z widzenia, a z połową był na ty. Niektórych z nich szkicował lub czynił • bohaterami małych komiksowych historyjek.

Było to doskonałe ćwiczenie. Wprawiał się nie tylko na sąsiadach, ale również na taksówkarzach, dostawcach, w ogóle tych wszystkich, których twarz wydawała mu się interesująca. Oceniał ludzi szybkim spojrzeniem, a potem wykonywał opartą na impresjach i skojarzeniach podobiznę. Przed laty rysował portrety, żeby zarobić na skromne życie, teraz robił to dla siebie i sprawiało mu to znacznie większą satysfakcję.

Dostrzegł Hester i jej syna w połowie drogi od najbliższej przecznicy. Czerwony płaszcz sąsiadki jaśniał jak latarnia morska, jakby specjalnie miał zwracać na nią uwagę otoczenia. Chłodna i zachowująca dystans pani Wallace na pewno nie zdaje sobie sprawy z sygnałów, jakie wysyła, pomyślał.

Nie musiał widzieć jej twarzy. Już wcześniej zrobił kilka szkiców, które walały się teraz na kreślarskim stole. Interesujące rysy, powiedział sobie, gdy jego ołówek zaczął kreślić linie. Każdy artysta chciałby je uchwycić.

Chłopiec szedł obok niej. Twarz zasłaniał mu szal. Nawet 7 tej odległości Mitch dostrzegał jednak, że nieustannie coś mówi. Miał zadartą głowę i patrzył na matkę, która żywo z nim o czymś dyskutowała. Przed domem przystanęli. Mitch widział, jak wiatr rozwiewa włosy Hester, gdy odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Ściskając palcami ołówek, nachylił się do okna. Chciałby być bliżej, słyszeć ten śmiech, zobaczyć, czy jej oczy pojaśniały. Wyobraził sobie, że tak, ale w jaki sposób? Czy subtelna, spokojna szarość rozsrebrzyła się, czy też pociemniała?

Ruszyli i po kilku sekundach zniknęli w budynku.

Mitch spojrział na rysunek. Tylko kilka linii i konturów. Nie mógł dokończyć szkicu. Widział wprawdzie, jak Hester się śmieje, żeby jednak uchwycić ten śmiech, musiałyby lepiej się przyjrzeć.

Chłodna pani Wallace uzna kolejną wizytę za niestosowną, on jednak nie. W końcu dał jej kilka dni na ochłonięcie, a poza tym lubił jej syna. Odwiedziły go wcześniej, lecz musiał dokończyć pracę. Jestem jego dłużnikiem, uznał. Dzięki rozmowie z Radleyem wymyślił aż trzy odcinki. Był mu więc coś winien.

Włożył klucze do kieszeni. Taz leżał na podłodze, przytrzymując łapami kość.

- Nie rób sobie kłopotu, nie wstawaj - poprosił Mitch, przerzucając papiery. - Wychodzę tylko na chwilę.

Po dłuższych poszukiwaniach w bałaganie, który nazywał „swobodnym systemem archiwizacji”, znalazł szkic. Komendant Zark w pełnym stroju bojowym.

Trzeźwe spojrzenie, smutne oczy, w tle błyszczący statek kosmiczny. Poniżej widniały słowa: „Misja: schwycić księżniczkę Leilah albo ją unicestwić!”.

Wprawdzie Mitch nie zdążył pociągnąć linii tuszem i pokolorować rysunku, miał jednak nadzieję, że chłopakowi i tak się spodoba. Złożył podpis i zwinął kartkę w rulon.

- Nie czekaj na mnie z kolacją - rzucił do Taza.

- Ja otworzę!

Radley tańczył z radości. Był piątek, szkoła oddaliła się o całe lata świetlne.

- Zapytaj kto to.

Z ręką na klamce chłopiec potrząsnął głową. Rzeczywiście, taka była zasada.

- Kto tam?

- Mitch.

- To Mitch! - krzyknął z zachwytem.

Z sypialni Hester spiorunowała go wzrokiem i wciągnęła przez głowę koszulkę.

- Cześć!

Nie mogąc z podniecenia złapać tchu, Radley otworzył drzwi, żeby wpuścić swego najnowszego bohatera.

- Cześć Rad, jak leci?

- Świetnie, nic nam nie zadali na weekend. - Zaprosił Mitcha gestem. - Chciałem cię odwiedzić, ale

mama powiedziała, że nie, bo pracujesz albo coś.

- Albo coś - powtórzył Mitch. - Możesz mnie odwiedzać, kiedy zechcesz. O każdej porze.

- Naprawdę?

- Pewnie.

Wspaniały chłopak, pomyślał Mitch, czochrając mu włosy. Szkoda, że jego matka nie jest nastawiona równie przyjaźnie.

- Pomyślałem, że ci się spodoba - oświadczył, wręczając chłopcu zrolowany rysunek.

Radley rozwinął go.

- Jezu, pewnie. To dla mnie, naprawdę? To znaczy mogę to zatrzymać?

- Aha.

- Pokażę mamie.

Rzucił się w kierunku sypialni właśnie wtedy, gdy Hester ukazała się w drzwiach.

- Zobacz, co Mitch mi dał. Świetny, prawda? Mogę go zatrzymać i w ogóle.

- Tak, wspaniały.

Położyła rękę na ramieniu syna. Razem oglądali szkic. Ten facet jest z pewnością utalentowany, pomyślała Hester. Choć w dziwny sposób wykorzystane swój talent Spojrzała na Mitcha.

- To bardzo miłe z twojej strony.

Podobała się mu w pastelowej koszulce. I ubrana po

domowemu, swobodna, jakby bardziej... dostępna, nawet jeśli nie do końca odprężona. Włosy, luźno opadające niemal na ramiona, sprawiały, że wyglądała zupełnie inaczej. No i ładnie pachniała.

- Chciałem podziękować Radowi. - Zmusił się, by oderwać spojrzenie od jej twarzy i skierować je na chłopca.
- Bardzo mi pomogłeś w ubiegły weekend.

- Ja? Naprawdę?

- Naprawdę. Byłem w opałach, bo nie mogłem niczego wymyślić, ale po naszej rozmowie wszystko się jakoś wyklarowało. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma sprawy. Mógłbyś znów z nami zjeść. Prawda, mamó? W planie jest kurczak po chińsku. Wskoczę tylko na chwilę.

Schwytana w pułapkę, dostrzegła błysk rozbawienia w oczach Mitcha.

- Oczywiście.

- To fajnie. Lecę. Mógłbym też wpaść do Josha? Nie uwierzy.

- Tak, jasne.

- Dziękuję, Mitch - rzucił Radley, zatrzymując się w połowie drogi. - Wielkie dzięki.

Hester włożyła ręce do kieszeni. Nie było absolutnie żadnego powodu do zdenerwowania. Dlaczego więc tak się denerwuje?

- To naprawdę miły gest - zauważyła.

- Już od dawna nic nie sprawiło mi takiej

przyjemności - odparł.

Nie wiedział, dlaczego nie czuje się zbyt pewnie. Na wszelki wypadek włożył kciuki do tylnych kieszeni dżinsów.

- Szybko pracujesz - pochwalił gospodynię, gdy rozejrzał się po pokoju.

Pudła zniknęły. Jasne, żywe reprodukcje zdobiły ściany. Wazon ze świeżymi kwiatami zajął miejsce koło okna, przez lekkie firanki wpadało światło. Nowe poduszki na kanapie, błyszczące czystością meble. Jedynym dysonansem w tym wychuchanym wnętrzu był wrak miniaturowego samochodu i kilka plastikowych ludzików na dywanie. Ten widok go ucieszył. Hester nie należała do matek, które pozwalają dzieciom bawić się tylko we własnym pokoju.

- Salvador Dali? - zapytał, podchodząc do reprodukcji wiszącej nad kanapą.

Lekko przygryzła wargę, gdy Mitch przypatrywał się jednej z jej niewielu ekstrawagancji.

- Kupiłam w takim sklepie na Piątej, w którym nigdy nie ma ruchu - wyjaśniła.

- Aha, wiem, w którym. Szybko się urządziłaś.

- Chciałam jak najprędzej zacząć normalnie żyć. Przeprowadzka nie była łatwa dla Radleya.

- A dla ciebie?

Zaskoczył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Dla mnie? Ja...

- Wiesz, o wiele swobodniej mówisz o Radleyu niż o sobie. - Podszedł do niej.

Szybko zrobiła krok w tył. Mógłby jej dotknąć, a ona nic wiedziała, jak wtedy by zareagowała.

- Powinnam zabrać się za obiad.

- Pomóc ci?

- W czym?

Tym razem okazała się nie dość szybka. Ujął ją ręka. pod brodę i uśmiechnął się.

- W przygotowywaniu obiadu.

Od wielu lat żaden mężczyzna nie dotknął jej w taki sposób. Mitch miał silną dłoń z delikatnymi palcami. Serce skoczyło jej do gardła.

- Umiesz gotować?

Miała niesamowite oczy. Tak czyste, jasne, szarość niemal przezroczysta. Po raz pierwszy od lat poczuł, że chciałby malować. Tylko po to, by ujrzeć, jak Hester wyglądałaby na płótnie.

- Doskonale przyrządzam kanapki z masłem orzechowym lub dżemem.

Położyła mu rękę na biodrze, żeby go odepchnąć, jednak biorąc pod uwagę zamiar, jej dłoń spoczywała o kilka sekund za długo.

- A co z krojeniem warzyw?

- Chyba sobie poradzę.

- No dobrze. - Cofnęła się. Była niezmiernie

zdzumiona, że dopuściła do wprowadzie ulotnej, ale przecież... intymnej sceny. Co tu się dzieje?. - Nadal nie mam piwa, ale tym razem znajdzie się trochę wina.

- Świetnie.

O czym u diabła rozmawiali? W ogóle dlaczego rozmawiali, zamiast się całować? Skonsternowany swoimi myślami pospieszył za nią do kuchni.

- To naprawdę prosty posiłek - wyjaśniła. - Kiedy jednak wszystko się zmiesza, Radley nie zauważy, że je coś pożywnego. Tylko tak można z nim postępować.

- Naprawdę mądre dziecko.

Uśmiechnęła się. Teraz, gdy miała się czym zająć, była spokojniejsza. Umieściła seler i grzyby na desce do krojenia. Wyjęła kurczaka. Przypomniała sobie o winie. Wyjęła je z szafki i otworzyła.

Niedrogie, ale niezłe, stwierdził, rzuciwszy okiem na etykietkę. Hester naląła je do kieliszków, jeden wręczyła gościowi. To dziwne, lecz znów miała wilgotne ręce. Już dawno nie piła wina z mężczyzną, nie przyrządzała z kimś posiłku. Wzniósł, toast:

- Za sąsiadów.

- Usiądź - poprosiła. - Przygotuję kurczaka, a ty będziesz mógł zająć się warzywami.

Nie usłuchał, tylko oparł się o blat. Zamierzał maksymalnie skracać dystans, o który Hester wyraźnie walczyła. Pociągając wino, obserwował, jak sprawnie posługuje się nożem. Niesamowite, pomyślał. Większość znanych mu pracujących kobiet kupowała gotowe potrawy.

- Jak tam w nowej pracy? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- W porządku, chociaż szef jest pedantem i maniakiem wydajności. Ale sama firma mi się podoba. Dobrze siedzi na rynku, ma ciekawą strategię rozwojową. Radley i ja przez cały tydzień urządzaliśmy sobie konferencje sprawozdawcze i porównywaliśmy notatki.

Czy o tym właśnie rozmawiali, wracając do domu? - zastanawiał się. Dlatego tak się śmiała?

- A jak w szkole?

- Zdumiewająco dobrze. Cokolwiek dzieje się w życiu Rada, jakoś sobie radzi.

Dostrzegł w jej oczach cień. Niezauważalny.

- Rzeczywiście, rozwód to poważna i przykra sprawa - skomentował.

- Tak - odparła chłodno. Włożyła pociętego kurczaka do rondla. - Posiekaj jarzyny, a ja zacznę gotować ryż.

- Jasne.

Już wiedział, że na razie nie powinien naciskać. Strzelił o tym rozwodzie, lecz okazało się, że trafił. Jeśli dobrze się domyślał, rozwód musiał być dla niej znacznie cięższym przeżyciem niż dla Radleya. Był również pewien, że jeśli chce poprawić jej humor, musi wykorzystać do tego chłopca.

- Rad wspomniał, że chciał do mnie wpaść, ale mu nie pozwoliłaś.

Hester wręczyła Mitchowi cebulę, potem postawiła

rondel na kuchence.

- Nie chciałam, żeby przeszkadzał ci w pracy.

- Oboje wiemy, co myślisz o mojej pracy.

- Nie chciałam cię wtedy urazić - powiedziała oficjalnym tonem. - Ja tylko...

- Nie rozumiem, jak dorosły facet może zarabiać na życie komiksami - dokończył za nią.

Hester w milczeniu odmierzyła wodę, aż wreszcie powiedziała:

- To nie moja sprawa, jak zarabiasz na życie.

- Fakt. - Przed zaatakowaniem selera pociągnął długi łyk wina. - W każdym razie pamiętaj, że Rad może mnie odwiedzać, kiedy tylko zechce.

- Dziękuję, ale...

- Po co to „ale”, Hester? Naprawdę polubiłem twojego syna. Poza tym sam sobie reguluję godziny pracy, więc nic ma mowy o przeszkadzaniu. Co mam zrobić z grzybami?

- Pociąć na plasterki. - Umieściła pokrywkę na garnku z ryżem i podeszła do Mitcha. - Nic za cienko. Tylko tak, żeby...

Zamilkła, gdyż wziął ją za rękę, w której trzymała nóż.

- W taki sposób?

Następne posunięcie było proste, czysta rutyna. Przesunął się tak, że Hester została uwięziona między jego

ramionami. Jej plecy dotykały jego ciała.

- Tak, tak jest dobrze. - Spojrzała w dół na ich złączone dłonie. Opanowując drżenie głosu, dodała: - To naprawdę bez znaczenia.

- Chcemy przecież mieć z tego przyjemność.

- Muszę wstawić kurczaka.

Odwróciła się i stwierdziła, że wpadła do głębokiej wody. Popełniła błąd, patrząc na niego, dostrzegając nieznaczny uśmiech i spokojne spojrzenie. Instynktownie dotknęła dłonią jego piersi. Następny błąd. Poczwała spokojny, równomierny rytm serca. Nie mogła się odsunąć, gdyż brakowało miejsca, a gdyby poruszyła się do przodu, wtedy mogłaby... przestać myśleć.

- Mitch, stoisz mi na drodze.

Wiedział tym. Choć tylko przez moment, zauważył w jej oczach nieodgadnione, ale silne emocje. A więc coś czuła, czegoś chciała albo nie chciała, coś rozważała. Może oboje powinni się pozastanawiać trochę dłużej. Odsunął się, pozwalając, by koło niego przeszła.

- Ładnie pachniesz, Hester.

To flegmatyczne stwierdzenie wcale nie spowolniło jej pulsu. Przyrzekła sobie, że niezależnie od upodobań syna po raz ostatni gości Mitcha Dempseya w swym domu. Zapaliła gaz i wlała do garnka trochę oliwy.

- Jak rozumiem, pracujesz w domu? - zmieniła temat. Pozwolił jej na to.

- Wpadam do wydawnictwa tylko dwa razy w tygodniu. Niektórzy graficy i autorzy lubią tam pracować,

ale ja wolę u siebie. Potem zanoszę teksty do zredagowania i szkice do pociągnięcia tuszem.

- Rozumiem. Więc sam nie poprawiasz tuszem? - zapytała, choć nie rozumiała do końca, na czym to polega. Musi później zapytać Radleya.

- Teraz już nie. Mamy kilku kreślarzy, świetnych specjalistów. Dzięki temu zostaje mi więcej czasu na pracę nad opowieścią. Możesz wierzyć lub nie, ale dbamy o plastyczną i literacką jakość, a także o to, by nasze komiksy były nie tylko zajmujące, ale również by dobrze wpływały na rozwój dzieci.

Po wrzuceniu kurczaka do gorącej oliwy, Hester wzięła głęboki oddech:

- Naprawdę przepraszam za wszystko, co powiedziałam i co mogło cię urazić. Na pewno twoja praca jest dla ciebie bardzo ważna. Wiem także, że Radley to docenia.

- Dobrze powiedziane, pani Wallace. Przysunął do niej deskę z pokrojonymi składnikami.

- Josh nie wierzy! - Radley, bardzo z siebie zadowolony, wpadł do kuchni. - Chce jutro przyjść i sam zobaczyć. Może? Jego mama się zgadza, jeśli ty się zgodzisz. Dobrze, mamó?

- Tak, oczywiście, tylko po południu. Rano musimy zrobić zakupy.

- Fajnie, dziękuję. Poczekajcie tylko, aż zobaczy. Chyba zwariuje. Powiem mu.

- Obiad już prawie gotowy. Pospiesz się. I umyj

ręce. Radley wywrócił oczami przed Mitchem i wybiegł.

- Stałeś się hitem miesiąca - roześmiała się Hester.

- A chłopiec za tobą przepada.

- Z wzajemnością.

- Tak, zauważyłem. - Mitch dopił wino. - Wiesz, zawsze myślałem, że bankowcy, poza kasjerami, pracują do czwartej, a ty i Rad nigdy nie wracacie wcześniej niż o piątej.

Gdy spojrzała na niego ze zdziwieniem, uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Mam okno od frontu. Jestem grafikiem i uwielbiam patrzeć na ludzi.

Hester poczuła się trochę niepewnie. Nie lubiła, gdy ktoś ją obserwował. Wrzuciła warzywa do garnka i zamieszała.

- Kończę o czwartej, ale potem odbieram Rada od opiekunki. - Ponownie spojrzała przez ramię. - Nie znosi, kiedy nazywam ją opiekunką. Niestety, mieszka w pobliżu naszego dawnego mieszkania, a to dość daleko. Muszę znaleźć kogoś bliżej.

- Dzieci w jego wieku, nawet młodsze, same wracają do domu.

- Radley nie będzie wracał do pustego mieszkania tylko dlatego, że ja pracuję - odpowiedziała z mocą.

Mitch przysunął do niej kieliszek.

- Tak. przychodzenie do pustego domu bywa dość przygnębiające - mruknął, myśląc o własnych

doświadczeniach. - Ma szczęście, że jest z tobą.

- Ja jeszcze większe. Mógłbyś wyjąć talerze?

Mitch pamiętał, gdzie Hester je trzyma. Białe, z małymi fioletowymi gałązkami przy brzegach. Bardzo mu się spodobały, szczególnie gdy porównał je ze swoją plastikową zastawą do jednorazowego użytku.

Mitch zawsze starał się kierować zasadą, że najlepiej jest działać zgodnie z impulsem.

- Chyba Radowi byłoby znacznie łatwiej, gdyby wracał tu prosto ze szkoły - stwierdził.

- Och, tak. Nie znoszę ciągać go po mieście, choć on to uwielbia, ale trudno jest znaleźć kogoś godnego zaufania, kogo by Radley polubił.

- A co ze mną?

Hester cofnęła rękę, którą miała zakręcić gaz, i spojrzała na gościa. Kurczak z warzywami pyrkotał w gorącej oliwie.

- Przepraszam?

- Rad mógłby spędzać popołudnia u mnie. - Zakręcił gaz. - Miałby tylko dwa piętra do swojego mieszkania.

- Z tobą? Nie, nie mogłabym...

- Dlaczego nie? - Im dłużej Mitch o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. On i Taz mieliby towarzystwo, a ponadto częściej widywałby interesującą panią Wallace. - Wymagasz referencji? Nie byłem karany, Hester. No tak, gdyby ktoś dobrze poszukał, dogrzebałby się tej sprawy z motocyklem i różami, ale to było dawno,

miałem osiemnaście lat i byłem śmiertelnie zakochany.

Uśmiechnął się. Co miała zrobić, by mu nie zawtórować? W wielkim skupieniu zaczęła mieszać ryż.

- Nie o to chodzi - powiedziała po chwili. - Po prostu nie mogę cię tym obciążać. Mimo wszystko na pewno jesteś dość zajęty.

- Daj spokój, chyba nie myślisz, że całymi dniami nic tylko rysuję.

- Już ustaliliśmy, że to nie moja sprawa, jak pracujesz.

- Pewnie. Wystarczy, gdy będziesz wiedziała, że popołudnia spędzam w domu i jestem do dyspozycji. Zresztą mam w tym również swój interes, bo Radley okazał się świetnym konsultantem. Naprawdę czuje, o co w komiksach chodzi i ma ciekawe pomysły. - Wskazał rysunek przyczepiony do lodówki. - Nie zaszkodziłoby mu także kilka lekcji rysunków.

- Wiem. Miałam nadzieję, że jakoś to załatwię, ale nie...

- Posłuchaj, nie zagłąda się w zęby darowanemu koniowi. Chłopak mnie lubi, a ja jego. I przyrzekam, na jedno popołudnie najwyżej jeden komiks, to norma nieprzekraczalna.

Nareszcie się roześmiała. Atmosfera wyraźnie się poprawiła, lecz Mitch nie skorzystał z okazji. Gdyby okazał się zbyt natarczywy, drzwi tego domu natychmiast by się przed nim zatrzasnęły.

- Sama nie wiem... - Hester pomyślała przez chwilę.

- Dziękuję za propozycję, na pewno takie rozwiązanie wiele by ułatwiło. Chyba jednak nie rozumiesz, o co tak naprawdę prosisz.

- Jak to nie wiem? Przecież kiedyś też byłem małym chłopcem. - Coraz bardziej zależało mu na tym, aby załatwić tę sprawę. To już nie był zwyczajny impuls, tylko dobrze rozumiana potrzeba. - A może urządzimy głosowanie? I zapytamy Radę?

- Zapytacie mnie o co?

Radley właśnie stanął w drzwiach kuchni.

Mój Boże, pomyślała Hester. Ja przeciw, Mitch za, więc zdecyduje trzeci głos. Nietrudno domyślić się, jaki będzie ostateczny wynik tego plebiscytu. Oczywiście mogła zbyć syna byle czym, ale nie było to w jej stylu. Zawsze grała z nim w otwarte karty i była z tego dumna.

- Po pierwsze ustalmy, że decyzję podejmuję ja. Żadnych głosowań. Po drugie Mitch zaproponował, że mógłbyś spędzać u niego popołudnia, zamiast chodzić do pani Cohen.

- Naprawdę? Naprawdę mogę?

- No cóż, najpierw muszę to sama przemyśleć, potem z tobą porozmawiać...

- Będę grzeczny - zapewnił Radley, obejmując matkę.

- Obiecuję. Mitch jest znacznie lepszy od pani Cohen. O wiele bardziej. Ona pachnie naftaliną i paca mnie w głowę.

- Ja podtrzymuję swój głos - mruknął Mitch.

Hester spiorunowała go wzrokiem. Nie była przyzwyczajona do ulegania większości ani do podejmowania decyzji na chybcika, bez starannego przemyślenia.

- Radley, wiesz przecież, że pani Cohen jest bardzo miła. Zostawałeś u niej przez ponad dwa lata.

- Gdybym zostawał u Mitcha - usłyszała w odpowiedzi - mógłbym wracać prosto do domu. I zaczynałbym od odrobienia lekcji. - Ciężka obietnica, lecz wymagała jej sytuacja.

- Ty też wracałabyś wcześniej do domu. Proszę, mamó, zgódź się.

Tyle razy musiała mu odmawiać, bo wymagały tego okoliczności, i zawsze przypłacała to bólem serca. Chłopiec patrzył na nią wyczekująco. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Dobrze, Rad. Spróbujemy i zobaczymy, jak się to ułoży.

- Na pewno wspaniale. - Zwrócił się do Mitcha. - Po prostu wspaniale.

ROZDZIAŁ 3

Mitch lubił wysypiać się w weekendy, w ten sposób demonstrując swoją przynależność do świata pracy. Dla ogromnej większości ludzi różnica pomiędzy porankiem poniedziałkowym a sobotnim była wprost fundamentalna i on, choć pracował we własnym rytmie, starał się tego przestrzegać. Sobota to sobota, czas na leniuchowanie. Tak było również dzisiaj. Z jedną różnicą. Mitch zwykle się wylegiwał, niefrasobliwie myśląc o niebieskich migdałach, lecz tej soboty był w zupełnie innym stanie ducha. Mianowicie leczył kaca.

Wieczorem, po wyjściu z mieszkania Hester, nie chciał samotnie wracać do domu, więc wpadł do małego baru, w którym bywali pracownicy Universal Comics. Zastał tam kreślarza, zaprzyjaźnionego grafika i redaktora, który pracował nad nową serią Uniwersalu. Zwała się ona „Wielkie Tajemnice” i dotyczyła zjawisk nadprzyrodzonych. Muzyka była głośna, koledzy hałaśliwi. Po jakimś czasie cała paczka ruszyła na całonocny festiwal filmów grozy na Times Square. Rozbawieni widzowie przepijali do duchów, wampirów i upiórów. Mitch wrócił do domu o szóstej rano i ciężko zwałił się na łóżko. Zdarzało mu się to bardzo rzadko, ale tym razem naprawdę przeholował. Był pijany i wymagał porządnej kuracji, to znaczy co najmniej dwudziestu czterech godzin w łóżku. I

tak też postanowił zrobić.

Niestety telefon zadzwonił już po ośmiu. Mitch wściekle warknął do słuchawki:

- Kto tam?!

- Mitch? - Hester zawahała się. Miał zaspany głos, ale przecież niemożliwe, by ktoś spał o drugiej po południu...

- Tu Hester Wallace. Przepraszam, jeśli ci w czymś przeszkodziłam.

- Co? Nie, w porządku. - Potarł dłonią twarz, potem odepchnął psa, który oczywiście rozwalił się na środku łóżka.

- Taz, odsuń się i przestań dyszeć w słuchawkę.

Taz? Hester nie wiedziała, że Mitch z kimś mieszka. Przygryzła wargę. Z uwagi na Radleya powinna była to sprawdzić.

- Naprawdę bardzo przepraszam - kontynuowała głosem, w którym zabrzmiał nagły chłód. - Najwidoczniej telefonuję nie w porę.

- Nie, wcale nie. - Dać głupiemu bydlęciu palec, a odgryzie rękę, myślał Mitch, chwytając telefon i przenosząc się na drugą stronę łóżka. - O co chodzi?

- Czy ty jesteś... zajęty?

Pani Wallace to naprawdę bystra kobieta. Owszem, był zajęty. Swoim kacem i namolnym kundlem.

- Nie, skądże. Więc o co chodzi, Hester?

- Chciałam podać ci wszystkie numery i informacje, których możesz potrzebować, gdybyś zajął się w przyszłym tygodniu Radleyem.

- Och, jasne. - Odgarnął włosy z oczu i rozejrzał się w nadziei, że znajdzie jakąś butelkę z wodą mineralną albo colą. Nie znalazł. - Poczekasz, aż znajdę ołówek?

- No cóż, ja... - Usłyszał, że zakrywa ręką słuchawkę i mówi do kogoś. Zapewne do Radleya. - Właściwie, gdybyś nie miał nic przeciwko temu. Rad miał nadzieję że moglibyśmy na chwilę wpaść. Chciał cię poznać ze swoim przyjacielem. Jeśli jesteś zajęty albo źle się czujesz, odłóżmy to na później.

Tak, trzeba to odłożyć, pomyślał Mitch. Gdy jednak wyobrazi! sobie chłopca, który z nadzieją wpatruje się w matkę...

- Daj mi dziesięć minut - mruknął i odłożył słuchawkę, zanim Hester zdążyła odpowiedzieć.

Najpierw zimny prysznic. Potem gorący. I znowu zimny. Jakoś doszedł do siebie. Włożył dżinsy i koszulę. Gdzie czyste skarpetki? Cholera, dlaczego w tym bałaganie nigdy niczego nie można znaleźć?! - wściekał się w duchu.

Rozpaczliwie szukał skarpetek, a czas płynął. Niestety wszystkie ubrania, które wróciły z pralni ładnie uprasowane i pachnące, rzucone zostały w bezładny stos w kącie sypialni.

Usłyszał pukanie do drzwi. Taz uderzył ogonem w materac.

- Dlaczego nie posprzątałeś? - zapytał go Mitch. -

Przecież mieszkamy w chlewie.

Kundel wyszczerzył białe zęby i zaskowyczał.

- Wymówki, zawsze tylko wymówki. Wynos się z łóżka. Nie wiesz, że już po drugiej?

Mitch nerwowo potarł dłonią nieogolony policzek i poszedł otworzyć.

Wyglądała wspaniale, po prostu pięknie. Trzymała rękę na ramieniu synka i lekko się uśmiechała. Była onieśmielona? - pomyślał z lekkim zdziwieniem. Uważał ją za kobietę chłodną, pewną siebie i trzymającą ludzi na dystans. Teraz jednak zorientował się, że w ten sposób maskowała nieśmiałość. Poczul nagłe ciepło w sercu.

- Siemanko, Rad.

- Cześć, Mitch - odpowiedział chłopiec, wprost pękając z dumy. - To mój przyjaciel Josh Miller. Nic wierzy, że jesteś komendantem Zarkiem.

- Naprawdę? - Mitch spojrzał z góry na niewiernego Tomasza, chudego blondyna, sporo wyższego od Rada. - Wejdźcie.

- Bardzo dziękuję, że zgodziłeś się na te odwiedziny - zaczęła Hester. - Tylko ty możesz załagodzić ten piekielny spór między Radleyem i Joshem.

Salonik wyglądał jak po wybuchu. Hester była wprost oszołomiona. Czegoś takiego jeszcze nie widziała. Wszędzie papiery, ubrania, teczki. Były jeszcze jakieś meble, lecz nie potrafiłaby ich opisać.

- Powiedz Joshowi, że jesteś komendantem Zarkiem - zażądał Radley.

- Chyba można tak to określić. W każdym razie ja go stworzyłem. - Spojrzał na Josha. Chłopiec miał wielce podejrzliwą minę. - Od dawna przyjaźnicie się z Radleyem?

- Od dawna. - Josh na wszelki wypadek stał blisko Hester i przyglądał się Mitchowi. - Nie wygląda pan jak komendant Zark.

Mitch potarł nieogoloną szyję.

- Ciężka noc - wyjaśnił.

- On jest Zarkiem - potwierdził Radley. - Hej, mam, popatrz, Mitch ma magnetowid. - Chłopiec oczywiście nie dostrzegł bałaganu, ale elektroniczny sprzęt wypatrzył. - Ja na taki oszczędzam. Mam już siedemnaście dolarów.

- Uskłada się - mruknął Mitch. - Chodźcie do pracowni, pokażę wam, co przygotowuję do wiosennego numeru.

- Rany! - zawołał z entuzjazmem Radley.

Mitch zaprowadził ich do pracowni. Pomieszczenie było duże, jasne i tak samo zabałaganione jak salonik. Hester zawsze bardzo dbała o porządek i nie wyobrażała sobie, że w takich warunkach można w ogóle egzystować, a co dopiero pracować. Spojrzała na kreślarski stół, do którego poprzipinane były pineskami szkice i podpisy.

- Widzicie? Gdy Leilah sprzymierzy się z Czarną Ćmą, Zark będzie miał pełne ręce roboty.

- Czarna Ćma, faktycznie.

W obliczu niezaprzeczalnych faktów również Josh zaczął traktować Mitcha z nabożnym szacunkiem. Potem

jednak przypomniał sobie komiks i znów stał się podejrzliwy.

- Przecież kilka odcinków temu Zark unicestwił Czarną Ćmę.

- Okazało się, że gdy Zark zbombardował Zenitha eksperymentalnymi ZT - 5, Czarna Ćma nie zginęła, tylko zapadła w stan hibernacji. Leilah, dzięki swym genialnym umiejętnościom i wiedzy, przywróciła Ćmę do życia.

- Rany! - Josh wpatrywał się w ogromne słowa i rysunki. - Dlaczego są takie duże? Nie będą pasowały do komiksu.

- Trzeba je pomniejszyć.

- Czytałem o tym. - Radley spojrzał na Josha z wyższością. - Wypożyczyłem z biblioteki historię komiksu od początku, od lat trzydziestych.

- Epoka kamienia.

Mitch uśmiechnął się, widząc, jak chłopcy podziwiają jego prace. Hester też podziwiała, ale mebel. Nabrała pewności, że pod stertami papierów dostrzegła prawdziwe cudeńko, autentyczną rokokową szafkę rodem z Francji. No i książki, tysiące książek. Mitch obserwował ją, jak chodzi po pokoju. Patrzyłby nadal, lecz Josh chwycił go za ramię.

- Da mi pan autograf?

- Jasne.

Wykopał ze sterty czystą kartkę i złożył podpis, a potem szybko narysował Zarka.

Josh z szacunkiem złożył kartkę i wsunął ją do tylnej kieszeni.

- Mój brat zawsze się chwali autografami bejsbolistów, ale ten jest lepszy.

- Pewnie - zgodził się Radley. - Będę zostawał z Mitchem po szkole, aż mama wróci z pracy.

- Nie żartujesz?

- No dobrze, zabraliśmy już panu Dempseyowi dużo czasu... - zaczęła Hester, gdy nagle do pokoju wkroczył Taz.

- Jaki wielki! - zachwycił się Radley.

Ruszył do przodu z wyciągniętą ręką, lecz Hester chwyciła go za ramię.

- Rad. tak nie podchodzi się do nieznanego psa. Najpierw musicie się zapoznać.

- Twoja mama ma rację - wtrącił się Mitch - ale w tym wypadku taka ostrożność nie jest potrzebna. Taz jest absolutnie niegroźny.

I ogromny, pomyślała Hester, trzymając za ramiona obu chłopców.

Taz był kundlem doświadczonym i wiele w życiu zaznał, dlatego na widok małych człowieczków usiadł przy drzwiach i nic spuszczał ich z oczu. Takie stworki, zanim dorosną i nabiorą rozumu, uwielbiają szarpać psy za uszy i ogony. Dlatego Taz wołał się nie narażać na tego typu rozrywki. Był już na to za stary i za wygodny.

- On jest bardzo pocziwym psem - zapewnił Mitch.

Podszedł do zwierzaka i położył mu rękę na głowie.

- Czy zna jakieś sztuczki? - zapytał Radley, który od dawna marzył o własnym psie. Wielkim, wiernym i mądrym. Nigdy jednak nie poprosił o to matki, bo pies nie miałby u nich słodkiego życia. Całe dnie siedziałby sam.

- Nie, umie tylko mówić.

- Mówić? - Josh niepewnie się roześmiał. - Przecież psy nie mówią.

- Chodzi o szczekanie - wyjaśniła nieco już spokojniejsza Hester.

- Nie, on naprawdę mówi. - Mitch przyjaźnie poklepał kundla. - Jak leci. Taz?

W odpowiedzi pies wtulił głowę w udo Mitcha i zaczął wydawać z siebie serię dźwięków. Chłopcy wprost tarzali się ze śmiechu.

- Rzeczywiście, mówi. - Radley zbliżył się o krok z wyciągniętą ręką. - Naprawdę.

Taz uznał, że chłopiec nic wygląda na kogoś, kto pociągnąłby go za ucho, więc dotknął jego dłoni nosem.

- Patrz, mamó, on mnie lubi.

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Radley objął zwierzaka za szyję. Hester odruchowo ruszyła naprzód.

- On jest naprawdę bardzo łagodny, przysięgam.

Mitch położył rękę na ramieniu Hester. Choć pies mrucał coś Radleyowi do ucha i pozwalał Joshowi się głaskać, Hester nie była do końca przekonana.

- Przecież nie jest przyzwyczajony do dzieci.

- Codziennie łązi za dziećmiakami w parku. - Na dowód swej łagodności Taz przetoczył się na grzbiet i nastawił brzuch do drapania. - Poza tym jest nieprawdopodobnie leniwy. Gryzie tylko to, co mu się włoży do miski i podsunie pod nos. Boisz się psów?

- Nie jasne, że nie.

Tak naprawdę się bała, ale nie lubiła okazywać słabości. Dlatego nachyliła się i pogłaskała ogromny łeb. Przypadkiem trafiła na ulubione miejsce. Taz zaczął się w nią wpatrywać ciemnymi, smutnymi oczami i mrużyć z ukontentowania. Hester roześmiała się i podrapała go za uszami.

- Jesteś tylko dużym dzieckiem, prawda? - powiedziała do zwierzaka.

- Raczej cwany manipulant - mruknął Mitch, zastanawiając się, jaką sztukę powinien wykonać, by Hester dotknęła go równie czule.

- Będę się mógł z nim codziennie bawić, prawda Mitch?

- Pewnie. - Uśmiechnął się do Radleya. - Taz to uwielbia. Chłopaki, nic chcielibyście zabrać go na spacer?

Zgodzili się z entuzjazmem. Hester wyprostowała się i obrzuciła Taza niepewnym spojrzeniem.

- Nie wiem. Rad...

- Proszę, mamó, będziemy ostrożni. Przecież już pozwoliłaś, żebyśmy na chwilę poszli z Joshem do parku.

- Tak, wiem, ale Taz jest strasznie duży. A jak zerwie się ze smyczy i wam ucieknie?

- Taz twardo wyznaje zasadę, że przede wszystkim należy oszczędzać energię. Po co miałyby biec, skoro i tak spacerkiem można wszędzie doczłapać? - Mitch znalazł smycz.

- Nie biega za samochodami, innymi psami mi za strażnikami w parku. Zatrzymuje się jednak przy każdym drzewie.

Radley złapał smycz.

- W porządku, mamó?

Zawahała się. Pragnęła zawsze być przy swoim synku, ale dobrze wiedziała, że powinna taką postawę zwalczać.

- Pół godziny. Ubierzcie się. I nie zapomnijcie o rękawiczkach.

- Dobrze. Chodź, Taz.

Pies ciężko westchnął, potem powoli wstał i z ociąganiem wyszedł z chłopcami.

- Dlaczego zawsze jak widzę Radleya poprawia mi się humor? - zapytał retorycznie Mitch.

- Jesteś dla niego bardzo miły. No cóż, pójdę na górę i przypilnuję, żeby się pozapinali.

- Przecież sami sobie poradzą. - Wykorzystał jej krótkie wahanie i ujął ją pod rękę. - Podejźmy do okna, zobaczysz, jak wychodzą.

Poddała się, gdyż wiedziała, że Radley nie lubił,

kiedy traktowała go jak dziecko.

- Och, byłabym zapomniała. Tutaj jest mój numer telefonu do pracy, nazwisko i numer lekarza, telefon do szkoły.

- Mitch wziął od niej kartkę i wsunął do kieszeni. - W razie jakiegokolwiek kłopotu zadzwoń do mnie. Mogę wrócić do domu w ciągu dziesięciu minut.

- Spokojnie, Hester, poradzimy sobie.

- Chciałabym ci jeszcze raz podziękować. Po raz pierwszy od rozpoczęcia szkoły Radley czeka z utęsknieniem na poniedziałek.

- Ja także.

Wyglądała przez okno, wypatrując znajomej granatowej czapki i kurtki.

- Nie omówiliśmy jeszcze warunków.

- Jakich warunków?

- To znaczy ile chcesz za tę opiekę. Pani Cohen...

- Dobry Boże, Hester, nie chcę, żebyś mi płaciła.

- Nie bądź śmieszny. To jest oczywiste.

Położył jej rękę na ramieniu, zmuszając, by odwróciła się do niego.

- Nie potrzebuję pieniędzy. Nie chcę pieniędzy. Zaproponowałem to, bo Rad jest fajnym dzieciakiem i lubię jego towarzystwo.

- To bardzo miło, ale...

Przerwał jej niecierpliwym westchnieniem:

- Znow wracamy do tych twoich „ale”.

- Nie zgodzę się, żebyś robił to za darmo.

Mitch studiował jej twarz. Piękna, twarda kobieta. Zdecydowana i silna. Przynajmniej na zewnątrz.

- Czy nie możesz przyjąć sąsiedzkiej przysługi?

- Nie mogę.

- Dobrze. Pięć dolców za jeden dzień. Uśmiechnęła się wreszcie.

- Dziękuję.

Ujął koniuszek jej włosów.

- Umie się pani targować.

- Wiem, mówili mi to w banku. - Ostrożnie odsunęła się o krok. - O, już są.

Przysunęła się bliżej do okna. Zobaczyła, że Radley nie zapomniał o rękawiczkach, a także o tym, by dojść do rogu i przejść przez ulicę przy światłach.

- Jest szczęśliwy, wiesz? Zawsze chciał mieć psa. Nie mówił o tym, gdyż wie, że przez cały dzień nie ma go w domu. Zadowolili się obietnicą kota.

Mitch znow dotknął jej ramienia.

- Posłuchaj, Radley jest zadbany, kochany i ma poczucie bezpieczeństwa. Dlatego jest taki otwarty na innych. Bo wie, że ma ciebie. Twoje poczucie winy jest bez sensu.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Mitch bez zastanowienia uniósł dłoń do jej policzka, który

natychmiast się zaróżowił, a szare oczy pociemniały. Hester szybko się odsunęła.

- Lepiej już pójde. Chłopcy po powrocie zażądają gorącej czekolady.

- Najpierw muszą odprowadzić do mnie Taza - przypomniał Mitch. - Zrób sobie przerwę, Hester. Napijesz się kawy?

- No cóż. ja...

- Dobrze. Usiądź, a ja zrobię kawę.

Już się zorientowała, że Mitch całkiem sprawnie manipulował ludźmi. Manipulant... nie, to zbyt ostre słowo, pomyślała. Po prostu dzięki swojemu urokowi owijał sobie ludzi wokół palca i wszystko przeprowadzał wedle swojej myśli. Nie lubiła tego. Od dawna sama wyznaczała reguły gry i tak powinno pozostać. Była trochę zła, nie mogła jednak teraz wyjść, bo to byłoby niegrzeczne. Przecież zaraz miał tu przyjść jej syn. dla którego Mitch był tak miły. No i sama się wprosiła z tą wizytą, która przeradzała się... no właśnie, w co!

Nie mogła powiedzieć, że Mitch jej nie interesował. Oczywiście tylko abstrakcyjnie. Patrzył na nią poważnie i badawczo, choć zdawać by się mogło, że traktuje życie jak żart. Jednak dotykał jej w sposób wcale niezabawny, tylko....

Hester musnęła końcami palców policzek, tam gdzie przedtem poczuła dłoń Mitcha. Musiała zachować ostrożność, nie dopuszczać do takich dwuznacznych... jednoznacznych ekscesów. Będzie go traktować jak przyjaciela, podobnie jak Radley. Nie chciała czuć się

wobec Mitcha zobowiązana, ale jakoś to wytrzyma. Musiała już przełknąć gorsze rzeczy.

Był miły. Życie oduczyło ją naiwności i potrafiła dobrze odczytywać prawdziwe intencje ludzi. Mitch nie wykorzystywał Radleya do tego, by ją poderwać. Szczerze go polubił i docenił zalety chłopca. Przynajmniej to przemawiało na jego korzyść.

Natomiast to, co działo się między nią i Mitchem, rozgrywało się na zupełnie innym poziomie i jakby zupełnie niezależnie. Nie chciała, by ten facet jej dotykał i patrzył na nią w taki sposób, jak to robił. Bo wtedy działo się z nią coś dziwnego.

Wszedł Mitch z dwoma filiżankami.

- Jest gorąca. Pewnie niedobra, ale gorąca. Dlaczego nie usiadłaś?

Uśmiechnęła się.

- A gdzie?

Mitch ustawił filiżanki na jakichś papierach i zepchnął z sofę stos gazet.

- Tutaj.

- Wiesz... - Obeszła stare gazety, które dla odmiany piętrzyły się teraz na podłodze. - Radley jest dobry w sprzątaniu. Z przyjemnością by ci pomógł.

- Funkcjonuję najlepiej w bałaganie, nad którym panuję. Usiadła obok niego na sofie.

- Tak, widzę bałagan, ale raczej nie powiem, byś nad nim panował.

- Uwierz mi na słowo. Nie zapytałem, czy chcesz mleka. Na wszelki wypadek przyniosłem czarną.

- Wolę bez mleka. Ten stół... to dziewiętnasty wiek, chyba pierwsza połowa, prawda?

- Aha. - Mitch położył na stole nogi zakończone bosymi stopami. - Masz dobre oko.

- Sokole. Inaczej nic bym tu nie wypatrzyła. - Powiedziała to z lekkim przekąsem, lecz on z radości aż zarechotał. Co za typek! - Bardzo lubię antyki. Może jestem naiwna, ale myślałam, że chodzi o to, by przetrwały. Zwykle nic nie trwa długo.

- Przeciwnie. Miałem kiedyś przez półtora miesiąca paskudny katar. Uwierzysz? - Wreszcie się roześmiała. - O tak, gdy się śmiejesz, robi ci się jeden dołeczek w kąciku ust. Ładny i taki... tajemniczy. Nadaje twojej twarzy delikatną, ale niezwykle ekscytującą asymetrię. Na tym właśnie polega prawdziwe piękno. Na czymś, co nieodgadnione, niepojęte...

Zamilkł, gdy napotkał surowe spojrzenie Hester. No tak, oczywiście przesadził. Zabrzmiało to jak wyznanie, a on przecież zachwycał się tą kobietą jedynie jako artysta.

- Rozmawiasz z dziećmi bardzo naturalnie - zmieniła temat. - Pochodzisz z licznej rodziny?

- Nie, jestem jedynakiem.

A jednak nie powinna tak ostro zareagować, pomyślał. Mogła to potraktować jako zwykły komplement. Twardo trzymała dystans, nie dopuszczała do najniewinniejszego flirtu. Kryła się za tym jakaś tajemnica.

- Naprawdę? Trudno w to uwierzyć.

- Niektóre kobiety uważają, że mężczyźni absolutnie nie potrafią zająć się dziećmi. Czyżbyś też była taka?

- Nie, raczej nie - odpowiedziała ostrożnie, bo dotychczasowe doświadczenia nauczyły ją, że tak właśnie jest. - Chodzi o to, że ty sobie radzisz szczególnie dobrze. Nie masz własnych dzieci? - Po co zadała to pytanie? Przecież było zbyt osobiste.

- Nie. Byłem zbyt zajęty swoimi sprawami, by o tym pomyśleć.

- Żadna nowina - podsumowała chłodno. Spojrzał na nią uważnie.

- Czyżbyś pomyliła mnie z ojcem Radleya, Hester? - Dostrzegł w jej oczach niebezpieczny błysk. - Do diabła, Hester, co ten sukinsyn ci zrobił?

Zaczęła wstawać, lecz Mitch okazał się szybszy. Położył jej rękę na ramieniu.

- Dobrze, na razie dam ci spokój. Przepraszam, jeśli trafiłem w czułe miejsce, ale po prostu to mnie ciekawi. Sporo rozmawiałem z Radleyem, ale nigdy nic wspomniał o swoim ojcu.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś nie zadawał mi żadnych pytań na ten temat - prawie warknęła.

- Za kogo mnie bierzesz, Hester? - odparł równie ostro. - Przecież właśnie dlatego, by nie zranić go nieopatrznym słowem, najpierw ciebie się zapytałem.

Najchętniej poszłaby sobie, ale nie mogła tak zrobić. Radley będzie z Mitchem spędzać sporo czasu, musiała

więc udzielić jakichś wyjaśnień.

- Rad nie widział ojca od siedmiu lat.

- Ani razu? - Nic potrafił ukryć zdziwienia. Jego własna rodzina nie była zbyt wylewna, ale coś takiego nie mieściło się w głowie. - Musi bardzo to przeżywać.

- Nim Radley zdażył trochę podrosnąć, ojca już nie było. Myślę, że mój syn jakoś sobie z tym wszystkim poradził. Nie jest jedynym dzieckiem, które ma tylko matkę - powiedziała obronnym tonem.

- Chwileczkę, ja cię nie krytykuję. - Znow położył rękę na jej ramieniu, zbyt mocno, by mogła ją strząsnąć. - Rad jest szczęśliwy i kochany, to widać gołym okiem. Poszłabyś za nim w ogień. Jesteś wspaniałą matką.

- Radley jest dla mnie najważniejszy, poza nim nic się nie liczy. - Nie mogła się rozluźnić, gdyż Mitch siedział zbyt blisko i nadal trzymał rękę na jej ramieniu. - Powiedziałam ci o tym tylko dlatego, żebyś nie zadawał mu pytań, które by go zraniły.

- Czy to się często zdarza?

- Od czasu do czasu. - Trzymał ją już za rękę. Nie miała pojęcia, jak ten spryciarz do tego doprowadził. - Nowy przyjaciel, nowy nauczyciel. Ludzie w swojej bezmyślności potrafią być okrutni. Naprawdę powinnam już pójść.

- A co z tobą? - Dotknął delikatnie jej policzka, by na niego spojrzała. - Jak ty się przystosowałaś?

- Doskonale. Mam Rada, pracę...

- I żadnego mężczyzny?

- Nie twoja sprawa.

- Gdyby ludzie rozmawiali wyłącznie o swoich sprawach, nie zaszliby daleko. Odgradzasz się od mężczyzn, ale nie sądzę, byś ich nienawidziła. Chyba mam racje, Hester?

Nie miała wyjścia, musiała przyjąć jego reguły gry. W razie potrzeby potrafiła się przystosować i robiła to dobrze.

- Przez kilka lat pogardzałam mężczyznami. Trutnie, pasożyty, egoiści, bezwartościowy wybryk natury. Wszyscy bez wyjątku. Dobrze mi to zrobiło, bo dzięki temu odreagowałam, co miałam do odreagowania. Potem jednak uznałam, że byłam niesprawiedliwa. Otóż zdarzają się wśród was mutanci, mniej więcej jeden na milion, którzy są cokolwiek warci. Oczywiście do prawdziwego człowieczeństwa jeszcze im daleko, ale ewolucja czyni cuda i może kiedyś, w przyszłości...

- Hm, więc jednak jest jakaś nadzieja. Uśmiechnęła się.

- Mówiąc poważnie, już nie obwiniam wszystkich mężczyzn za grzechy jednego z nich.

- Zachowujesz tylko ostrożność.

- Myśl sobie, co ci się podoba.

- Podobają mi się twoje oczy. Nie, nie odwracaj się.

- Cierpliwie obrócił z powrotem jej głowę. - Są fantastyczne. Uwierz mi, jestem w końcu artystą.

Hester zmusiła się do zachowania spokoju.

- Czy to znaczy, że pojawią się w następnym

odcinku?

- Chciałabyś? Biedny Zark tak potrzebuje kobiety, która by go zrozumiała i uleczyła jego krwawiącą duszę... Twoje oczy mają magiczną moc. Pomożesz komendantowi Zarkowi? Tylko ty możesz to uczynić.

- Niech będzie, przyjmuję to jako komplement - odpowiedziała zdawkowo. Uciekała, wiedziała o tym. - Chłopcy za chwilę wrócą.

- Mamy jeszcze trochę czasu. Hester, czy kiedykolwiek w życiu dobrze się bawiłaś?

- Głupie pytanie. Oczywiście, że tak.

- Nie jako matka Radleya, lecz jako Hester.

Urzeczony, dotknął jej włosów.

- Hester jest matką Radleya.

Wreszcie udało się jej wstać, lecz on zrobił to samo i znów był blisko. Nie było na niego sposobu.

- Jesteś również kobietą. Wspaniałą kobietą. - Zobaczył jej spojrzenie i potarł kciukiem szczękę. - Daję ci słowo, a u mnie to coś znaczy. Jesteś jednym wspaniałym kłębkim nerwów.

- Nerwów? Nie mam czym się denerwować.

Poza tym, że jej dotykał i mówił łagodnym, kojącym głosem, a w mieszkaniu poza nimi nie było nikogo.

- Strzałę z serca wyjmę później - mruknął.

Nachylił się, żeby pocałować Hester. Musiał jednak ją złapać, gdyż gwałtownie cofnęła się na stertę czasopism,

pośliznęła się i prawie upadła.

- Spokojnie - poprosił - przecież cię nie ugryzę. Przynajmniej dziś.

Ogarnęła ją prawdziwa panika.

- Muszę już wracać. Mam wiele pracy.

- Za chwilę.

Ujął dłońmi jej twarz. Drżała, lecz to go nie zdziwiło. Już raczej to, że sam był zdenerwowany.

- Mamy tu do czynienia z wzajemnym przyciąganiem, pani Wallace. To taki rodzaj duchowej i cielesnej grawitacji. Jedni nazywają to pożądaniem, inni ekscytacją lub fascynacją, można by tak wyliczać bez końca. Mam nadzieję, że kiedyś znajdziemy właściwe określenie na to, co się między nami dzieje. Nie jestem maniakiem, Hester. mam dobre referencje.

- Mitch, mówiłam ci już, że doceniam to. co robisz dla Rada, ale chciałabym, żebyś...

- Nie chodzi teraz o Rada. Chłopak mi imponuje, ja imponuje jemu. Mamy wspólne zainteresowania i mimo dzielącej nas różnicy lat, docieramy się w męskiej przyjaźni. Natomiast ty i ja, Hester, to zupełnie inna sprawa, z którą twój syn nie ma nic wspólnego. Kiedy ostatnio znalazłaś się z mężczyzną, który cię pożąda? - Dotknął palcami jej ust i zobaczył, jak jej oczy zaszyły mgłą.
- Kiedy ostatnio pozwoliłaś komuś na coś takiego?

Pocałował ją z siłą, która nią wstrząsnęła. Nie spodziewała się tak wielkiej emocji. Jego dłonie były tak delikatne, głos tak łagodny. Nie spodziewała się wybuchu

żądzy. Ale, na Boga, jakże jej pragnęła! Zarzuciła mu ręce na szyję i gwałtownie odwzajemniła pocałunek.

- Zbyt długo - szepnął Mitch, gdy oderwał od niej usta. - Dzięki Bogu, czekałaś zbyt długo. - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, znów przywarł wargami do jej ust.

Rozumiał, ile ryzykuje. Jak Hester na to zareaguje? Pogardliwym chłodem? Gniewem? Strachem? Lecz tego, co się stało, zupełnie się nie spodziewał. Był wstrząśnięty. Nagle gdzieś zniknęła nieśmiałość i latami wyuczony dystans. Hester pragnęła go całą sobą, żarliwie i nieodwołalnie pożądała. Dawała mu więcej, niż chciał, niż był gotów przyjąć.

Gwałtownie przesunął rękami po jej włosach i natrafił na dwie małe, srebrne spinki. Chciał je rozpiąć, by uwolnić włosy. Już nie był ostrożny, nie rozgrywał strategicznie obmyślanej partii, nie badał gruntu, nie planował każdego kolejnego kroku. Skakał na głęboką wodę, nie wiedząc, co go spotka w toni. Tylko o jednym marzył. Wsunął dłonie pod sweter Hester. Poczłł gładkie, ciepłe ciało. Wodził po nim, aż dotarł do piersi.

Zesztywniała, potem zadrżała. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała, jak potrzebowała takiego właśnie dotyku. Zapomniała już, jakie to uczucie. Ogarniało ją słodkie szaleństwo. Słyszała, jak Mitch powtarzał jej imię, czuła na szyi jego usta.

Szaleństwo. Rozumiała to. Już raz je przeżyła, a przynajmniej tak się jej zdawało. Teraz to uczucie było bardziej skomplikowane, trudniejsze do ogarnięcia, a jednak wielokroć silniejsze.

- Mitch, proszę... - Nie było łatwo odrzucić to, co oferował. Tak trudno się wyrwać, myślała, tak trudno znów wytyczyć granice. - Nie możemy tego robić.

- Właśnie robimy. I dobrze nam idzie.

- Nie mogę. - W przyływie energii i otrzeźwienia wyrwała się z jego uścisku. - Przepraszam, nie powinnam była do tego dopuścić.

Czuła że pieką ją policzki. Dotknęła zmierzwionych włosów.

Pod Mitchem ugiwały się kolana. Kiedyś zastanowił się nad tym dziwnym zjawiskiem, jednak w tej chwili mógł się skoncentrować tylko na Hester.

- Naprawdę nie mamy się za co przepraszać - powiedział.

- Mylisz się. Przynajmniej ja czuję się winna. - Znow się cofnęła na te nieszczęsne gazety i znow pośliznęła, lecz tym razem, machając rękami, sama złapała równowagę. - Doceniam to, co robisz dla Rada...

- Na Boga, nie mieszaj go do tego.

- Muszę. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale nie mogę go do tego nie mieszać. - Bezsukutecznie starała się uspokoić. - Nie nadaję się do chłodnej zabawy w seks. Nie jestem tym zainteresowana. Muszę myśleć o Radzie. O sobie zresztą też.

- Przynajmniej uczciwie stawiasz sprawę. - Co się z nim działo? Zaczynała ogarniać go furia. Było to całkiem sprzeczne z jego naturą. - Ale „uczciwie” nie musi znaczyć „mądrze”. Myśmy dopiero zaczęli, Hester.

Tego najbardziej się obawiała.

- I skończyli.

Już nie panował nad swym gniewem. Ruszył naprzód i chwycił ją za podbródek.

- Mylisz się, i dobrze o tym wiesz.

- Nie chcę się z tobą kłócić. Po prostu uważam, że...

- Rozległo się zbawcze pukanie. - To chłopcy.

- Wiem. - Nie puścił jej jednak. - Nieważne, czym jesteś czy nie jesteś zainteresowana, na co masz czas i na co masz w życiu miejsce. Zawsze można to zmienić. Życie jest pełne zmian, Hester. Przekonasz się o tym, i to już wkrótce.

Puścił ją i poszedł otworzyć.

- Było świetnie! - Zaczerwieniony i radosny Radley wpadł do mieszkania przed Joshem i psem. - Taz nawet przez chwilę biegł.

- Zdziwiająca.

Mitch nachylił się i odpiął smycz. Dysząc z wyczerpania, Taz poczłapał na swoje ulubione miejsce przy oknie i zwałił się na podłogę.

- Pewnie zmarzliście. - Hester pocałowała Radleya w czoło. - Myślę, że macie ochotę na gorącą czekoladę.

- Jasne! - Radley odwrócił się do Mitcha. - Chcesz trochę? Mama robi naprawdę dobrą.

Mitch miał ochotę zachować się złośliwie, ale się powstrzymał. Oboje powinni trochę ochłonać, uznał.

- Dziękuję, ale może następnym razem. -
Żartobliwie naciągnął Radleyowi czapkę na oczy. - Mam
parę spraw do załatwienia.

- Dziękuję, że pozwoliłeś nam wyprowadzić Taza.
Było naprawdę fajnie, prawda, Josh?

- Aha. Dziękuję, panie Dempsey.

- Do usług. Do zobaczenia w poniedziałek, Rad.

- Dobra.

Chłopcy wybiegli, śmiejąc się i przepychając. Mitch
uniósł wzrok, lecz Hester już nie było w jego mieszkaniu.

ROZDZIAŁ 4

Mitchell Dempsey II urodził się jako człowiek bogaty i uprzywilejowany, a także, zdaniem rodziców, nieuleczalnie chory na wybujałą wyobraźnię. Pewnie dlatego tak szybko polubił Radleya. Chłopiec wprawdzie nie był ani bogaty, ani uprzywilejowany, za to wyobraźnię miał jak się patrzy.

Mitch zawsze lubił huczne spotkania towarzyskie, a także takie bardziej kameralne, ograniczone do dwojga uczestników. Brylował na przyjęciach, które z wielkim zapałem organizowała jego matka, był duszą towarzystwa na rautach i dobroczynnych balach, gdzie bywały najwyższe sfery, a także na mniej wyszukanych imprezach. Wiele kobiet wspominało też cudowne, gorące i szalone randki i Mitchem. Potrafił również całe noce przegadać z przyjaciółmi lub z przygodnymi znajomymi.

Nazywano go lekkoduchem, artystyczną duszą, uwodzicielem, ale nigdy odludkiem. Bo też nim nie był, z wyjątkiem godzin przeznaczonych na pracę. Wtedy zamieniał się w samotnika. Jasne, od czasu do czasu chętnie by sobie zrobił przerwę i pogawędził z kimś przy kawie, lecz nie cierpiał, gdy podczas roboty ktoś zaglądał mu przez ramię. Dlatego pracował w domu, by nikt go nie rozpraszał. Ale teraz pojawił się Radley.

Pierwszego dnia zawarli umowę. Gdy Radley odrobi lekcje, może się albo bawić z Tazem, albo pomagać w obmyślaniu lub opracowywaniu nowej historii. Gdy Mitch ogłasza fajrant, wspólnie oglądają filmy lub bawią się coraz liczniejszą armią plastikowych figurek Rada.

Dla Mitcha było to naturalne, dla Radleya fantastyczne. Po raz pierwszy w życiu miał na co dzień towarzystwo dorosłego mężczyzny, który z nim rozmawiał i uważnie słuchał. Miał przyjaciela, który nie tylko rozgrywał z nim bitwy i wojny, jak matka, lecz również starał się zrozumieć jego militarną strategię.

Przez pierwszy tydzień Mitch był bohaterem, twórcą Zarka i właścicielem Taza. Później jednak stał się również osobą, na której, po matce, chłopiec mógł najbardziej polegać. Radley bezgranicznie i ślepo go uwielbiał.

Mitch to dostrzegał, zastanawiał się nad tym i sam czerpał ogromną przyjemność z kontaktów z chłopcem. Gdy powiedział Hester, że nie myślał nigdy o dzieciach, nie skłamał. Zawsze żył według własnego zegara i nie chciał tego zmieniać. Gdyby wiedział, czym jest uczucie do małego chłopca, odnajdywanie w nim własnych przemyśleń i pragnień, zapewne już wcześniej zmieniłby zdanie.

Myślał często o ojcu Radleya. Kim był ten facet, który najpierw dał życie tak wspaniałej istocie, a potem odszedł? Jego własny ojciec był surowy i nietolerancyjny, ale przy tym głęboko odpowiedzialny. Układało się między nimi różnie, ale Mitch nigdy nie wątpił w jego głęboką, ojcowską miłość i oddanie.

Miał już trzydzieści pięć lat i wielu jego znajomych

rozwiódło się. Zdarzały się prawdziwe dramaty, sprawy w sądach bywały burzliwe i gorszące, bo miłość zamieniała się w nienawiść, a zaufanie w nieufność. Wszyscy jednak starali się jakoś dogadać z byłymi współmałżonkami, by ułożyć sobie stosunki z dziećmi, by móc je widywać. Taka była norma, wyjątki właściwie się nie zdarzały. Mitch mógł zrozumieć, że ojciec Radleya porzucił Hester, bo miłość do kobiety, choćby najwspanialszej, zawsze może zgasnąć, lecz zdeptanie uczuć do syna wydawało się wprost niepojęte. Zwłaszcza do takiego syna.

Ten facet również przestał kochać Hester... Cóż, zdarza się, a jednak... Jak można przestać kochać taką kobietę? Zostawić ją; by sama borykała się z wychowywaniem dziecka? Niepojęte.

A co z Hester? Jak wielkim uczuciem go darzyła? Jak bardzo przeżyła rozstanie? Ta ostatnia myśl bardzo często zakłócała Mitchowi spokój. Ten drań skrzywdził ją ponad wszelką miarę. Była spięta, zachowywała wobec mężczyzn wręcz obsesyjną rezerwę. W każdym razie wobec mnie, myślał ponuro. No cóż, przez cały tydzień schodziła mu z drogi i unikała spotkania.

Codziennie tuż po czwartej po południu dzwonił telefon. Hester pytała, czy wszystko w porządku, dziękowała za opiekę nad Radleyem i prosiła, żeby Mitch odesłał go na górę. Właśnie dziś Radley wręczył mu starannie wypisany czek na dwadzieścia pięć dolarów, wystawiony na rachunek Hester Gentry Wallace. Nadal spoczywał zmięty w kieszeni Mitcha.

Czy ona naprawdę myśli, że dam jej spokój? - myślał ze złością, oglądając rysunek Radleya.

Niedoczekanie! Pamiętał, jak do niego przywarła, jak przez kilka krótkich chwil odrzuciła wszystkie zasady. Zamierzał znów to przeżyć, i nie tylko to, lecz wszystko, co podpowiadała mu wybujała wyobraźnia.

Jeśli myślisz, że się wymigasz, to czeka cię ogromna niespodzianka, moja słodka, moja gorzka, moja zimna, moja gorąca...

- Nie wychodzą mi silniki hamujące - poskarżył się Radley. - Wciąż źle wyglądają.

- Spójrzmy. - Przysunął do siebie blok rysunkowy chłopca. - Hej, wcale nie tak źle. - Uśmiechnął się na widok szkicu Defiance, gdyż przekonał się, że wskazówki, które udzielił Radleyowi, zostały starannie wykorzystane. - Masz dobrą rękę.

Chłopiec poczerwieniał z zadowolenia, lecz powiedział:

- Ale zobacz, generatory i silniki hamujące wyszły źle. Wyglądają głupio.

- Tylko dlatego, że zbyt wcześnie skupiasz się na szczegółach. Popatrz, najpierw proste linie, liczy się ogólne wrażenie. - Ujął dłoń chłopca, żeby ją poprowadzić. - Nie bój się błędu. Właśnie dlatego robią takie duże gumki do wycierania.

- Ty nie robisz błędów.

Radley przygryzł język, starając się prowadzić dłoń tak pewnie, jak Mitch.

- To dlaczego w tym roku kupiłem już piętnastą gumkę?

- Jesteś najlepszym grafikiem na świecie - oświadczył Radley, patrząc na niego z podziwem.

Rozczochrał włosy chłopca.

- Może się mieszczę w pierwszej dwudziestce, ale dziękuję.

Gdy zadzwonił telefon, Mitch poczuł rozczarowanie. Zbliżał się weekend, czyli dni bez Radleya. - To na pewno twoja mama.

- Obiecała, że możemy dziś pójść do kina, bo to piątek i w ogóle. Może byś się z nami wybrał?

Mitch mruknął coś niezobowiązująco i wreszcie podniósł słuchawkę.

- Cześć, Hester.

- Mitch, ja... Wszystko w porządku?

Coś w jej głosie sprawiło, że zaniepokojony zmarszczył brwi.

- Najzupełniej.

- Czy Radley przekazał ci czek?

- Tak. Przepraszam, nie miałem jeszcze czasu, żeby go zrealizować.

- No cóż, dziękuję. Gdybyś mógł wysłać Radleya na górę, byłabym wdzięczna.

- Nie ma problemu. - Zawahał się. - Hester, miałaś ciężki dzień?

Przycisnęła dłoń do pulsującej skroni.

- Trochę. Dziękuję, Mitch.

- Jasne. Ze zmarszczonymi brwiami odżył słuchawkę. Spróbował się uśmiechnąć do Radleya.

- Czas przetransportować sprzęt, kapralu.

- Wczoraj byłem pułkownikiem, ale niech będzie. Tak jest, panie sierżancie! - Chłopiec zasalutował.

Międzygalaktyczna armia, która przebywała u Mitcha przez cały tydzień, wylądowała w plecaku. Po krótkim poszukiwaniu udało się też znaleźć i zapakować obie rękawiczki. Radley uklęknął i uściskał psa.

- Cześć, Taz, do zobaczenia.

Zwierzak potarł na pożegnanie nosem ramię chłopca.

- Cześć, Mitch.

Radley podszedł do drzwi, lecz u progu zatrzymał się z wahaniem.

- To zobaczymy się w poniedziałek.

- Jasne. Albo nie, poczekaj. Odprowadzę cię i złożę twojej mamie pełny raport.

- Fajnie! - Natychmiast poweselał. - Zostawiłeś klucze w kuchni, przyniosę je. - Zniknął i po kilku sekundach był z powrotem. - Mama się ucieszy, bo dostałem szóstkę z ortografii. Prawdopodobnie dostaniemy wodę sodową.

- Rozsądna nagroda - zauważył Mitch, gdy chłopiec wyciągał go z mieszkania.

Hester usłyszała, jak Radley przekręca w zamku klucz. Odłożyła torebkę z lodem i ponownie spojrzała w

lustro nad umywalką. Siniak stał się już widoczny. Zamierzała opowiedzieć Radleyowi o jakimś wymyślonym naprędcie wypadku i obrócić wszystko w żart, zanim ujawnią się ślady bitwy, którą stoczyła. Połknęła też dwie aspiryny i modliła się, by ból głowy minął.

- Mammo! Hej, mammo!

- Tu jestem, Radley.

Przywołała na twarz uśmiech i wyszła, by powitać syna. Uśmiech natychmiast znikł, gdy spostrzegła, że przyprowadził towarzystwo.

- Mitch wpadł, żeby złożyć raport - wyjaśnił Radley, strząsając z siebie plecak.

- Co ci się, u diabła, stało? - Mitch z furią w oczach dopadł do niej dwoma susami.

- Nie. - Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i zwróciła się do Radleya. - Wszystko w porządku.

Chłopiec wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ciemnograny siniak. Drżała mu dolna warga.

- Przewróciłaś się?

Chciała skłamać, lecz nie potrafiła.

- Niezupełnie. - Zmusiła się do uśmiechu, niezadowolona, że ta rozmowa przebiega przy świadku. - Na stacji metra jakiś człowiek chciał mieć moją torebkę. A ja też chciałam.

- Zostałaś napadnięta?

Mitch nie wiedział, czy zakłąć, czy zbadać obrażenia Hester. Jej miażdżące spojrzenie powstrzymało go od

jednego i drugiego.

- W pewnym sensie. - Wzruszyła ramionami, żeby zbagatelizować zdarzenie. - Niestety, nie wyglądało to aż tak sensacyjnie. Ktoś zauważył, co się dzieje, i wezwał ochronę. Wtedy ten człowiek zmienił zdanie i uciekł.

Radley przypatrywał się siniakowi. Widział już niejedną, choćby ten naprawdę imponujący u Joeya Phelps, powstały w wyniku dramatycznej bójki z kolegą z wyższej klasy, nigdy jednak nie przypuszczał, że coś takiego może się przytrafić jego mamie.

- Czy on cię uderzył?

- Niezupełnie, raczej niechcący. - Bolało jak diabli. - Szarpaliśmy się i machnął łokciem, a ja nie zdążyłam się uchylić.

- Głupio - mruknął Mitch na tyle głośno, że go usłyszeli.

- A ty go uderzyłaś?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała, marząc o ponownym przyłożeniu lodu. - Radley, teraz idź i rozpakuj swoje rzeczy.

- Ale ja chcę wiedzieć o...

- Natychmiast - rozkazała tonem, którego używała rzadko i dzięki temu z zadziwiającym skutkiem.

- Dobrze, mamie - mruknął.

Hester poczekała, aż zniknie w swoim pokoju.

- Mitch, naprawdę nie potrzebuję twojej interwencji.

- Ty jeszcze nie widziałaś interwencji. Do diabła, co się z tobą dzieje?! Przecież dobrze wiesz, że nie powinnaś się z nim szarpać. A gdyby miał nóż? - zakończył ze zgrozą.

- Ale nie miał. - Hester czuła, że kolana zaczynają jej dygotać. Ta reakcja przyszła niestety w najgorszym z możliwych momentów. - I nie dostał mojej torebki.

- Na Boga, Hester, mógł cię poważnie zranić, a wątpię, żebyś miała w torebce coś, co byłoby tego warte. Karty kredytowe można zastrzec, a szminkę odkupić.

- Jak rozumiem, gdyby ktoś chciał ci wyciągnąć portfel, jeszcze byś mu podziękowała.

- To co innego.

- Guzik prawda.

Spojrzał na nią uważnie. Była uparta, wiedział o tym, ale żeby aż tak bardzo, by walczyć z jakimś oprychem? Zaczął nawet odczuwać swoisty podziw, lecz nie zamierzał się z nim zdradzać. Ta kobieta wymagała opieki, a nie aplauzu dla jej awanturniczego charakteru.

- Poczekaj, uspokój się - poprosił. - Przede wszystkim nie powinnaś sama jeździć metrem.

Zaśmiała się gorzko.

- Chyba żartujesz.

Rzeczywiście, nigdy jeszcze nie powiedział czegoś równie idiotycznego. Ta myśl go rozżłościła.

- Bierz taksówkę.

- Nie mam zamiaru.

- Dlaczego?

- Taksówką jedzie się dłużej, a poza tym nie stać mnie na taki luksus.

Mitch wyciągnął z kieszeni zmięty czek i wcisnął jej w dłoń.

- Teraz cię stać, i to z napiwkami.

- Nie zamierzam tego przyjąć. - Oddała mu czek. - Ani jeździć taksówką, gdy metro jest tanie i wygodne. Nie rób z drobnego incydentu wielkiej katastrofy. Nie chcę, żeby Radley się tym martwił.

- Doskonale, skoro nie myślisz o sobie, korzystaj z taksówek z uwagi na niego. Pomyśl, jak bardzo by to przeżywał, gdybyś została naprawdę ranna.

Na tle nagle poczerwieniałych policzków siniak eksponował się jeszcze wyraźniej.

- Ani ty, ani nikt inny nie ma prawa robić mi wykładów o tym, co jest dobre dla mojego syna.

- Fakt. Z nim sobie radzisz. Dopiero gdy chodzi o samą Hester, ujawniają się poluzowane śrubki. - Wbił ręce w kieszenie. - No dobrze, nie korzystaj z taksówek. Przyrzeknij tylko, że następnym razem nie będziesz udawała odważnej Sally, kiedy jakiemuś popaprańcowi spodoba się kolor twojej torebki.

Hester potarła rękaw zakietu.

- Czy Sally to jakaś bohaterka z twojego komiksu? - zapytała.

- Mogłaby być.

Postanowił się opanować. Zwykle byt człowiekiem spokojnym i zrównoważonym, zdarzało się jednak, że emocje brały górę. Wtedy nie odpowiadał za siebie.

- Posłuchaj, Hester, miałaś w torebce oszczędności całego życia?

- Oczywiście że nie.

- Spadek po wujku milionerze?

- Daj spokój.

- A może płytkę półprzewodnikową, ważną dla bezpieczeństwa narodowego?

Westchnęła i usiadła na poręczy fotela.

- Nie, zostawiłam ją na biurku. I przestań tak złośliwie się uśmiechać.

- Przepraszam.

Zmienił uśmiech na bardziej serdeczny.

- Po prostu miałam paskudny dzień. - Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zdjęła pantofel i zaczęła masować stopę. - Rano pan Rosen znów walczył o wydajność. Potem mieliśmy nudne zebranie, a jeszcze później ten idiota z działu rozliczeń zaczął się do mnie umizgiwać.

- Jaki idiota z działu rozliczeń?

- Nieważne. Chodzi o to, że zaczęło się źle i robiło się coraz gorzej, aż w końcu miałam ochotę kogoś palnąć. Właśnie wtedy napatoczył się ten od torebki. Przynajmniej mam satysfakcję, że przez kilka dni będzie kulał.

- A więc trochę oberwał?

- Aha. Wysoki obcas to niezła broń - odparła, dotykając ostrożnie bolącego miejsca.

Mitch podszedł do niej i nachylił się. Bardziej z ciekawości niż ze współczucia oglądał podbite oko. Hester zaczęła się martwić ciekawskimi spojrzeniami i wyjaśnieniami, których będzie musiała udzielić w pracy. Ale na razie miała przed sobą weekend.

- Boli?

- Tak.

Zanim zdążyła odsunąć głowę, dotknął ustami siniaka.

- Spróbuj przyłożyć lód.

- Sama na to wpadłam.

- Rozpakowałem się - poinformował Radley. Stał w korytarzu i wpatrywał się w podłogę. - Miałem zadane lekcje, ale już odrobiłem.

- To dobrze. Podejź do mnie. Gdy się zbliżył, Hester go objęła.

- Przepraszam - powiedziała.

- W porządku. Nie chciałem cię zdenerwować.

- To nie ty, tylko pan Rosen. Potem ten człowiek, który chciał mi zabrać torebkę. Nie ty.

- Mogę ci przynieść mokry ręcznik, taki jaki mi dajesz, kiedy boli mnie głowa.

- Dziękuję, ale wezmę kąpiel i przyłożę sobie lód. -

Uścisnęła go jeszcze raz i wtedy sobie przypomniała. - Ojej, mieliśmy wyjść. Cheeseburger i kino.

- Możemy pooglądać telewizję.

- Wiesz co, poczekajmy, może za chwilę poczuję się lepiej.

- Dostałem szóstkę z klasówki z ortografii.

- Jesteś moim bohaterem - pochwaliła go.

- Wiesz, kąpiel to dobry pomysł, lód także. - Mitch robił już plany. - Wykap się, a ja na chwilę pożyczę sobie Radleya.

- Dopiero wrócił do domu.

- Tylko na chwilę. - Prowadził już ją w kierunku łazienki. - Wrócimy za pół godziny.

- Dokąd się wybieracie?

- Mam coś do załatwienia, a Rad może pójść ze mną. Prawda, Radley?

- Jasne.

Kusząca myśl o trzydziestominutowym moczeniu się w wodzie przeważała.

- Tylko żadnych cukierków. Najpierw obiad.

- Dobrze, nie zjem ani jednego - obiecał Mitch. Położył rękę na ramieniu chłopca.

- Gotów do misji, kapralu?

W oczach Radleya pojawił się wesoły błysk.

- Tak jest! - odpowiedział.

Połączenie kąpieli z zimnym okładem i aspiryną okazało się skuteczne. Zanim woda w wannie wystygła, ból głowy zmalał do poziomu, z którym można było żyć. Zakładając dzinsy, Hester przyznała w duchu, że skuteczną kurację i chwilę wytchnienia zawdzięcza Mitchowi. Teraz, oglądając siniak, nie odczuwała już rozgoryczenia, lecz dumę.

Uczesała się i zaczęła rozważać, czy Radley będzie bardzo rozczarowany odłożeniem wyprawy do kina. Ostatnią rzeczą, na którą miała teraz ochotę, było wychodzenie na mróz, a potem siedzenie w zatłoczonej sali. Mogli się wybrać jutro, na poranny seans. Oznaczało to zmianę planów, czego bardzo nie lubiła, lecz myśl o spokojnym wieczorze spędzonym we własnym domu była zbyt kusząca.

Paskudny tydzień, rozmyślała. Rosen okazał się tyranem, a facet z rozliczeń utrapieniem. W ciągu pięciu dni poświęciła na obłaskawianie jednego i zniechęcanie drugiego tyle samo czasu, co na rzeczywistą pracę. Roboty się nie obawiała, natomiast nie cierpiała, gdy ktoś rozliczał ją z każdej minuty. Niestety Rosen taki już był, i to wobec wszystkich swoich podwładnych.

No i ten głupi Cummings. Hester odegnała myśl o nadmiernie kochliwym koleźce i usiadła na krawędzi łóżka. W końcu przetrwała pierwsze dwa tygodnie i teraz pójdzie już łatwiej. Poznała, kogo trzeba było poznać, dogadała się, z kim należało się dogadać. Jakoś już wrosła w National Trust, odniosła nawet pierwsze drobne sukcesy. No i największa ulga: nie musiała się martwić o Radleya.

Codziennie, przez cały tydzień, podświadomie

obawiała się telefonu z informacją, że Radley sprawia za dużo kłopotów i Mitch ma dosyć zabawy w opiekuna dziewięcioletniego chłopca. Każdego jednak dnia jej syn wracał rozentuzjasmowany, opowiadał o Mitchu i Tazie, o tym, co razem robili.

Mitch pokazał mu serię rysunków do grubszego, rocznicowego wydania. Zabrali Taza do parku. Oglądali na wideo oryginalną, klasyczną wersję King Konga. Mitch zademonstrował swą kolekcję komiksów, z pierwszym wydaniem „Supermana” i „Opowieści z krypty”. Wszyscy wiedzą, została poinformowana, że to bezcenne unikatki. I czy zdawała sobie sprawę, że Mitch ma prawdziwy, słowo, prawdziwy pierścień dekodujący z „Captain Midnight”?

Skrzywiła się, gdy przypomniała sobie o siniaku. Ten człowiek jest może trochę dziwny, myślała dalej, lecz z pewnością uszczęśliwia Radleya. Świetnie. Wystarczy traktować go jak przyjaciela syna i oczywiście zapomnieć o niespodziewanej scenie, do jakiej doszło w poprzedni weekend.

Bo to była tylko ot, taka sobie scenka, bez znaczenia i sensu, niepotrzebny incydent, jaki czasami zdarza się między dorosłymi, a nie żadna ekscytacja czy pożądanie, jak uparcie utrzymywał Mitch. Oczywiście było jej przyjemnie... mówiąc prawdę, na moment ogarnęło ją niezwykle erotyczne uniesienie, i wcale się tego nie wstydziła. Od lat żyła samotnie i nic dziwnego, że tak mocno zareagowała na atrakcyjnego mężczyznę, który wyrażał podziw dla jej urody i wcale się nie krył, że pragnie zdobyć Hester. Nienawidziła, gdy próbowano ją uwodzić, i niszczyła chłodem pechowych absztyfikantów,

jednak w tym przypadku czuła się zupełnie inaczej. Musiała przyznać, że przeżyła całkiem miłą... scenkę. I wystarczy.

Przygryzła wargi. Od kiedy się rozwiodła, próbowało ją uwieść wielu facetów. Niektórzy z nich uchodzili za atrakcyjnych mężczyzn, jak choćby ostatnio ów nieszczęsny Cummings, a jednak ich wszystkich natychmiast i bezwarunkowo spławiała. Bo w żaden sposób na nią nie działali.

Poza Mitchem.

W tym momencie Hester gwałtownie przerwała rozmyślenia. Nie, nie będzie dalej drażnić tego tematu, bo stawał się zbyt niebezpieczny.

Pora pomyśleć o obiedzie. Biedny Radley będzie musiał zadowolić się zupą i kanapką zamiast swego ukochanego cheeseburgera. Westchnęła i wstała. W tej samej chwili usłyszała odgłos otwierających się drzwi.

- Mamo! Chodź zobaczyć niespodziankę!

Przybrała na twarz dyżurny uśmiech, choć na dziś miała już dosyć niespodzianek.

- Rad, czy podziękowałaś Mitchowi... och.

Mitch również wrócił, więc odruchowo poprawiła sweterek. Roześmiani obaj stali w korytarzu. Radley trzymał dwie papierowe torby, a Mitch dźwigał coś, co przypominało maszynę do pisania z dyndającymi kablami.

- Co to wszystko jest?

- Kolacja i dwa filmy - poinformował Mitch. - Rad powiedział, że lubisz czekoladowe koktajle.

- Rzeczywiście lubię. - Dopiero teraz dotarł do niej aromat. Pociągając nosem, spojrzała na papierowe torby. - Cheeseburgery?

- Aha. I frytki. Mitch powiedział, że możemy wziąć podwójne porcje. Zabraliśmy Taza na spacer, ale teraz je swoją kolację u siebie.

- Nie zachowuje się zbyt dobrze przy stole - usprawiedliwił nieobecność kundla Mitch.

Ruszył z czarnym urządzeniem w kierunku telewizora.

- Pomogłem Mitchowi odłączyć magnetowid. Przynieśliśmy „Poszukiwaczy zaginionej arki”. Nie uwierzysz, ale Mitch ma miliony filmów.

- Rad powiedział, że lubisz muzyczny chłam, więc też coś takiego przynieśliśmy - poinformował Mitch.

- No cóż, tak, ja...

Radley postawił torby i usiadł koło Mitcha na podłodze.

- Mitch mówi, że ten kawałek jest całkiem zabawny. - Przyniósł się bliżej, by obserwować podłączanie magnetowidu. - Nazywa się...

- „Deszczowa piosenka” - dokończył Mitch.

Wręczył kabel chłopcu, by ten zabawił się w montera.

- Naprawdę? - zapytała z entuzjazmem. Mitch uśmiechnął się.

- Aha. Jak oko?

- Lepiej.

Podeszła bliżej, by się przyjrzeć, jak jej syn sprawnie osadza kable we właściwych gniazdach.

- Zmieści się pod telewizorem - poradził Mitch. - Wygląda jak jakiś abstrakcyjny malunek - powiedział, oglądając siniak Hester. - Ciekawa kolorystyka... Nazwałbym go „Tajemnice metra na Manhattanie”. - Miała ochotę palnąć go w ucho za te kpiny, ale on mówił dalej: - Uzналиśmy z Radem, że po tych wszystkich bojach pewnie nie masz ochoty wychodzić na miasto, dlatego przynieśliśmy kino do domu.

- Dziękuję.

- Do usług.

Zastanawiał się, jak by zareagowała Hester, a także jej syn, gdyby teraz ją pocałował. Musiała coś dostrzec w jego spojrzeniu, gdyż szybko się cofnęła.

- Wyjmę talerze, żeby jedzenie nie wystygło.

- Przynieśliśmy dużo serwetek - pochwalił się Mitch, wskazując kanapę. - Usiądź i poczekaj, aż mój asystent i ja skończymy.

- Już! - Radley, zarumieniony z dumy, wstał. - Wszystko podłączone.

Mitch nachylił się i sprawdził.

- Jesteś prawdziwym mechanikiem, kapralu.

- Najpierw obejrzymy „Poszukiwaczy”, prawda? Bo ten drugi film...

- Taka była umowa. - Mitch wręczył mu kasetę. - Ty

tu dowodzisz.

- Wygląda na to, że znów muszę ci podziękować - zauważyła Hester, gdy Mitch usiadł obok niej na kanapie.

- Za co? Tylko się do was wprosiłem. Wyciągnął z torby cheeseburgera.

- Niewielu mężczyzn zdecydowałoby się spędzić piątkowy wieczór z małym chłopcem.

- Dlaczego nie? - Przełknął spory kawałek. - Radley chyba nie zje wszystkich frytek. Dokończę za niego.

Chłopiec opadł na kanapę pomiędzy nimi. Westchnął jak dorosły i stwierdził:

- Tak jest lepiej, niż wychodzić z domu. O wiele lepiej. Ma rację, pomyślała Hester, zagłębiając się w przygody Indiany Jonesa. Kiedyś sądziła, że życie może być podniecające, romantyczne, zapierające dech w piersiach. Okoliczności wyleczyły ją z tych mrzonek, nadal jednak, może na zasadzie rekompensaty, chętnie uciekała w magię filmów. Na dwie godziny można było zapomnieć o prozie życia i odzyskać młodość. Oczywiście Radleya błyszczały. Hester wiedziała, że w nocy będzie śnił o zagubionych skarbach i bohaterских czynach. Gdy jednak Gene Kelly zaczął tańczyć w deszczu, głowa chłopca opadła i zatrzymała się na ramieniu Mitcha.

- Świetne, prawda? - zauważył cicho Mitch.

- Absolutnie. Ten film nigdy mi się nie znudzi. Gdy byłam mała, oglądaliśmy go przy każdej powtórcie w telewizji. Mój ojciec ma bzika na punkcie kina. Możesz wymienić dowolny film, a wyrecytuje ci wszystkie postaci

i aktorów. Zawsze jednak najbardziej lubił musicale.

Mitch zamilkł. Łatwo było zgadnąć, co jedna osoba odczuwa wobec drugiej. Wystarczy drobna zmiana modulacji głosu, ton. Rodzina stanowiła dla Hester coś bliskiego, coś, czego brak Mitch zawsze głęboko przeżywał. Jego ojciec był twardym człowiekiem interesu i gardził sztuką, a skłonności do fantazjowania uważał za rodzaj choroby psychicznej. Choć więc prawdziwie kochał swojego syna, nigdy nie potrafił go zrozumieć i nie aprobował jego artystycznych skłonności oraz bolał nad tym, że jego syn nie nadaje się na biznesmena. Między Mitchem i jego ojcem nigdy nie powstała prawdziwa więź. Jako mały chłopiec skutecznie ratował się przed samotnością, tworząc wymaginowane światy, pełne niezwykłych przygód, wspaniałych ludzi i cudownych barw. Teraz jednak zazdrościł Hester, gdy z takim ciepłem i głębokim uczuciem opowiadała o swojej rodzinie.

Gdy pojawiły się końcowe napisy, zapytał:

- Czy twoi rodzice mieszkają w Nowym Jorku?

- Och nie! - Roześmiała się. - Zupełnie nie nadają się do tego szalonego miasta. Wychowałam się w Rochester, ale rodzice przenieśli się dziesięć lat temu do Sunbelt, do Fort Worth. Tata nadal pracuje w banku, a mama na' pół etatu w księgarni. Wszyscy bardzo się zdziwiliśmy, gdy poszła do pracy. Myśleliśmy, że umie tylko piec ciasteczka i składać prześcieradła.

- Wszyscy, to znaczy ile osób?

Hester westchnęła, gdy na ekranie pojawiły się pasy. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio spędziła tak miły wieczór.

- Mam brata i siostrę. Ja jestem najstarsza. Luke został w Rochester z żoną, następne dziecko aktualnie w drodze, a Julia mieszka w Atlancie. Jest dyskdzokejem.

- Nie żartujesz?

- „Obudź się, Atlanto, jest szósta rano, czas na trzy przeboje” - ze śmiechem sparodiowała siostrę. - Tak bardzo chciałabym odwiedzić ją z Radleyem.

- Tęsknisz za nimi?

- Tak. Szkoda, że wszyscy się rozproszyli. Wolałabym, żeby Rad wychowywał się wśród najbliższych.

- A co z Hester?

Spojrzała na Mitcha i zdziwiła się, jak naturalnie wygląda jej syn, który spał z głową na jego ramieniu.

- Ze mną? Ja mam Rada.

- I to wystarcza?

- Dużo więcej. - Wstała. - Skoro mowa o Radleyu, lepiej położyć go do łóżka.

- Zaniosę go - zaproponował Mitch.

- Nie trzeba, sama zawsze to robię.

- Już go trzymam - zaprotestował.

Czując się trochę dziwnie, zaprowadziła Mitcha do sypialni syna. Na łóżku chłopca leżała narzuta ze sceną z „Gwiezdných wojen”. Mitch prawie rozdeptał małego robota i starego pluszowego psa. Palila się nocna lampka, gdyż Radley, mimo całej swej odwagi, nieco obawiał się tego, co mogło się czaić w szafie.

Mitch położył chłopca na łóżku i zaczął pomagać Hester w ściąganiu mu tenisówek.

- Nie rób sobie kłopotu - poprosiła, rozwiązując sprawnie splecione sznurowadła.

- Żaden kłopot. Czy on sypia w piżamie?

Hester wyjęła z szafy ulubiony strój nocny syna. Zdobiał go dumny napis „Komendant Zark”.

- Ma dobry gust - pochwalił Mitch. - Niestety, nie produkują mojego rozmiaru, ale jak wiadomo, szewc bez butów sypia.

Hester znów się roześmiała. Zaczęli przebierać chłopca.

- Śpi jak kamień - zauważył Mitch.

- Nawet jako niemowlę prawie nigdy nie budził się w nocy. Podniosła pluszowego pieska, położyła go na poduszce i pocałowała Rada w policzek.

- Nie zdradź się, że widziałeś Fida - poprosiła. - Radley wstydzi się, że wciąż z nim sypia.

- Niczego nie widziałem. Poczochrał dłonią włosy chłopca.

- Fajny egzemplarz - zauważył.

- Tak, to prawda.

- Tak samo jak ty. - Odwrócił się i dotknął jej włosów. - Nie wrywaj się - poprosił, gdy odwróciła głowę.

- Na komplement najlepiej jest odpowiedzieć: dziękuję.

Zakłopotana bardziej swą reakcją na dotyk niż jego

zachowaniem, spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję.

- Dobry początek. A więc spróbujmy jeszcze raz. - Objął ją ramieniem. - Przez cały tydzień marzyłem, że cię pocałuję.

- Mitch, ja...

Uniosła ręce, żeby go od siebie odsunąć. Ale jej oczy... Spodobało mu się bardzo to, co w nich dojrzał.

- To był drugi komplement - wyjaśnił. - Zwykle ignoruję kobiety, które uciekają przede mną.

- Nie uciekałam. Chodzi o coś innego.

- W porządku. Po prostu nie ufasz sobie. Boisz się, że przy mnie stracisz głowę. To bardzo miłe.

- Jesteś potwornie zarozumiały.

- Dziękuję. Spróbujmy więc nieco inaczej. - Gdy mówił, przesuwał palce po jej plecach, wyzwalając isierki gorąca. - Pocałuj mnie. Jeśli bomba nie wybuchnie, przyznam, że się myliłem.

- Nie. - Wbrew sobie nie potrafiła go jednak odepchnąć. - Radley...

- Śpi jak kamień, zapomniałaś? - Delikatnie dotknął jej ust. - A nawet gdyby się obudził i nas zobaczył, nie sądzę, żeby potem miał koszmarne sny.

Chciała odpowiedzieć, lecz czuła jego usta. Tym razem cierpliwe, delikatne, czułe. No i bomba wybuchła. Hester gdzieś odleciała.

Niewiarygodne, niemożliwe, a jednak ogarnęło ją podniecenie. Tak silne, jak nigdy przedtem. Dotąd myślała, że chwile takiego uniesienia zdarzają się tylko wyjątkowo, raz, może dwa razy w życiu... Kiedyś przeżyła coś podobnego, ale trwało to krótką chwilę... Lecz teraz... o nie!... była pewna, że ten cudowny stan nigdy się nie skończy.

Mitch myślał, że o kobietach wie wszystko, jednak Hester udowodniła, że się mylił. Choć ogarniało go najdziksze pożądanie, powtarzał sobie, by nie działać szybko, nie domagać się zbyt wiele. W Hester drzemał huragan, wiedział o tym dobrze, był on jednak zdeptany i stłumiony przez fatalne życiowe doświadczenia. Mitch pragnął go wyzwolić i sądząc po reakcjach Hester, był w stanie tego dokonać. Ale nie od razu. Należało działać ostrożnie. Ona być może nie zdawała sobie z tego sprawy, ale była wobec niego zupełnie bezbronna. Bo to on rozdawał karty, on miał świadomość, na czym polega rozgrywka.

Chwyliła go za włosy, przyciągnęła bliżej. Przez chwilę przyciskał ją do siebie mocno, dawał odczuć, jak może im ze sobą być dobrze.

- A więc bomba wybuchła, Hester - szepnął. - Całe miasto się trzęsie.

Miał rację, lecz mimo to powiedziała:

- Muszę się zastanowić...

- Dobrze, ja również się zastanowię. Myślę jednak, że istnieje tylko jedna prawdziwa odpowiedź. Reszta to wykręty.

Odsunęła się o krok i z trzaskiem stanęła na robocie. Na szczęście Radley się nie obudził.

- Kiedy cię całuję, zawsze się o coś potykasz. - Zachichotał, ale tak naprawdę był śmiertelnie poważny. Rozwahał następny krok. Tak, musiał teraz odejść. Teraz albo wcale. - Po magnetowid wpadnę jutro.

Skinęła głową. Bała się, że poprosi ją, by z nim spała. Bała się swej odpowiedzi.

- Dziękuję za wszystko.

- Fajnie. Szybko się uczysz. - Dotknął palcem jej policzka. - Uważaj na oko.

Na wszelki wypadek została przy łóżku Radleya. Gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, dotknęła ramienia śpiącego syna.

- Och, Rad, w co ja się wplątałam?

ROZDZIAŁ 5

Gdy o wpół do ósmej zadzwonił telefon, Mitch miał głowę pod poduszką. Zignorowałby go, lecz Taz zaczął go trącać nosem w policzek. Mitch zaklął, sięgnął na osłep po słuchawkę i wciągnął ją pod poduszkę.

- Czego?

Hester przygryzła wargę.

- Mitch, to ja.

- A więc?

- Chyba cię obudziłam.

- Fakt.

Stało się oczywiste, że Mitch Dempsey nie jest rannym ptaszkiem. - Przepraszam. Wiem, że jest wcześniej.

- Czy o tym właśnie chciałaś mnie poinformować? - Nie... Chyba nie wyjrzałaś jeszcze dziś przez okno.

- Kochanie, nie wyjrzałem jeszcze przez powiekę.

- Pada śnieg. Już jest prawie dwadzieścia centymetrów, a ma napadać co najmniej jeszcze z pięć. Tak powiedzieli.

- Kto?

Hester przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. Miała

jeszcze mokrą głowę i właśnie piła pierwszą filiżankę kawy.

- Państwowy Instytut Meteorologiczny.

- Dobrze, dziękuję za przekazanie prognozy.

- Mitch! Nie rozłączaj się.

Westchnął i odsunął głowę od mokrego nosa Taza.

- Masz jeszcze jakieś wiadomości?

- W szkołach odwołali lekcje.

- Hurra!

Co za drań! Ale był jej potrzebny.

- Głupio mi prosić, ale nie jestem pewna, czy zdążę odprowadzić Radleya do pani Cohen. Wzięłabym wolny dzień, niestety mam dzisiaj mnóstwo spotkań. Postaram się je przeskładać i wrócić wcześniej, ale...

- Wyślij go na dół.

- Na pewno?

- Domagasz się, żebym odmówił?

- Nie chciałabym ci przeszkadzać, jeśli zaplanowałeś na dziś coś ważnego.

- Zaparzyłaś już kawę?

- Tak, ja...

- Niech Radley ją przyniesie.

Hester usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Przypomniała sobie, że powinna być wdzięczna.

Radleya nic nie mogło bardziej ucieszyć. Wyprowadził Taza na poranny spacer, rzucał śnieżkami, za którymi pies jednak nie biegał. Potem chłopiec, ćwicząc maskowanie, zakopał się w grubej warstwie śniegu.

Ponieważ w mieszkaniu Mitcha nie prowadzono gorącej czekolady, Radley przyniósł ją od siebie, a potem zajął się komiksami i rysowaniem.

Również Mitch nie narzekał. Rad leżał na podłodze w pracowni, odzywał się czasem do niego, czasem do Taza i nie przejmował się brakiem odpowiedzi. Taka sytuacja wszystkim odpowiadała.

W pewnej chwili porozumieli się wzrokiem.

- Lubisz taco? - zapytał Mitch, odsuwając się od stołu.

- Aha. - Radley odwrócił głowę od okna. - Wiesz, jak się je robi?

- Nie, ale wiem, gdzie się je kupuje. Ubieraj się, kapralu, wychodzimy.

Radley wkładał buty, gdy Mitch wyłonił się z pracowni z trzema kartonowymi tubami.

- Muszę to podrzucić do wydawnictwa. Radley szeroko otworzył usta.

- To znaczy tam, gdzie się robi komiksy? Mitch włożył płaszcz.

- Jeśli ci się nie chce, mogę to załatwić jutro.

- Coś ty! - Trzymał już Mitcha za rękaw. - Jasne, że chcę. Możemy dzisiaj? Niczego nie będę dotykał, obiecuję.

I będę cicho.

- Jak po cichu będziesz zadawać pytania? - Postawił chłopcu kołnierz. - Weźmiesz Taza?

Zwykle taksówkarze na widok osiemdziesięciokilogramowego psa wiali gdzie pieprz rośnie, a ci nieliczni, którzy zgadzali się na takiego pasażera, żądali solidnej dopłaty. Tak więc złapanie taksówki z kundlem u boku trwało na ogół bardzo długo, tym razem jednak szczęście im dopisało. Taz siedział spokojnie przy oknie, posepnie obserwując przesuwany się przed jego oczami Nowy Jork.

- Ale się porobiło, prawda? - Taksówkarz uśmiechnął się do lusterka, zadowolony z napiwku, który otrzymał na dzień mieszczenia podzielonego na boksy. Panowała tu dyktatura chaosu. Do przegród ze ścianami z korka poprzypinano najróżniejsze szkice, krótkie wiadomości, fotografie. W kącie piętrzyła się piramida z pustych puszek po wodzie sodowej. Ktoś starał się w nią trafić zmiętymi kartkami papieru.

- Do diabła, przecież Skorpion to zatwardziały samotnik! Kosmiczny błędny rycerz. I nagle ma się sprzymierzać ze Światowym Prawem i Sprawiedliwością? Tu się nic nie trzyma kupy - rozległ się poirytowany męski głos.

Kobieta z ołówkami wetkniętymi w nastroszone rude włosy przekreśliła się na obrotowym krześle. Jej duże oczy powiększał jeszcze krzykliwy makijaż. Po wyrazie jej twarzy widać było, że twardo zamierza walczyć o swoje.

- Trochę realizmu, to komiks, a nie bajka. Próbujesz

mi wmówić, że sam zdoła ocalić światowe zasoby wody? Jesteś bardzo naiwny. Skorpion potrzebuje Atlantis, albo możemy składać się na wieniec dla twojego kosmicznego kowboja.

- Ale oni się nienawidzą! Mam ci przypomnieć sprawę trójkąta?

- O to właśnie chodzi, tępaku. Albo się pogodzą, albo cała ludzkość wyschnie na popiół. I się pogodzą, choćbym miała skonać! W tym cały numer, że ludzkość ocaleje tylko wtedy, gdy się pogodzą. - Obejrzała się i spostrzegła Mitcha. - Hej, doktor Deadly zatruł światowe zasoby wody. Skorpion znalazł odtrutkę. Jak mają rozprowadzić?

- Chyba powinien przełamać lody z Atlantis - odparł Mitch. - Jak uważasz, Radley?

Przez chwilę Rad nie mógł wydobyć słowa, jednak zebrał się w sobie i powiedział jednym tchem:

- Chyba stworzą dobry zespół, bo zawsze starali się sobie udowodnić, kto jest lepszy.

- Ja też tak sędę. - Ruda wyciągnęła rękę. - Jestem M. J. Jones.

- O rany, naprawdę?

Był podwójnie oszołomiony: po pierwsze, poznał M. J. Jones, a po drugie okazało się, że znany autor komiksów był kobietą. Mitch mu o tym nie wspomniał.

- A ten stary zrzęda to Rob Myers - przedstawiła swojego oponenta i zwróciła się do Mitcha: - Przyprowadziłeś go jako usprawiedliwienie? - zapytała

Mitcha, nie dając Robowi szans na ripostę. Od sześciu lat byli małżeństwem i lubiła mu dopiekać.

- A potrzebuję usprawiedliwienia?

- Jeśli nie masz w tych tubach żadnej rewelacji, radzę ci stąd zwiewać. - Wskazała na stos szkiców. - Maloney właśnie zrezygnował. Przeszedł do Five Star.

- Poważnie?

- Skinner przez cały ranek wyklina na zdrajców, odszczepieńców i przekupnych łajdaków. Oraz na śnieg, którego ponoć nienawidził już jego pradziadek... Mamy sądny dzień. Na twoim miejscu... Och, za późno.

Naśladowując szczury opuszczające tonący okręt, M.J. odwróciła się i udała, że o czymś żarliwie dyskutuje ze swoim mężem.

- Dempsey, do cholery, miałeś być dwie godziny temu - warknął szef.

- Zepsuł mi się budzik. To jest mój przyjaciel Radley Wallace. Rad, to Rich Skinner.

Radley wpatrywał się ze zdumieniem w dyrektora wy - Dzień dobry, panie Skinner. Bardzo lubię pana komiksy. Są znacznie lepsze niż Five Star. Tamtych właściwie już nie kupuję, bo są do niczego.

- Racja. - Skinner przygładził dłonią przeredzające się włosy. - Racja - powtórzył z większym przekonaniem. - Nie marnuj kieszonkowego na Five Star.

- Dobrze, proszę pana.

- Mitch, przecież wiesz, że nie powinienes tu

przyprowadzać tego kundla.

- Ale on tak ciebie kocha. Taz uniósł głowę i zawył.

Skinner miał już zakląć, ale spojrzał na chłopca i się powstrzymał.

- Masz coś w tych tubach, czy przyszedłeś tylko po to, żeby sprawić mi radość swoją śliczną gębą?

- Sam sprawdź.

Skinner wziął tuby i odszedł. Mitch chciał ruszyć za nim, lecz Radley chwycił go za rękę.

- Czy on jest naprawdę zły? - zapytał.

- Jasne. Właśnie to najbardziej lubi.

- Czy krzyczy na ciebie jak Hank Wheeler na Muchę?

- Zdarza się.

Radley, by dodać ducha przyjacielowi, mocno ścisnął dłoń Mitcha. Ten, rozbawiony, zaprowadził go do pokoju Skinnera, w którym starannie zasunięte zasłony separowały ten fragment świata od znieawidzonego śniegu. Skinner rozwinął zawartość pierwszej tuby i rozłożył arkusze na biurku. Nie usiadł, lecz stał groźnie nad nimi, podczas gdy Taz zwał się na linoleum i zasnął.

- Mogło być gorzej - oświadczył, patrząc na serię rysunków i podpisów. - Właściwie nieźle. Mirium to nowa postać. Zamierzasz kontynuować ten wątek?

- Chciałbym. Uważam, że nadszedł czas, by zaatakować Zarka z innej strony. Rozumiesz, konflikt uczuć. Komendant kocha Leilah, lecz stała się ona jego

największym wrogiem. Pojawia się inna kobieta i serce Zarka jest rozdarte.

- Powstanie dziwny trójkąt, bo przecież Leilah to jego żona, a Mirium kto, kochanka? Zark nigdy nie schodzi na manowce.

- Bo jest najlepszy - wyrwało się Radleyowi. Chłopiec zaczerwienił się.

Skinner uniósł krzaczaste brwi i uważnie spojrzął na Rada.

- Nie wiem, czy jest najlepszy. Po prostu zawsze wybiera honor i obowiązek, ale czy jest najlepszy? Sprawa dyskusyjna. Mamy tu wielu bohaterów.

Radley z jednej strony ucieszył się, że wydawca mówi do niego spokojnie, z drugiej jednak wolałby, by zaczął wrzeszczeć jak Hank Wheeler na Muchę. To by dopiero było!

- Zark zawsze robi to co należy. Honor i obowiązek to za mało, by uratować świat. Tak samo jak odwaga. Komendant cały czas myśli, a nie tylko wali gdzie popadnie. On jest sprytny i mądry, świetnie obmyśla strategię. Umie wszystko pogodzić, zgrać co do sekundy. A Mirium...

Radley umilkł. Mężczyźni patrzyli na niego z wielką uwagą. Opinia tak bystrego czytelnika komiksów bardzo ich zainteresowała.

- Właśnie, co myślisz o Mirium? - zapytał Skinner.

- Wie pan... Leilah to taka żona, która nienawidzi męża. Poszła sobie. To co ma robić Zark? W kółko o niej

myśleć?

- Na chwilę przerwał. Mitch zrozumiał, że wcale nie o Leilah chodzi, tylko o pewnego mężczyznę, który też sobie poszedł.

- Ale to są sprawy dorosłych, nie znam się na tym. - Radley wycofał się gwałtownie.

- Dobrze, Mitch - po dłuższej chwili powiedział Skinner.

- Wprowadzimy Mirium i zobaczymy, jak zareagują czytelnicy. Ale sprawa jest delikatna, więc uważaj. - Puścił arkusze. - Po raz pierwszy przyniosłeś coś przed terminem. Nagle sporządniałeś?

- To dlatego, że teraz mam asystenta. Mitch położył rękę na ramieniu Rada.

- Dobra robota, chłopcze - Skiner uśmiechnął się. - Mitch, oprowadź go po firmie. Zasłużył sobie na to.

Radley jeszcze przez kilka tygodni opowiadał wszystkim o tej godzinie spędzonej w Universal Comics. Gdy wyszli, trzymał torbę wypełnioną ołówkami z logo wydawnictwa, dzbankiem Szalonej Matyldy, który ktoś wykopał dla niego ze sterty gratów w szafie, kilkoma odrzuconymi szkicami i porcją komiksów prosto z drukarni.

- To najlepszy dzień w całym moim życiu - oświadczył, podskakując na zaśnieżonym chodniku. - Poczekaj, aż opowiem mamie, na pewno nie uwierzy.

Mitch też myślał o Hester. Wydłużył krok, by nadażyć za chłopcem.

- A może złożymy jej wizytę?

- Dobrze. - Radley znów włożył dłoń w rękę przyjaciela. - Chociaż bank nie jest tak fajny jak twoja praca. Nie pozwalają słuchać radia i krzyczeć na siebie, ale za to mają sejf, w którym trzymają miliony dolarów, no i kamery, żeby zobaczyć każdego, kto chce ich obrabować.

- Fajnie, ale najpierw coś zjedzmy.

W statecznych ścianach National Trust Hester czytała dokumenty. To lubiła najbardziej. Samotnie w gryzała się w pozornie suche liczby, za którymi kryły się nieruchomości, samochody, sprzęt biurowy, aparatura sceniczna, albo fundusze szkolne. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności, niż zatwierdzenie pożyczki.

Oczywiście nie zawsze było to możliwe. Bank nie był instytucją dobroczynną i musiał zarabiać, lecz Hester starała się iść klientom na rękę. Nie była naiwna i potrafiła odróżnić cwaniaków i lekkoduchów od ludzi rzetelnych i uczciwych, których przycisnęła prawdziwa potrzeba. Oczywiście potrafiła być również twarda i stanowcza. Obok liczb wierzyła też w psychologię i przynosiło to dobre rezultaty.

Wygospodarowała pół godziny, by przy kawie i bułce przygotować trzy wnioski o stosunkowo wysokie pożyczki, które chciała następnego dnia przedstawić zarządowi do zatwierdzenia. Miała jeszcze piętnaście minut do kolejnego spotkania. Zdąży, jeśli nikt jej nie przeszkodzi. Nie ucieszył jej więc telefon asystentki.

- Tak, Kay?

- Jest tu pewien młody człowiek, który chce się z

panią zobaczyć, pani Wallace.

- Powinien przyjść za piętnaście minut. Przykro mi, ale musi poczekać.

- Nie, to nie jest pan Greenburg. I chyba nie chce kredytu. Chcesz zaciągnąć kredyt, kochanie?

Hester usłyszała znajomy chichot. Zerwała się i podbiegła do drzwi. Rad? Czy coś się stało?

Nie był sam. Towarzyszył mu Mitch i wielki pies o łagodnym spojrzeniu.

- Właśnie zjedliśmy taco.

Hester dostrzegła smugę salsy na brodzie syna.

- Tak, widzę.

Uściskała go i spojrzała na Mitcha.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie. Załatwiliśmy coś w mieście i postanowiliśmy do ciebie zajrzeć. - Przyjrzał się jej. Ukryła siniak pod makijażem. Przebijał się tylko lekki, żółtawy odcień. - Oko wygląda dużo lepiej.

- Tak, najgorsze już za mną.

- To twój pokój? - Bez zaproszenia podszedł do drzwi i wsadził do środka głowę. - Boże, jaki przygnębiający. Poproś Radleya o jakiś plakat.

- Możesz wziąć jeden - zgodził się natychmiast chłopiec.

- Mam ich całą masę, bo Mitch zabrał mnie do Uniwersalu. Szkoda, mam, że cię tam nie było. Poznałem

M. J. Jones i Richa Skinnera. Widziałem salę, w której trzymają tryliony komiksów. Zobacz, co dostałem. - Wyciągnął rękę z torbą.

- Za darmo. Powiedzieli, że mogą mi dać.

W pierwszej chwili poczuła niechęć. Jej dług wdzięczności wobec Mitcha rósł z każdym dniem. Potem jednak spojrzała na rozpromienioną twarz syna i uznała, że nie ma się czym przejmować.

- Jak widzę, mieliście fajne przedpołudnie.

- Najlepsze w całym życiu.

- Uwaga, ogłaszam alarm dla załogi - mruknęła Kay.

- Idzie Rosen.

Mitch zorientował się, że Rosen jest potęgą, z którą trzeba się liczyć. Zobaczył, że Hester przybrała natychmiast poważny wyraz twarzy i odruchowo poprawiła włosy.

- Dzień dobry, pani Wallace. - Rosen spojrzał znacząco na psa, który obwąchiwał mu buty. - Chyba pani zapomniała, że zwierzęta nie mają wstępu do banku.

- Nie zapomniałam, tylko mój syn...

- Syn? - Rosen skinął głową. - Jak się masz, młody człowieku. Pani Wallace, na pewno pani pamięta, że nie popieramy osobistych wizyt w godzinach pracy.

- Pani Wallace, przyniosę te akta do podpisu, od razu po przerwie na drugie śniadanie. - Kay z ważną miną wskazała przygotowane papiery i mrugnęła do Radleya.

- Dziękuję, Kay.

Rosen odchrząknął. Nie mógł nic poradzić na przerwę. Musiał jednak zająć oficjalne stanowisko wobec naruszenia regulaminu.

- Co do tego zwierzęcia...

Tazowi nie spodobał się ton Rosena. Wcisnął nos w udo Radleya i warknął.

- To mój pies. - Mitch uśmiechnął się czarująco. Hester pomyślała, że z tym uśmiechem mógłby komuś sprzedać bagno na Florydzie. - Jestem Mitchell Dempsey II. Hester i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, bardzo dobrymi. Opowiadała mi wiele o panu i pana banku. - Szczerze, jak wytrawny polityk, ścisnął dłoń Rosena. - Moja rodzina ma pewne aktywa w Nowym Jorku. Hester przekonała mnie, że korzystnie byłoby je przenieść do National Trust. Pewnie słyszał pan o niektórych naszych firmach? Trioptic, D&H Chemicals, Dempsey Paperworks?

- Ależ tak, oczywiście, oczywiście. Bardzo się cieszę, że pana poznałem, to prawdziwa przyjemność.

- Hester prosiła, żebym wpadł i sam się przekonał, jak wszystkim zarządzacie.

Mitch był już pewien, że bezbłędnie rozgryzł tego człowieka. Tak naprawdę zamiast twarzy powinien mieć wizerunek dolara.

- Spodobało mi się tu - kontynuował. - Oczywiście muszę to jeszcze skonsultować z rodziną i naradzić się z Hester. To prawdziwa czarodziejka w sprawach finansowych. Mój ojciec natychmiast by ją zatrudnił. Ma pan szczęście, że u pana pracuje.

- Pani Wallace należy do naszych najlepszych pracowników.

- Miło mi to słyszeć. W rozmowie z ojcem podkreślę zalety National Trust.

- Z przyjemnością oprowadzę pana po banku. Jestem pewien, że spodobają się panu biura kierownictwa.

- O niczym bardziej nie marzę, ale niestety mam mało czasu. Za godzinę mam ważne spotkanie - wykręcił się Mitch zręcznie. - Mam jednak do pana prośbę. Czy mógłby pan przygotować waszą pełną ofertę? Wtedy przedstawiłbym ją na najbliższym zebraniu zarządu.

- Oczywiście.

Rosen promieniał radością. Zdobycie dla National Trust tak dużego klienta jak Dempsey oznaczało dla dyrektora jednego z licznych oddziałów zwrot w karierze. Mógłby przejść do centrali!

- Żeby było łatwiej, mógłby pan przekazać mi dokumenty przez Hester. Nie masz nic przeciwko temu, prawda, kochanie?

- Nie - zdołała wykrztusić.

- Doskonale - odpowiedział Rosen, z trudem ukrywając podniecenie. - Jestem pewien, że możemy w pełni obsługiwać przedsiębiorstwa pana rodziny. W końcu jesteśmy dużym bankiem, który dynamicznie się rozwija. - Poglaskał Taza po głowie. - Co za uroczy pies - dodał i wyszedł energicznym krokiem.

- Co za palant - podsumował Mitch. - Jak ty możesz z nim wytrzymać?

- Czy mógłbyś na chwilę wejść do mojego pokoju? - Głos Hester zabrzmiał złowieszczo. Radley spojrział na Mitcha i wyrócił oczami. - Kay, kiedy przyjdzie pan Greenburg, poproś, żeby chwilkę zaczekał.

- Tak jest, psze pani.

Hester zamknęła drzwi i oparła się o nie. Z jednej strony miała ochotę z radości objąć Mitcha, lecz z drugiej potrzebowała pracy, regularnego wynagrodzenia i świadczeń. A to właśnie mogła stracić.

- Jak mogłeś to zrobić?

- A co? - zapytał, rozglądając się po pokoju. - Brązowy dywan musi zniknąć. I ta farba. Jak sądzisz?

- Fakt - zgodził się Radley, który siedział już w fotelu z głową Taza na kolanach.

- Wiesz, Hester, otoczenie wpływa na jakość pracy. Może spróbuj też tego z Rosenem?

- Niczego już nie spróbuję z Rosenem. Gdy tylko się połapie, w czym rzecz, zostanę zwolniona. Zrobiłeś z niego durnia.

- Niby dlaczego? Przecież nie obiecałem, że rodzina przeniesie wszystko do National Trust. Poza tym gdyby mu się udało przygotować interesujący pakiet, to czemu nie? - Lekceważąco wruszył ramionami. - Jeśli ci to sprawi przyjemność, mogę tu przenieść moje osobiste konto. Dla mnie bank jest bankiem i tyle:

- Cholera jasna, osobiste konto autora komiksów! - Rzadko klęła, ale teraz musiała. Radley skupił uwagę na futrze Taza. - Rosen ostrzy sobie zęby na dynastię bogaczy.

Wścieknie się, gdy się okaże, że to wszystko zmyśliłeś.

Mitch poklepał pedantycznie ułożony stos dokumentów na biurku.

- Masz obsesję na punkcie porządku, prawda? A co do mnie, to niczego nie zmyśliłem. Chociaż mógłbym - dodał z namysłem. - Jestem w tym dobry. Tylko tym razem nie musiałem.

- Może przestaniesz się wygłupiać? - Z furią strąciła jego ręce z dokumentów. - Te bzdury o Trioptic i D&H Chemicals... - Westchnęła i przysiadła na krawędzi biurka. - Wiem, że chciałeś mi pomóc, doceniam to, ale...

- Naprawdę? Cieszę się.

- Tak, chciałeś dobrze. Przynajmniej tak zakładam - mruknęła.

- Pachniesz zbyt ładnie na to biuro - przysunął się bliżej.

- Mitch!

Powstrzymała go gestem i spojrzała nerwowo na Radleya. Chłopiec, zjedną ręką wokół szyi Taza, zdawał się całkowicie zagłębiony w lekturze komiksu.

- Czy naprawdę uważasz, że byłoby tak strasznie, gdyby chłopak zobaczył, jak cię całuje?

- Nie. Ale teraz nie o to chodzi.

- Więc o co?

Dotknął złotego kolczyka w jej uchu.

- O to, że muszę porozmawiać z Rosenem i wyjaśnić

mu, że ty tylko... jak to powiedzieć? Fantazjujesz.

- Tak, często - przyznał, dotykając jej policzka. - Ale to nie jego zakichany interes. Opowiedzieć ci, jak razem płyniemy na tratwie ratunkowej po Oceanie Indyjskim, szaleje burza, rekiny ostrzą sobie zęby...

- Nie. - Tym razem musiała się roześmiać, choć sytuacja wcale nie była wesoła. - Wiesz co? Zabierz już Rada i wracajcie do domu. Mam zaplanowane spotkanie, a potem muszę wszystko wyjaśnić panu Rosenowi.

- Nie jesteś już zła? Pokręciła głową.

- Chciałeś tylko mi pomóc, to bardzo miłe. Pomyślał, że Hester odnosi się tak samo do Radleya, gdy ten, pomagając w zmywaniu, stłucze porcelanową filiżankę. Pocałował ją. Poczł jej reakcję. Najpierw szok, potem napięcie, wreszcie - pragnienie. Gdy cofnął głowę, zobaczył w jej oczach ogień. Zaraz jednak się opanowała.

- Chodź, Rad, twoja mama musi pracować. Hester, gdy wrócisz, jeśli nie będzie nas w domu, to znaczy, że jesteśmy w parku.

- Świetnie. - Nieświadomie zacisnęła usta, by przechować dłużej wspomnienie pocałunku. - Dziękuję.

- Do usług.

- Cześć, Rad, ja też niedługo wrócę.

Uściskał ją.

- Nie złościsz się już na Mitcha?

- Nie - szepnęła. - Nie złoścę się na nikogo. Gdy się wyprostowała, uśmiechała się, lecz Mitch dostrzegł w

jej oczach niepokój. Zatrzymał się z ręką na kłamce.

- Naprawdę chcesz pójść do Rosena i powiedzieć, że wszystko zmyśliłem?

- Muszę. Ale nie martw się, jestem pewna, że sobie poradzę. Już wiem. Jako niemowlę wypadłeś z kołyski i rozbiłeś sobie główkę...

- A gdybym ci powiedział, że naprawdę moja rodzina czterdzieści siedem lat temu założyła Trioptic?

- Nie zapomnij o rękawiczkach, na dworze jest zimno.

- Dobrze, ale zanim otworzysz duszę przed Rosenem, zajrzyj do „Who is Who”.

Odprowadziła ich do drzwi. Zobaczyła, że Radley założył rękawiczki, a potem chwycił dłoń Mitcha.

- Masz uroczonego syna - wykrzyknęła z entuzjazmem Kay. Starcie z Rosenem, którego była świadkiem, sprawiło, że całkowicie zmieniła zdanie o pani Wallace.

- Dziękuję. - Hester się uśmiechnęła, co utrwaliło nową opinię Kay. - Także za to - dodała - że sprytnie wymyśliłaś tę przerwę.

- Nie ma o czym mówić. Co w tym złego, że twój syn wpadł na minutę?

- Regulamin banku. Kay prychnęła z pogardą.

- Chyba regulamin Rosena. Ale nie przejmuj się. Dowiedziałam się, że uważa cię za najbardziej wydajnego pracownika. Jeśli o niego chodzi, nic bardziej się nie liczy.

Kay zawahała się, gdy Hester skinęła głową i

zaczęła przeglądać przygotowane akta. Po chwili jednak dodała:

- Musi ci być trudno samej wychowywać dziecko. Moja siostra ma pięcioletnią córeczkę. Wiem, ile to wymaga starań i ile kłopotów.

- Aha, tak.

- Rodzice chcą, żeby wróciła do domu. Mogliby zajmować się Sarah, gdy Annie jest w pracy, ale ona nie może się na to zdecydować.

- Niekiedy trudno jest przyjąć czyjąś pomoc - zauważyła Hester, mając na myśli Mitcha. - A czasami zapominamy o wdzięczności, gdy ktoś ją oferuje. - Wsunęła akta pod pachę. - Czy pan Greenburg już przyszedł?

- Tak, przed chwilą.

- Dobrze, przyślij go do mnie. - Ruszyła w kierunku drzwi swego pokoju, lecz zatrzymała się. - Aha, Kay, znajdź mi egzemplarz „Who is Who”.

ROZDZIAŁ 6

Kay znalazła.

Gdy Hester wchodziła do mieszkania, nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia. Jej sąsiad z dołu, bosi i w dziurawych dżinsach, okazał się dziedzicem jednej z największych fortun w kraju.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie. Człowiek, który wymyślał całymi dniami przygody komendanta Zarka, pochodził z rodziny mającej na własność konie do gry w polo i letnie rezydencje. Mimo to mieszkał na trzecim piętrze zwykłej kamienicy na Manhattanie.

Podobała mu się. Musiałaby być ślepa i głucha, żeby w to wątpić. A przecież знаła go już od kilku tygodni i nigdy nie wspomniał o rodzinnym bogactwie, by wyrzucić na niej wrażenie.

Kim on jest? - zastanawiała się. Myślała, że już go rozgryzła, teraz jednak znów stał się obcy.

Musiała zadzwonić, powiedzieć, że wróciła do domu i oczekuje Radleya. Spojrzała z zakłopotaniem na telefon. Awanturowała się za rozmowę z panem Rosenem. Potem pobłażliwie, jak dziecku, mu wybaczyła. Zrobiła więc coś, czego nie lubiła najbardziej: wygłupiła się.

Sięgnęła po słuchawkę. Poczłaby się znacznie

lepiej, gdyby mogła palnąć Mitchella Dempseya II w głowę.

Zaczęła wybierać numer, gdy usłyszała śmiech Radleya i odgłos kroków. Otworzyła drzwi w chwili, gdy syn szukał w kieszeni klucza.

Obaj obsypani byli śniegiem. Nie było wątpliwości, że się w nim wytarzali.

- Cześć, mamó, byliśmy w parku. Potem wstąpiliśmy do Mitcha po moją torbę i weszliśmy, bo uznaliśmy, że jesteś już w domu. Chodź z nami na dwór.

- Nie jestem właściwie ubrana do wojny na śnieżki. Uśmiechnęła się, patrząc na zaśnieżoną czapkę syna.

Mitch zauważył, że starannie unika jego wzroku.

- Więc się przebierz - zaproponował.

Opierał się o framugę, nie zwracając uwagi na kałużę, która powstawała u jego stóp z topniejącego śniegu.

- Mamó, zbudowałem zamek. Wyjdź i zobacz, proszę. Miałem już ulepić wojownika, ale Mitch powiedział, że powinniśmy się pokazać, bo inaczej byś się denerwowała.

Spojrzała na Mitchella Dempseya II.

- Miło, że o tym pamiętałeś. Patrzył na nią z namysłem.

- Rad mówił, że potrafisz ulepić wojownika ze śniegu.

- Proszę, mamó. A jeśli się ociepli i jutro cały śnieg stopnieje? Może tak się stać, efekt cieplarniany, wiesz,

czytałem o tym.

No cóż, nie miała wyboru.

- Dobrze, przebiorę się. W tym czasie zróbcie sobie gorącą czekoladę.

- Jasne! - Radley usiadł na podłodze przy drzwiach.
- Musisz zdjąć buty - poinformował Mitcha. - Mama się wścieknie, jeśli zrobisz ślady na dywanie.

Mitch rozpiął płaszcz.

- Pewnie, przecież nie chcemy jej rozwścieczyć.

Po piętnastu minutach Hester wyłoniła się ubrana w sztruksowe spodnie, gruby sweter i stare buty. Zamiast czerwonego płaszcza założyła niebieską, nieco już sfatygowaną kurtkę.

Gdy szli do parku, Mitch trzymał w jednej ręce smycz Taza, drugą włożył do kieszeni. Nie wiedział, dlaczego cieszy go widok niedbale ubranej Hester, trzymającej za rękę Radleya. Nie był pewien, czemu chciał z nimi pójść do parku, ale to on namówił chłopca, by wyciągnąć na dwór matkę.

Mitch lubił zimę. Szli po miękkim, głębokim śniegu, który pokrywał Central Park. Wciągnął w płuca zimne powietrze. Śnieg i mróz zawsze go cieszyły, zwłaszcza gdy na drzewach tworzyły się malownicze czapy i gdy miało się w perspektywie budowę śnieżnego zamku.

Jako dziecko często wyjeżdżał z rodzicami w zimie na Wyspy Karaibskie. Lubiał nurkowanie i biały piasek, nigdy jednak nie uważał, że palmy powinny zastępować choinkę.

Najbardziej lubił wyjeżdżać w zimie do wiejskiego domu wuja w New Hampshire, gdzie mógł chodzić po lesie i zjeżdżać na sankach. Myślał nawet niedawno, czy nie wpaść tam na parę tygodni, lecz oto dwa piętra wyżej zamieszkali Wallace'owie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zapomniał o tych planach, gdy tylko poznał Hester i jej syna.

Mitch widział, że jest zakłopotana. Studiował jej profil. Miała policzki zaróżowione od zimna. Dbała o to, by Radley znajdował się przez cały czas między nimi. Zastanawiał się, czy Hester zdaje sobie sprawę, jakie to oczywiste. Nie wykorzystywała jednak chłopca. Nie w taki sposób jak niektórzy rodzice, czyli dla zaspokojenia swych ambicji lub osiągnięcia innych celów. Ogromnie ją za to szanował. Teraz jednak, trzymając syna w środku, wyznaczała Mitchowi rolę przyjaciela jej dziecka.

Zgodnie zresztą z rzeczywistością, pomyślał z uśmiechem. Chociaż, niech mnie diabli wezmą, jeśli się do tego ograniczę, pomyślał.

- Tu jest zamek, widzisz?

Radley ciągnął matkę za rękę, aż wreszcie ją puścił i pognał do przodu.

- Robi wrażenie, prawda? - Zanim Hester zdążyła zrobić unik, Mitch ją objął. - Radley naprawdę ma smykałkę.

Hester starała się nie zwracać uwagi na ciepło i dotyk jego ramienia. Podchodząc do śnieżnej budowli, patrzyła na dzieło swego syna. Wysokie prawie na metr gładkie ściany robiły imponujące wrażenie, w rogach

wyrastały wieże. Radley wczuł się do środka pod sklepioną w łuk bramą. Gdy podeszli bliżej, chłopiec wyprostował się na dziedzińcu z rękami wzniesionymi w triumfalnym geście.

- Wspaniała, Rad. Na pewno miałeś w tym duży udział - dodała cicho, żeby usłyszał tylko Mitch.

- Pracowałem jako robotnik, bo Rad jest lepszym architektem ode mnie.

- Skończę wojownika. - Chłopiec wczuł się na zewnątrz. - Zbuduj jednego, mamó, z drugiej strony. To będą wartownicy. - Zaczął nakładać i ubijać śnieg na wpół uformowanej figurze. - Pomóż jej, Mitch, bo ja już lepiej głowę.

- Chyba nie chcesz się wymigać? - Mitch nabrał w dłonie śnieg. - Masz coś przeciwko pracy zespołowej?

- Nie, oczywiście że nie.

Uklękała, nadal unikając jego spojrzenia. Mitch posypał jej śniegiem głowę.

- No, wreszcie na mnie spojrziałaś! - zawołał. Uśmiechnęła się i zaczęła formować śnieg.

- Zajrzałam do „Who is Who”.

- Aha? Uklęknął obok niej.

- Powiedziałeś prawdę.

- Czasami mi się zdarza. - Umieścił garść śniegu na konstrukcji Hester. - No i co?

Zmarszczyła brwi i zajęła się formowaniem tułowia wojownika.

- Czuję się jak idiotka.

- Ja powiedziałem prawdę, a ty czujesz się jak idiotka. - Cierpliwie wyglądał podstawę figury. - Możesz mi wyjaśnić, jak ma się jedno do drugiego?

- Pozwoliłeś, żebym na ciebie nakrzyczała.

- Trudno ci przerwać, kiedy się rozkręcisz.

- Dopuszcilesz do tego, żebym cię uważała za ubogiego i ekscentrycznego dobrego samarytanina. Nawet chciałam ci zaproponować, że naszyję łąty na twoje džinsy.

- Nie żartuj! - Mitch ujął ją pod brodę ośnieżoną rękawiczką. - To urocze!

Nie zamierzała tego, ale wyparowało z niej zakłopotanie i pojawiło się uczucie sympatii.

- A naprawdę jesteś bogatym i ekscentrycznym dobrym samarytaninem.

Odsunęła jego rękę i kontynuowała pracę nad figurą.

- Czy to oznacza, że nie naszyjesz mi tych łąt? Hester ciężko westchnęła.

- Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Właśnie że chcesz. - Nagarnął śniegu i zagrzebał jej ręce po łokcie. - Pieniądze nie powinny cię niepokoić, Hester. W końcu jesteś bankowcem.

- Pieniądze mnie nie niepokoją. - Wyszarpnęła ręce i sporo śniegu wylądowało na twarzy Mitcha. Odwróciła się, by ukryć chichot. - Po prostu uważam, że sytuacja powinna zostać wyjaśniona dużo wcześniej. To wszystko.

Mitch wytarł z twarzy śnieg i zabrał się do formowania śnieżki.

- Jaka sytuacja, pani Wallace?

- Chciałabym, żebyś przestał tak mnie nazywać, i to takim tonem.

Spojrzała na niego i dostała śnieżką między oczy.

- Przepraszam, wyśliznęła mi się. A co do sytuacji...

- Nie ma żadnej, która dotyczyłaby nas obojga. - Popchnęła go i Mitch wylądował w śniegu.

- Przepraszam - powiedziała, krztusząc się ze śmiechu. - Ale tak jakoś ręce same mi poleciały. Widocznie reagują na moje najskrytsze marzenia.

Usiadł i uważnie się w nią wpatrywał. No tak...

- Mitch, błagam, tylko się nie mścij! Przecież jestem słabą kobietą, a ty dużym i silnym mężczyzną.

- Jasne, nic ci nie zrobię. Tylko pomóż mi wstać. Wyciągnął rękę. Gdy ją chwyciła, natychmiast wylądowała w zaspie. Po sekundzie tarzali się w śniegu.

- Oszust! - krzyknęła ze śmiechem.

- Czasami mijam się z prawdą.

- Hej, lenie, mieliście zrobić drugiego wartownika! - krzyknął Radley.

- Za chwilę - odpowiedział Mitch. - Uczę twoją mamę nowej zabawy. Podoba ci się? - zapytał Hester, gdy znów znalazła się pod nim.

- Złaż ze mnie. Wszędzie mam śnieg, pod swetrem,

pod spodniami...

- To działa na wyobraźnię.

- Jesteś wariat.

Próbowała usiąść, lecz jej nie pozwolił.

- Może. - Zlizał trochę śniegu z jej policzka. - Ale nie jestem głupi. - Teraz jego głos zabrzmiał inaczej. Z wesołego sąsiada Mitch stał się kochankiem. - Czujesz coś do mnie. Może ci się to nie podobać, ale czujesz.

Zaparło jej dech, zresztą po uprzednich doświadczeniach mogła już się spodziewać takiej reakcji. Jego oczy były tak niebieskie w świetle zachodzącego słońca, we włosach błyszczały drobinki śniegu. I twarz. Tak blisko, tak kusząco blisko... Ten mężczyzna budził w niej niezwykle emocje, wprost zniewalał sobą...

Ale Hester również nie była głupia.

- Jeśli uwolnisz mi ręce, pokażę ci, co czuję.

- Dlaczego uważasz, że mi się to nie spodoba? No nic, nieważne. - Szybko ją pocałował. - Hester, nasza sytuacja przedstawia się tak. Czujesz coś do mnie. Coś, co nie ma nic wspólnego z moimi pieniędzmi, bo przecież jeszcze kilka godzin temu nie wiedziałas, że w ogóle jakies istnieją. Nie chodzi też tylko o to, że przepadam za twoim synem. To się oczywiście liczy, ale są również między nami uczucia bardzo osobiste, które dotyczą tylko ciebie i mnie.

Miał absolutną rację. Chciała go za to zamordować.

- Nie mów mi, co czuję.

- Dobrze. - Nagle wstał i podniósł ją z ziemi. Potem

znów wziął ją w ramiona. - A więc powiem ci, co czuję ja. Zależy mi na tobie dużo bardziej, niż się spodziewałem.

Zbladła. W jego oczach dostrzegła żarliwe zdecydowanie. Pokręciła głową i spróbowała się odsunąć.

- Nie mów mi tego.

- Dlaczego? Musisz do tego przywyknąć, tak jak ja już przywykłem.

- Nie chcę tego, nie chcę tak się czuć. Spojrzał na nią poważnie.

- Musimy o tym porozmawiać.

- Nie. Nie ma o czym. Po prostu na chwilę straciliśmy panowanie nad sobą.

- Jeszcze nie straciliśmy. - Bawił się jej włosami, nie odrywając od niej spojrzenia. - Od dawna wiem, że do tego dojdzie, lecz jeszcze nie doszło. Jesteś na to zbyt mądra i silna.

Odzyska oddech. Na pewno. Kiedy tylko się od niego odsunie.

- Nie, nie boję się ciebie.

O dziwo stwierdziła, że jest to prawda.

- Więc mnie pocałuj. Zaraz zapadnie zmierzch. Zrób to, zanim słońce całkowicie zajdzie.

Dotknęła ustami jego ust. Spełnienie tej prośby zdawało się czymś tak naturalnym. Pytania przyjdą później i nie będzie na nie łatwo odpowiedzieć. Teraz myślała tylko o tym, że jego usta są chłodne. Chłodne i ciepłe.

Przysunęła się bliżej, czuła przez ubranie jego ciało. Chciał ją sobie zjednać, przekonać. Choć raz zobaczyć, jak po pocałunku Hester się uśmiecha. Wiedział, że są chwile w których trzeba działać rozważnie, krok po kroku, zwłaszcza gdy nagroda, która czeka na końcu drogi, jest tak cenna.

Czuł, że choć uczucie spadło tak niespodziewanie, jest do niego lepiej przygotowany niż ona. Nadal kryła w sobie tajemnicę, rany, które zagoiły się tylko częściowo. Wiedział, że nie można jednym gestem przekreślić przeszłości. Hester była piękna, mądra i dobra, pełna temperamentu i miała czułe, spragnione miłości serce, lecz składała się również ze swojej historii, która była okrutna i bolesna. Oto kobieta, w której prawie się zakochał.

Cierpliwości, trzeba czekać, pomyślał i odsunął się od niej. Więc będzie czekał.

- Może w ten sposób rozstrzygnęliśmy już kilka kwestii, ale i tak musimy porozmawiać. Wkrótce.

- Nie wiem.

Czy przeżywała kiedykolwiek podobne rozterki? Myślała, że wiele lat temu pozostawiła za sobą już takie uczucia i takie wątpliwości.

- Wpadnę do ciebie albo ty do mnie i porozmawiamy. Zapędził ją do narożnika. Spodziewała się tego od dłuższego czasu.

- Nie dziś - zaprotestowała tchórzliwie. - Rad i ja mamy wiele do zrobienia.

- Takie odwlekanie nie jest w twoim stylu.

- Tym razem jest - odparła i szybko się odwróciła. - Radley, musimy już wracać.

- Patrz, mamó, właśnie skończyłem. Wspaniały, prawda? - Z dumą wskazał wojownika. - A wy co, leniuchy? Prawie nic nie zrobiliście. Komendant Zark by wam dał za takie obijanie. - Roześmiał się.

- Może dokończymy jutro. - Podeszła szybko do syna, wzięła go za rękę i ruszyła naprzód. - Teraz musimy wrócić do domu i przygotować kolację.

- A nie moglibyśmy tylko...

- Nie, już robi się ciemno.

- Czy Mitch może do nas przyjść?

- Nie, nie może. - Obejrzała się przez ramię. - Nie dziś. Mitch położył rękę na głowie Taza, żeby go zatrzymać w miejscu.

- Stój. Nie tym razem.

Spojrzał na śnieżny zamek. Budowla, która w każdej chwili mogła się roztopić, zniknąć... Czy była symbolem tego, co działo się między nim i Hester? Mitch zadumał się głęboko.

Nie miała jak przed nim się schować. Zresztą unikanie go byłoby głupią dziecinadą. Rozumiała to, na prośbę syna schodząc do mieszkania Mitcha. Przecież dzięki niemu rozwiązała wiele problemów. Mitch naprawdę lubił Radleya i stał się dla chłopca pozytywnym wzorcem. Zapewniał mu towarzystwo i opiekę, gdy ona była w pracy. Zajmował się jej synem szczerze i z oddaniem.

Lecz zarazem bardzo skomplikował jej życie.

Powracały uczucia, z którymi nieodwołalnie pożegnała się wiele lat temu. Hester uważała, że miłosne uniesienia zdarzają się tylko ludziom bardzo młodym i patrzącym na życie z wielkim optymizmem. A ona dawno straciła młodość i optymizm.

Od tamtej pory całkowicie poświęciła się Radleyowi. Zarabiała pieniądze, była czułą, mądrą i zapobiegliwą matką, inwestowała w przyszłość chłopca. Robiła wszystko, by jej syn nie odczuwał braku ojca. Wiedziała, że nie zrealizowała się jako kobieta, jednak miłość Rada wynagradzała jej to z nawiązką. Na swój sposób była szczęśliwa.

Lecz teraz pojawił się Mitch Dempsey i wyrzucił wszystko do góry nogami.

Zebrała się w sobie i zapukała. Robię to tylko dla Radleya, pomyślała. Bo mnie o to poprosił. Nie kryje się za tym nic więcej. Absolutnie nic!

Syn koniecznie chciał jej coś pokazać. Miała to ze sobą zabrać do swojego bezpiecznego mieszkania.

Otworzył drzwi. Miał na sobie koszulkę z nadrukiem przedstawiającym jakąś postać z komiksu i spodnie od dresu z dziurą na kolanie. Ręcznikiem wytarł pot z twarzy.

- Chyba nie biegałeś w taką pogodę? - zapytała, zła, że w jej głosie zabrzmiała troska.

- Nie.

Wziął ją za rękę i wciągnął do środka. Pachniała jak wiosna, do której było jeszcze tak daleko. W granatowym

kostiumie wyglądała profesjonalnie, a zarazem w przewrotny sposób seksownie.

- Ciężarki - wyjaśnił.

Od chwili poznania Hester ćwiczył częściej, by rozładować tętniącą w nim energię.

- Aha. - Wiedziała już, dlaczego jego ręce były bardzo silne. - Nie myślałam, że się czymś takim zajmujesz.

- Że chcę być twardzielem? - Roześmiał się. - Nie, nie chcę. Chodzi tylko o to, że gdybym nie ćwiczył, zamieniłbym się w szkielet obciążony skórą. - Ponieważ Hester wyglądała na bardzo zdenerwowaną, nie mógł się powstrzymać i wyciągnął ramię. - Chcesz pomacać moje bicepsy?

- Nie, dziękuję. - Trzymała ręce przy bokach. - Pan Rosen przysłał ten pakiet. - Wydobyła spod pachy grubą teczkę. Pamiętaj, że sam o niego prosiłeś.

- Oczywiście. - Mitch wziął teczkę i rzucił ją na stertę czasopism. - Powiedz mu, że przekażę te dokumenty.

- A zrobisz to? Uniósł brew.

- Zwykle dotrzymuję słowa.

Wierzyła mu. Lecz teraz nie to było ważne. Mitch obiecał, że wkrótce czeka ich rozmowa. Była pewna, że i tym razem dotrzyma słowa, a ona nie widziała sposobu, by się od tego wykręcić. No tak, ale to jeszcze nie dzisiaj.

- Radley zadzwonił do mnie i powiedział, że chce mi coś pokazać.

- Jest w pracowni. Napijesz się kawy?

Powiedział to tak naturalnie, że prawie się zgodziła. Jednak refleks jej nie zawiódł. Wyczuła podstęp.

- Dziękuję, ale nie mam czasu. Zabrałam trochę pracy do domu.

- Dobrze. Wejź dalej, ja muszę się czegoś napić.

- Mamo! - Gdy tylko stanęła na progu pracowni, Radley przyskoczył i chwycił ją za ręce. - Czy to nie wspaniale? To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem!

Zaciągnął ją do małego stołu kreślarskiego.

To nie była zabawka. Hester zorientowała się od razu, że ma przed sobą sprzęt najwyższej klasy, choć o rozmiarach dostosowanych do wzrostu dziecka. Mały obrotowy stółek wyglądał na używany, jednak siedzenie pokrywała skóra. Rad przypiął już papier milimetrowy. Korzystając z cyrkla i linijki, zaczął rysować coś, co wyglądało jak projekt techniczny.

- To jest Mitcha?

- Było, ale powiedział, że mogę teraz z tego korzystać, jak długo zechcę. Zobacz, robię plan stacji kosmicznej. To jest maszynownia, a tam, i tutaj, pomieszczenia mieszkalne. Mają jeszcze być cieplarnie do hodowli roślin, takie jak na filmie, który obejrzałem z Mitchem. Pokazał mi, jak skalować według tych kwadratów.

- Tak, widzę. - Przykucnęła. - Doskonale. Wątpię, czy mają takie w NASA.

Zachichotał. Stwierdziła, że jest jednocześnie zadowolony i zakłopotany.

- Może zostanę inżynierem.

- Wybierzesz sobie zawód, jaki zechcesz. - Pocałowała go w skroń. - Jeśli będziesz tak rysować, przestanę rozumieć, czym się zajmujesz. Wszystkie te przybory... - Wzięła do ręki cyrkiel. - Wiesz, do czego służą?

- Mitch mi powiedział. Sam ich używa.

- Tak?

Przyjrzała się cyrklowi. Wyglądał bardzo profesjonalnie.

- Nawet rysunki w komiksach wymagają precyzji i dyscypliny.

W progu pojawił się Mitch. Trzymał dużą szklankę z sokiem pomarańczowym. Hester wstała. Wygląda bardzo męsko, pomyślała.

Oczywiście był nieogolony, a na koszulce zaznaczyła się plama potu. Przeczesał włosy palcami. Tak, ten facet nie przejmował się drobiazgami, żył na luzie, kochał życie. Jest męski, niebezpieczny, chwilami denerwujący. Ale przy tym niezwykle miły i nadzwyczaj kulturalny. Postanowiła trzymać się tego. Mitch jest dobrze wychowanym młodym mężczyzną. I tyle.

- Nie wiem, jak ci podziękować.

- Radley już to zrobił.

Skinęła głową i położyła rękę na ramieniu syna.

- Dokończ rysunek, Rad. Będę w drugim pokoju z Mitchem.

Przeszła do saloniku. Jak zwykle panował tu kosmiczny chaos. Taz wodził nosem po dywanie w poszukiwaniu okruszków.

- Myślałam, że znam Radleya na wylot - zaczęła. - Nie przypuszczałam jednak, że stół kreślarski tyle dla niego znaczy. Uważałam, że jest za młody, by go docenić.

- Mówiłem ci już, on ma talent.

- Wiem. - Przygryzła wargę. Żałowała, że odmówiła kawy. Teraz miałyby co zrobić z rękami. - Wiem od Rada, że uczyłeś go rysować. Zrobiłeś dla niego więcej, niż mogłabym się spodziewać. Na pewno więcej, niż musiałeś.

Obrzucił ją długim, badawczym spojrzeniem.

- To nie ma nic wspólnego z przymusem. Dlaczego nie usiądziesz?

- Nie.

- Chcesz pochodzić po pokoju?

- Może później. Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Rad nigdy nie miał... - Ojca. Pomyślała z przerażeniem, że niemal wypowiedziała to słowo. - Kogoś, kto poświęciłby mu tyle uwagi. Oczywiście poza mną. Ten stół to bardzo hojny prezent. Rad powiedział, że należał do ciebie.

- Mój ojciec zamówił go dla mnie, gdy byłem w wieku Radleya. Miał nadzieję, że przestanę rysować potwory i zajmę się czymś pożytecznym.

Mitch nie powiedział tego z goryczą, lecz z rozbawieniem. Już dawno przestał się uskarżać na brak zrozumienia ze strony swoich rodziców.

- Chyba ten stół wiele dla ciebie znaczył? Trzymałeś go przez tyle lat. Wiem, że Radley jest zachwycony, ale czy nie powinienes go zatrzymać dla własnych dzieci?

Mitch rozejrzał się po mieszkaniu.

- O ile dobrze wiem, nie ma tu żadnych.

- A jednak...

- Hester, nie dałbym Radleyowi stołu, gdybym nie chciał. Marniał w składziku, pokrywał go kurz. - Dopił sok, odstawił szklankę i podszedł do Hester. - To prezent dla Rada i jak widzisz, robi z niego świetny użytek. Nie ma żadnego związku z jego matką.

- Wiem, nie chodziło mi...

- Wiem, że chodziło. Może nie w pełni świadomie, ale jednak tak.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wykorzystujesz Radleya, by zbliżyć się do mnie, jeśli to miałaś na myśli.

- Dobrze. - Jak się spodziewała, dotknął jej twarzy. - Faktem jest, że lubię go niezależnie od pani, pani Wallace, a panią niezależnie od niego. Tak się tylko złożyło, że trudno was od siebie oddzielić.

- Rzeczywiście. To, co dotyczy Radleya, dotyczy również mnie.

Mitch zastanowił się chwilę.

- Chyba otrzymałem sygnał. Otóż dobrze wiesz, że

zaprzyjaźniłem się z Radleyem nie po to, by wciągnąć jego matkę do łóżka.

- Tak, wiem. - Cofnęła się gwałtownie i spojrzała na drzwi pracowni. - Gdyby było inaczej, Radley musiałby cię obchodzić szerokim łukiem.

- Ale... - Położył dłonie na jej ramionach. - Zastanawiasz się, czy twoje uczucia wobec mnie nie wynikają z tego, co czuję do Radleya.

- Nie powiedziałam nigdy, że mam wobec ciebie jakieś uczucia.

- Powiedziałaś. Robisz to za każdym razem, gdy udaje mi się do ciebie zbliżyć. Nie, nie odsuwaj się, Hester. - Dotknął dłońmi jej szyi. - Bądźmy szczerzy. Chcę się z tobą kochać. To nie ma nic wspólnego z Radley'em. A także nie ma nic wspólnego z erotycznym zauroczeniem, które mnie naszło, gdy pierwszy raz zobaczyłem twoje nogi. - W jej wzroku pojawiła się czujność, jednak nie odrywała spojrzenia od i warzy Mitcha. - Dużo jest atrakcyjnych kobiet, faceci patrzą na nie i coś tam się kotłuje w ich głowach, potem idą dalej i zapominają. Tak po prostu jest. Aż wreszcie coś ich przykuwa, i oto zaczyna się uczucie. Sympatia, podziw, prawdziwe pożądanie. Odkryłem, iż nie tylko jesteś piękną kobietą, bo na dodatek jesteś mądra, silna i stała. To może nie brzmi zbyt romantycznie, lecz ta stałość jest niezwykle wabiąca. Nigdy jej we mnie nie było. - Przeniósł dłonie na jej kark. - Może nie jesteś jeszcze gotowa, może nie potrafisz zrobić kolejnego kroku. Chciałbym jednak, żebyś zrozumiała, czego chcesz i co czujesz.

- Nie jestem pewna, czy mogę. Ty jesteś sam, a ja

mam Rada. Cokolwiek zrobię, jakkolwiek decyzję podejmę, wpłynie również na niego. Przynależałam sobie przed laty, że nie dopuszczę, by ktokolwiek go skrzywdził. I dotrzymam słowa.

Chciał poprosić, by opowiedziała mu o ojcu chłopca, przypomniał sobie jednak, że Radley przebywa w sąsiednim pokoju.

- Pozwól, że powiem, jakie ja mam na ten temat zdanie. Nie możesz podjąć żadnej decyzji, która zraniłaby Rada. Ale na pewno możesz postanowić coś, co zrani ciebie. Chcę z tobą być, Hester, i nie uważam, żeby to miało zaszkodzić twojemu synowi.

- Gotowe! - Chłopiec stanął w drzwiach z arkuszami w rękach. Hester chciała szybko odsunąć się od Mitcha, lecz jej na to nie pozwolił. - Zabiorę rysunki i pokażę jutro Joshowi, dobrze?

Hester uznała, że lepiej będzie, kiedy pozostanie w objęciach Mitcha, niż gdyby miała się wyrwać.

- Oczywiście - powiedziała.

Radley przez chwilę się w nich wpatrywał. Nigdy nie widział, by jakiś mężczyzna obejmował jego matkę, oczywiście poza dziadkiem i wujkiem. Zastanawiał się, czy to oznacza, że Mitch został członkiem rodziny.

- Idę do Josha jutro po południu i zostaję na noc - poinformował. - Zamierzamy w ogóle nie spać.

- W takim razie będę musiał zaopiekować się twoją mamą, prawda?

- Chyba tak - odparł chłopiec, zwijając arkusze i

fachowo umieszczając je w tubie. Nauczył się tego od Mitcha.

- Radley wie, że mną nie trzeba się opiekować. Mitch zignorował jej słowa i zapytał Rada:

- A jakbym zabrał twoją mamę na randkę? Co ty na to?

- To znaczy, że ubralibyście się elegancko i poszli do restauracji?

- Właśnie o to chodzi.

- W porządku.

- Dobrze. Wpadnę po nią o siódmej.

- Naprawdę nie uważam... - zaczęła Hester.

- Siódma nie jest dobra? - przerwał jej Mitch. - Niech będzie siódma trzydzieści, ale później już nie. Jeśli nie zjem czegoś do ósmej, robię się nieprzyjemny. - Pocałował Hester w skroń i wreszcie wypuścił z objęć. - Bawcie się dobrze z Joshem - rzucił do Radleya.

- Jasne. - Chłopiec wziął kurtkę i plecak. Podszedł do Mitcha i uściskał go na pożegnanie. Na ten widok Hester zapomniała o słowach, które chciała wypowiedzieć. - Dziękuję za stół i w ogóle za wszystko.

- Proszę bardzo. Do zobaczenia w poniedziałek, Rad. - Spojrzał na Hester. - Siódma trzydzieści - przypomniał.

Skinęła głową, wyszła i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 7

Mogła się jakoś wykręcić, lecz tak naprawdę nie chciała. Oczywiście była zła na Mitcha, bo sprytnie, co tam sprytnie, po prostu bezczelnie wmanipulował ją w tę kolację, a zdrajca Radley ochoczo mu sekundował, to jednak... czuła ulgę, że ten cholerny Dempsey podjął za nią decyzję.

Naturalnie była zdenerwowana. Stała przed lustrem, starając się głęboko oddychać. Lecz był to inny rodzaj zdenerwowania niż ten, jaki czuła przed decydującą rozmową w sprawie pracy. Wtedy ogarniał ją nieprzyjemny lęk, a teraz... było jej nawet miło. Jak to zwykle bywa przed ekscytującą randką, pomyślała.

Przyczesła włosy szczotką, patrząc na odbicie w lustrze. Nie wyglądam na spiętą, uznała i zaliczyła ten punkt na swoją korzyść. Inny mocny punkt stanowiła czarna wełniana sukienka z kapturkiem, wąska w talii. Czerwony pasek akcentował wcięcie. Lubiła czerwony kolor, bo dodawał jej pewności siebie.

Przypięła duże czerwone klipsy. Jak większość jej garderoby, sukienka była bardzo praktyczna. Mogła w niej pójść do pracy, na zebranie w szkole i na służbowy obiad. Dziś, pomyślała z uśmiechem, przyda się na randce.

Znała już Mitcha na tyle dobrze, że nie obawiała się spotkania z nim. Uwielbiała Radleya, a jednak cieszyła się, że ten wieczór spędzi bez niego.

Gdy usłyszała pukanie, szybko spojrzała w lustro i ruszyła do drzwi. Kiedy jednak je otworzyła, natychmiast straciła całą pewność siebie.

Nie wyglądał jak Mitch. Zniknęły dziurawe dżinsy i wyciągnięta koszulka. Miał na sobie ciemny garnitur i jasnoniebieską koszulę. Oraz krawat. Nie zapiął górnego guzika koszuli, krawat nie był porządnie ściągnięty, nadal jednak pozostawał krawatem. Poza tym ogolił się i uczesał. Choć przydałby się jeszcze fryzjer, włosy wyglądały zupełnie inaczej. Hester nagle poczuła się onieśmielona.

Wyglądała niesamowicie. Mitch poczuł się niezręcznie. Wieczorowe pantofle dodały jej kilka centymetrów wzrostu, tak że patrzyli sobie prosto w oczy. Dopiero gdy spostrzegł jej zakłopotanie, rozluźnił się i uśmiechnął.

- Wybrałem odpowiedni kolor - powiedział, wręczając jej bukiet czerwonych róż.

Wiedziała, że kobieta w jej wieku nie powinna się rumienić na widok zwykłych kwiatów. Mimo to serce skoczyło jej do gardła. Przycisnęła bukiet do piersi.

- Już zapomniałaś? - mruknął.

- O czym?

- Mówi się „dziękuję”.

Spowijał ją zapach róż, delikatny i słodki.

- Dziękuję.

Dotknął płatka. Wiedział już, że skóra Hester jest równie delikatna.

- Teraz powinnaś wstawić je do wody. Poczula się głupio.

- Oczywiście. Wejdz.

- Mieszkanie jest zupełnie inne bez Radleya - zauważył, gdy Hester ruszyła po wazon.

- Wiem. Zawsze gdy u kogoś nocuje, dopiero po paru godzinach przyzwyczajam się do ciszy.

Wszedł za nią do kuchni. Hester układała w wazonie róże. Jestem dorosła, powtarzała sobie. Potrafię się odpowiednio zachować.

- Co zwykle robisz, kiedy masz wolny wieczór?

- Och, czytam, oglądam telewizję.

Odwróciła się z wazonem i niemal zderzyła z Mitchem.

- Już w porządku?

Dotknął palcem miejsca, z którego siniak zniknął niemal zupełnie.

- Tak, ale nie było to jakieś wielkie nieszczęście. - Dorosła czy nie, cieszyła się, że dzieli ich wazon z kwiatami. - Wezmę płaszcz.

Postawiła róże na stoliku przy sofie i otworzyła szafę. Zdążyła się uporać z jednym rękawem, gdy Mitch podszedł i pomógł jej wsunąć rękę w drugi. Tę prostą czynność potrafił przemienić w coś bardzo zmysłowego. Potem delikatnie wyciągnął włosy Hester spod kołnierza.

Nieświadomie zacisnęła dłonie w pięści. Odwróciła się i powiedziała:

- Dziękuję.

- Proszę. Jesteś zdenerwowana? To nic takiego, zaraz poczujesz się lepiej.

Pocałował ją. Dłonie Hester rozluźniły się, ręce opadły miękko wzdłuż tułowia. Zdała sobie sprawę, że w tym pocałunku nie ma nic zmysłowego, tylko ciepło i zrozumienie.

- No i co, lepiej? - zapytał.

- Nie jestem pewna.

- Mnie na pewno tak. - Roześmiał się. Wziął ją za rękę i ruszyli w kierunku drzwi.

Mitch wybrał drogą, wytworną francuską restaurację. Jasne ściany z kwiecistym wzorem tonęły w półmroku rozświetlonym migoczącymi świecami. Ludzie cicho rozmawiali nad białymi obrusami i elegancką zastawą z kryształowymi kieliszkami. Gwar ulicy pozostał za masywnymi drzwiami.

- Ach, monsieur Dempsey, dawno pana nie widzieliśmy - powitał ich szef sali.

- Przecież pan wie, że zawsze wracam do pana ślimaków. Maitre d'hotel ze śmiechem odprawił kelnera.

- Dobry wieczór, mademoiselle. Zaprowadzę państwa do stołu.

Niewielką, ustronną niszę rozjaśniało światło świec. Dobre miejsce do trzymania się za ręce i wyjawiania sobie

intymnych sekretów, pomyślała Hester.

- Sommelier za chwilę podejdzie. Życzę miłego wieczoru.

- Nie muszę pytać, czy już tu kiedyś byłeś.

- Czasem mam dość mrożonej pizzy. Napijesz się szampana?

- Tak, uwielbiam szampana.

Zamówił butelkę, sprawiając sommelierowi, czyli kelnerowi zajmującemu się winami, radość wyborem rocznika. Hester otworzyła menu i westchnęła.

- Powspominam te dania, jedząc w pracy kanapkę z tuńczykiem.

- Lubisz swoją pracę?

- Bardzo. - Zastanawiała się, czy soufflé de crabe jest tym, czego można się spodziewać, sądząc z nazwy. - Rosen jest uciążliwy, ale rzeczywiście dobrze organizuje pracę. Wszystko idzie sprawnie.

- A ty lubisz być sprawna.

- Tak, to dla mnie ważne.

- Co jeszcze jest dla ciebie ważne? Oczywiście poza Radem?

- Bezpieczeństwo. - Uśmiechnęła się. - Ale to też ma związek z moim synem. Wszystko ma związek.

Mitch uniósł wzrok, gdyż kelner przyniósł szampana i zaczął celebrować rytuał degustacji.

- A więc za Rada - zaproponował Mitch, gdy

pienisty napój wreszcie trafił do kieliszków. - I za jego fascynującą matkę.

Hester pociągnęła łyk, zdumiona, że coś może tak bardzo smakować. Oczywiście pijała niekiedy szampana, lecz ten był po prostu nadzwyczajny.

- Nie uważam się za fascynującą.

- Piękna kobieta, która samotnie wychowuje dziecko w najniebezpieczniejszym mieście w Stanach... Mnie to w każdym razie fascynuje. - Napił się szampana i dodał: - Poza tym masz wspaniałe nogi, Hester.

Roześmiała się. Nawet gdy ujął jej dłoń, nie poczuła zakłopotania.

- Już to mówiłeś. W każdym razie są długie. Do końca szkoły byłam wyższa od brata, co doprowadzało go do furii. Przezywali mnie „Długaska”.

- A ja miałem ksywkę „Sznurek”.

- Sznurek?

- Byłem przeraźliwie chudy.

Spojrzała na mięśnie widoczne nawet pod marynarką.

- Nie wierzę.

- Kiedyś, jak będę pijany, pokażę ci zdjęcia.

Mitch złożył zamówienie płynną francuszczyzną, co zdumiało Hester. Autor komiksów, pomyślała, który buduje zamki ze śniegu i rozmawia ze swoim psem. Widząc jej spojrzenie, wyjaśnił:

- Kilka razy spędziłem lato w Paryżu.

- Aha. - Przypomniała sobie, z kim ma do czynienia.

- Powiedziałeś, że nie masz rodzeństwa. Czy twoi rodzice mieszkają w Nowym Jorku?

- Nie. - Oderwał kawałek bagietki. - Mama wpada tu czasem na zakupy albo do teatru, a ojciec w interesach, lecz Nowy Jork nie jest w ich stylu. Większą część roku mieszkają w Newport. Tam się wychowałem.

- Och, Newport. Przejeżdżaliśmy kiedyś tamtędy, gdy byłem dzieckiem. Spędzaliśmy wakacje, włócząc się samochodem po kraju. Pamiętam wielkie domy z kolumnami, kwiaty i wspaniałe stare drzewa. Trudno było uwierzyć, że ktoś tam naprawdę mieszka. - Spojrzała na uśmiechniętego Mitcha. - A to ty tam mieszkałeś.

- Zabawne. Często latem obserwowałem przez lornetkę turystów. Mogłem widzieć twoją rodzinę.

- Mieliśmy kombi z masą walizek na dachu.

- Pewnie, pamiętam cię. - Roześmiał się i podał jej kawałek bagietki. - Bardzo ci wtedy zazdrościłem.

- Naprawdę? A niby czego?

- Byłaś na wakacjach i jadłaś hot dogi. Spałaś w motelach z maszynami do napojów i w samochodzie grałaś z bratem w różne gry.

- Tak - przyznała. - Tak właśnie było.

- Nie użalam się naci losem biednego, bogatego chłopca - wyjaśnił. - Po prostu wiem, że wielki dom nie musi dawać więcej szczęścia niż kombi. - Dolał jej szampana. - W każdym razie już dawno pożegnałem się z

buntowniczym poglądem, że pieniądze są poniżej mojej godności.

- Trudno uwierzyć, skoro mówi to ktoś, kto pozwala, żeby na cennych antykach gromadził się kurz.

- To nie bunt, tylko lenistwo.

- I grzech. Aż się proszą, żeby je wyczyścić i zakonserwować.

- Gdy tylko zapragniesz przetrzeć u mnie stoi, nie kępuj się. Uniosła brwi, gdy się do niej uśmiechnął.

- Co robiłeś w okresie buntu?

Musnęła jego dłoń końcami palców. Po raz pierwszy to ona go dotknęła, a nie odwrotnie. Mitch przeniósł spojrzenie z jej dłoni na twarz.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Zawrzyjmy układ. Wymienimy się opowieściami. Hester wiedziała, że postępuje lekkomyślnie nie z powodu szampana, lecz Mitcha.

- Dobrze. Ty pierwszy.

- Zacznijmy od tego, że rodzice chcieli, żebym został architektem. Tylko tak, ich zdaniem, można było sensownie wykorzystać moje zdolności rysunkowe. Nie zwracali uwagi na moje zainteresowania. A ja, gdy tylko ukończyłem szkołę, postanowiłem poświęcić życie sztuce.

Kelner przyniósł przekąski. Mitch spojrział łakomie na ślimaki.

- Więc wyjechałeś do Nowego Jorku?

- Nie, do Nowego Orleanu. Wtedy nie mogłem jeszcze korzystać z moich pieniędzy z funduszy powierniczych. Zresztą chyba i tak bym ich nie użył. Marzyłem o Paryżu, ale nie było mnie na to stać, ponieważ odrzuciłem pomoc rodziców. Dlatego wybrałem Nowy Orlean z całą jego niesamowitą atmosferą. Boże, uwielbiałem to miasto. Często głodowałem, ale wprost je kochałem. Te parne popołudnia, zapach rzeki. Przeżyłem swoją pierwszą wspaniałą przygodę. Chcesz jednego? Są świetne.

- Nie, ja...

- Daj spokój, jeszcze będziesz mi dziękować.

Uniósł widelec ze ślimakiem do jej ust. Hester skrzywiła się i spróbowała.

- Och!

Poczuła gorący, egzotyczny smak i zapach.

- Są inne, niż się spodziewałam.

- Zwykle nie wiemy, co naprawdę jest najlepsze. Uniosła kieliszek, zastanawiając się, jak zareaguje Radley, kiedy mu powie, że jadła ślimaki.

- Co robiłeś w Nowym Orleanie? - spytała.

- Ustawiłem sztalugi na placu Jacksona i zarabiałem na życie. Robiłem portrety turystom i sprzedawałem akwarele. Przez trzy lata mieszkałem w pokoju, który podczas lata stawał się piecem, a w zimie lodówką. Uważałem się za szczęściarza.

- No i co?

- Kobieta. Zwariowałem na jej punkcie, a ona na moim. Była moją modelką w okresie, gdy naśladowałem Matisse'a. Szkoda, że mnie wtedy nie widziałaś. Miałem włosy prawie tak długie jak ty teraz, związane rzemykiem. Także złoty kolczyk w lewym uchu.

- Kolczyk?

- Nie śmieję się, teraz są modne. Przekąski ustąpiły miejsca sałacie.

- W każdym razie - kontynuował - bawiliśmy się w mojej klitce w dom. Pewnego wieczoru, gdy trochę wypilem, opowiedziałem jej o rodzicach, o tym, że nigdy nie rozumieli moich artystycznych ciągot. Wściekła się.

- Pewnie. Powinni cię zrozumieć albo przynajmniej się starać.

- Jesteś słodka. - Pocałował Hester w rękę. - Nie, ona wściekła się na mnie. Byłem bogaty i nie powiedziałem jej o tym. Miałem furę pieniędzy, a pozwalałem, by w małym, brudnym pomieszczeniu moja ukochana gotowała na elektrycznej maszynie fasolę i ryż. Zabawne jest to, że naprawdę mnie lubiła, kiedy byłem biedny. Gdy się jednak okazało, że nie jestem, lecz nie zamierzam z tego korzystać, wpadła w furję. Wyjaśniła też przy okazji, co myśli o mnie i o mojej sztuce.

Hester potrafiła go sobie wyobrazić. Młody, walczący idealista.

- Ludzie w gniewie mówią często coś, czego naprawdę nie myślą - zauważyła.

Uniósł jej dłoń i pocałował palce.

- Tak, bardzo słodka. - Nie puszczał jej dłoni. - W każdym razie wyprowadziła się, a ja zacząłem się nad sobą zastanawiać. Przez trzy lata żyłem z dnia na dzień, mówiąc sobie, że jestem wielkim artystą, który czeka na swój triumf. A nie byłem. Zręcznym, niegłupim, lecz na pewno nie wielkim.

Wyjechałem więc do Nowego Jorku i zająłem się komercyjną grafiką. I w tym okazałem się dobry. Zdobywałem klientów, coraz pewniej czułem się na rynku, ale nie miałem z tego żadnej satysfakcji. Projekty opakowań, reklamowe ulotki, takie rzeczy. Ale dzięki temu trafiłem do Universalu, najpierw jako kreślarz, potem awansowałem na grafika. Aż wreszcie - uniósł kieliszek, żeby podkreślić wagę tych słów wymyśliłem Zarka. O reszcie będziesz mogła przeczytać w podręcznikach historii sztuki.

- Widać, że jesteś szczęśliwy - powiedziała. - Nie znam nikogo, kto czułby tak wielką satysfakcję zawodową.

- Trochę trwało, zanim do tego doszedłem.

- A twoi rodzice? Pogodziłeś się z nimi?

- Nie było to łatwe, ale wreszcie zgodnie ustaliliśmy, że nigdy się nie zrozumiemy. Jesteśmy rodziną. Mam swój portfel akcji, staruszkowie mogą więc tłumaczyć znajomym, że komiksy to moje hobby, co zresztą, w sensie finansowym, jest prawdą.

Mitch zamówił do głównego dania drugą butelkę.

- Teraz twoja kolej. Uśmiechnęła się.

- Och, nie mogę się pochwalić czymś tak romantycznym, jak artystyczna mansarda w Nowym Orleanie. Miałam bardzo zwyczajne dzieciństwo i zwyczajną rodzinę. Tata pracował, mama zajmowała się domem. Kochaliśmy się bardzo, choć też się od siebie różniliśmy. Moja siostra to wesoła ekstrawertyczka, ja byłam trochę nieśmiała.

- Nadal jesteś - zauważył, ściskając jej dłoń.

- Nie wiedziałam, że to widać.

- Widać, w uroczy sposób. A co z ojcem Radleya?

Chciałbym, żebyś mi o nim opowiedziała, ale nie musisz. Być może jeszcze za wcześnie, by...

Oswobodziła dłoń i sięgnęła po szampana. Był zimny i rześki.

- To dawna historia. Poznaliśmy się w liceum. Radley jest bardzo podobny do Allana, więc sam widzisz, że był atrakcyjny. Także trochę zwariowany, ale to mi się w nim podobało. - Poruszyła się niespokojnie, lecz postanowiła dokończyć opowieść. - Byłam naprawdę nieśmiała, schowana w sobie. Ekscytował mnie, choć czułam, że to wszystko mnie przerasta. Zakochałam się w nim już w chwili, gdy mnie zauważył. Tak po prostu. Przez dwa lata stanowiliśmy parę, a po maturze wzięliśmy ślub. Miałam osiemnaście lat i sądziłam, że małżeństwo jest pasmem pasjonujących przygód.

- Nie było? - zapytał, gdy zawiesiła głos.

- Przez jakiś czas. Byliśmy młodzi i nie miało dla mnie znaczenia, że Allan ciągle zmienia pracę albo w ogóle

nie pracuje przez miesiąc czy dwa. Kiedyś sprzedał komplet mebli z salonu, który dostaliśmy w prezencie ślubnym od moich rodziców. Wystarczyło na wycieczkę na Jamajkę. Taki gest mi się spodobał. Nie mieliśmy wtedy żadnych obowiązków. Ale potem zaszłam w ciążę.

Znów urwała. Przypomniła sobie, jak bardzo była podniecona i zarazem pełna obaw, oczekując na dziecko.

- Trochę się bałam, natomiast Allan dostał bzika. Kupował na kredyt wózki i wysokie krzesła. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, ale pozostaliśmy optymistami, nawet gdy pod koniec ciąży musiałam przejść na pół etatu, a po urodzeniu Radleya wziąć urlop macierzyński. Radley był piękny. - Roześmiała się. - Wiem, że wszystkie matki tak mówią, ale akurat ja jestem absolutnie obiektywna. Mówiąc poważnie, Radley okazał się najwspanialszym skarbem, jakim mógł mnie obdarzyć los. Całkowicie odmienił moje życie. Niestety nie zmienił Allana.

Bawiła się kieliszkiem. Próbowwała ułożyć sobie w głowie to, o czym tak długo starała się nawet nie myśleć.

- Zupełnie nie mogłam tego pojąć - kontynuowała. - Allan nie przyjmował do wiadomości żadnych ograniczeń. Nie rozumiał, że nie możemy już po prostu wyjść do kina czy dyskoteki. Nadal rozrzucał pieniądze na prawo i lewo, a ja musiałam sobie z tym radzić.

- Innymi słowy dorosłaś - podsumował łagodnie Mitch.

- Tak. - Ucieszyła się, że tak dobrze ją zrozumiał. - Allan chciał, żeby wróciło dawne życie, ale nie byliśmy już dziećmi. Kiedy o tym teraz myślę, zastanawiam się, czy nie

był zazdrosny o Radleya. Wtedy jednak chciałam tylko, żeby wreszcie dojrzał, zachowywał się jak prawdziwy ojciec, podejmował decyzje. A on, mając dwadzieścia lat, pozostał szesnastoletnim chłopcem, którego pamiętałam ze szkoły. Lecz ja nie byłam już licealistką, tylko matką. Wróciłam do pracy, bo pomyślałam, że dodatkowe pieniądze złagodzą napięcia. Pewnego dnia, gdy odebrałam Radleya od opiekunki i wróciłam do domu, Allana już nie było. Zostawił kartkę. Napisał, że dłużej nie wytrzyma takiego życia.

- Spodziewałaś się tego?

- Nie, naprawdę nie. Uczynił to pod wpływem nagłego impulsu, zawsze tak robił. Na pewno nie zdawał sobie sprawy, że postępuje źle. Uważał, że jest uczciwy, gdyż zostawił nam połowę pieniędzy. Zapomniał tylko o rachunkach, które także zostawił. Musiałam wziąć dodatkowe pół etatu, pracowałam wieczorami. Rad zostawał z opiekunką i przez cały dzień go nie widziałam. Te sześć miesięcy to najgorszy okres w moim życiu. - Pokręciła głową. - Potem dostałam podwyżkę i mogłam zrezygnować z dodatkowej pracy. Właśnie wtedy zatelefonował Allan. Po raz pierwszy od czasu, gdy odszedł. Rozmawiał ze mną miło, jakbyśmy byli zwykłymi znajomymi. Powiedział, że wyjeżdża do pracy na Alaskę. Po tej rozmowie natychmiast poszłam do adwokata i łatwo uzyskałam rozwód.

- Wróciłaś do domu, do rodziców?

- Nie. Długo, bardzo długo byłam wściekła. Czułam zbyt silny gniew do całego świata, by wracać do rodzinnego domu. Nie chciałam niczyjej pomocy, nawet od

tak bardzo kochających rodziców. Zrozum, poniosłam straszną porażkę, zostałam upokorzona, potraktowana jak zużyty przedmiot. Musiałam sama się z tym uporać, pokazać sobie, że jestem coś warta. Zostałam więc w Nowym Jorku i urządziłam godne życie sobie i Radleyowi.

- Allan nigdy nie przyjechał, żeby spotkać się ze swoim synem?

- Nie, nigdy.

- Jego strata. - Nachylił się i delikatnie pocałował Hester. - Bardzo wielka strata.

Dotknęła ręką twarzy Mitcha.

- To samo można powiedzieć o pewnej kobiecie w Nowym Orleanie.

- Dziękuję. - Znów ją pocałował. Poczł miły smak szampana. - Deser?

- Hmm?

Jej ton był jednoznaczny. Nie będzie deseru.

- Darujmy sobie - rzucił i pomachał do kelnera na znak, że prosi o rachunek. - Może trochę pospacerujemy?

- O ile zdołam wstać po tej uczcie. - Roześmiała się.

Powietrze było zimne, niemal tak orzeźwiający jak szampan, lecz Hester była miło podniecona i rozgrzana, dlatego zupełnie nie czuła podmuchów wiatru. Mogła iść kilometrami. Nie sprzeciwiła się, gdy Mitch ją objął, nie zastanawiała się, dokąd idą.

Wiedziała, jakie to uczucie być zakochaną. Świat wygląda inaczej, czas płynie w innym rytmie. Kolory są

jaśniejsze, dźwięki radośniejsze. Nawet w zimie można czuć zapach kwiatów. Już kiedyś to przeżyła. Nie myślała jednak, że to uczucie znów ją dopadnie. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Tego wieczoru odżyła jako - kobieta.

Przy Rockefeller Center ludzie ślizgali się na łyżwach przy dźwiękach muzyki. Patrzyła na nich przytulona do Mitcha, czuła na głowie jego policzek.

- Czasem przychodzimy tu z Radem na łyżwy, ale dziś jest inaczej. - Spojrzała na niego, tak że ich usta znalazły się bardzo blisko siebie. - W ogóle wszystko jest dzisiaj inaczej.

Gdyby jeszcze raz spojrzała w taki sposób, Mitch zapomniałby o swoim postanowieniu, żeby niczego nie przyspieszać. Zatrzymałby pierwszą taksówkę, by jak najprędzej dotrzeć do domu, do łóżka, zanim spojrzenie Hester się zmieni. Przywołał cały hart ducha i powiedział:

- Wieczorem świat wygląda inaczej, zwłaszcza po szampanie. Trochę nierealnie, ale tak właśnie jest cudownie. Realność mamy każdego dnia od dziewiętej do siedemnastej.

- Ty nie. W tych godzinach przebywasz w świecie fantazji i marzeń. I w innych też, jeśli tylko zechcesz.

- Szkoda, że nie wiesz, o czym teraz marzę. - Wziął głęboki oddech. - Przejdźmy się jeszcze trochę, opowiesz mi o swoich...

- Marzeniach? Na pewno nie są tak ciekawe jak twoje. Tak naprawdę mam tylko jedno. Często śni mi się dom.

- Dom? - Skręcił w kierunku parku. Miał nadzieję, że zanim dotrą do mieszkania, zdąży trochę ochłonać. - Jaki dom?

- Na wsi, taki duży, stary dom na farmie, z okiennicami i gankiem dookoła, ze wszystkich stron. Dużo okien, żeby był widok na las. Musi być las. W środku wysokie pokoje i duże kominki. Przed domem ogród i pergola. - Jej policzki omiółł zimny wiatr, lecz ona czuła zapachy lata. - Słysząc brzęczenie pszczoł. Duże podwórko dla Radleya, no i wtedy mógłby mieć psa. Ja siedziałabym na bujanej kanapie na ganku i patrzyła, jak łapie do słoika świetliki. - Roześmiała się. - Mówiłam ci, że to nic ciekawego.

- Mnie się podoba. - Zobaczył tę wiejską posiadłość tak wyraźnie, że mógłby ją narysować. Wraz ze stodołą w tle. - Przydałby się jeszcze strumień, żeby Rad mógł łapać ryby.

Na chwilę zamknęła oczy, potem pokręciła głową.

- Nic z tego. Kto by go nauczył, jak nadziewać dżdżownicę na haczyk? Brrr. Nawet dla ukochanego synka bym tego nie zrobiła. Mogę grać w piłkę, ale tego nie zrobię.

- Grasz w piłkę? Uśmiechnęła się.

- W zeszłym roku pomagałam trenować drużynę Małej Ligi.

- W szortach?

- Masz obsesję na punkcie moich nóg.

- Nóg również.

Weszli do holu i skierowali się do windy.

- Już od dawna nie miałam tak udanego wieczoru - powiedziała.

- Ja też nie.

W windzie cofnęła się, żeby móc na niego patrzeć.

- Mitch, zastanawiałam się, dlaczego nikogo nie masz?

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie zauważyłam, żebyś się spotykał z jakąś kobietą.

- Więc robię wrażenie mnicha?

- Nie... Oczywiście, że nie.

- Wiesz, Hester, kiedy się już swoje przeżyło, spotkania dla samych spotkań nie są zbyt fascynujące.

- Wielu mężczyzn by się z tobą nie zgodziło.

Gdy wychodzili z windy, wzruszył ramionami. Zaczęła szukać w torebce kluczy. Mitch oparł się o ścianę.

- Zamierzasz mnie zaprosić?

Zawahała się. Spacer sprawił, że myślała teraz trzeźwiej. Chociaż... czy zawsze musi być taka rozsądna?

- Dobrze, wejdź. Napijesz się kawy?

- Nie. - Spojrzał na nią.

- To żaden kłopot. Chwyć ją za rękę.

- Nie chcę kawy, Hester, chcę ciebie. - Pomógł jej zdjąć płaszcz. - Pragnę.

Nie odsunęła się.

- Nie wiem, co powiedzieć. To nie jest... Chyba wyszłam z wprawy.

- Wiem. - Po raz pierwszy było oczywiste, że jest zdenerwowany. Przeciągnął ręką po włosach. - Rozumiem. Nie chcę cię uwieść. - Roześmiał się i odszedł o trzy kroki.
- Guzik prawda. Chcę.

- Wiedziałam. Próbowалам sobie wmówić, że tak nie jest, ale wiedziałam, jak ten wieczór się skończy. Miałam nadzieję, że od razu rzucisz mnie na łóżko, abym nie musiała podejmować decyzji.

- Jasne postawienie sprawy, Hester.

- Wiem. - Nie mogła spojrzeć mu w oczy, nie śmiała.
- Nigdy nie byłam z nikim, poza ojcem Rada. I nigdy tego nie chciałam.

- A teraz?

Czekał na słowo, na to jedno słowo. Zacisnęła usta.

- Tyle czasu minęło, Mitch. Boję się.

- Czy to ci pomoże, jeśli powiem, że ja też?

- Nie wiem.

- Hester. - Położył jej ręce na ramionach. - Spójrz na mnie. To bardzo ważne. Chcę, żebyś była pewna. Nie darowałbym sobie, gdybyś jutro żałowała. Powiedz mi, czego pragniesz.

Życie składa z samych decyzji. Nie miała nikogo, kto by jej podpowiedział, które są słuszne, a które nie. Sama decydowała o sobie i tylko ona ponosiła skutki

swoich wyborów.

- Mitch, zostań. Pragnę cię.

ROZDZIAŁ 8

Ujął dłońmi jej twarz. Hester drżała. Dotknął wargami jej ust i usłyszał westchnienie. Tę chwilę zapamięta na zawsze. Przyzwolenie, pożądanie.

W mieszkaniu panowała cisza. Zapach róż w wazonie mieszał się z wonią ogrodu, który Mitch wymyślił dla Hester. Lampa rzucała jasne światło. Nie chciał ciemności, gdyby mógł, wybrałby jednak blask świec.

Jak miał jej wyjaśnić, że czeka ich niezwykła noc, a nie normalny, chłodny seks? Jak miał sprawić, by zrozumiała, że na taką chwilę czekał przez całe życie? Nie wiedział, jakich użyć słów, ani czy zrozumiałaby je.

Wybrał więc milczenie. Nie przerywając pocałunku, porwał Hester w ramiona. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Mitch - szepnęła.

- Nie jestem księciem z bajki - szepnął. - Ale będę go udawał.

Wyglądał jak prawdziwy bohater, silny, męski... i tak cudownie słodki.

- Nie potrzebuję księcia z bajki.

- Ale dzisiaj będziesz go miała.

Pocałował ją jeszcze raz, potem uniósł i ruszył do sypialni. Pożądał jej tak bardzo, że pragnął natychmiast rzucić ją na łóżko. Niekiedy dobrze jest kochać się szybko i gwałtownie. Zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że Hester to zrozumie. Postawił ją jednak delikatnie na podłodze i dotknął jej dłoni.

Odsunął się.

- Światło.

- Ale...

- Chcę cię widzieć, Hester.

Wstydlivość wydawała się nie na miejscu. Te chwile nie powinny przepłynąć w ciemności, jakby anonimowo. Nachyliła się i zapaliła nocną lampkę.

Spowiła ich delikatna, tajemnicza poświata. Strach powrócił, tętnił w głowie Hester i w jej sercu. Mitch delikatnie przytulił ją, uspokoił. Zdjął jej klipsy i odłożył na stoliczek przy łóżku. Poczwała przyplływ gorąca, jakby tym jednym ruchem całą ją rozebrał.

Sięgnął do jej paska. Zatrzymał się, gdy napotkał na drodze jej rękę.

- Nie skrzywdzę cię - szepnął.

- Wiem.

Wierzyła mu, opuściła rękę. Rozpiął pasek i upuścił go na podłogę. Gdy ponownie zaczął ją całować, objęła go mocno, poddała się przemożnej sile, która nią kierowała.

Tego właśnie chciała. Nie mogła się okłamywać ani szukać wymówek. Pragnęła być kobietą, chciała, by

traktował ją jak kobietę.

Gdy oderwali od siebie usta, spojrzeli sobie w oczy. Uśmiechnęła się.

- Czekałem na to. - Dotknął palcem jej warg.

- Na co?

- Żebyś się uśmiechała, kiedy cię całuję. Spróbujmy jeszcze raz.

Tym razem pocałunek był głębszy. Przesunęła ręce do ramion Mitcha, potem zarzuciła mu je na szyję. Czuł jej palce. Dotykały go, początkowo delikatnie, potem śmieiej.

- Nadal przestraszona?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - No, może trochę. Nie jestem. .. - Uciekła wzrokiem.

- Co?

- Nie jestem pewna, co mam robić. Więc... więc zrobię, co zechcesz.

Znieruchomiał z wrażenia. Chciał jej powiedzieć, jak wiele dla niego znaczy. Poczuł, że serce zabiło mu mocniej, że przepełniała je bezgraniczna miłość.

- Hester... Hester... - Przyciągnął ją mocno do siebie. - Zawierz sobie.

Całował jej włosy, napawał się jej zapachem, który tak mocno na niego działał. Nie musiał już dbać o to, by ją zdobyć, mógł folgować własnym pragnieniom.

Niezbyt zręcznie rozpiął długi zamek błyskawiczny na plecach. Pragnął ofiarować Hester najwspanialszą,

najcudowniejszą noc. Nie był egoistą, lecz nigdy dotąd uczucia innej osoby nie były dla niego tak ważne. Najważniejsze.

Ściągnął sukienkę z jej ramion. Miała pod spodem prostą, białą koszulkę, bez falbanek czy koronek. Żaden jedwab nie podnieciłby go bardziej.

- Jesteś niezemska. - Pocałował jej nagie ramę. - Absolutnie niezemska.

Chciała taką być. Gdy spojrzała mu w oczy, poczuła, że taką właśnie się stała. Tajemniczą, cudowną, niezemską. Zebrała się na odwagę i zaczęła rozbierać Mitcha.

Wiedział, że nie przyszło jej to łatwo. Zdjęła mu marynarkę, potem rozplatała węzeł krawata. Gdy rozpinała guzik koszuli, czuł, że drżą jej ręce.

- Ty też jesteś niezemski - szepnęła.

Jej były mąż okazał się wyrosniętym chłopczykiem, natomiast mięśnie Mitcha były twarde, klatka piersiowa zdecydowanie męska. Powoli rozpinała guziki. Nadal była skrępowana, zarazem jednak wiedziała, że jej powolne, leniwe ruchy bardzo działają na Mitcha. Gdy sięgnęła do guzików spodni, szepnął chrapliwie:

- Doprowadzasz mnie do szału. Odruchowo cofnęła rękę.

- Przepraszam.

- Nie. - Spróbował się roześmiać. - To znaczy, że mi się podoba.

Drżącymi rękami zsunęła mu spodnie. Potem przywarła do niego i zadrżała z podniecenia.

Z całych sił zmuszał się, by się nie spieszyć. Jej nieśmiałe dłonie i oczy pobudzały go w niewiarygodny sposób. Musiał walczyć, żeby się powstrzymać. Wyczuła to, słysząc jego urywany oddech.

- Mitch?

- Chwileczkę.

Zatopił twarz w jej włosach. Z ogromnym trudem odzyskał panowanie nad sobą. Poczul, że to go osłabiło. Osłabiło i oszołomiło. Delikatnie musnął ustami jej szyję.

Hester przywarła do niego i odchyliła głowę. Oczy zasły jej mgłą. Czula pulsowanie krwi w miejscach, które dotykał ustami, skóra stawała się coraz bardziej wrażliwa. Jęknęła dziko. To ona pociągnęła Mitcha na łóżko.

Potrzebował jeszcze minuty, żeby dojść do siebie. Wiedział, że musi się trochę uspokoić, że inaczej może się nie udać. Lecz Hester wodziła rękami po jego ciele, przyciskała do niego biodra. Resztką sił stoczył się z niej na łóżko. Przez chwilę leżeli obok siebie.

Zbliżył usta do jej warg. Myślał o tym, jaka będzie Hester, gdy ostatecznie się połączą. Już wcześniej zdarł z niej koszulkę. Wargami dotknął jej piersi. Usłyszał swoje imię, wykrzywane pełnym namiętności głosem.

Ten okrzyk przerwał wszystkie tamy. Kiedyś myślała, że tego nie chce. Teraz jednak, gdy jej ciało wiło się i ocierało o Mitcha, zrozumiała, jak bardzo się myliła.

Była naga, lecz wstyd gdzieś się ulotnił. Ciało Mitcha, tak silne, męskie i piękne, wzbudzało w niej zachwyty i najdziksze pragnienia. Do tej chwili nie

wiedziała, że dotykanie kogoś, dawanie mu rozkoszy, może wywołać tak szaleńczą, tak niepojętą pasję. Uchwyciła go, przywarła do niego żarliwie, zachłannie.

Nigdy nie miał kobiety, która poddałaby się mu tak bezwzględnie. Patrząc, jak go przyciąga, odczuł odbierającą rozum rozkosz. Zupełnie przestał nad sobą panować, a ona go przywoływała.

Wszedł w nią. Nie wiedział, jak długo byli połączeni w miłosnej ekstazie, minuty, a może godziny. Nigdy jednak nie zapomni wyrazu wpatrzonych w niego oczu.

Leżał z Hester na skotłowanej pościeli. Krople zimnego deszczu uderzały w szyby. Usłyszał szum wiatru. Nigdy, będąc z kobietą, nie zapomniał o całym świecie. Do dzisiaj.

Odwrócił twarz od okna i mocniej przyciągnął Hester.

- Nic nie mówisz - mruknął.

Miała zamknięte oczy. Nie chciała jeszcze ich otwierać.

- A co miałabym powiedzieć?

- Co sądzisz o słowie: „nieźle”?

O dziwo, była w stanie się roześmiać.

- W porządku, nieźle.

- Spróbuj teraz włożyć w to więcej entuzjazmu. Może użyjesz takich określeń, jak fantastycznie, niewiarygodnie, ziemia zadrżała w posadach?

Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok.

- A może wystarczy: pięknie? Chwytał jej dłoń i pocałował.

- Aha, to mi odpowiada. - Uniósł się na łokciu, żeby spojrzeć z góry. - Wiesz, miałem rację co do twoich nóg. Może namówię cię kiedyś na szorty i krótkie skarpetki, takie do kostek.

- Przepraszam?

Obsypał jej twarz pocałunkami.

- Mam bzika na punkcie długich nóg w szortach i skarpetkach - wyjaśnił. - Wariuję na widok kobiet, które w lecie biegają po parku. Jeśli właściwie dobiorą kolory, jestem skończony.

- Chyba zwariowałeś.

- Daj spokój, Hester, czy sama nie masz takich skrytych upodobań? Na przykład mężczyzna w opiętej koszulce albo w smokingu i czarnej muszce, a do tego nieogolony?

- Nie bądź głupi.

- Wcale nie jestem głupi, tylko normalny. Miał rację.

- No cóż, jest coś w rozpiętych dżinsach, które zjeżdżają z męskiego tyłka.

- Już nigdy, do końca życia, nie zapnę dżinsów. Roześmiała się.

- Ale ja nie zacznę chodzić w szortach i skarpetkach.

- W porządku. Twoje dyżurne kostiumiki do pracy też są podniecające.

- Nieprawda.

- Och, prawda. - Przetoczył ją na siebie i zaczął się bawić jej włosami. - Te cienkie wyłogi i bluzki z wysokim kołnierzykiem. No i zawsze masz upięte włosy. - Zebrał jej włosy na czubku głowy, żeby pokazać, o co chodzi. To nie było to samo, ale i tak poczuł, że ma sucho w ustach. - Profesjonalna, chłodna i odpowiedzialna pani Wallace. Zawsze, kiedy cię widzę tak ubraną, wyobrażam sobie, że zdzieram ten roboczy mundur.

Hester oparła głowę na jego piersi.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Mitch.

- Zdarza się.

- Jesteś tak bardzo uzależniony od swej wyobraźni, od tego, co mogłoby być, od fantazji i fikcji. Dla mnie mają znaczenie fakty i liczby, zysk i strata, co jest, a czego nie ma.

- Mówisz o pracy czy o prawdziwym życiu?

- Nie można tego oddzielić. Jest tylko życie.

- Nie. Na przykład ja nie jestem komendantem Zarkiem, Hester.

Poruszyła się.

- Chodzi mi o to, że masz duszę artysty, pisarza. Żyjesz wyobraźnią, która kieruje się własnymi prawami. A bankowiec sprawdza czeki i salda, dąży do zbilansowania.

Przez chwilę milczał, bawił się jej włosami. Czyż nie dostrzega, że kryje się w niej o wiele więcej? - myślał. Kobieta, która marzy o domu na wsi, potrafi grać w piłkę i

zmienia mężczyznę w wulkan pożądania?

- Nie chcę się wymądrzać, ale dlaczego wybrałaś pracę akurat w dziale pożyczek? Czy gdy odrzucasz wniosek, czujesz to samo co wtedy, gdy go zatwierdzasz?

- Nie, oczywiście nie.

- Oczywiście nie - powtórzył. - Dlatego, że kiedy udzielasz pożyczki, otwierasz możliwości. Na pewno działasz zgodnie z przepisami, między innymi na tym polega twój urok, założyłbym się jednak, że odczuwasz osobistą satysfakcję, gdy możesz powiedzieć: „Dobrze, niech pan kupi dom, założy firmę, spłaci współnika, pośle dziecko na studia”.

Uniosła głowę.

- Świetnie mnie rozumiesz.

Jak nikt inny w całym jej życiu, zdała sobie sprawę.

- Nic dziwnego, bo wiele o tobie myślałem. Bardzo wiele. Odkąd przyniosłem ci pizzę, myślę tylko o tobie.

Uśmiechnęła się. Chciała się znów o niego oprzeć, lecz ją powstrzymał.

- Hester... - Patrzyła na niego z oczekiwaniem, lecz cierpliwie, gdy powoli dobierał słowa. - I nie chcę myśleć o nikim innym. Tylko o tobie. Cholera, czuję się jak dzieciak w szkole.

Jej uśmiech stał się ostrożny.

- Czy zamierzasz mnie poprosić, żebym została twoją dziewczyną?

Niezupełnie to miał na myśli. Wiedział jednak, że

powinien działać powoli.

- Gdybyś chciała, mógłbym ci kupić pierścionek ze szklanym oczkiem.

Spojrzała na swą dłoń, tak naturalnie spoczywającą na jego piersi. Czy to głupio, że się wzruszyłam? - pomyślała. Jeśli nawet nie, to z pewnością niebezpiecznie.

- Ja też nie mam nikogo innego, o kim chciałabym myśleć. Umówmy się, że przy tym pozostaniemy.

Chciał odpowiedzieć, lecz się powstrzymał. Potrzebowała czasu, żeby się upewnić. Przed laty przeżyła nieudane małżeństwo, a potem już nic. I zbliżała się do trzydziestki, była mądra, racjonalna. Postępując uczciwie, powinien dać jej czas do namysłu. Nie chciał jednak postępować uczciwie. Nie, Mitch Dempsey nie jest takim frajerem, jak zawsze gotów do poświęceń komendant Zark.

- Dobrze.

Obmyślił i wygrał już tyle wojen, był świetny w strategii. Pokona Hester, zanim ta się zorientuje, że w ogóle rozegrała się jakaś bitwa.

Przyciągnął ją do siebie i rozpoczął pierwszy etap obłężenia.

Uznała, że to dość dziwne, lecz zarazem wspaniałe, obudzić się rano obok kochanka. Nawet takiego, który zepchnął ją w nocy na samą krawędź łóżka. Otworzyła oczy. Leżała nieruchomo i smakowała to uczucie.

Spał z twarzą wtuloną w jej kark, obejmując ją ręką w pasie. Na szczęście, gdyż tylko dzięki temu nie spadła w nocy na podłogę. Z miłym dreszczykiem otarła się o niego.

Nigdy nie miała kochanka. Męża tak, lecz jej noc poślubna nie umywała się nawet do tego, co teraz doświadczyła z Mi - tchem. Czy to uczciwie tak ich porównywać? - zastanawiała się. Uznała jednak, że po prostu musi to - robić. Bo dzięki temu oceniała swoje życie.

W tamtą pierwszą noc ona była strasznie zdenerwowana, natomiast Allan nadmiernie pobudzony, pełen zachłannego pośpiechu. Teraz pożądanie rosło stopniowo, warstwa po warstwie, jakby mieli nieskończenie wiele czasu, by się sobą cieszyć. Nie wiedziała, że seks może być tak wyzwalający. Nie zdawała sobie sprawy, że są mężczyźni, którzy pragną nie tylko brać, ale i dawać.

Obserwowała słabe, zimowe światło, które sączyło się przez okno. Czy poranek wszystko zmieni? Czy poczują się niezręcznie albo, co gorsza, obojętnie? Nie wiedziała, jak to jest mieć kochanka ani jak to jest być kochanką.

Przywiązuję zbyt wiele wagi do jednej nocy, powiedziała sobie i westchnęła. Ale jak można tego nie robić?

Uniosła się. Ręka Mitcha opadła na łóżko.

- Wybierasz się gdzieś?

Chciała się odwrócić, lecz ich nogi były zbyt mocno splecione.

- Już prawie dziewiąta.

- Co z tego?

- Muszę wstać, żeby za dwie godziny odebrać Radleya.

- Hmm. Obrócił ją do siebie.

- Ładnie wyglądasz. I pysznie smakujesz. - Dotknął ustami jej warg. - Wyobraź sobie, że jesteśmy na jednej z wysp południowych. Statek rozbił się tydzień temu i tylko my przeżyliśmy. Jemy wyłącznie owoce i ryby, które łapię na sprytnie skonstruowaną wędkę.

- Ty zbudowałeś? Ja nie zrobiłam niczego pożytecznego?

- W wyobraźni możesz robić, co tylko chcesz. - Przyciągnął ją bliżej. Niemal czuł słone powietrze. - Jest poranek, po burzy świat wygląda czysto, jak umyty. Nad wodą szybują mewy. Leżymy razem na starym kocu.

- Który, narażając życie, wydobyłeś z wraku.

- Aha, chwyciłaś. Kiedy się budzimy, spostrzegamy, że jesteśmy do siebie przytuleni, choć nie mieliśmy wcześniej takiego zamiaru. Słońce jest gorące, zdążyło ogrzać nasze nagie ciała. Jesteśmy jeszcze trochę śpiący, choć już w pełni świadomi. A potem... - Pocałował ją tak, że zabrakło jej tchu. Zamknęła oczy. Ze zdumieniem stwierdziła, że poddała się jego dziecinnej wizji. - Potem zaatakował dzik i musiałem z nim walczyć.

- Nagi i nieuzbrojony?

- Dlatego trochę to trwało, ale wreszcie zabiłem go gołymi rękami.

- A ja schowałam głowę pod koc i nic, tylko piszczalam ze strachu.

- Naprawdę chwytasz. - Pocałował ją w czubek nosa. - Za to potem jesteś mi bardzo, ale to bardzo

wdzięczna za ocalenie życia.

- Biedna, bezbronna kobieta.

- Właśnie. Jesteś tak wdzięczna, że zdierasz z siebie resztki postrzępionej spódnicy, jedynego odzienia, które zdołałaś ocalić podczas burzy, i bandażujesz moje rany. A potem.. . - Urwał, by spotęgować wrażenie. - Robisz mi kawę. Cofnęła się. Nie wiedziała, czy powinna być bardziej zdumiona, czy rozbawiona.

- Wymyśliłeś to wszystko tylko po to, żebym zrobiła kawę?

- Kawę? To poranna kawa. Pierwsza filiżanka dnia. Życiodajny płyn.

- Zrobiłabym ją i bez tej opowieści.

- Może tak. Ale podobała ci się? Odgarnęła włosy z twarzy.

- Tak, ale następnym razem to ja złapię rybę i pokonam wściekłego kojota.

- Zgoda.

Wstała i choć wiedziała, że to głupie, pożałowała, że nie ma w zasięgu ręki szlafroka. Szybko podeszła do szafy i okryła się nim.

- Chcesz jakieś śniadanie?

Usiadł. Gdy się do niego odwróciła, pocierał oczy.

- Śniadanie? Masz na myśli jajka albo coś takiego? Prawdziwy posiłek? - Jadał prawdziwe śniadania tylko wtedy, gdy udało się mu zwlec z łóżka i pójść do kawiarni na rogu. - Pani Wallace, za śniadanie może pani dostać

klejnoty koronne z Perth.

- Za jajka i bekon?

- I bekon? Boże, co za kobieta! Roześmiała się, pewna, że Mitch żartuje.

- Idź, weź prysznic. Kiedy skończysz, będą gotowe. Nie żartował. Odprowadził Hester wzrokiem i pokręcił głową. Nie spodziewał się, że zaoferuje mu śniadanie. Przypomniawszy sobie, że chciała mu naszyć łaty, gdy myślała, że nie siał go na nowe dzinsy.

Wstał i powoli, z namysłem przeciągnął ręką po włosach. Chłodna i profesjonalna Hester okazała się kobietą ciepłą i nadzwyczajną. Nie pozwoli jej odejść.

Gdy wszedł do kuchni, mieszała jajka na patelni. Bekon był już podsmażony i kusząco obciekał, w ekspresie pachniała kawa. Przez chwilę stał w drzwiach, zdziwiony, że prosta domowa sceneria wywarła na nim takie wrażenie. Hester miała na sobie szlafrok, który przykrywał ją od stóp do głów. Wyglądała jednak niezwykle kusząco. Nie zdawał sobie sprawy, że tego właśnie pragnął. Poranne zapachy, niedzielne wiadomości w radiu, kobieta, która krzątała się w kuchni.

Gdy był dzieckiem, niedzielne poranki upływały w atmosferze uroczystej celebry. Śniadanie o jedenastej, podawane przez służącego w liberii. Musiał rozpościerać na kolanach serwetkę i prowadzić grzeczne rozmowy. Później zamienił to na gorączkowe poszukiwanie resztek jedzenia w kuchni albo wyprawy do najbliższej kawiarni.

Czuł się głupio, chciał jednak jakoś okazać Hester, że proste śniadanie w kuchni oznacza dla niego niemal tyle,

co wspólnie spędzona noc. Podszedł do niej z tyłu, objął ją i pocałował w szyję.

Dziwne, jak dotknięcie może przyspieszyć rytm serca i obieg krwi. Oparła się o niego.

- Prawie gotowe. Nie powiedziałaś, jakie chcesz jajka, więc zrobiłam jajecznicę z koperkiem i serem:

Mogła mu podać deskę i kazać zjeść plastikowym widelcem. Całował ją mocno i długo.

- Dziękuję.

Odwróciła się do patelni, by jajecznica się nie spaliła.

- Usiądź - poprosiła. Nalała kawę do filiżanki. - Masz swój życiodajny płyn.

Zanim usiadł, wypił od razu połowę.

- Hester, pamiętasz, co powiedziałem o twoich nogach? Obejrzała się przez ramię, nie przerywając nakładania jajecznicy na talerze.

- Tak?

- Twoja kawa jest niemal tak dobra jak one.

- Dziękuję.

Postawiła przed nim talerz i sięgnęła po opiekacz.

- A ty nie jesz? - zapytał.

- Tylko grzanekę.

Mitch spojrzał na złociste jajka i chrupiący bekon.

- Hester, nie myślałem, że zrobisz to tylko dla mnie.

- Nie ma problemu, jestem przyzwyczajona. Zawsze robię śniadanie Radleyowi.

Pogłaskał ją po dłoni.

- Nie masz pojęcia, jak jestem ci wdzięczny.

- To tylko jajka - odparła z zakłopotaniem w głosie. - Zjedz, zanim wystygną.

- Kobieta jest cudem. Potrafi wychowywać syna, wykonuje trudną pracę i jeszcze gotuje. - Odgryzł kawałek bekonu. - Chcesz wyjść za mąż?

Roześmiała się i dołała kawy do obu filiżanek.

- Jeśli wystarczy jajecznicza, żebyś złożył taką propozycję, dziwię się, że nie masz już z piętnastu żon, które ukrywasz w szafach.

Lecz on nie żartował. Wiedziałyby o tym, gdyby spojrzała na niego, jednak zajęta była smarowaniem grzanki masłem. Milch obserwował przez chwilę jej sprawne ruchy. Wybrał idiotyczny moment. Nie mogła potraktować jego słów poważnie. Poza tym jest jeszcze za wcześnie, pomyślał, nabierać na widelec kolejną porcję jajecznicy.

Powinien najpierw przyzwyczaić ją do swojej obecności, hitem sprawić, by mu naprawdę zaufała. Zrozumiała, że nigdy jej nie opuści. No i najważniejsze, musi go potrzebować. Miała swoje mieszkanie, była niezależna finansowo. W tych sprawach świetnie sobie radziła, co podziwiał. Musi jednak doprowadzić do tego, by potrzebowała go nie tylko jako kochankę, ale jako przyjaciela i powiernika, kogoś, kto zapewnia jej

emocjonalny komfort i bezpieczeństwo.

Wiedział, że czeka go trudna i skomplikowana batalia, bo Hester była kobietą niebanalną, obdarzoną wyjątkowym charakterem i miała swoje trudne doświadczenia życiowe.

A więc do dzieła, panie Dempsey!

- Masz jakieś plany na później?

- Muszę odebrać Radleya koło południa. Obiecałam, że potem zabiorę jego i Josha na poranek. Grają „Księżyc Andromedy”.

- Tak? Świetny film. Niesamowite efekty specjalne.

- Widziałeś go?

Odczuła rozczarowanie. Myślała, że może się z nimi wybierze.

- Dwukrotnie. Jest taka scena, dwóch naukowców, jeden szalony, a drugi nie. Zwali cię z nóg. I ten mutant, który wygląda jak karp. Fantastyczne.

- Karp mutant? Brzmi wspaniale. - Wzdrygnęła się komicznie.

- Uczta dla oczu. Mogę z wami pójść?

- Przecież już dwa razy to widziałeś.

- No to co? Tylko na kiepskie filmy chodzę raz. Poza tym chciałbym zobaczyć, jak Radley zareaguje na laserową bitwę w kosmosie.

- Bardzo krwawa?

- Skąd, wszystko jak należy. Rad się nie przestraszy.

- Nie chodziło mi o niego.

Mitch roześmiał się i wziął ją za rękę.

- Nie bój się, będę przy tobie. No i jak? Funduję popcorn.

- Jako bankowiec jestem łatwa do skorumpowania. Jasne, że się zgadzam.

- Dobrze. Pomogę ci pozmywać, a potem pójde wyprowadzić Taza.

- Nie, od razu go wyprowadź. Nie ma dużo naczyń, a Taz już pewnie skomli pod drzwiami.

- Dobrze. Ale następnym razem ja coś przyrządzę. Sprzątała talerze.

- Masło orzechowe i galaretkę z owoców?

- Umiem trochę więcej. Zobaczysz, padniesz z wrażenia - powiedział chwacko.

Uśmiechnęła się, sięgając po pustą filiżankę.

- Już padłam, nie musisz udawać kucharza, by...

Ujął jej twarz dłońmi i pocałował lekko, potem gwałtownie i mocno, aż oboje stracili oddech. Wreszcie puścił Hester ze słowami:

- Wrócę za godzinę.

Nie poruszyła się, aż usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Jak to się mogło stać? - zastanawiała się. Zakochała się w tym mężczyźnie. Wyszedł tylko na godzinę, chciała jednak, by wrócił jak najszybciej.

Odetchnęła głęboko i usiadła. Nie mogę tego

traktować jak poważnie, pomyślała. Mitch jest zabawny i miły, lecz nie pozostanie na zawsze. Na zawsze jestem tylko ja i Radley.

Przyrzekła kiedyś, że nigdy o tym nie zapomni. Teraz musiała to sobie powtórzyć, twardo i stanowczo.

ROZDZIAŁ 9

Rich, wiesz dobrze, że nie lubię służbowych rozmów przed południem.

Mitch, z rozwalonym Tazem u stóp, siedział w pokoju Skinnera. Choć minęła już dziesiąta i od dwóch godzin pracował, nie miał ochoty na rozmowę. Musiał zostawić swoje postaci na stole w niezwykle trudnej sytuacji. Czuł, że nie odpowiada im to tak samo jak jemu.

- Jeśli chcesz dać mi podwyżkę, to świetnie, ale czy nie można tego zrobić po obiedzie? - zapytał.

- Nie dostaniesz podwyżki. - Skinner zignorował dzwoniący na biurku telefon. - Już i tak za dużo zarabiasz.

- Jeśli chcesz mnie zwolnić, to też może poczekać do obiadu.

- Nie chcę cię zwolnić. - Ściągnął brwi tak, że spotkały się nad nosem. - Ale jeśli będziesz tu nadal przyprowadzał to zwierzę, mogę zmienić zdanie.

- Taz jest moim agentem i nie mam przed nim żadnych tajemnic, więc śmiało możesz przy nim mówić o wszystkim.

Skinner zagłębił się w fotelu i nerwowo splótł dłonie.

- Wiesz, Dempsey, ktoś, kto cię nie zna, pomyślałby, że żartujesz. Ja niestety cię znam i wiem, że jesteś wariat.

- Właśnie dlatego tak dobrze się nam współpracuje. Pokichaj, Rich, mam Mirium w sali pełnej rannych rebeliantów z Zirial. Współczuje im i nie czuje się tam zbyt dobrze. Odłóżmy rozmowę, a wrócę i wyprowadzę ją stamtąd.

- Rebelianci z Zirial - powtórzył Skinner. - Nie myślisz o sprowadzeniu z powrotem czarodzieja Nimroda?

- Wpadło mi to do głowy. Mógłbym wrócić i zobaczyć, czy wskóra coś niewidzialnym rękawem, gdybyś tylko powiedział mi wreszcie, po co mnie tu ściągnąłeś.

- Pracujesz tutaj - przypomniał Skinner.

- To nie jest wytłumaczenie. Skinner tylko wydał policzki.

- Wiesz, że Two Moon Pictures zamierza kupić od Univerpoolu prawa do Zarka? Chcieliby nakręcić pełnometrażowy film.

- Pewnie, że wiem. To się ciągnie, zaraz, chyba już dwa i pół roku. - Ponieważ kwestie handlowe go nie interesowały, wyciągnął nogę i zaczął masować stopą bok Taza. - Ostatnio mnie poinformowałeś, że nim skończą negocjacje, najwolniejszy żółw doczłapałby się stąd na Florydę. - Uśmiechnął się. - Chyba dobrze to ująłeś.

- Wczoraj sfinalizowali sprawę - poinformował obojętnym tonem Rich. - Two Moon zaczyna kręcić Zarka.

Z twarzy Mitcha zniknął uśmiech.

- Mówisz poważnie?

- Zawsze jestem poważny - odpowiedział Rich. obserwując reakcję Mitcha. - Spodziewałem się po tobie nieco więcej entuzjazmu. W końcu to twoje dziecko zostanie gwiazdą filmową.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co tym myśleć. - Mitch wstał i zaczął chodzić po zagraconym pokoju. Gdy mijiał okno, rozsunął zasłony, by wpuścić trochę zimowego światła.

- Traktuję Zarka bardzo osobiście. Nie wiem, jak się zapatrywać na jego podróż do Hollywood.

- Powinieneś się przyzwyczaić, gdy B.C. Toys zrobiła lalki.

- Ruchome figury - poprawił odruchowo Mitch. - Nie miałem nic przeciwko temu, bo dobrze pasowały.

Wiedział, że to głupie. Zark nie był jego. Stworzył go, to prawda, lecz handlowe prawa do niego, jak i do innych postaci z komiksów, miał Universal. Taka była zasada, od której nie było odstępstwa. Gdyby Mitch nie włączył się w prace nad filmem, straci Zarka, wyda go na pastwę wyobraźni innych osób.

- Zostawiają nam jakiś margines swobody?

- Boisz się, że niecie wykorzystają twojego pierworodnego?

- Mówiąc szczerze, tak.

- Posłuchaj, wytwórnia Two Moon kupiła prawa do Zarka dlatego, że film może być kasowy. Z taką postacią, jaka jest. Zmiany nie leżą w ich interesie. Spójrz na to tak: komiksy są wielkim i bardzo dochodowym przemysłem.

Nakład sto trzydzieści milionów rocznie to nie jest coś, co można zlekceważyć. Teraz mamy w dodatku koniunkturę, chyba największą od lat czterdziestych. Ci faceci z wybrzeża mogą się śmiesznie ubierać, ale sukces finansowy wyczują na kilometr. Jeśli się jednak niepokoisz, możesz przyjąć ich ofertę.

- Jaką ofertę?

- Chcą, żebyś napisał scenariusz. Mitch zatrzymał się.

- Ja? Przecież nie jestem scenarzystą.

- Napisałeś Zarka i producentom to wystarcza. Nasi wydawcy też nie są głupi. Skąpi jak cholera - dodał, patrząc na wytarte linoleum - ale nie głupi. Chcą, żeby scenariusz pochodził od nas. W umowie jest taka klauzula, że mamy wybór. Ci z Two Moon chcieliby ciebie. Jeśli się nie zgodzisz, poproszą, żebyś został konsultantem kreatywnym.

- Konsultant kreatywny - powtórzył nabożnie Mitch, zachwycając się pretensjonalnym brzmieniem tej nazwy.

- Na twoim miejscu, Dempsey, wziąłbym agenta, który zna się na rzeczy.

- Być może. Posłuchaj, zamierzam to przemyśleć. Ile mi dają czasu?

Nikt nie wspominał o terminie. Chyba nie wpadło im do głowy, że mógłbyś się wahać. Nie znają ciebie tak jak ja.

Potrzebuję paru dni. Jest ktoś, z kim chciałbym porozmawiać.

Skinner odczekał chwilę i powiedział:

- Mitch, nieczęsto taka okazja sama puka do drzwi.

- Wiem, nie będę zwlekał, ale daj mi trochę czasu.

Jak się już coś dzieje, to wszystko naraz, myślał, idąc z Tazem ulicą. To miał być zupełnie zwyczajny rok. Mitch planował, że najpierw przysiadzie łańdów, a potem wyjedzie na kilka tygodni na narty, będzie pić brandy i zrobi trochę zamieszania na farmie u wuja. Na stokach mógł poznać jakąś atrakcyjną dziewczynę, żeby nie nudzić się wieczorami. Trochę by szkicował, dużo spał i szusował po górach. Bardzo proste.

Lecz nagle wszystko się zmieniło. Znalazł w Hester to, czego skrycie pragnął, i teraz toczył ciężką batalię, by również ona zrozumiała, że jest dla niej tym samym. I oto otrzymał najważniejszą zawodową propozycję w swym życiu. Lecz przyjmie ją dopiero wtedy, gdy okaże się, że nie zrujnuje jego spraw osobistych.

Do tej pory w zasadzie nie oddzielał życia zawodowego od prywatnego. Był tą samą osobą, gdy wypijał kilka drinków z przyjaciółmi i gdy przemierzał kosmos z Zarkiem. Lecz od kiedy pojawili się Radley i Hester, jest inaczej. Musiał wszystko z nimi omówić. Pragnął, by kępowały go więzy, których dotąd starannie unikał.

Poszedł więc najpierw do niej.

Wkroczył do banku. Od mrozu szczypały go uszy. Podczas długiego spaceru przemyslał słowa Skinnera i czuł już pierwsze ukłucia podniecenia. Zark w technikolorze, ze stereofonicznym dźwiękiem, panoramiczny ekran.

Przystanął przy biurku Kay.

- Zjadła już drugie śniadanie? - zapytał. Kay oderwała wzrok od kalendarza.

- Nie.

- Ktoś u niej jest?

- Ani żywej duszy.

- To dobrze. O której ma najbliższe spotkanie? Kay zajrzała do notesu.

- O drugiej piętnaście.

- Będzie na czas. Gdyby się pojawił pan Rosen, powiedz mu, że zabrałem panią Wallace na obiad, żeby omówić problemy refinansowania.

- Tak jest.

Gdy otworzyły się drzwi, Hester właśnie ślęczała nad obliczeniami.

- Kay, potrzebuję oszacowania kosztów budowy Lorimara. Aha, mogłabyś mi zamówić kanapkę? Tylko nie za dużą. Chciałabym skończyć dziś te wyliczenia. Przepraszam, jeszcze transakcje wymienne na rachunku Duberry'ego. Zobacz pod 1099.

Mitch zamknął za sobą drzwi.

- Jezu, jak mnie podnieca ten bankowy żargon.

- Mitch. - Hester uniosła wzrok. - Co tu robisz?

- Zabieram cię, musimy się szybko wymknąć. Taz odwraca uwagę strażników. - Zdjął z wieszaka jej płaszcz. - Chodźmy. Staraj się nie pokazywać twarzy i wyglądać

naturalnie.

- Mitch, muszę...

- Zjeść chińskie jedzenie i kochać się ze mną. Sama wybierz kolejność. Masz, zapnij się.

- Jeszcze nie skończyłam z tymi liczbami.

- Nie uciekną. - Zapiął jej płaszcz. - Hester, wiesz od jak dawna nie spędziliśmy sami razem godziny? Od czterech dni.

- Wiem, przepraszam, byłam bardzo zajęta.

- Zajęta. - Wskazał głową jej biurko. - Nie zamierzam się co do tego spierać, ale... Praca pracą, lecz również trzymałaś mnie na dystans.

- Nie, wcale. - Tak naprawdę na dystans trzymała samą siebie, starając się sobie udowodnić, że nie potrzebuje Mitcha tak bardzo, jak się jej wydaje. Wynik rozminął się jednak z nadziejami. Miała namacalny dowód: szybkie bicie serca, gdy teraz na niego patrzyła. - Mitch, wyjaśniłam ci, jak się czuję... wtedy, u ciebie w domu, kiedy w sąsiednim pokoju siedział Radley.

- Nie zamierzam się o to spierać. - Choć chciałby. - Teraz jednak Radley jest w szkole, a ty masz konstytucyjne prawo do przerwy śniadaniowej. Chodźmy już. Naprawdę cię potrzebuję.

Nie mogła odmówić ani udawać, że nie chce z nim wyjść. Wiedząc, że może później tego żałować, odwróciła się plecami do rozłożonej na biurku pracy.

- Wystarczy mi masło orzechowe i dżem. Nie jestem głodna.

- Dostaniesz.

Piętnaście minut później wchodzili do mieszkania Mitcha. Jak zwykle okna nie były zasłonięte i wpadało dużo światła. Zdjęła płaszcz i zaczęła się zastanawiać, co dalej.

- Daj mi to. - Mitch niedbale rzucił płaszcz na krzesło. - Ładny kostium, pani Wallace - mruknął.

Zatrzymała dłonią jego rękę, gdyż sytuacja rozwijała się zbyt szybko.

- Czuję się...

- Dekadenco?

Zobaczyła w jego oczach iskierki humoru i natychmiast ją to uspokoiło.

- Raczej tak, jakbym o północy wyszła przez okno i po sznurze ze skrzyżowanego prześcieradła ześliznęła się na dół.

- Zrobiłaś to kiedyś?

- Nie. Zastanawiałam się nad tym, ale nie wiedziałam, co miałabym robić, gdy już będę na dole.

- Dlatego właśnie za tobą przepadam. - Pocałował ją i poczuł, że jej usta oddają pieśczętę. - Wyjdź przez okno do mnie, Hester. Pokażę ci, co robić.

Wbił palce w jej włosy, a ona od razu poczuła, że traci nad sobą panowanie.

Pragnęła go. To było szalone, lecz tak, chciała go. Nocami o nim myślała, o tym jak jej dotykał, a teraz jego ręce robiły to, co przedtem wspominała. Tym razem

okazała się od niego szybsza. Zdjęła mu przez głowę sweter. Lekko przygryzała jego wargę, aż zdarł z niej żakiet i zaczął rozpinąć guziki bluzki.

Poczuła jego ręce, już nie tak delikatne ani ciepłe. Porzuciła jednak ostrożność. Nie miało znaczenia, czy to dzień, czy noc. Była tam, gdzie chciała być, gdzie - choć udawała, że jest inaczej - potrzebowała być.

Szaleństwo, to po prostu szaleństwo. Zastanawiała się, jak mogła tak długo wytrzymać bez Mitcha.

Rozpiął jej spódnicę, która opadła na podłogę. Wpił się ustami w szyję. Cztery dni? Minęły tylko cztery dni? Wydawało się, że całe lata. Była tak gorąca, jak sobie wymarzył. Mógłby jej godzinami dotykać, pieścić.

- Sypialnia - zdołała wyszeptać, gdy zdarł z niej stanik.

- Nie, tutaj. Pociągnął ją na podłogę.

Chwyliła jego biodra i przyciągnęła do siebie. Gdy odzyskał zdolność myślenia, Hester obserwowała pyłki kurzu tańczące w promieniach słońca. Leżała na starym, bezcennym francuskim dywanie, z głową Mitcha między piersiami. Środek dnia, w banku na jej biurku piętrzyły się papiery, a ona spędziła przerwę śniadaniową w miłosnym uścisku na podłodze. Nic do tej pory nie sprawiło jej większej przyjemności.

Nie wiedziała, że życie może być właśnie takie, pełne przygód, jak podczas hucznego karnawału. Przez całe lata nie dopuszczała miłości do siebie, bezwarunkowo oddana swym obowiązkom. Dopiero teraz zaczęła zdawać

sobie sprawę, że można mieć jedno i drugie. Na jak długo? Nie wiadomo. Skąd mogłaby wiedzieć? Może wystarczy jeden dzień? Przeciągnęła palcami po włosach.

- Fajnie, że zabrałeś mnie na drugie śniadanie.

- Możemy z tego zrobić stały zwyczaj. Nadal chcesz kanapkę?

- Nie, nie potrzebuję niczego. - Poza tobą, chciała dodać. Powstrzymała się, choć stwierdziła, że zaczyna się do tego przyzwyczajając. - Zaraz muszę wracać.

- Masz spotkanie dopiero o drugiej piętnaście, sprawdziłem. A transakcje mogą chyba trochę poczekać?

- Mogą.

- Chodź. - Wstał i pociągnął ją za rękę.

- Dokąd?

- Weźmiemy szybki prysznic, a potem muszę z tobą porozmawiać.

Po kąpieli przyjęła zaoferowany szlafrok i próbowała się nie martwić tym, co Mitch zamierza jej powiedzieć. Znała go już na tyle, że mogła się po nim spodziewać każdej niespodzianki. Kłopot polegał na tym, że nie była pewna, czy jest gotowa na następną. Usiadła obok niego na kanapie i zamieniła się w słuch.

- Wyglądasz, jakbyś czekała, aż zawiążą ci oczy i dadzą ostatniego papierosa.

Odgarnęła mokre włosy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie, tylko jesteś taki... niesłychanie poważny.

- Powiedziałem ci już kiedyś, że czasami taki bywam. - Zgarnął nogą czasopisma ze stolika. - Otrzymałem pewne informacje i sam nie wiem, co o tym myśleć. Chciałbym poznać twoje zdanie.

- Coś z twoją rodziną? - spytała niespokojnie.

- Nie. - Wziął ją za rękę. - Przepraszam, zrobiłem taki wstęp, jakby chodziło o coś złego. A jest wręcz przeciwnie. Przynajmniej tak uważam. Producent z Hollywood właśnie zawarł z Universem umowę na film o Zarku.

- Film? To wspaniale! Powinieneś być trochę przestraszony, lecz dumny.

- Po prostu nie wiem, czy potrafią uchwycić to co najważniejsze. Nie patrz na mnie w ten sposób.

- Mitch, znam twój stosunek do Zarka. Przynajmniej tak sędzę. Ty go stworzyłeś i jest dla ciebie ważny.

- Nie tylko ważny. Dla mnie on naprawdę istnieje. Zmienił moje życie, sposób myślenia, postrzegania własnej pracy. Nie chcę, żeby zrobili z niego jakiegoś papierowego bohatera albo co gorsza kogoś nieomylnego i nieludzko doskonałego.

Hester przez chwilę milczała. Zaczynała rozumieć. Mitch był ojcem Zarka, prawdziwym ojcem. Gdy ona została matką, wszystko się zmieniło, cały świat i ona sama. Podobnie Mitch, który urodził pewną ideę, którą nazwał Zarkiem.

- Powiedz mi, dlaczego go stworzyłeś?

- Chciałem, by powstał bardzo ludzki bohater, z

wszystkimi słabościami i niedoskonałościami, który mimo to kieruje się w życiu szlachetnymi motywami. Ktoś, kogo dzieci by rozumiały, gdyż jest z krwi i kości, jednak ma w sobie dość siły, żeby pokonać słabość. One często nie mają wyboru. Sam pamiętam, jak trudno mi było powiedzieć „nie”, „nie chcę”, „to mi się nie podoba”. Natomiast Zark szuka, zastanawia się, rozważa. Zdarza mu się pobłądzić, lecz jego intencje są zawsze szlachetne, moralnie czyste. Jest kosmicznym poszukiwaczem prawdy o sobie i o świecie.

- Uważasz, że ci się to udało?

- Tak, udało mi się. Oczywiście wiem, że to postać wymyślona, ale jak już mówiłem, dla mnie jest żywym człowiekiem. Z drugiej strony dzięki niemu odniosłem zawodowy sukces i zacząłem liczyć się w branży. Zark wyniósł Universal na sam szczyt. Każdego roku przynosi miliony dolarów.

- Czy to ci przeszkadza?

- Nie, a powinno?

- Więc nie masz powodu, żeby się wahać przed zrobieniem następnego kroku.

Mitch zamilkł. Właśnie na to liczył. Hester zobaczyła wszystko dużo wyraźniej niż on, bez uprzedzeń. Czyż nie stanowiło to kolejnej przyczyny, dla której jej potrzebował?

- Proponują mi napisanie scenariusza.

- Co? - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Och, Mitch, to cudownie! Jestem z ciebie dumna.

- Nigdy tego nie robiłem.

- Boisz się, że nie dasz rady?

- Nie jestem pewien.

- To dziwne. Gdyby ktokolwiek zapytał, powiedziałabym, że jesteś najbardziej pewnym siebie człowiekiem, jakiego znam. No i że nie pozwoliłbyś nikomu dłużyć przy Zarku.

- Tylko że scenariusz filmu to coś zupełnie innego niż wymyślanie historyjek do komiksu.

- Co z tego? Roześmiał się.

- Hesster, wykorzystujesz przeciwko mnie mój sposób mówienia!

Na pewno potrafisz to zrobić. Wyobraźni ci nie brakuje, u nikt inny nie zna tak dobrze postaci. Nie widzę żadnego I i oblęmu.

Najgorsze jest zebranie się na odwagę. Aha, gdybym jednak się nie zgodził, proponują funkcję konsultanta kreatywnego.

Nie mogę ci niczego narzucać, Mitch....

Ale? Nachyliła się i położyła mu ręce na ramionach.

- Napisz scenariusz. Nigdy sobie nie wybaczysz, jeśli z tego zrezygnujesz. Nie ma żadnej gwarancji, lecz jeśli nie podejmiesz ryzyka, z góry przekreślisz szansę na wygraną.

Ujął mocno jej dłoń.

- Naprawdę tak uważasz? Tak. Wierzę w ciebie.

Pocałowała go.

- Wyjdź za mnie, Hester.

Zamarła. Powoli, bardzo powoli cofnęła głowę.

- Co?

- Wyjdź za mnie. Kocham cię.

- Nie, przestań, proszę.

- Co znaczy to „nie”? Mam cię nie kochać? - Mocno Mi śnął jej dłonie. - Nigdy do żadnej kobiety nie czułem tego co do ciebie. Chcę z tobą spędzić całe życie.

- Nie mogę. - Słowa przychodziły jej z trudem. - Nie mogę za ciebie wyjść. Nie mogę wyjść za nikogo. Nie rozumiesz, o co prosisz.

- Rozumiem. - Spodziewał się, że będzie zaskoczona, że będzie się trochę opierać... Jednak było inaczej. Hester była przerażona. - Posłuchaj, ja nie jestem Allanem. Poza tym oboje wiemy, że ty nie jesteś już tą kobietą, która za niego wyszła.

- To bez znaczenia. Nie chcę znów przez to wszystko przechodzić. Nie zamierzam narażać na to Radleya. - Wstała i zaczęła się ubierać. - Nie jesteś rozsądny.

- Ja nie jestem? - Starając się nad sobą panować, podszedł do niej i zaczął zapinać jej guziki. Zesztywniała. - To ty nie jesteś rozsądna. Tłumisz swoje uczucia czy też raczej je kształtujesz przez pryzmat tego, co zdarzyło się dawno temu.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Może nie, a może to tylko nieodpowiednia chwila. W końcu będziesz musiała. - Odwrócił ją do siebie. - Będziemy musieli.

Chciała odejść, zapomnieć. W tej chwili nie miała jednak wyboru.

- Mitch, znamy się zaledwie od kilku tygodni, dopiero niedawno się do siebie zbliżyliśmy. Zaczęłam się do tego przyzwyczajać, a ty już chcesz więcej.

- Czyż to nie ty mówiłaś, że nie interesuje cię obojętny, zimny seks?

Zbladła. Odwróciła się, żeby sięgnąć po zakiet.

- Nie byłam obojętna. Nie byłam zimna. Ty też nie.

- Pewnie. Ale czy to do ciebie dociera?

- Tak, ale...

- Hester, powiedziałem, że cię kocham. Chcę wiedzieć, co ty do mnie czujesz.

- Nie wiem. - Westchnęła, gdy znów chwycił ją za ramiona. - Naprawdę. Myślę, że cię kocham. Dziś. Ty jednak prosisz, żebym zaryzykowała wszystko, co mam, życie, które stworzyłam dla siebie i Rada, opierając się na uczuciu, które może się z dnia na dzień odmienić.

Miłość nie odmienia się z dnia na dzień - zaprotestował. - Można ją zniszczyć albo pielęgnować. To zależy od nas samych. Chcę, żebyś podjęła decyzję, najważniejsze moralne zobowiązanie. Chcę, żebyś stworzyła dla mnie rodzinę, lak jak ja uczynię to dla ciebie.

Mitch, to wszystko dzieje się za szybko. Za szybko

dla nas obojga.

Daj spokój, Hester, mam trzydzieści pięć lat i nie jestem zmyślnym młodzieńcem. Nie chcę się z tobą ożenić po to, aby mieć seks na każde zawołanie, a rano jajecznicę. Wiem, że możemy razem stworzyć nasze życie. Piękne, mądre, czułe i uczciwe. Nie ma nic ważniejszego na tym świecie.

- Nie wiesz, jak wygląda małżeństwo, tylko to sobie wyobrażasz.

- A ty poznałaś je tylko ze złej strony, Hester. Spójrz na mnie - zażądał. - Kiedy wreszcie przestaniesz oceniać wszystkich według ojca Radleya?

- Tylko takie mam doświadczenia. - Straciła jego rękę. Mitch, bardzo mi pochlebia, że chcesz się ze mną ożenić.

- Przestań się wygłupiać.

- Proszę. Zależy mi na tobie. Wiem tylko jedno: że nie chcę cię stracić.

- Małżeństwo tego nie spowoduje, Hester.

- Mitch, przepraszam, ale nie potrafię myśleć o małżeństwie. Jeśli teraz będziesz chciał ze mną zerwać, zrozumieć to. Ale... wołałabym, żeby pozostało tak, jak jest.

Włożył ręce do kieszeni. Dobrze znał tę swoją cholerną wadę: wszystko robił za szybko i za gwałtownie. Jednak do furii doprowadzała go myśl, że bezsensownie marnują czas, który mogliby spędzić razem.

- Na jak długo, Hester?

- Na tak długo, jak będzie to trwać. - Zamknęła oczy.
- Przepraszam, jeśli zabrzmiało to niegrzecznie. Wiele dla mnie znaczysz. Więcej, niż mogłam sobie wyobrażać.

Mitch dotknął palcem jej policzka i poczuł, że palec jest mokry.

- Cios poniżej pasa - stwierdził, obserwując łzę.

- Przepraszam, samo tak wyszło. Nie miałam pojęcia, że to planowałeś, że wymyśliłeś coś takiego.

Zaśmiał się gorzko.

- We wszystkich trzech wymiarach.

- Zraniłam cię. Nie masz pojęcia, jak bardzo tego żałuję.

- Nie, sam się o to prosiłem. Prawda jest taka, że ta myśl nie ma nawet tygodnia.

Chciała dotknąć jego dłoni, lecz zatrzymała rękę w pół drogi.

- Mitch, nie moglibyśmy o tym zapomnieć? Wrócić do punktu, w którym byliśmy przed tą rozmową?

Poprawił jej kołnierz.

- Niestety nie. Już postanowiłem, Hester. Rzadko coś postanawiam, ale jeśli już, to nie ma odwrotu. - Spojrzał na nią żarliwie. - Zamierzam się z tobą ożenić, prędzej czy później. Jeśli później, to trudno. Dam ci trochę czasu na oswojenie się z tą myślą.

- Mitch, ja nie zmienię zdania. Byłabym nieuczciwa, pozwalając ci sądzić, że jest inaczej. Chodzi o obietnicę, którą sobie złożyłam.

- Niektóre obietnice najlepiej jest złamać.

Pokręciła głową. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Chciałabym tylko... Nic nie mów. Porozmawiamy o tym później. Odwiozę cię do banku.

Nie. Naprawdę nie - dodała, gdy chciał się sprzeciwić. Potrzebuję trochę spokoju, żeby pomyśleć. W twojej obecności to niemożliwe.

Dobry początek, tylko następnym razem, gdy poproszę i cię o rękę, nie płacz. To fatalnie działa na moje ego. Do zobaczenia, pani Wallace. Dziękuję za drugie śniadanie. Oszołomiona, ruszyła w kierunku drzwi. Później do ciebie zatelefonuję. Tak, zrób to. Będę czekał. Zamknął za nią drzwi i ciężko się o nie oparł. Boli? - pomyślał. Tak. Gdy ukochana osoba odmawia... Przeżył to już kiedyś w Nowym Orleanie, lecz do tego nie sposób się przyzwyczaić. Dostał maczugą po łbie i teraz boli, cholernie boli. Nie zamierzał jednak ogłaszać kapitulacji. Gdy nie udaje .iv frontalny atak, trzeba wymyślić inny sposób. Subtelny, sprytny i tym razem nie do odparcia. Spojrzał z namysłem na Taza.

- Jak myślisz, dokąd Hester chciałaby pojechać na nasz miesiąc miodowy?

Pies pisnął i przetoczył się na plecy.

- Nie, co ty, Bermudy są przereklamowane. Myśl dalej. Ja leż będę myślał.

ROZDZIAŁ 10

Radley, zachowujcie się trochę ciszej, proszę.

Hester zdjęła z szyi miarkę i przyłożyła do ściany. Doskonale, pomyślała, skinąwszy z satysfakcją głową. Wyjęła zza ucha ołówek i zaznaczyła dwa miejsca na gwoździe.

Mała, szklana półka, którą chciała powiesić, stanowiła jej prezent dla samej siebie. Była jedną z tych całkowicie niepotrzebnych rzeczy, które sprawiają przyjemność. Przez lata z konieczności nauczyła się tych wszystkich domowych czynności, które są męską domeną. Ale nie miała wyboru. Chwyciła młotek i przyłożyła pierwszy gwóźdź. Uderzyła dwa razy, gdy przerwało jej pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - krzyknęła i wbiła gwóźdź do końca. Z pokoju Radleya dochodziły salwy artylerii przeciwlotniczej i świst pocisków. Wyjęła z ust drugi gwóźdź i schowała go do kieszeni. - Rad, aresztuj nas za zakłócanie spokoju!

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Zobaczyła Mitcha.

- Cześć.

Miłe zaskoczenie, jakie ujrzał w oczach Hester, było dla niego nagrodą. Od nieszczęsnych oświadczyń minęły

dwa dni. Przez cały ten czas intensywnie myślał. Miał nadzieję, że Hester również.

- Mała przebudowa? - zapytał, spoglądając na młotek.

- Tylko wieszam półkę. Wejdz.

Gdy wszedł, spojrział na drzwi pokoju Radleya. Wydobywający się stamtąd ryk silników sugerował potężny atak lotniczy.

- Nie wspomniałaś, że zaczęłaś prowadzić wesołe miasteczko.

- To moje najskrytsze marzenie. Rad! - krzyknęła. - Oni podpisali traktat pokojowy! Wstrzymać ogień! - Uśmiechnęła się do Mitcha i wskazała fotel. - U Radleya jest Josh. I Ernie. Ernie mieszka na górze i chodzi z Radem do szkoły.

- Wiem, dziecko Bittermanów, znam go. Całkiem fajna półeczka.

- To prezent za dobrze zakończony miesiąc w National Trust. - Hester przeciągnęła palcem po szklanej krawędzi. Marzyła o tej półce bardziej niż o nowym kostiumie.

- Dają wam takie prezenty?

- Nie. Sama sobie dałam.

- Dobra myśl. Chcesz, żebym to do końca umocował? Spojrzała na młotek.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie. Usiądź wreszcie, zrobię ci kawę.

- Skoro ty wieszasz półkę, to ja zrobię kawę. -
Pocałował ją w czubek nosa. - I zrelaksuj się, dobrze?

- Mitch. - Gdy ruszył w kierunku kuchni, chwyciła go za ramię. - Strasznie się cieszę, że cię widzę. Bałam się, wiesz, że jesteś na mnie zły.

- Zły? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - O co?

- O... - Urwała, gdyż patrzył na nią z wielkim zaciekawieniem. Zaczęła się zastanawiać, czy jego oświadczyzny po prostu jej się nie przyśniły. - O nic. - Wydobyła z kieszeni gwóźdź. - Zrób sobie kawę.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się, gdy się odwróciła. Osiągnął to, co zaplanował. Wprowadził do jej głowy zamęt. Teraz musi pomyśleć o nim, o tym, co zaszło. Im więcej Hester będzie się nad tym zastanawiać, tym szybciej we właściwy sposób rozwiąże swój dylemat.

Pogwizdując, wszedł do kuchni.

Nie, przypomniała sobie, wbijając drugi gwóźdź, on się naprawdę oświadczył. Pamiętała jego słowa, pamiętała swą odpowiedź. Wiedziała, że Mitch był zły, że czuł się zraniony. Przecież z tego powodu od dwóch dni dręczą ją wyrzuty sumienia! A teraz wszedł, jakby nic się nie stało.

Odłożyła młotek i podniosła półkę. Może ochłonął i w końcu poczuł ulgę? Ucieszył się, że nie oddała mu swej ręki i dzięki temu zachował wolność? Chyba tak, uznała, zastanawiając się, dlaczego ta myśl nie sprawiła jej radości.

- Upiekłaś ciastka - zauważył Mitch, wylaniając się z dwoma filiżankami. Na jednej niebezpiecznie chwiało się

talerz z ciasteczkami.

- Tak, dziś rano - odparła, przymierzając półkę.

- Z prawej trochę wyżej - poradził. Usiadł na poręczy fotela. Postawił filiżanki i chwycił ciasteczko z czekoladowymi wiórkami. - Świetne - pochwalił. - Możesz mi wierzyć, ja się na tym znam.

- Cieszę się.

Odsunęła się od ściany, żeby nacieszyć wzrok nowym nabytkiem.

- To ważne. Nie wiem, czy mógłbym poślubić kobietę, która robi kiepskie ciasteczka. - Wziął drugie i przyjrzał się mu. - No, może bym mógł - przyznał, gdy Hester powoli się do niego odwracała - ale to już nie byłoby to samo. - Pożarł drugie ciasteczko i uśmiechnął się. - Na szczęście to tylko teoretyczny problem.

- Mitch...

Zanim wymyśliła odpowiedź, do pokoju wpadł Radley, a za nim jego przyjaciele.

- Mitch! Właśnie mieliśmy bitwę. Tylko my przeżyliśmy.

- To zaostrza apetyt. Poczęstuj się. Radley złapał ciasteczko.

- Idziemy do Erniego po więcej broni. - Sięgnął po następne, lecz napotkał spojrzenie matki. - Nie przyprowadziłeś Taza.

- Wczoraj do późna oglądał telewizję i teraz odsypia.

- W porządku. - Radley uśmiechnął się i zwrócił się

do matki. - Możemy pójść na chwilę do Erniego?

- Tak, ale jeśli zamierzacie wyjść na dwór, to mi o tym powiedz.

- Dobrze. Lećcie, chłopaki, ja muszę jeszcze trochę tu zostać.

Pobiegł do sypialni, a jego koledzy ruszyli w kierunku drzwi.

- Cieszę się, że ma nowych przyjaciół - powiedziała Hester, sięgając po filiżankę. - Wiesz, w nowym miejscu mogło być różnie.

- Radley łatwo nawiązuje znajomości..

- Rzeczywiście.

- Ma też matkę, która nie przegania jego przyjaciół i piecze dla nich ciasteczka. - Napił się kawy. - Oczywiście po ślubie musimy się postarać, żeby miał również rodzeństwo. Co chcesz postawić na tej półce?

- Nic ważnego - mruknęła. - Mitch, nie chcę się z tobą spierać, ale sądzę, że powinniśmy sobie coś wyjaśnić.

- Co wyjaśnić? Och, miałem ci powiedzieć, że zacząłem! pracować nad scenariuszem. Nieźle mi idzie.

- To dobrze. Ale posłuchaj, musimy najpierw omówić j pewne sprawy.

- Jasne. Co to za sprawy?

Otworzyła usta, lecz z sypialni wyszedł właśnie Radley.

- Zrobiłem coś dla ciebie w szkole. Chłopiec chował

ręce za plecami.

- Tak? - zainteresował się Mitch. - Mogę zobaczyć?

- Są walentynki, wiesz. - Po chwili wahania wręczył, Mitchowi kartę przewiazaną niebieską wstążką. - Dla mamy j zrobiłem serce z koronkami, ale pomyślałem, że dla faceta j lepsza będzie wstążka. Trzeba otworzyć.

Niepewny, czy będzie w stanie zapanować nad głosem, j Mitch otworzył kartę i przeczytał: „Dla najlepszego przyjaciela, Mitcha. Kocham cię. Radley”.

- Wspaniała. Ja, wiesz... nikt nigdy nie dał mi takiej walentynkowej kartki.

- Naprawdę? Robię je dla mamy od zawsze. Mama mówi, że woli takie od gotowych, które można kupić.

- Ja też wolę. Zdecydowanie. - Nie wiedział, czy dziewięcioletni chłopcy tolerują pocałunki. Zmierzył mu ręką włosy i tak czy inaczej pocałował. - Dziękuję.

- Proszę bardzo. Cześć.

Mitch usłyszał trzask drzwi. Spojrzał na mały kawałek papieru.

- Nie wiedziałam, że przygotował dla ciebie kartkę - powiedziała Hester. - Chciał to zachować w tajemnicy.

- Fajna. - Nie potrafił wyrazić, ile ta kartka dla niego znaczyła. Wstał i podszedł do okna. - Przepadam za nim.

- Wiem. - Hester zwilżyła językiem wargi. Gdyby nawet wątpiła w uczucie Mitcha do jej syna, teraz zyskała namacalny dowód. Co jeszcze bardziej wszystko komplikowało. - Tak wiele dla niego zrobiłeś. Dużo dla

niego znaczysz, choć nie mogę od ciebie wymagać, żebyś się nim zajmował.

Musiał opanować wściekłość. Nie chciał podziękowań, chciał znacznie więcej. Trzymaj się w ryzach, Dempsey, powiedział sobie.

- Najlepsze, co możesz zrobić, Hester, to przyzwyczaić się do tego.

- Właśnie tego nie mogę. - Podeszła. - Mitch, jesteś mi bardzo bliski, ale nie chcę się od ciebie uzależnić. Nie mogę sobie na to pozwolić.

- To twoje zdanie. - Starannie odłożył kartkę na stolik. - Są również inne opinie, ale nie będę się spierał.

- A jeśli chodzi o to, co powiedziałaś przedtem...

- Co powiedziałem?

- O tym, co będzie po ślubie.

- Ja tak powiedziałem? - Uśmiechnął się. - Nie wiem, o czym wtedy myślałem.

- Mitch, mam wrażenie, że chcesz mnie wprowadzić z równowagi!

- No i co, udało mi się?

Traktuj to lekko, powiedziała sobie. Jeśli Mitch ma ochotę w coś grać, to niech tak będzie.

- Tak, udało ci się ostatecznie potwierdzić swoim zachowaniem, że jesteś bardzo dziwnym człowiekiem.

- W jakim sensie?

- Zacznijmy od tego, że mówisz do psa.

- Ale przecież on również gada ze mną, więc to się nie liczy. Jaki tam ze mnie dziwak. Spróbuj czegoś innego.

Przyciągnął ją do siebie. Być może nie rozumiała tego do końca, ale rozmawiali o swoich wzajemnych relacjach, a Hester wcale się nie denerwowała.

- Pisziesz i rysujesz komiksy, żeby zarabiać na życie. Ale również je czytasz i kolekcjonujesz.

- Jako doświadczony pracownik banku powinnaś rozumieć, że dobre inwestycje są podstawą wszystkiego. Czy wiesz, ile podwójne wydanie moich „Obrońców Perth” jest warte dla kolekcjonera? Skromność nie pozwala mi na podanie liczb.

- Założyłabym się, że pozwala. Przyznał to lekkim skinieniem głowy.

- Z przyjemnością omówię z panią, pani Wallace, kwestię wartości literatury. W tym lub innym znaczeniu. Czy już wspomniałem, że byłem w szkole przewodniczącym kółka dyskusyjnego?

- Nie. No dobrze, idźmy dalej. Przez pięć lat nie wyrzucasz gazet i czasopism. - W jej tonie zabrzmiały oskarżycielskie nuty.

- Składałam je jako surowiec wtórny. Ekolog to moje drugie imię.

- Zawsze masz na wszystko gotową odpowiedź.

- A od ciebie wymagam tylko jednej. Aha, wspomniałem już, że zakochałem się w twoich oczach w minutę później, gdy zakochałem się w nogach?

- Nie, nie wspomniałeś. Wiesz, ja też ci nie

powiedziałam, że kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy przez wizjer, długo ci się przyglądałam.

- Wiem. - Odwzajemnił jej uśmiech. - Kiedy ktoś patrzy od środka, z zewnątrz widać cień.

- Och - odparta zmieszana.

- Wie pani, pani Wallace, te dzieci mogą tu za chwilę wrócić. Mam propozycję. Czy moglibyśmy na dziesięć minut przerwać rozmowę?

Objęła go.

- Moglibyśmy.

Nie chciała przyznać, nawet wobec siebie samej, że w jego objęciach czuje się bezpiecznie. Tak, bała się go stracić, bała się tej pustki, która by po nim pozostała. Poszukała ustami jego warg.

Nie mogła myśleć o przyszłości, którą Mitch namalował z taką łatwością, mówiąc o małżeństwie i rodzinie. No cóż, od prawników ludzie biorą śluby i nie ma w tym nic nadzwyczajnego, jednak ona wiedziała, że obietnice składa się równie łatwo, jak sieje łamie. Nie będzie już w jej życiu żadnej niedotrzymanej przysięgi.

Mogą ją przepelniać uczucia, może tęsknić za Mitchem, lecz twardo będzie się trzymała swojego postanowienia.

- Kocham cię, Hester - powiedział, dobrze wiedząc, że ona nie chce tego słyszeć. Lecz musiał to zrobić. I będzie powtarzać aż do skutku, aż te słowa dotrą do niej.

Pragnął tej kobiety na zawsze, nie na skradzione, ukradkowe chwile. Tylko jednego pragnął kiedyś równie

mocno. Tajemnej, nieodgadnionej mgławicy, zwanej Sztuką. Aż wreszcie nadszedł czas, gdy zrozumiał, że nigdy jej nie zdobędzie.

Jednak Hester trzymał w swoich ramionach. Nie była snem, lecz kobietą, którą kochał i którą chciał zdobyć. Niech myśli, że to gra, aż wreszcie, warstwa po warstwie, skruszeje jej opór.

Pogładził jej włosy.

- Dzieci zaraz wrócą.

- Tak. - Znów szukała ustami jego warg. - Żałuję, że nie mamy więcej czasu.

- Naprawdę?

- Tak.

- Pozwól, bym tu przyszedł wieczorem.

- Och, Mitch.

Oparła głowę o jego ramię. Po raz pierwszy poczuła, że ' matka walczy w niej z kobietą.

- Pragnę cię. Przecież o tym wiesz, prawda? – usłyszała. Serce biło jej mocno.

- Tak, Mitch. Chciałabym spędzić z tobą tę noc, ale jest Rad.

- Wiem. A dlaczego nie postąpić wobec niego uczciwie, i nie powiedzieć mu, że chcemy być razem?

- On jest przecież małym dzieckiem.

- Nie, już nie jest. Poczekaj - nie dopuścił jej do słowa. - Zrozum, traktuję go bardzo poważnie, nie

bagatelizuję jego osoby. Powinniśmy mu powiedzieć, co do siebie czujemy, a także to, że jeśli dorośli ludzie się kochają, powinni to sobie okazywać.

Gdy mówił, wydawało się to tak proste, tak logiczne i naturalne. Odsunęła się od niego, żeby zebrać myśli.

- Mitch, Rad cię kocha, niewinnie i bez żadnych ograniczeń, jak potrafią to tylko dzieci.

- Ja także go kocham.

Spojrzała mu w oczy i skinęła głową.

- Tak, myślę, że tak, ale skoro to prawda, powinieneś zrozumieć. Obawiam się, że jeśli teraz go w to wprowadzimy, uzależni się od ciebie jeszcze bardziej. Mitch, on będzie cię traktował...

- Jak ojca - dokończył za nią. - A ty nie chcesz, żeby on miał ojca, Hester?

- To nieuczciwe.

- Nie wiem, może, ale na twoim miejscu zastanowiłbym się nad tym.

- Nie bądź okrutny tylko dlatego, że nie chcę się z tobą kochać, kiedy mój syn śpi w sąsiednim pokoju.

Chwycił ją gwałtownie za koszulkę. Wiedziała, że może być zły, lecz po raz pierwszy zorientowała się, że jest naprawdę wściekły.

- Cholera jasna, czy ty myślisz, że tylko o tym mówię? Gdybym chciał jedynie seksu, wystarczyłoby, żebym wrócił do siebie i podniósł słuchawkę. O seks jest łatwo, Hester. Wystarczy dwoje ludzi i trochę czasu.

- Przepraszam. - Zamknęła oczy, wstydząc się swych słów. - To było głupie, Mitch, ale czuję za plecami ścianę. Potrzebuję czasu, proszę cię.

- Ja także. Ale nie spędzisz go sama. Wiem, że wywieram presję, ale nie przestanę, ponieważ wierzę w nas.

- Ja też chciałabym uwierzyć... naprawdę. Ale tak wiele musiałabym zaryzykować.

Ja też, odpowiedział w duchu Mitch, zachował jednak to dla siebie.

- Dobrze, dam ci odetchnąć. Pójdziemy wieczorem z Radem na Times Square? Pogramy sobie.

- Pewnie, będzie szczęśliwy. Ja także.

- Teraz tak mówisz, ale pożałujesz, kiedy cię zawstydzę moimi nadzwyczajnymi umiejętnościami.

- Kocham cię. Wziął głęboki oddech.

- Dasz mi znać, kiedy się z tym dobrze poczujesz?

- Niezłe pytanie. - Uśmiechnęła się, nagle rozluźniona. - Obiecuję, dowiesz się pierwszy.

Wziął kartkę Radleya.

- Powiedz mu, że zobaczymy się później.

- Dobrze.

Gdy pokonał połowę drogi do drzwi, podeszła do niego.

- Mitch, wpadnij jutro na kolację. Zrobię zapiekankę. Przekrzywił głowę.

- Taką z małymi ziemniakami i marchewką?

- Aha.

- Brzmi wspaniale, ale niestety nie mogę.

- Och.

Chciała zapytać dlaczego, przypomniała sobie jednak, że nie ma do tego prawa.

Uśmiechnął się, zadowolony z jej rozczarowania.

- Hester, czy mogę wykorzystać to zaproszenie w innym terminie?

- Jasne. - Spróbowała odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech. - Czy Radley powiedział ci o swoich urodzinach w przyszłym tygodniu? - zapytała, gdy sięgnął do klamki.

- Tylko sześć razy.

- W przyszłą sobotę urządza przyjęcie. Bardzo by chciał, żebyś przyszedł. Możesz?

- Na pewno przyjdę. Ruszamy o siódmej? Wezmę ćwierćdolarówki.

- Będziemy czekać. - Pomyślała, że nie zamierza jej pocałować na pożegnanie. - Mitch, ja...

- Byłbym zapomniiał. - Sięgnął do tylnej kieszeni i wydobyl małe pudełko.

- Co to jest?

- Walentynki, zapomniałaś? - Włożył jej pudełko do ręki. - Walentynkowy prezent.

- Walentynkowy prezent - powtórzyła.

- Tak, to tradycja. Chciałem kupić cukierki, lecz przypomniałem sobie, że ciągle walczysz z Radleyem, by nie jadł za dużo słodczy. Ale wiesz? Jeśli wolisz cukierki, zabiorę to i...

- Nie. - Roześmiała się. - Nawet nie wiem, co jest w środku.

- Możesz zaraz sprawdzić.

Podniosła wieczko. Zobaczyła złoty łańcuszek z serduszkami zrobionymi z brylantów.

- Och, Mitch, przepiękne.

- Wydawało mi się, że będziesz to wołała od cukierków. Od słodczy psują się zęby i tak dalej.

- Nie jestem taka straszna zrzęda - zaprotestowała, wyjmując serduszko z pudełka. - Mitch, jest naprawdę piękne. Bardzo mi się podoba, ale chyba zbyt...

- Banalne, wiedziałem. Trudno, wiem, że jestem banalnym facetem.

Wziął od niej łańcuszek.

- Mitch...

- Odwróć się, pomogę ci założyć. • Uniosła ręką włosy.

- Dziękuję, ale nie kupuj mi drogich prezentów, nie chcę tego.

- Hmm. Ja też nie domagałem się jajecznicy, a jednak zrobiłaś.

Zapiął łańcuszek i odwrócił Hester do siebie.

- Chcę zobaczyć, jak nosisz na szyi moje serce.

- Dziękuję. - Wskazała palcem serduszko. - Ja też nie kupiłam ci cukierków, ale może mogę dać coś innego.

Pocałowała go delikatnie, jednak było w tym tyle uczucia... Przyciągnął ją mocno do siebie. Ogień wybuchł, gorący i szybki. Patrząc jej w oczy, Mitch westchnął.

- Oni za chwilę wrócą - stwierdził z żalem.

- Tak, w każdej chwili. Pocałował ją w czoło i otworzył drzwi.

- Do zobaczenia.

Zejdę po Taza, myślał Mitch, i zabiorę go na spacer. Bardzo długi.

Jak zapowiedział, miał kieszenie pełne ćwierćdolarówek. Panował tłok, powietrze przeszywały odgłosy elektronicznych gier. Hester stała z boku, a Mitch i Radley uzupełniali się wzajemnie, wykorzystując swe umiejętności do ocalań iii świata przed między galaktyczną wojną.

- Dobry strzał, kapralu.

Mitch poklepał chłopca po ramieniu, gdy rakietka Phaser II' zamieniła się w błysk kolorowego światła i znikła z ekranu.

- Twoja kolej. - Radley przekazał stery swemu zwierzchnikowi. - Uważaj na samonaprowadzające pociski.

- Bez obaw, jestem weteranem.

- Uzyskamy najlepszy wynik. - Radley oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na matkę. - Będziemy mogli

wpisać nasze inicjały do tablicy rekordów. Prawda, że fajnie? Tu jest wszystko, o czym można marzyć.

Wszystko, pomyślała Hester, w tym dziwne postaci w skórach, z tatuażami i z zamulonym wzrokiem. Jakaś maszyna wydała przeraźliwy pisk.

- Trzymaj się blisko, dobrze?

- W porządku, kapralu, brakuje nam tylko siedmiuset punktów. Patrz dobrze, gdzie są nuklearne satelity.

- Tak jest.

Radley zacisnął zęby i przejął stery.

- Ma dobry refleks - powiedział Mitch, obserwując chłopca, który jedną ręką prowadził swój pojazd, a drugą trzymał w pogotowiu na guziku pocisków ziemia - powietrze.

- Josh ma jedną taką grę w domu - przypomniała sobie Hester. - Rad chodzi do niego i w nią grają. - Przygryzła wargę, gdy statek Radleya cudem uniknął zagłady. - Nigdy nie wiem, jak on się w tym orientuje. O, patrz, macie najlepszy wynik!

Obserwowali w pełnej napięcia ciszy finał walki. Wreszcie ekran rozbłysnął fajerwerkami.

- Nowy rekord! - Mitch uniósł Radleya w powietrze.
- Zaslugujesz na awans. Sierzancie, wpisz swoje inicjały.

- Ale ty zdobyłeś więcej punktów niż ja.

- Kto to liczył? Wpisuj.

Zarumieniony z dumy Radley naciskał guzik, wybierając litery alfabetu. R.A.W „A” to chyba Allan? -

pomyślał Mitch, lecz nie zapytał o to chłopca.

- Chcesz spróbować, Hester? - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

- Mama nie lubi grać - wyjaśnił Radley. - Pocałuj się rękę.

- Pocałuj ci się rękę? - powtórzył z uśmiechem Mitch. Hester posłała Radleyowi wymowne spojrzenie.

- Z napięcia. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za los świata. Wiem, że to gra - wyjaśniła, zanim Mitch zdążył jej przerwać - ale za bardzo mnie wciąga.

- Jest pani wspaniała, pani Wallace. Pocałował ją, wiedząc, że Radley na nich patrzy. Chłopca ta scena niby rozbawiła, ale tak naprawdę nie wiedział, co o niej sądzić. Poczul na ramieniu rękę Mitcha.

- Co dalej? - zapytał Mitch. - Amazonia, średniowiecze, łowy na rekina ludojada?

- Może ninja. Widziałem u Josha film o ninja. No, nie cały, bo weszła mama Josha i zgasiła telewizor, pewnie dlatego, że jakaś kobieta zaczęła się rozbierać i tak dalej.

- Tak? - Mitch stłumił śmiech, natomiast Hester opadła szczęką. - Jaki tytuł?

- Nieważne. - Hester wzięła Radleya za rękę. - Jestem pewna, że rodzice Josha po prostu się pomylili.

- Tata Josha myślał, że będzie kung - fu i walka na miecze. Mama Josha się wściekła. Kazała jego tacie odnieść film do wypożyczalni i wziąć jakiś inny. Ale i tak

lubię ninja.

- Poszukajmy jakiegoś wolnego automatu - zaproponował Mitch. I szepnął do Hester: - Nie przejmuj się, raczej nie doznał głębokiego urazu.

- Chciałabym jednak wiedzieć, co to znaczy „i tak dalej”.

- Ja również. - Objął ją, przeprowadzając przez grupkę nastolatków. - Może wypożyczymy ten film.

- Ja odpadam, dziękuję.

- Nie chcesz obejrzeć „Nagich ninja z Nagasaki”? Zatrzymała się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Zmyśliłem ten tytuł, przysięgam.

- Hmm.

- O, jest wolny, możemy zagrać? - usłyszeli głos Radleya.

Mitch nadal uśmiechał się, szukając dwudziestopięciocentówek.

Po jakimś czasie do Hester przestał docierać hałas maszyn i ludzi. Żeby zjednać sobie Radleya, zagrała w kilka łagodniejszych gier, w których nie walczy się o panowanie nad światem. Choć nie przepadała za automatami, cieszyło ją, że Rad ma swój prawdziwy wieczór w mieście, co bardzo lubił.

Wyglądamy jak rodzina, pomyślała, gdy Radley i Mitch pochylali się nad ekranem. Chciałaby w to wierzyć. Dla niej rodzina była jednak czymś tak nierealnym, jak te maszyny rozsiewające wokół kolory i dźwięki.

Do następnego dnia, pomyślała z westchnieniem. Tylko w taką przyszłość mogła teraz wierzyć. Za parę godzin położy Radleya spać i wróci samotnie do swego pokoju. Jedynie w ten sposób zapewni im obojgu bezpieczeństwo. Usłyszała śmiech Mitcha i słowa zachęty wypowiedziane przez niego do Rada. Odwróciła wzrok. To jedyna droga, powiedziała sobie. Nieważne, czy chcę znów uwierzyć, czy nie. Po prostu nie mogę ryzykować.

- Co sądzisz o elektrycznym bilardzie? - zapytał Mitch.

- Może być - odpowiedział bez entuzjazmu chłopiec.
- Przynajmniej mama lubi w to grać.

- Jesteś w tym dobra? - zapytał Hester. Odsunęła niełatwe myśli.

- Nie najgorsza.

- Zagramy ze sobą? Zadzwoił monetami w kieszeni.

- Zgoda.

Zawsze dobrze jej to szło. Z bratem wygrywała dziewięć razy na dziesięć. Choć maszyny zmieniły się i skomplikowały od czasów jej dzieciństwa, uznała, że sobie poradzi.

- Mogę ci dać fory - zaproponował Mitch, wrzucając monety do otworu.

- Zabawne, bo sama chciałam ci to powiedzieć. Skoncentrowała się na kuli.

Mitchowi podobał się sposób, w jaki grała. Z lekko rozwartymi ustami i z napięciem w oczach. Srebrna kulka

trafiła w obramowanie, rozległ się dzwonek. Hester szybko uzyskała imponujący wynik.

- Nieźle jak na amatora - pochwalił Mitch, mrugając do Radleya.

- Dopiero się rozgrzewam. Ustąpiła miejsca Mitchowi.

Radley obserwował kulę. Musiał w tym celu wspiąć się na palce. Żałował, że sam nie może grać. Podszedł do innej, dużo ciekawszej maszyny i zaczął się przyglądać. Skoro miał pozostać widzem, wolał obserwować prawdziwą grę.

- Wygląda na to, że jestem do przodu o sto - zauważył Mitch.

- Nie chciałam od razu cię załatwić. To mogłoby źle wpłynąć na twoją psychikę.

Tym razem poszło jej jeszcze lepiej. Przypomniała sobie dzieciństwo, okres, w którym wszystko wydawało się wesołe i proste. Uzyskiwała coraz więcej punktów. Wynik na tablicy ściągnął dumek gapiów.

Nadeszła kolej Mitcha. Wziął się ostro do roboty. W pewnym momencie prawie stracił kulę, lecz w ostatniej chwili trafił prosto w róg. Zakończył, mając o pięćdziesiąt punktów mniej od Hester.

Trzecia runda ściągnęła jeszcze więcej publiczności. Hester usłyszała, jak ktoś zakłada się o wynik. Potem skoncentrowała się na grze. Poszło jej znakomicie. Gdy skończyła, oświadczyła:

- Tylko cud może cię uratować, Mitch.

- Nie żartuj.

Rozruszał nadgarstki jak pianista i zebrał trochę braw.

Hester musiała przyznać, że grał wspaniale. Bardzo ryzykował, lecz za każdym razem odnosił sukces. Widziała w jego oczach koncentrację, jakiej mogła się spodziewać, Tęcz do której nie mogła jeszcze przywyknąć.

Zorientowała się, że patrzy na niego, nie na kulę. Dotknęła małego, brylantowego serduszka na łańcuszku. O takich mężczyznach kobiety marzą, dla takich mogą stracić głowę, myślała. Dlatego musi być ostrożna.

Kula utkwiała w grocie smoka, który wydał z tej okazji kilka ryków.

- Wygrała z tobą - rzucił ktoś z tłumu. - Dziesięć punktów, chłopie.

Mitch pokręcił głową. Wytrzeł dłonie w dzinsy.

- Co do tych forów... - zaczął.

- Za późno. Zabawnie zadowolona z siebie, Hester włożyła kciuki za pasek i studiowała wynik.

- Co sądzisz o rewanżowym spotkaniu? - powiedział Mitch.

- Nie chcę cię znów ośmieszyć.

Postanowiła oddać Radleyowi darmową grę, która stanowiła nagrodę.

- Rad, chcesz... - Ominęła gapiów i rozejrzała się. - Radley? - Poczowała strach. - Nie ma go!

- Jeszcze przed chwilą tu był.

Mitch położył jej dłoń na ramieniu i zaczął się rozglądać. Niestety bez skutku.

- Boże! Nie powinnam była spuszczać go z oczu. W takim miejscu...

Czuła, że ogarniają przerażenie.

- Poczekaj. - Powiedział to spokojnie, jednak jej strach już się mu udzielił. Wiedział, jak łatwo jest uprowadzić w tłumie małego chłopca. Należało zawsze o tym pamiętać. - Znajdziemy go. Ja pójdę tędy, a ty z tamtej strony.

Skinęła głową i bez słowa ruszyła. Zatrzymywała się przy każdej maszynie, wypatrując w tłumie małego blondyna w niebieskim swetrze. Wołała go, przekrzykując gwar i dźwięki automatów.

Gdy mijała duże szklane drzwi, zobaczyła zatłoczone chodniki Times Square. Serce podeszło jej do gardła. Przecież nie wyszedł, powiedziała sobie, Radley by czegoś takiego nie zrobił, chyba... Chyba że ktoś go wyprowadził albo...

Ruszyła dalej. Nienawidziła tłumu, hałasu, który zagłuszał jej wołanie. Jak zdoła znaleźć syna? Usłyszała śmiech małego chłopca i odwróciła się. To jednak nie był Radley. Minęło dziesięć minut, przeszukała połowę sali. Pomyślała, że powinna zawiadomić policję. Rozglądając się przez cały czas na boki, przyspieszyła kroku.

Tyle hałasu, jaskrawych świateł. Może powinna zawrócić, może go przegapiła. Może czeka teraz przy tym

cholernym bilardzie, zastanawiając się, gdzie oni zniknęli. Może się boi. Może ją woła, może...

Zobaczyła go nagle w ramionach Mitcha. Roztrąciła ludzi i podbiegła.

- Radley! Objęła ich obu.

- Oglądał inną grę - zaczął opowiadać Mitch. - Spotkał znajomego ze szkoły.

- To był Ricky Nesbit, mamó. Przyszedł ze starszym bratem. Pożyczyli mi monetę i zagraliśmy. Nie wiedziałem, że to tak daleko od was.

- Radley! - Walczyła ze łzami i starała się mówić spokojnie. - Znasz przecież zasady. To wielka sala, jest tu bardzo dużo ludzi. Muszę mieć do ciebie zaufanie, wiedzieć, że nie odejdiesz.

- Nie chciałem. Ricky powiedział, że to potrwa minutę. Właśnie miałem wracać.

- Zasady z czegoś wynikają, Radley.

- Ale, mamó...

- Rad - włączył się Mitch. - Przestraszyłeś mamę i mnie.

- Przepraszam, nie chciałem.

- Nie rób tego więcej. - Hester pocałowała chłopca w policzek. - Następnym razem zamknę cię za coś takiego o chlebie i wodzie. Jesteś wszystkim, co mam, Rad. - Uściskała go. Miała zamknięte oczy, więc nie dostrzegła wyrazu twarzy Mitcha. - Nie mogę dopuścić, żeby coś ci się stało.

- Nie zrobię już tego.

Wszystko, co ma, pomyślał z goryczą Mitch. Dlaczego nadal jest taka uparta i nie potrafi przyznać, nawet przed samą sobą, że ma jeszcze kogoś innego? Włożył ręce do kieszeni. Starał się opanować. Nerwy są najgorszym doradco przekonał się o tym wiele razy. Ale już nie chciał czekać - Hester będzie musiała szybko, bardzo szybko zrobić w swym życiu miejsce jeszcze dla kogoś, myślał. Albo ja to zrobię za nią.

ROZDZIAŁ 11

Nie wiedział, czy dobrze robi, trzymając się przez kilka dni z dala od Hester, potrzebował jednak czasu. Zwykle nie roztrząsał wszystkiego i nie analizował, lecz kierował się uczuciem i działał. Teraz jednak musiał poważnie się zastanowić.

Pracował nad scenariuszem, i ta robota wciągała go coraz bardziej, choć szła dość opornie, ale pozostałe godziny intensywnie rozmyślał nad Hester.

Chciała go, a jednocześnie nie chciała. Niby otworzyła się na niego, lecz zarazem to co najważniejsze zazdrośnie chroniła. Ufała mu, lecz nie na tyle, by łączyć z nim swoje plany życiowe.

„Jesteś wszystkim, co mam, Rad”, powiedziała wtedy. Czy również „wszystkim, czego pragnę”? Przed tym pytaniem Mitch nie mógł uciec. Jak taka inteligentna kobieta może uparcie niszczyć swoje życie z powodu błędu, który popełniła przed ponad dziesięciu laty?

Bezsilność doprowadzała go do furii. Nawet w Nowym Orleanie, gdy jego marzenia legły w gruzach, nie był bezradny. Pogodził się z klęską, inaczej wykorzystał swój talent i w rezultacie odniósł zawodowy sukces. Czy jednak tym razem będzie musiał zaakceptować porażkę? Przegraną?

Rozmyślał nad tym całymi godzinami. Rozważał kolejne kompromisy i po kolei je odrzucał. Czy potrafiłby przyjąć warunki Hester i zgodzić się jedynie na romans? Na tymczasową miłość? Bez obietnic, bez planowania przyszłości? Bez prawdziwych więzów? Nie, to niemożliwe, nie tylko dlatego, że tak mocno jej pragnął. Także dlatego, że pragnął jej całej.

Był zdumiony, że nagle stał się wielkim zwolennikiem małżeństwa. Wiedział, że większość par nie zdobywa prawdziwego, trwałego szczęścia. Jego rodzice dobrze się dobrali. Mieli ten sam gust, pochodzenie społeczne, poglądy na życie. Nie było jednak między nimi owej iskry, która wszystkiemu dodaje smaku. Lubili się i byli wobec siebie lojalni, i to wszystko. Żadnej namiętności, zero prawdziwych uczuć.

A czyjego miłość do Hester nie była słomianym ogniem? To było ważne pytanie. Wreszcie uznał, że zakochał się naprawdę i na całe życie. Znał siebie na tyle dobrze, by to stwierdzić. Mógł sobie łatwo wyobrazić, jak za dwadzieścia lat siedzą razem na bujanej kanapie na ganku, który mu opisała. Jak się razem starzeją, ożywieni wspomnieniami i tym, co wspólnie przeżyli.

Nie chciał tego utracić. Nieważne, jak długo to potrwa, co jeszcze trzeba będzie znieść czy zrobić.

Z westchnieniem schylił się po pudła, które miał zanieść na górę.

Niepokoila ją jego nieobecność. Po wyprawie na Times Square dostrzegła w Mitchu jakąś z pozoru drobną, choć pewnie istotną zmianę. W telefonicznych rozmowach zachowywał dziwny dystans, dawał jej odczuć pewien

chłód. Choć dwukrotnie zaprosiła go do siebie, za każdym razem się wymawiał.

Traciła go. Nalała ponczu do kartonowych kubków. No cóż, wszystko ma swój koniec. Mitch miał prawo do własnego życia, do własnej drogi. Nie mogła żądać, by pogodził się z dystansem, jaki musiała zachować, ani z brakiem czasu i uwagi, którą musiała poświęcać również Radleyowi i pracy. Mogła tylko mieć nadzieję, że Mitch, choć przestanie być kochankiem, pozostanie przyjacielem.

Och Boże, jak za nim tęskniła. Za rozmowami, za śmiechem, za oparciem, jakie jej dawał, choć z tym akurat musiała walczyć. Postawiła na stole dzbanek i wzięła głęboki oddech. Nie czas na takie rozmyślenia. W sąsiednim pokoju hałasowało dziesięciu małych chłopców. Musiała dopilnować, by wszystko było jak należy. To był jej obowiązek.

Gdy zaniósła tacę z kubkami, przebiegli koło niej dwaj chłopcy. Trzech innych siłowało się na podłodze, pozostali zaś przekrzykiwali głośny dźwięk muzyki. Hester zauważyła już, że jeden z nowych przyjaciół Radleya miał srebrny kolczyk i wypowiadał się ze znanstwem o dziewczynach. Postawiła tacę i wzniosła oczy ku niebu. Daj mi, Boże, jeszcze kilka lat z komiksami i zestawami budowlanymi, pomyślała. Nie jestem gotowa ani na dziewczyny, ani na wszystko inne.

- Przerwa na napoje! - krzyknęła. - Michael, przestań urywać głowę Erniemu i wypij trochę ponczu. Rad, daj kotu odpocząć, bo zwariuje.

Radley niechętnie włożył kłębek czarno - białego futerka do wyściełanego koszyka.

- Jest naprawdę fajny, to najlepszy prezent. - Porwał kubek z tacy. - Zegarek też mi się podoba.

Nacisnął guzik uruchamiający miniaturowe gry elektroniczne.

- Tylko się nim nie baw w szkole na lekcjach - upomniała go.

Rozległo się pukanie.

- Ja otworzę! - Radley zerwał się i popędził do drzwi. Miał jeszcze tylko jedno życzenie urodzinowe, które właśnie teraz się ziściło. - Mitch! Wiedziałem, że przyjdiesz. Mama powiedziała, że chyba nie będziesz mógł, ale ja wiedziałem. Mam kota. Nazwałem go Zark. Chcesz zobaczyć?

- Pewnie, tylko pozbędę się tych pudeł.

Mimo ćwiczeń z ciężarkami w drodze na górę zdążyły go rozboleć obie ręce. Mitch postawił pudła na kanapie. Odwrócił się i natychmiast na jego dłoniach wylądował imiennik Zarka. Mruczał i wyginał grzbiet.

- Piękny - powiedział Mitch. - Musimy później zejść i przedstawić go Tazowi.

- Taz go nie zje?

- Chyba żartujesz. - Mitch spojrzał na Hester. - Cześć - przywitał się.

- Cześć. - Mitch się nie ogolił, miał na sobie sweter z dziurą na szwie i wyglądał wspaniale. - Obawialiśmy się, że nie będziesz mógł przyjść.

- Przecież powiedziałem, że będę. - Podrapał kotka

za uszami. - Dotrzymuję obietnic.

- Dostałem też zegarek. - Radley uniósł rękę. - Ma godzinę i datę, można go też przełączyć na gry.

Mitch spojrzał na sznur kropeczek na wyświetlaczu.

- Nie będziesz się już nudził w metrze, co?

- Ani w poczekalni u dentysty. Chcesz zagrać?

- Później. Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem w sklepie poczekać.

- W porządku, niewiele straciłeś. Nie jedliśmy jeszcze tortu. Jest czekoladowy.

- Świetnie. Nie pytasz o prezent?

- Nie wolno mi, nie wypada. - Spojrzał na matkę, która usiłowała nie dopuścić do wznowienia zapasów na podłodze. - Naprawdę coś mi przyniosłeś?

- Nie, tylko żartowałem. - Roześmiał się na widok miny chłopca. - Pewnie że tak. Jest na kanapie.

- Które pudełko?

- Wszystkie.

Oczy Radleya zrobiły się wielkie jak spodeczki.

- Wszystkie?

- To komplet. Otwórz pierwsze pudełko.

Z braku czasu i stosownego papieru Mitch nie owinął pudeł, jedynie zakleił taśmą etykiety.

Radley, w towarzystwie śmielszych kolegów, otworzył kartonowe pudło.

- Komputer. - Josh patrzył przez ramię Rada. - Robert Sawyer ma taki sam. Możesz na nim we wszystko grać.

- Komputer. - Radley wpatrywał się przez dłuższą chwilę w otwarte pudło, potem uniósł wzrok na Mitcha. - To dla mnie, naprawdę? Mogę go zatrzymać?

- Pewnie, przecież to prezent. Mam nadzieję, że pozwolisz mi czasem pograć.

- Zawsze, kiedy tylko zechcesz. - Zapominając o obecności przyjaciół, zarzucił Mitchowi ręce na szyję. - Dziękuję. Możemy go od razu podłączyć?

- Już myślałem, że nigdy o to nie poprosisz.

- Rad, musisz najpierw sprzątnąć u siebie na biurku - powiedziała Hester. - Powoli - dodała, gdy młodzi ludzie rzucili się w kierunku pokoju Radleya - sprzątanie nie polega na zrzucaniu rzeczy na podłogę. Zróbcie to tak, jak trzeba, dobrze? Ja i Mitch przyniesiemy potem komputer.

Wybiegli, wznosząc wojenne okrzyki, co zapowiadało jeszcze większy bałagan w pokoju syna. Nie szkodzi, zajmie się tym później. Podeszła do Mitcha.

- To bardzo drogi prezent.

- Radley jest inteligentny, a inteligentne dziecko powinno mieć komputer.

- Tak. - Spojrzała na pozostałe, zamknięte jeszcze pudła, z monitorem, klawiaturą i programami na dyskietkach i płytach. - Myślałam o tym, ale na razie nie było mnie stać.

- Przecież cię nie krytykuje, Hester.

- Wiem. - Przygryzła wargę, co było oznaką zdenerwowania. - Wiem również, że to nie najlepsza chwila na rozmowę, ale w końcu musimy ją odbyć. Zanim jednak zaniemiemy to do Rada, chciałabym ci powiedzieć, że bardzo się cieszę z twojej obecności.

- Chcę tu być. - Dotknął palcem twarzy Hester. - Powinnaś wreszcie zacząć w to wierzyć.

Delikatnie musnęła go w policzek.

- Chyba zmienisz zdanie po spędzeniu najbliższej godziny z tymi potworami. - Uśmiechnęła się, słysząc głośny trzask w pokoju Radleya. - Kolejny przedmiot rozbity. Tak czy inaczej...

Podniosła pierwsze z brzegu pudło.

Było już po wszystkim. Ostatnich gości wywekli rodzice.

W saloniku zapadła dziwna cisza. Hester siedziała z na wpół przymkniętymi powiekami w fotelu, Mitch leżał wyczerpany na kanapie. Miał zamknięte oczy. Hester słyszała tylko dochodzący z oddali stuk klawiatury i miauczenie Zarka, który siedział na kolanach jej syna. Westchnęła z ulgą i obrzuciła spojrzaniem salonik.

Wszędzie wałały się papierowe kubki i talerze. Resztki chipsów zostały wdeptane w dywan. Opakowania prezentów mieszały się na podłodze z zabawkami, które chłopcy uznali za godne uwagi. Hester wołała nawet nie myśleć, jak wygląda kuchnia.

Mitch otworzył jedno oko i zapytał:

- Wygraliśmy?

- Absolutnie. - Wstała z trudem. - Wspaniałe zwycięstwo. Chcesz poduszkę?

- Nie.

Chwycił ją za rękę i pociągnął na siebie.

- Mitch, Radley...

- Bawi się komputerem. Założę się, że już dzisiaj rozpracuje wszystkie edukacyjne programy.

- Bardzo sprytnie wmieszałeś je między gry.

- Bo ja jestem sprytny. Uznałem, że uśpię twoją czujność tymi edukacyjnymi bzdurami, a Rad i ja pogramy sobie w Starcraft, Dark Colony lub Warcraft.

- Dziwię się, że sam nie masz komputera.

- Właściwie... kiedy kupowałem ten dla Rada, wziąłem od razu dwa. Żeby obliczać saldo domowych rachunków i zmodernizować system archiwizacji.

- Przecież nie masz żadnego systemu archiwizacji, tylko bałagan.

- Hester, wiesz, jakie jest jedno z największych dobrodziejstw cywilizacji? - zmienił temat.

- Kuchenka mikrofalowa?

- Popołudniowa drzemka. Masz tu wspaniałą kanapę.

- Przydałaby się zmiana obicia.

- Nie widać tego, kiedy się na niej leży. - Objął ją. - Prześpijmy się trochę.

- Muszę posprzątać. Naprawdę. Jednak zamknęła

oczy.

- Dlaczego? Spodziewasz się gości?

- Nie, ale czy nie musisz wyprowadzić Taza?

- Dałem wcześniej Erniemu parę dolarów, żeby to za mnie zrobił.

- Jesteś sprytny.

- To właśnie staram się ci powiedzieć.

- A ja nawet nie pomyślałam o kolacji.

- Wykończymy tort.

Roześmiała się cicho i usnęła w jego objęciach.

Wkrótce potem do saloniku wszedł Radley. Trzymał kota. Chciał opowiedzieć o wyniku, który przed chwilą uzyskał. Zatrzymał się. Drapiąc kota po głowie, patrzył z namysłem na mamę i Mitcha. Czasami, kiedy miał zły sen albo nie czuł się dobrze, mama z nim spała. To zawsze pomagało. Może teraz mama czuje się lepiej, bo śpi z Mitchem? - pomyślał.

Zastanawiał się, czy Mitch kocha mamę. Trochę go to niepokoiło. Chciał, żeby Mitch pozostał jego przyjacielem. Czy będzie nim dalej, gdyby oni wzięli ślub? Radley postanowił o to zapytać. Mama zawsze mówiła mu prawdę. Wziął miskę, w której zostało jeszcze trochę chipsów, i wrócił do siebie.

Gdy Hester się obudziła, zapadał już zmrok. Otworzyła oczy i zobaczyła Mitcha. Zamrugła, by oprzytomnieć. Wtedy ją pocałował, a ona wszystko sobie przypomniała.

- Spaliśmy chyba z godzinę - mruknęła.

- Prawie dwie. Jak się czujesz?

- Rozbita. Gdy się prześpię podczas dnia, potem zawsze tak się czuję. - Przeciągnęła się. Usłyszała, że Radley chichocze w swoim pokoju. - Na pewno siedzi jeszcze przy komputerze. Jest szczęśliwy.

- A ty?

- Ja? Tak. Ja też jestem szczęśliwa.

- Jesteś rozbita i szczęśliwa. To świetna okazja, żeby znów poprosić cię o rękę.

- Mitch.

- Nie? Poczekam, może kiedyś uda mi się ciebie upić. Zostało jeszcze trochę tego tortu?

- Troszeczkę. Nie jesteś zły? Przeciągnął dłonią po włosach i usiadł.

- O co?

Hester położyła mu rękę na ramionach. Przytuliła policzek do jego twarzy.

- Przykro mi, że nie mogę ci dać tego, czego chcesz. Objął ją mocniej i z wysiłkiem się opanował.

- Dobrze. To oznacza, że jesteś bliska zmiany zdania. Będę się upierał przy pełnej ceremonii.

- Mitch!

- Co?

Cofnęła się, a ponieważ jego uśmiech nie wzbudził w niej zaufania, pokręciła głową.

- Nic. Najlepiej nic nie mówić. Idź do kuchni i weź sobie tortu. Zamierzam zacząć sprzątanie od tego pokoju.

Mitch spojrział na salon, w którym według jego norm panował wzorowy porządek.

- Naprawdę chcesz tu dzisiaj sprzątać?

- Chyba nie podejrzewasz, że zostawię ten bałagan do rana... Albo nie, odwołuję. Jesteś o tym przekonany. Zapomniałam, z kim rozmawiam.

Mitch spojrział na nią podejrzliwie.

- Czy oskarżasz mnie o bałaganiarstwo?

- Nie, wcale. To zupełnie co innego niż malowniczy nieład, który jest twoją unikalną cechą. - Zaczęła zbierać papierowe talerze. - Cechą, która wynika chyba z tego, że jako dziecko miałeś pokojówki - podsumowała.

- Nie, jest inaczej. Nie sprzątam, bo nigdy nie dopuszczam do bałaganu. Moja matka jest straszną pedantką. - Uznał jednak, że Hester należy się poważniejsze wyjaśnienie. - Wiesz, na moje dziesiąte urodziny wynajęła magika. Siedzieliśmy na małych, składanych krzeselkach, chłopcy w garniturach, dziewczynki w sukienkach z organdy. Oglądaliśmy pokaz. Potem dostaliśmy na tarasie lekki posiłek. Krzątało się tylu kelnerów, że nie został po nas nawet okruszek do sprzątnięcia. Teraz to sobie trochę rekompensuję.

- Tak, tylko trochę.

Pocałowała go w oba policzki. Dziwny człowiek, myślała, z jednej strony tak łagodny i życzliwy, z drugiej jakby wstępował w niego diabeł. Hester wierzyła, że

dzieciństwo wpływa na dorosłe życie, że odciska na nim swe piętno. Właśnie ta wiara kazała jej zdobywać dla Radleya to wszystko, co mogło mieć na niego dobry wpływ.

- Należy ci się ten kurz i bałagan - przyznała. - Nie pozwól nikomu, żeby ci go odebrał.

Pocałował ją w policzek.

- A tobie należy się porządek. Gdzie masz odkurzacz? Uniosła brwi.

- Naprawdę znasz to słowo?

- Ale złośliwa.

Dźgnął ją palcem w żebra. Odskoczyła z piskiem.

- Uważaj - ostrzegła, zasłaniając się papierowym talerzem jak tarczą. - Nie chcę cię skrzywdzić.

- No chodź! - Staął w pozycji zapaśnika.

- Ostrzegam cię. - Cofała się przed nim ostrożnie. - Bywam brutalna.

- Naprawdę? Obiecujesz?

Chwycił ją w pasie. Hester uniosła rękę. Talerze ociekające kremem i lodami wylądowały Mitchowi na twarzy. Roześmiała się i opadła na krzesło. Chciała coś powiedzieć, lecz znów wybuchnęła śmiechem.

Mitch powoli otarł ręką policzek. Przyjrzał się rozmazanej czekoladzie.

- Co się tu dzieje?

Radley wszedł do pokoju. Spojrzał na matkę, która

ze śmiechu nie była w stanie mówić. Wskazała tylko palcem Mitcha.

- Rany! - Radley zaczął chichotać. - Tak samo zrobiła Mike'owi jego siostra. Ma prawie dwa lata.

Zanosząc się śmiechem, Hester przyciągnęła do siebie syna.

- To... to był wypadek - wykrztusiła.

- Nieprawda. Rozmyślny, podstępny atak - sprostował Mitch. - Wymagający krwawego odwetu.

- Och, proszę. - Hester błagalnie wyciągnęła ręce. - Wybacz, groźny rycerzu, przysięgam, że zrobiłam to niechcący.

Mitch podszedł. Choć schowała się za Radleyem, chłopiec był za mały, by skutecznie ją osłonić. Mitch pocałował ją w nos, w usta, w oba policzki. Śmiała się i wyrывała. Gdy skończył, miała już na twarzy imponującą ilość czekolady. Radley spojrział na nią i zanosząc się śmiechem, runął na podłogę.

- Maniak - rzuciła, wycierając twarz.

- Wyglądasz pięknie z tą czekoladą, Hester.

Doprowadzenie mieszkania do porządku zabrało im ponad godzinę. Potem przegłosowali, że zamówią pizzę. Resztę wieczoru spędzili na wypróbowywaniu urodzinowych skarbów Radleya. Gdy chłopiec prawie usnął nad klawiaturą, Hester zapędziła go do łóżka.

- Co za dzień - westchnęła, umieszczając kotka w koszyku. Potem wyszła z sypialni.

- Chyba będzie długo pamiętać te urodziny - stwierdził Mitch.

- Ja także. Napijesz się wina?

- Tak, ale ja je podam. - Zaprowadził ją do saloniku.
- Usiądź.

- Dziękuję.

Usiadła, wyciągnęła nogi i zrzuciła pantofle. Na pewno zapamięta dobrze ten dzień. Coś jej mówiło, że może również noc?

- Proszę.

Wręczył jej kieliszek i usiadł koło niej na kanapie.

- Jak miło - Westchnęła i upiła łyk.

- Bardzo miło. - Pocałował ją w szyję. - Już ci mówiłem, że to świetna kanapa.

- Czasem nawet nie pamiętam, że można tak po prostu siedzieć i odpoczywać. Wszystko posprzątane, Radley zadowolony i śpi, jutro niedziela i nie trzeba nigdzie wychodzić.

- Nie korci cię, żeby pójść na dansing albo jakąś hulankę?

- Nie. - Przeciągnęła się. - A ciebie?

- Także nie. Tu jest mi dobrze.

- Więc zostań. Zostań na noc.

Milczał. Ręka, którą masował jej szyję, znieruchomiała. Potem znów zaczął powolniejszymi ruchami.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak. - Spojrzała na niego. - Tęskniłam za tobą. Nie wiem, co jest dobre, a co złe, co jest najlepsze dla nas wszystkich, ale wiem jedno, że tęskniłam. Zostaniesz?

- Nigdzie się nie wybieram.

Oparła się o niego. Przez pewien czas siedzieli w ciszy.

- Pracujesz nad scenariuszem? - zapytała.

- Mmmm, hmmm. - Bardzo szybko by się do tego przyzwyczaił. Przesiadywanie wieczorami przy przyćmionym świetle, drażniący zmysły zapach włosów Hester. - Miałaś rację. Znienawidziłbym siebie, gdybym nie podjął tej próby. Musiałem tylko opanować nerwy.

- Nerwy? - Uśmiechnęła się. - Ty?

- Tak. Bardzo się denerwuję, gdy mam do czynienia z czymś nowym lub ważnym. Na przykład kiedy się po raz pierwszy kochaliśmy.

- Nie było tego po tobie widać.

- Uwierz mi na słowo. - Dotknął jej uda. - Bałem się, że zrobię coś nie tak i zepsuję to, co jest dla mnie najważniejsze.

- No i niczego nie zepsułeś.

Wstała i wzięła go za rękę. Poszli do sypialni, gasząc po drodze światło.

Mitch zamknął drzwi. Wiedział, że może tak być codziennie, przez wszystkie lata życia, jakie mają przed sobą. Ona już także prawie w to uwierzyła. Miał co do tego

pewność, widział to w jej oczach. Patrzyli na siebie, gdy rozpinał jej bluzkę.

Rozebrali się w milczeniu. Choć żadne z nich tym razem się nie denerwowało, drżeli z oczekiwania. Wiedzieli już, co mogą sobie ofiarować. Szybko znaleźli się w łóżku.

Objął ją i przyciągnął bliżej. Znała go już, jego twardość i siła nie stanowiły zaskoczenia. Wiedziała, jak bardzo do siebie pasują. Odchyliła głowę. Patrząc mu w oczy, oddała swe usta.

Całował ją. Czuł lekki zapach wina. Wyczuwał narastającą w Hester śmiałość, ufność.

Wreszcie zaczęła otwierać swe serce, pomyślał. Widział, że jest wolna, tak jak zawsze tego chciał. Dla niej i dla nich. Położył się na niej i zaczął doprowadzać ją do szaleństwa.

Nie mogła się nim nacieszyć. Łapczywie wodziła po nim ustami, rękami. Jak mężczyzna może być tak wspaniały, tak podniecający? - myślała. Jak zapach jego skóry mógł sprawić, że zawirowało jej w głowie, że zmysły jeszcze bardziej się wyostrzyły? Podniecał ją sam sposób, w jaki wymawiał jej imię.

Być może ta siła zawsze w niej drzemała, lecz wyzwoliła się dopiero tej nocy. Siła, by odrzucić całe wychowanie, całą cywilizację. Zajęczała, gdy przygniótł ją ciałem. Kierowało nimi już tylko pożądanie.

Czowała jego palące usta. Przez głowę przelatywały jej żądania, obietnice, nie mogła jednak mówić. Trzymała go mocno, jakby był tratwą stanowiącą jedyny ratunek na wzburzonym morzu.

Potem oboje ogarnęły fale.

ROZDZIAŁ 12

Niebo zakrywały chmury, w każdej chwili mógł spaść śnieg. Na wpół śpiąca Hester odwróciła się od okna do Mitcha. Jednak miejsce obok niej okazało się puste.

Wyszedł w nocy? - pomyślała, przeciągając ręką po drugiej połowie łóżka. W pierwszej chwili poczuła rozczarowanie. Tak miło byłoby razem rozpocząć rano. Cofnęła rękę i wsunęła dłoń pod policzek.

Chyba to jednak lepiej, że wyszedł, uznała. Nie wiadomo, jak Radley zareagowałby na jego obecność. Poza tym gdyby Mitch leżał obok niej, musiałaby walczyć z pokusą powtórzenia nocnych wyczynów. Nikt nie wiedział, jak ciężko pracowała nad tym, żeby nikogo nie potrzebować. Dopiero teraz, po tylu latach starań, ujawniły się tego dobre strony. Stworzyła dla Radleya prawdziwy dom. Mieszkali w dobrej dzielnicy i miała pewną, ciekawą i dobrze płatną pracę. Bezpieczeństwo i stabilność.

Nie powinna narażać tego dla emocjonalnej niepewności, która nieuchronnie wiązała się z zależnością od innej osoby. Zaczęłam już jednak od Mitcha zależeć, pomyślała, odrzucając kołdrę. Choć wiedziała, że nie powinien być zostać do rana, żałowała, że go nie ma. Bardziej niż mógłby się domyślić. Tak jak nie mógł wiedzieć, że mimo wszystko jest dostatecznie silna, by obyć się bez niego.

Założyła szlafrok i poszła sprawdzić, czy Radley nie chce śniadania.

Zastała ich obu, pochylonych nad klawiaturą, a ekran komputera rozświetlały błyski wybuchów.

- Ten program ma wadę - upierał się Mitch. - Na pewno trafiłem.

- Pudło na kilometr.

- Powiem twojej matce, że powinieneś nosić okulary. Poza tym jak mam się skoncentrować, kiedy ten głupi kot obgryza mi palce u nóg?

- Też mi wymówka. Po prostu przegrywasz - stwierdził Radley, z dziką radością unicestwiając ostatniego członka armii Mitcha.

- Wymówka? Ja ci pokażę wymówkę! - Nagłym ruchem uniósł chłopca w powietrze i odwrócił go do góry nogami. - Mów - zażądał - wada programu czy kot?

- Ani to, ani to. Przegrałeś! - odpowiedział rozchichotany Radley. - To tobie przydałyby się okulary.

- Zaraz postawię cię na głowie. Nie mam wyboru. O, cześć, Hester - przywitał ją z uśmiechem.

- Cześć, mamo. - Widać było, że Radley świetnie się bawi. - Pokonałem Mitcha trzy razy. Ale nie bój się, on nie jest naprawdę zły, tylko udaje.

- Nie jestem?! - ryknął Mitch, przekreślił Radleya i rzucił go na tapczan. - Najadłem się strasznego wstydu.

- Zniszczyłem go - oświadczył z satysfakcją Radley.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to przespałam. -

Uśmiechnęła się ostrożnie. - Po trzech dużych bitwach chcielibyście pewnie zjeść śniadanie.

- Już zjedliśmy. - Radley wychylił się z tapczanu i sięgnął po kota. - Pokazałem Mitchowi, jak się robi francuskie grzanki. Bardzo je sobie chwalił i był zadowolony.

- Tak, zanim zaczęłaś oszukiwać w grze - wtrącił Mitch.

- Nie oszukiwałem. - Radley przekręcił się na plecy, a kot się na niego wspiał. - Potem Mitch umył patelnię, a ja ją wytarłem. Chcieliśmy też zrobić grzanki dla ciebie, ale spałaś.

Myśl o dwóch mężczyznach jej życia, którzy buszują w kuchni podczas jej snu, wyraźnie ją zaniepokoiła.

- Nie spodziewałam się, że ktokolwiek tak wcześnie wstanie.

- Hester. - Mitch podszedł i otoczył ją ramionami. - Nie chcę ci robić wymówek, ale jest już po jedenastej.

- Jedenastej?

- Aha. Co z obiadem?

- No cóż, ja...

- Pomyśl o tym. Ja muszę zejść na dół i zająć się Tazem.

- Ja to zrobię. - Radley zerwał się z tapczanu. - Dam mu jeść i wyprowadzę go na spacer. Wiem, gdzie co jest, pokazałeś mi.

- Jeśli chodzi o mnie, zgoda. Co o tym myślisz, Hester?

- Dobrze, Radley, tylko ubierz się ciepło.

- Jasne. - Sięgnął po kurtkę. - Czy mogę potem przyprować tu Taza? Jeszcze nie poznał Zarka.

Hester spojrzała z niepokojem na malutką futrzaną kuleczkę i pomyślała o dużych, białych zębach.

- Nie jestem jednak pewna, czy Taz nie zrobi mu krzywdy.

- On uwielbia koty - zapewnił ją Mitch, podnosząc z podłogi czapkę Radleya. - Oczywiście nie jako pokarm - dodał, sięgając do kieszeni po klucze.

- Uważaj na siebie! - krzyknęła Hester, gdy Radley, pogrążony kluczami, wyruszył do mieszkania Mitcha.

Potem zatrzasnęły się za nim drzwi.

- Dzień dobry - powiedział Mitch i wziął Hester w ramiona.

- Dzień dobry. Powinieneś być mnie obudzić.

- Tak, miałem taką pokusę. Właściwie to chciałem zrobić kawę i przynieść ją do łóżka, ale spotkałem Radleya. Zanim się zorientowałem, musiałem już walczyć ze śniadaniem, a potem siedliśmy do komputera.

- A on... to znaczy nie dziwił się, skąd się wziął?

- Nie. - Pocałował Hester w czubek nosa, potem objął ją w pasie i zaczął prowadzić do kuchni. - Wszedł, gdy zacząłem robić kawę i zapytał, czy przygotowuję śniadanie. Po krótkich konsultacjach uznaliśmy, że Radley

ma wyższe kwalifikacje od moich. Zostało jeszcze trochę kawy, ale chyba lepiej ją wylać i zrobić nową.

- Nie, na pewno jest dobra.

- Lubię optymistów.

Wyjmując z lodówki mleko, uśmiechnęła się.

- Myślałam, że sobie poszedłeś.

- Wolałabyś?

Pokręciła głową, jednak nie spojrzała na niego.

- Mitch, to jest trudne. I robi się coraz trudniejsze.

- Co takiego?

- Coraz trudniej jest mi zwalczać pragnienie, żebyś tutaj był przez cały czas.

- Powiedz słowo, a się wprowadzę. Z rzeczami i psem.

- Chciałabym, ale nie mogę tego zrobić. Wiesz, Mitch, gdy weszłam do pokoju Radleya i zobaczyłam was razem, coś we mnie zaskoczyło. Pomyślałam, że tak mogłoby być zawsze.

- I tak będzie zawsze, Hester.

- Jesteś tego taki pewny. - Zaśmiała się. - Tak absolutnie pewny. Zresztą już od samego początku. Między innymi właśnie to mnie przeraża.

- Tak, od chwili, gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem, Hester, pragnąłem być z tobą. - Położył jej ręce na ramionach. - Nie zawsze w życiu byłem pewien, czego chcę, nie zawsze miałem to, czego pragnąłem i nie

wszystko układało się tak, jak to zaplanowałem. Ale co do ciebie mam absolutną pewność. - Pocałował ją w głowę. - Kochasz mnie, Hester?

- Tak. - Zamknęła oczy i westchnęła. - Tak, kocham cię.

- Więc za mnie wyjdź. Nie zmieni się nic poza twoim nazwiskiem.

Chciała mu wierzyć, chciała wierzyć, że można rozpocząć nowe życie. Serce zabiło jej szybciej. Zarzuciła Mitchowi ręce na szyję. Nie zmarnuj tej szansy, słyszała wewnętrzny głos, nie odrzucaj miłości.

- Mitch, ja... - Zadzwoił telefon. Odetchnęła z ulgą i powiedziała: - Przepraszam.

Czuła się jeszcze niezbyt pewnie, lekko drżała, gdy podnosiła słuchawkę.

- Halo - usłyszała - to ja, Allan.

Mitch szybko na nią spojrzał. Dostrzegł zmieniony wyraz twarzy.

- Dobrze - powiedziała - z nami wszystko w porządku. Floryda? Myślałam, że jesteś w San Diego.

A więc się odezwał, myślała Hester, słuchając znajomego głosu. Z chłodną cierpliwością słuchała, jak jej opowiadał, że świetnie, wprost cudownie się ma.

- Rada nie ma - poinformowała po chwili, choć Allan o to nie zapytał. - Jeśli chcesz mu złożyć życzenia urodzinowe, powiem mu, żeby zadzwonił do ciebie, jak wróci.

Nastąpiła przerwa. Mitch zobaczył w oczach Hester gniew.

- Wczoraj. - Wciągnęła powietrze przez zęby. - Ma dziesięć lat, Allan. Skończył wczoraj. Tak, jestem pewna, że trudno ci to sobie wyobrazić.

Znów zamilkła, słuchała. Tępy gniew ścisnął jej gardło. Odezwała się głuchym głosem:

- Gratulacje. Czy to przeżywam? - Roześmiała się. - Nie, Allan, po prostu mnie to nie obchodzi. Powodzenia. Przepraszam za brak entuzjazmu. Powiem Radleyowi, że telefonowałeś.

Odłożyła słuchawkę, starannie, delikatnie, żeby nie walnąć nią w telefon.

- W porządku?

Skinęła głową i nałała sobie kawy, choć nie miała na nią ochoty.

- Zadzwoił, by mi powiedzieć, że się ponownie żeni. Uważał, że to mnie zainteresuje.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Nie. - Wypiła łyk gorzkiej kawy. - Przestało mieć już wiele lat temu. Posłuchaj, on nie wiedział, że wczoraj były urodziny Radleya! - Już nie panowała nad gniewem. - Nie pamiętał nawet, ile Radley ma lat. - Odstawiła z furją filiżankę. - Po prostu pewnego dnia wyszedł z domu i zapomniał o własnym synu.

- Czy dzisiaj ma to jakieś znaczenie?

- Do diabła, jest ojcem Radleya!

- Nie! - Tym razem nie wytrzymał Mitch. - Powinnaś wreszcie to zrozumieć. Tylko go splodził, nic więcej.

- Spoczywa na nim odpowiedzialność.

- Wyrzekł się jej, Hester. - Starając się opanować gniew, wziął ją za rękę. - Sam zrezygnował z Radleya. To draństwo, to niepojęty egoizm, ale czy tak nie jest lepiej? Wolałabyś, żeby się pojawiał i znikał według swego widzimisię? To by dopiero Radleya raniło.

- Tak, ale...

- Chcesz, żeby kochał i przejmował się losem syna, ale on za nic ma Radleya. - Poczuł, że Hester cofa rękę. - Wyrwywasz się.

Rzeczywiście tak było. Żałowała, lecz nie mogła nic na to poradzić.

- Nie chcę.

- Ale wyrwywasz się. - Tym razem Mitch cofnął rękę. - To był tylko telefon.

- Mitch, spróbuj zrozumieć.

- Przez cały czas próbuję. - W jego głosie pojawił się ton, jakiego jeszcze u niego nie słyszała. - Ktoś cię zostawił, sprawił ci ból, ale to zdarzyło się dawno temu.

- Nie chodzi o ból. A może tak, również o ból. Ale to było dawno temu, masz rację. Lecz dzisiaj najważniejszy jest mój strach. Nie chcę znów tego przeżywać. Cierpienie, obawa, pustka. Kochałam go. Musisz zrozumieć, że byłam młoda i pewnie głupia, ale go kochałam.

- Zawsze to rozumiałem - przyznał niechętnie. - Kobieta taka jak ty nie składa obietnic, gdy nie traktuje ich z całkowitą powagą.

- Rzeczywiście. Kiedy coś obiecuję, to dotrzymuję. Chciałam przynajmniej dotrzymać tej jednej. - Chwyliła filiżankę. - Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnęłam utrzymać to małżeństwo, jak bardzo się starałam. Gdy wyszłam za Allana, prawie zrezygnowałam z siebie. Powiedział mi, że wyjedziemy do Nowego Jorku, że będzie wspaniale, więc wyjechałam. Zostawiłam dom, rodzinę i przyjaciół. To była najgłupsza i najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, ale zrobiłam, bo on tego chciał. Podczas naszego małżeństwa tak właśnie było: działo się coś, bo Allan tego chciał. Z miłości godziłam się na wszystko. Uznałam też, że łatwiej jest się podporządkować, niż sprzeciwić. Zbudowałam swoje życie na jego życiu. Potem, w wieku dwudziestu lat, spostrzegłam, że w ogóle nie mam własnego.

- Więc je sobie stworzyłaś, dla siebie i dla Radleya. Z tego możesz być dumna.

- Jestem. Zabrało mi to osiem lat. Osiem lat, by poczuć, że stoję na twardym gruncie. I wtedy pojawiłeś się ty.

- I wtedy pojawiłem się ja - powtórzył z namysłem. - A ty nie możesz pozbyć się myśli, że teraz ja zaczynam pociągać za wszystkie sznurki. Że chcę ci to wszystko zabrać, co sobie ciężko wywalczyłaś.

- Nie chcę znów stać się taka jak wtedy! Nie chcę być kobietą, która istnieje tylko po to, by mężczyzna mógł żyć po swojemu. Nie chcę oddawać mu całej siebie, ze

wszystkim, z duszą, z marzeniami, pragnieniami. Gdybym znów została samotna, tym razem nie zniosłabym tego.

- Zastanów się, co mówisz. Z tego strachu wolisz pozostać samotna? Wolisz schować się w skorupie, niż zaryzykować? Masz przed sobą z pięćdziesiąt lat życia. I co, pięćdziesiąt lat w skorupie? Spójrz na mnie, Hester. Nie jestem Allanem Wallace'em. Nie proszę, żebyś zrezygnowała z siebie, by mnie uszczęśliwić. Kocham cię taką, jaka jesteś teraz. Nie chcę zmieniać cię w kogoś innego. Szanuję cię i cenię, imponujesz mi. Wiem, jak wiele mogę się od ciebie nauczyć. Ale ja też chcę pozostać sobą. I właśnie jako taki pragnę spędzić z tobą resztę życia. Tylko o to proszę.

- Ludzie się zmieniają, Mitch.

- Jasne, ale dlaczego nie zmieniać się razem? - Odetchnął głęboko. - Oczywiście można to również robić w samotności. Daj mi znać, kiedy się zdecydujesz na jedno albo drugie.

Gdy wychodził, chciała zawołać, by został. Ale nie miała do tego prawa.

Nie wolno mi narzekać na los, pomyślał Mitch, siedząc przy swoim komputerze. Pracował nad kolejną sceną filmu. Szło mu coraz lepiej. Zagłębiając się w problemy Zarka, zapominał o swoich.

Zark czuwał przy łóżku Leilah, modląc się, by przeżyła skomplikowany wypadek, w wyniku którego jej uroda pozostała wprawdzie nietknięta, lecz mózg doznał uszkodzeń. Oczywiście gdy Leilah się obudzi, stanie się obca. Osoba, która przez dwa lata była żoną Zarka,

przemieni się w jego największego wroga. Jej genialny umysł nadal będzie wspaniale funkcjonował, lecz jej duszę opanuje zło. Załamią się wszystkie plany i marzenia komendanta. Całe galaktyki znajdują się w niebezpieczeństwie.

- Myślisz, że masz problemy? - zwrócił się Mitch do swego bohatera. - Nie przejmuj się, mnie też się nie układa.

Przymrużonymi oczami wpatrywał się w ekran. Atmosfera jest w porządku, uznał. Łatwo wyobraził sobie, jak w dalekiej przyszłości będzie wyglądała szpitalna sala, co będzie przeżywał przy łóżku chorej żony zakochany Zark, i jak w uśpionym mózgu Leilah dojrzywać będzie złowrogie szaleństwo.

Mitch miał tylko jeden problem: nie potrafił wyobrazić sobie życia bez Hester.

- Jestem głupi. - Leżący u jego stóp pies ziewnął, jakby potwierdzając to spostrzeżenie. - Powinienem po prostu pójść do tego cholernego banku i wyciągnąć ją stamtąd. Przecież to lubi, prawda? - Wstał i przeciągnął się. - Mógłbym zacząć ją błagać. - Rozważył ten wariant i uznał, że jest do niczego. - A więc pozostają tylko argumenty, lecz tego już próbowałem z wiadomym skutkiem. Co by na moim miejscu zrobił Zark?

Zakołysał się na piętach i zamknął oczy. Czy Zark, bohater i święty, cofnąłby się? Czy Zark, obrońca prawa i sprawiedliwości, zrzęcznie by się uchylił? Nie, uznał Mitch. Jeśli chodzi o miłość, Zark jest nieustępliwy. Leilah ciągle rzuca mu w twarz gwiazdny pył, a on, powodowany swą miłością stara się ją odzyskać.

W końcu Hester nie chciała mnie otruć paraliżującym gazem, przypomniał sobie. Leilah próbowała wielu podobnych środków, a mimo to Zark za nią szalał.

Mitch spojrzął na portret Zarka, który powiesił na ścianie, by czerpać z niego natchnienie. Pływamy z Hester w tej samej łodzi, chłopie, nie zamierzam jednak chwycić za wiosła. A ona w końcu zorientuje się, że wpadła we wzburzone fale.

Spojrzął na zegar na biurku, przypomniał sobie jednak, że stanął dwa dni temu. Ręczny zegarek wysłał na pewno do pralni razem z ubraniem. Chciał jednak sprawdzić, ile ma czasu przed powrotem Hester do domu, przeszedł więc do saloniku. Na stole stał stary zegar kominkowy. Mitch lubił go tak bardzo, że systematycznie go nakręcał. Spojrzął na jego tarczę i w tej samej chwili usłyszał pukanie Radleya.

- Punktualnie - stwierdził, otwierając drzwi. - Zimno na dworze?

- Nie, świeci słońce i jest trochę cieplej - poinformował Radley, ściągając plecak.

- Idę do parku, chcesz się przejść? - Mitch poczekał, aż chłopiec położy kurtkę na oparciu sofy. - Przedtem muszę się jednak wzmocnić. Pani Jablanski, moja sąsiadka z piętra, zrobiła ciasteczka. Lituje się nade mną, bo nikt dla mnie nie gotuje, więc dała mi trochę.

- Jakie?

- Z masłem orzechowym.

- Fajnie.

Radley wchodził już do kuchni. Lubił stół z hebanu i przydymionego szkła, głównie zresztą dlatego, że Mitch nie narzekał na odciski palców na szkle.

Usiadł teraz przy stole, zadowolony z mleka, ciastek i towarzystwa Mitcha.

- Mamy opracować wszystkie stany - poinformował z pełnymi ustami. - Dostałem Rhode Island. To jest najmniejszy stan. Chciałem Teksas, ale nic z tego.

- Rhode Island. - Mitch się uśmiechnął i schrupał ciasteczko. - To tak źle?

- Nikogo nie obchodzi Rhode Island. W Teksasie jest Alamo i te wszystkie sprawy.

- No cóż, może mógłbym ci pomóc. Urodziłem się tam.

- W Rhode Island? Poważnie? - Wyraźnie się zainteresował.

- Aha. Ile masz na to czasu?

- Sześć tygodni - powiedział chłopiec, wzruszył ramionami i sięgnął po następne ciasteczko. - Mamy przygotować ilustracje, to żaden problem, ale także te wszystkie historie o przemyśle i zasobach naturalnych. Dlaczego stamtąd wyjechałeś?

Mitch miał już powiedzieć coś na odczepnego, przypomniał sobie jednak zasadę Hester: Radleyowi zawsze trzeba mówić prawdę.

- Wtedy nie za dobrze żyłem z rodzicami. Teraz już jest lepiej.

- Niekiedy ludzie wyjeżdżają i już nie wracają. Radley powiedział to tak poważnie, że Mitch odpowiedział takim samym tonem:

- Wiem.

- Kiedyś się martwiłem, że mama wyjedzie, ale nie wyjechała.

- Kochacie.

- Zamierzasz się z nią ożenić?

- No cóż, ja... - Jak sobie z tym poradzić? - Myślę o tym. - Ze zdenerwowania wstał i postanowił nalać sobie kawy. - Tak naprawdę bardzo dużo o tym myślę. A co ty o tym sądzisz?

- Mieszkałbyś z nami przez cały czas?

- O to właśnie chodzi. Czy to cię niepokoi?

Radley obrzucił go trudnym do odczytania spojrzeniem.

- Mama jednego z moich przyjaciół wyszła po raz drugi za męża. Kevin mówi, że od tego czasu ojczym nie jest już jego przyjacielem.

- Czy myślisz, że jeśli ożenię się z twoją mamą, przestanę być twoim przyjacielem? - Ujął Radleya pod brodę. - Nie jestem twoim przyjacielem z powodu mamy, tylko dla ciebie samego. Mogę przyrzec, że to się nie zmieni, jeśli zostanę twoim ojczymem.

- Nie powinieneś zostawać moim ojczymem, nie chcę. - Mitch poczuł, że podbródek chłopca drży. - Chcę prawdziwego ojca. Prawdziwi nie odchodzą.

Mitch wsunął rękę pod ramię chłopca i przeniósł go sobie na kolana.

- Masz rację, prawdziwi nie. - Przytulił Radleya. - Wiesz, nie mam zbyt wiele doświadczenia jako ojciec. Będiesz na mnie zły, kiedy coś zrobię nie tak?

Radley pokręcił głową.

- Możemy powiedzieć mamie? - zapytał. Mitchowi udało się roześmiać.

- Tak, to dobry pomysł. Wkładaj kurtkę, sierżancie, mamy przed sobą bardzo ważną misję.

Hester gubiła się w liczbach. Z jakiegoś powodu miała kłopot z dodaniem dwóch do dwóch. W każdym razie wynik nie wydawał się jej już tak bardzo ważny. A to, wiedziała, stanowiło oczywistą oznakę, że coś jest nie w porządku. Jeszcze raz przerzuciła akta, obliczała i oceniała, aż wreszcie je zamknęła.

To jego wina, powiedziała sobie. Jego wina, że przestała się pasjonować pracą. A przecież jeszcze przez ponad dwadzieścia lat będzie musiała ją wykonywać. Jak ona to wytrzyma, gdy straciła do niej serce? Mitch sprawił, że musiała na nowo uporać się z bólem i gniewem, który starała się głęboko pogrzebać, sprawił, że chciała tego, o czym przyrzekła sobie nawet w skrytości nie marzyć.

I co teraz? Oparła się na łokciach i wpatrywała w przestrzeń. Była zakochana uczuciem głębszym i bogatszym niż kiedykolwiek przedtem. Kochała wspaniałego człowieka, który dawał jej szanse na nowe życie.

Tego właśnie obawiam się najbardziej, przyznała w myślach. Właśnie od tego chciałam się odgrodzić. Nie rozumiała wcześniej, że za to, co się stało, obwinia bardziej siebie niż Allana. Traktowała rozpad swego małżeństwa jako osobisty błąd, swoją prywatną klęskę. Zamiast zaryzykować następną, niszczyła w sobie wszelką nadzieję.

Tak, chodzi również o Radleya, lecz to tylko część prawdy, przyznała. Reszta to moje własne obawy.

Mitch miał rację w tak wielu sprawach. Nie była już tą samą kobietą, która kochała i poślubiła Allana Waliace'a. Nawet nie tą, która walczyła o byt, gdy pozostała sama z małym dzieckiem.

Kiedy przestanie się karać? Teraz, uznała i podniosła słuchawkę. Właśnie teraz. Wybrała numer Mitcha. Przygryzła wargę. Słuchała kolejnych dzwonek. Odłożyła słuchawkę, przyrzekając sobie, że nie straci odwagi. Za godzinę wróci do domu i poinformuje go, że jest gotowa rozpocząć nowe życie.

Usłyszała brzęczyk oznaczający telefon od sekretarki.

- Tak, Kay?

- Pani Wallace, ktoś chce się z panią zobaczyć w sprawie pożyczki.

Upewniła się, patrząc na kalendarz.

- Nie planowałam żadnego spotkania.

- Dlatego pomyślałam, że znajdzie pani trochę czasu.

- Dobrze, ale zadzwoń za dwadzieścia minut, żeby

to przerwać. Muszę jeszcze coś uporządkować przed końcem pracy.

- Tak jest.

Hester chciała właśnie wstać, gdy do pokoju wszedł Mitch.

- Mitch? Ja właśnie... Co tu robisz? Gdzie jest Rad?

- Czeka w holu z Tazem.

- Kay powiedziała, że ktoś chce się ze mną zobaczyć.

- Tak. Ja.

Podszedł do biurka i położył na nim teczkę. Sięgnęła do jego dłoni, lecz na widok poważnego spojrzenia Mitcha cofnęła rękę.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że przyszedłeś po pożyczkę.

- Właśnie że tak. Uśmiechnęła się.

- Nie bądź głupi.

- Pani Wallace, powiedziano mi, że zajmuje się pani pożyczkami w tym banku. Czy to prawda?

- Mitch, to przedstawienie jest zbyteczne.

- Z przykrością poinformuję Rosena, że odsyła mnie pani do konkurencji. - Otworzył teczkę. - Mam tu stosowne informacje finansowe. Zakładam, że mogę dostać formularz wniosku o pożyczkę hipoteczną.

- Oczywiście, ale...

- No to daj mi ten formularz.

- Dobrze. - Skoro chciał się tak bawić, to proszę bardzo. - Jest więc pan zainteresowany pożyczką. Nabywa pan nieruchomość w celach inwestycyjnych, do wynajmu czy do prowadzenia działalności gospodarczej?

- Nie, do celów osobistych.

- Rozumiem. Ma pan umowę sprzedaży?

- Tak, proszę.

Zobaczył z przyjemnością, że ze zdziwienia otworzyła usta.

Hester wzięła umowę i przyjrzała się jej.

- Jest prawdziwa - stwierdziła zdumiona.

- Oczywiście że jest prawdziwa. Wysłałem ofertę już dwa tygodnie temu. - Podrapał się w szyję, jakby starał się przypomnieć sobie fakty. - Tak, to na pewno był ten dzień, kiedy musiałem zrezygnować z zaproszenia na obiad. Już go pani nie ponowiła.

- Kupiłeś dom? - Ponownie przejrzała papiery. - W Connecticut?

- Przyjęli moją ofertę. Dokumenty właśnie nadeszły. Sądzę, że bank będzie chciał przeprowadzić własną wycenę. Za to pobieracie opłatę, prawda?

- Co? Och, tak, wypełnię formularze.

- Doskonale. Mam kilka zdjęć i plan. - Wyjął je z teczki i położył na biurku. - Może zechce pani je obejrzeć?

- Nie rozumiem.

- Zacziesz rozumieć, kiedy zobaczysz zdjęcia.

Ujrzała dom ze swych marzeń. Duży, rozłożysty, z gankami wokół i wysokimi, szerokimi oknami. Śnieg pokrywał dach i przyginał gałęzie choinek.

- Jest też trochę zabudowań, widzisz? Stodoła i kurnik. Na razie są puste. Działka ma pół hektara, z lasem i strumieniem. Agent powiedział, że dobrze się w nim łowi. Trzeba naprawić dach i wymienić rynny. Wewnątrz przydałoby się trochę farby albo tapety, no i nowa kanalizacja. Ale dom jest solidny. - Uważnie obserwował Hester. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w fotografię. - Wytrzymał już sto pięćdziesiąt lat i postoi co najmniej drugie tyle.

- Jest piękny. - W kącikach jej oczu pojawiły się łzy, lecz pozbyła się ich mruganiem. - Naprawdę cudowny.

- Z punktu widzenia banku?

Pokręciła głową. Nie chciał jej niczego ułatwić. I nie powinien, przyznała w duchu. To ona wszystko skomplikowała.

- Nie wiedziałam, że myślisz o przeprowadzce. Co z twoją pracą?

- Mogę rysować w Connecticut tak samo jak tutaj. Stamtąd jest wygodny dojazd, a w wydawnictwie i tak nie bywam zbyt często.

- To prawda. - Wzięła do ręki długopis. Nie po to, żeby wypełniać formularze, lecz by zająć czymś ręce.

- Powiedziano mi - kontynuował - że tam w miasteczku jest bank. Nie taki jak National Trust, ale mały, niezależny. Myślę, że ktoś z twoim doświadczeniem

dostałby w nim dobre stanowisko.

- Zawsze wołałam małe banki. - Musiała pokonać dławienie w gardle. - I małe miasteczka.

- Mają dwie dobre szkoły. Podstawowa graniczy z farmą. Podobno czasami krowy forsują ogrodzenie i wchodzą na jej teren.

- Pomyślałeś o wszystkim.

- Tak mi się wydaje.

Wpatrywała się w zdjęcia, zastanawiając się, jak zdołał znaleźć posiadłość, która w każdym szczególe odpowiadała jej marzeniom.

- Czy zrobiłeś to dla mnie? - zapytała.

- Nie. - Począł, aż Hester na niego spojrzy. - Dla nas. W jej oczach znów pojawiły się łzy.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Wiem. - Wziął ją za rękę. - Byłabyś więc głupia, odrzucając taką okazję.

- Nie mogłabym sobie tego wybaczyć. Uwolniła rękę, żeby wstać i obejść biurko.

- Muszę ci coś powiedzieć, ale chciałabym, żebyś najpierw mnie pocałował.

- Tak się tutaj uzyskuje pożyczki? - Przyciągnął ją do siebie. - Muszę na panią donieść, pani Wallace. Ale to za chwilę.

Przycisnął usta do jej ust.

- Czy to oznacza że dostanę pożyczkę?

- O interesach porozmawiamy za chwilę. - Pocałowała go jeszcze raz i odsunęła się. - Zanim przyszedłeś, siedziałam za biurkiem. Właściwie siedziałam tak od paru dni i nic nie robiłam. Bo myślałam o tobie.

- Mów dalej, to mi się podoba.

- A kiedy nie myślałam o tobie, myślałam o sobie. Przez ostatnie dwanaście lat poświęcałam dużo energii na to, żeby tego nie robić. Nie było mi więc łatwo. - Trzymała go za rękę, odsunęła się jednak trochę. - Stwierdziłam, że to, co się zdarzyło z Allanem i ze mną, musiało się zdarzyć. Gdybym była mądrzejsza albo silniejsza, już dawno musiałabym przyznać, że nasz związek nigdy nie miał szans. Może gdyby nie zostawił mnie w taki sposób... - Urwała. - Zresztą to teraz nie ma znaczenia. Właśnie do tego wniosku musiałam dojść, że nie ma już znaczenia. Mitch, nie chcę spędzić reszty życia, zastanawiając się, czy nam się uda. Po prostu postaram się, żeby się udało. Zanim tu przyszedłeś, postanowiłam cię zapytać, czy nadal chcesz się ze mną ożenić.

- Odpowiedź brzmi tak, ale z kilkoma zastrzeżeniami. Miała już wpaść mu w ramiona, lecz teraz się cofnęła.

- A więc będą jakieś aneksy?

- Aha. Pracujesz w banku, więc znasz się na zastrzeżeniach do umów, prawda?

- Tak, ale nie traktuję małżeństwa jako transakcji.

- Lepiej posłuchaj, co mam do powiedzenia, bo ta transakcja jest poważna. - Dotknął jej ramion, a potem opuścił rękę. - Chcę być ojcem Radleya.

- Jeśli weźmiemy ślub, to będziesz.

- Nie, stanę się jego ojczymem. Rad i ja uzgodniliśmy, że na to nie pójdziemy.

- Uzgodniliście? - zapytała ostrożnie. - Omówiłeś to z Radem?

- Tak, omówiłem z Radem. On zaczął, ale gdyby nie to, omówiłbym to z nim tak czy inaczej. Zapytał mnie dziś, czy zamierzam się z tobą ożenić. Chciałabyś, żebym go okłamał?

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie, oczywiście nie. Co powiedział?

- Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy pozostanę jego przyjacielem, ponieważ słyszał o ojczymach, którzy nieco się zmieniają, gdy już włożą nogę w drzwi. Kiedy wyjaśniliśmy tę kwestię, oświadczył, że nie chce, abym był jego ojczymem.

- Och, Mitch. - Usiadła na krawędzi biurka.

- On chce prawdziwego ojca, Hester, ponieważ prawdziwi ojcowie nie odchodzą.

Powoli zamknęła oczy.

- Rozumiem.

- W tej sytuacji musisz podjąć jeszcze jedną decyzję. Czy zgodzisz się, żebym go adoptował? - Ze zdumienia otworzyła oczy. - Postanowiłaś się podzielić sobą. Chcę wiedzieć, czy podzielisz się też Radem. Nie widzę żadnych problemów emocjonalnych. Chodzi tylko o to, żeby przypieczętować to prawnie. Chyba twój były mąż nie będzie stawiał przeszkód?

- Nie, jestem pewna, że nie.

- Rad także nie miałby nic przeciwko temu. A co z tobą? Hester wstała i odeszła kilka kroków.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Nie mogę znaleźć właściwych słów.

- Wybierz jakieś.

Odwróciła się, głęboko wzdychając.

- Więc dobrze. Cieszę się, że Radley będzie miał wspaniałego ojca. Wiedz też, że bardzo cię kocham.

- A więc postanowione. - Chwycił ją i przyciągnął do siebie. - Postanowione. - Pocałował ją szybko i żarliwie. Objęła go i roześmiała się. - Czy to oznacza, że zatwierdzisz pożyczkę?

- Przykro mi, ale nie.

- Co takiego?

- Mogę natomiast zatwierdzić wspólny wniosek. Twój i twojej żony. - Ujęła dłońmi jego twarz. - Nasz wspólny dom, nasze wspólne zobowiązanie.

- Na takie warunki mogę przystać. - Delikatnie ją pocałował. - Na jakieś sto lat. - Szybko okręcił ją wokół.

- Nasz śnieżny zamek... - szepnęła.

- Nie jest już ze śniegu - roześmiał się. - Chodźmy powiedzieć Radowi. - Trzymając się za ręce, ruszyli do drzwi.

- Hester, co sądzisz o podróży poślubnej do Disneylandu? - zapytał.

Zachichotała.

- Cudownie - odpowiedziała - absolutnie cudownie.

Dziewczyna z okładki

ROZDZIAŁ 1

Czarne włosy dziewczyny zafalowały w ruchu, załśniły w blasku flesza. Modelka, co chwilę zmieniając pozycję, wystawiała śliczną buzię do obiektywu.

- Super, Hillary. Jeszcze jedno ujęcie. Teraz lekko wydmij usta. Reklamujemy szminki - przypomniał Larry Newman. Cykał zdjęcie za zdjęciem. - Fantastycznie - oświadczył z satysfakcją, podnosząc się i prostując. - Na dziś wystarczy.

Hillary Baxter z westchnieniem ulgi wyciągnęła ręce nad siebie.

- Bogu dzięki. Jestem całkiem padnięta. Marzę tylko, by dotrzeć do domu i wyciągnąć się w wannie z gorącą wodą.

- Kotku, pomyśl o tych milionach dolarów, jakie dzięki twoim zdjęciom zarobią na szminkach. - Larry zgasił światła. On też powoli się odprężył.

- Nieźle mieszają ludziom w głowach.

- Cóż, tak to jest - rzucił z roztargnieniem. - Jutro robimy zdjęcia do reklamy szamponu, więc zadbaj o włosy. M a j ą być piękne i lśniące. Och, prawie zapomniałem! - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Rano mam ważne spotkanie, więc przyślę kogoś na zastępstwo.

Hillary uśmiechnęła się pobłaźliwie. Od trzech lat działała w branży, a Larry był jej ulubionym fotografem. Znał się na swoim fachu, potrafił doskonale operować

światłem, uchwycić nastrój. Fotografowanie pochłaniało go bez reszty, w innych dziedzinach życia był bezradny jak dziecko.

- Co to za spotkanie? - zapytała.

- Nie mówiłem ci? - zdziwił się, widząc jej minę. - O dziesiątej rano jestem umówiony z Bretem Bardoffem.

- Z tym Bretem Bardoffem? - zapytała, nie kryjąc zdumienia. - Nie wiedziałam, że właściciel „Mode” spotyka się ze zwykłymi śmiertelnikami.

- Widać uczynił wyjątek - zareplikował Larry. - Jego sekretarka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jej szef ma pewien pomysł, który chciałby ze mną omówić.

- Życzę szczęścia. Z tego, co o nim słyszałam, to facet, który dobrze wie, czego chce. I potrafi postawić na swoim.

- Inaczej nigdy by nie doszedł do tego, kim jest dzisiaj. - Larry wzruszył ramionami. - Jego ojciec założył „Mode” i zbił na tym fortunę, ale Bret Bradoff powiększył ją w dwójnasób. Jest świetnym biznesmenem i doskonale zna się na fotografii.

- Tobie wystarczy, by ktoś miał mgliste pojęcie o aparatach, a już jesteś kupiony - roześmiała się Hillary. - Ale ja trzymam się z daleka od takich typów. - Wzdrygnęła się lekko. - Tacy ludzie mnie przerażają.

- Hillary, ciebie nic nie jest w stanie przerazić. - Z dobrotliwą miną popatrzył na wysoką, wiotką dziewczynę.

- Przyślę kogoś na poranną sesję - dorzucił.

Wyszła na ulicę, złapała taksówkę. Trzy lata w Nowym Jorku zrobiły swoje. Oswoiła się z wielkomiejskim życiem. Nie była już tą dziewczyną z niewielkiej kansaskiej farmy onieśmioną zetknięciem z metropolią.

Miała dwadzieścia jeden lat, gdy postanowiła

spróbować szczęścia jako modelka. Na początku szło jak po grudzie, ale nie poddawała się. Krążyła od agencji do agencji, łapiąc każdą pracę, jaka się nadarzyła.

Pierwszy rok był trudny, ale powoli wyrabiała sobie markę. Po jakimś czasie rozpoczęła współpracę z Larrym i od tego momentu jej kariera nabrała rozpędu. Za tym poszły pieniądze. Mogła wynieść się z ciasnego mieszkania na drugim piętrze i zamieszkać w wygodnym apartamencie w wieżowcu obok Central Parku.

Stała się sławną, wręcz rozchwytywaną modelką, odniosła sukces, jednak nie przewróciło jej się w głowie. Nie marzyła o sławie i życiu w blasku fleszy. Praca modelki była dla niej sposobem uzyskania środków do życia. Miała kruczoczarne włosy, regularne rysy, duże szafirowe oczy w ciemnej oprawie przyjemnie kontrastujące ze złocistą karnacją. Do tego pełne, ładnie zarysowane usta i piękny uśmiech. W zależności od potrzeb potrafiła upozować się na kobietę elegancką i wyrefinowaną mocno stojącą na ziemi, zmysłową i uwodzicielską. To przeobrażanie się przychodziło jej bez trudu.

Ledwie weszła do domu, zrzuciła buty. Miło poczuć pod bosymi stopami mięciutką, puszystą wykładzinę. Dziś już nic nie miała w planie. Mogła spokojnie się odprężyć, zjeść lekki posiłek i przez kilka godzin nic nie robić.

Wzięła prysznic, otuliła się niebieskim szlafrokiem i poszła do kuchni przyrządzić sobie kolację. Zupa i krakersy. Nic więcej. Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Cześć, Lisa - uśmiechnęła się do sąsiadki. - Masz ochotę na kolację?

Lisa MacDonald z niesmakiem skrzywiła nos.

- Wolalabym przytyć parę kilo, niż głodzić się jak ty.

- Gdybym nie uważała, to szybko musiałybyś mnie zatrudnić w swojej firmie. A właśnie, co tam słyhać u tego młodego prawnika?

- Mark nawet nie ma pojęcia o moim istnieniu. - Lisa z westchnieniem opadła na kanapę. - Zaczynam tracić nadzieję. Skończy się tym, że przestanę nad sobą panować i rzućę się na niego.

- Nie, to by było w złym stylu - uznała Hillary. - A gdyby tak się potknął, przechodząc obok twojego biurka - podsunęła. - Mogłabyś to zaaranżować.

- Chyba tak właśnie zrobię.

Hillary uśmiechnęła się, usiadła, wyciągnęła bose stopy na niskim stoliku. - Słyszałaś kiedyś o Breecie Bardoffie?

- Też pytanie! Każdy o nim słyszał. Milioner, niesamowicie atrakcyjny, tajemniczy, błyskotliwy biznesmen, który nadal kieruje się zasadami. Dlaczego pytasz?

- Sama nie wiem. - Hillary wzruszyła ramionami. - Larry ma z nim spotkanie jutro rano.

- Oko w oko?

- Uhm. - Przestała się uśmiechać, popatrzyła na Lisę. - Wprawdzie nie raz i nie dwa pracowaliśmy dla jego magazynów, jednak nie mieści mi się w głowie, że pan Bardoff chce się osobiście spotkać ze zwykłym fotografem, choćby najlepszym. Podobno jest doskonałą partią, tak przynajmniej oceniają plotkarskie gazety. - Zmarszczyła brwi. - To dziwne, ale nie znam nikogo, kto zetknął się z nim bezpośrednio. Jest jak mityczny bóg siedzący na Olimpie i stamtąd zarządzający swoim imperium.

- Może Larry coś o nim opowie - zastanowiła się Lisa.

- Larry? Co ty! On widzi tylko to, co fotografuje.

Dochodziło wpół do dziesiątej, gdy Hillary dotarła do studia Larry'ego. Otworzyła drzwi swoim kluczem. Była gotowa do zdjęć. Świeżo umyte włosy lśniły i układały się w miękkie fale. Umalowała się w pokoiku na zapleczu i za piętnaście dziesiąta włączyła światła do zdjęć studyjnych. Minuty mijały, lecz nikt nie przychodził. Zaczęło kiełkować w niej nieprzyjemne podejrzenie, że Larry zapomniał załatwić zastępstwo. Była prawie dziesiąta, gdy drzwi się otworzyły. Krążąca po studio Hillary odwróciła się. Na progu stał nieznajomy mężczyzna.

- W samą porę - zaczęła bez wstępu, pokrywając uśmiechem złość. - Spóźnił się pan.

- Spóźniłem się? - zdziwił się.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Wyjątkowo przystojny. Gęste jasne włosy sięgające kołnierzyka szarego polo, duże szare oczy, usta wygięte w lekkim uśmiechu. Twarz ozłocona opalenizną. Było w niej coś zagadkowo znajomego.

- Chyba jeszcze nie pracowaliśmy razem? - zapytała, podnosząc wzrok, by popatrzeć mu prosto w oczy.

- Czy to ważne?

Odwróciła się, poprawiła podwinięty rękaw bluzki.

- No to bierzmy się do roboty - rzuciła. - Gdzie pana sprzęt? - zapytała. - Będzie pan używać aparatu Larry'ego?

- Tak myślę. - Nadal stał, wpatrując się w nią zuchwale.

Jego zachowanie zaczynało ją irytować.

- Zaczynamy, szkoda dnia. Straciłam już dobre pół godziny, czekając na pana.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się i ten jego uśmiech natychmiast go odmienił. - Do czego mają być te zdjęcia? - zapytał, oglądając sprzęt Larry'ego.

- Boże, Larry tego też nie powiedział? - Potrząsnęła głową, po raz pierwszy się uśmiechnęła. - Larry jest wspaniałym fotografem, ale nie stąpa po ziemi. - Teatralnym gestem podciągnęła w górę pasmo lśniących włosów, potrząsnęła głową. - Doskonale czyste, pełne blasku, uwodzicielskie - powiedziała przesłodzonym tonem charakterystycznym dla reklamówek. - Dziś sprzedajemy szampon.

- W porządku - odparł krótko i zaczął wprawnie rozstawiać sprzęt. Zawodowiec, skonstatowała i odetchnęła lżej. Przy tym nieznanym czuła się dziwnie spięta. - A tak przy okazji, to gdzie jest Larry? - nieoczekiwane pytanie wybiło ją z rozmyślań.

- Jak to? Nic nie powiedział? To cały on. - Stała przed obiektywem i zaczęła pozować do zdjęć. Kruczoczarne włosy falowały, opadały gęstą jedwabistą kaskadą. Fotograf pstrykał bez końca, błyskawicznie zmieniając ujęcia. - Był umówiony na spotkanie z Bretem Bardoffem. Jeśli o tym zapomniał, to niech Bóg ma go w swojej opiece. Larry przepadł z kretesem.

- Bardoff jest taki straszny? - z rozbawieniem zapytał fotograf.

- Tak przypuszczam. - Uniosła włosy nad głowę, odzekała chwilę i puściła je swobodnie. Ciemne loki opadły na ramiona. - Podejrzewam, że tacy bezkompromisowi biznesmeni jak pan Bardoff nie stosują taryfy ulgowej dla roztargnionych fotografów czy innych dziwaków.

- Zna go pani?

- Ależ skąd! - roześmiała się w głos. - I raczej mi to nie grozi. Za wysokie progi. Pan się z nim zetknął?

- Nie całkiem.

- Nie znamy go, ale wszyscy od czasu do czasu dla

niego pracujemy. Zastanawiam się, ile razy moje zdjęcia były w jego pismach. - Napotkała utkwione w nią spojrzenie szarych oczu i skinęła głową. - Mnóstwo - oświadczyła. - Ale nigdy nie poznałam naszego cezara.

- Cezara?

- A jak inaczej określić kogoś, kto jest na szczytach władzy? - zrobiła dramatyczny gest dłonią. - Podobno swoje pisma traktuje jak imperium.

- To coś złego?

- Nie. - Z uśmiechem wzruszyła ramionami. - Po prostu takie grube ryby mnie onieśmielają.

- Czy to nie nadmierna skromność? Zdjęcia mówią zupełnie coś innego. - Tym razem to ona się zdziwiła. - Dzięki tym fotkom sprzedają się całe beczki szamponu. - Odłożył aparat, popatrzył jej prosto w oczy. - Myślę, że wystarczy. Mamy, co trzeba, Hillary.

Odetchnęła, opuściła ręce i z zainteresowaniem popatrzyła na fotografa.

- Poznaliśmy się wcześniej? Przepraszam, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć. Pracowaliśmy kiedyś razem?

- Zdjęcia Hillary Baxter są wszędzie, a wyszukiwanie pięknych twarzy to mój zawód. - Mówił spokojnie, oczy mu się śmiały.

- Cóż, ma pan nade mną przewagę, panie... ?

- Bardoff. Bret Bardoff. - Sfotografował jej zaskoczoną minę. - Wystarczy, można zamknąć buzię. - Uśmiechnął się szerzej, widząc, jak posłusznie wykonała polecenie.

Teraz go poznała. Tyle razy widziała jego zdjęcie w gazetach i wydawanych przez niego pismach. Jak mogła go nie rozpoznać? Zrobiła z siebie kretynkę. Złość, jaka w niej wezbrała, przeniosła się i na niego.

- Dlaczego pozwolił mi pan tak paplać? - wybuchła, piorunując go wzrokiem. - Nie powinien pan robić tych zdjęć.

- Ja jedynie wykonywałem polecenia. - Jego poważny ton i chmurna mina tylko spotęgowały jej gniew.

- Niepotrzebnie! Powinien pan powiedzieć, kim pan jest! - Ledwie panowała nad sobą.

Nieznajomy tylko się uśmiechnął.

- Nie byłem pytany.

Nie zdążyła zareplikować, bo drzwi otworzyły się i na progu pojawił się wyraźnie zdenerwowany Larry.

- Panie Bardoff - zaczął, idąc w ich stronę. - Bardzo pana przepraszam, że tak wyszło. Wydawało mi się, że mam się stawić w pana biurze. - Przesunął palcami po włosach. - Sam nie wiem, jak to się stało... Przepraszam, że musiał pan czekać.

- Nie ma o czym mówić. Ta godzinka upłynęła bardzo przyjemnie.

- Och, Hillary! - Larry dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności dziewczyny. - Boże, chyba znowu o czymś zapomniałem. Słuchaj, te zdjęcia przełożymy na później.

- Nie będzie takiej potrzeby. - Bardoff podał mu aparat. - Już są gotowe.

- Pan zrobił zdjęcia? - Larry przeniósł wzrok z aparatu na rozmówcę.

- Hillary nie chciała tracić czasu. - Uśmiechnął się i dodał: - Mam nadzieję, że okażą się wystarczająco dobre.

- Ależ panie Bardoff! - z szacunkiem zaproponował Larry. - Co do tego nie ma dwóch zdań. Pan jest mistrzem obiektywu.

Marzyła tylko o tym, by natychmiast zapaść się pod

ziemię. Ale się popisała! Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak fatalnie. Jak mógł podszywać się pod fotografa! Na samo wspomnienie tego, co i w jaki sposób mu powiedziała, robiło się jej słabo. Boże, wyjść stąd i już nigdy nie spotkać tego człowieka.

Pośpiesznie pozbierała swoje rzeczy.

- To ja już nie będę przeszkadzać - powiedziała, zarzucając torbę na ramię. - Zaraz mam na mieście kolejną sesję. - Nabrała powietrza. - Do widzenia, Larry. Miło mi było pana poznać, panie Bardoff. - Ruszyła do wyjścia. Nieoczekiwanie Bardoff przytrzymał ją za rękę.

- Do zobaczenia, Hillary. - Zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz. - To był bardzo przyjemny poranek. Musimy to wkrótce powtórzyć.

Prędzej mnie piekło pochłonie, pomyślała w duchu. Wymamrotała coś zdawkowego i szybko ruszyła do wyjścia. W uszach ciągle rozbrzmiewał jej jego śmiech.

Szykując się wieczorem na spotkanie, daremnie próbowała odepchnąć od siebie wspomnienia porannego zdarzenia. Mało prawdopodobne, by jeszcze raz zetknęła się z Bretem Bardoffem. Coś takiego raczej się nie powtórzy.

Dźwięk telefonu wyrwał ją z tych rozmyślań.

- Cześć, Hillary - usłyszała głos Larry'ego. - Dobrze, że cię złapałem.

- Właśnie wychodzę, już byłam w drzwiach. Co się stało?

- Nie będę się teraz wdawać w szczegóły. Bret chce zacząć już jutro rano.

Bret? Jeszcze całkiem niedawno Larry zwracał się do niego z większą atencją.

- Larry, o czym ty mówisz?

- Rano Bret sam ci wszystko wyjaśni. Masz być u niego w biurze o dziewiątej.

- Co takiego? - mimowolnie podniosła głos. Przełknęła ślinę. - Larry, o co chodzi?

- Otwiera się przed nami wspianała perspektywa. Bret ci wszystko opowie. Wiesz, gdzie jest jego biuro?

- Nie chcę się z nim spotykać - zaprotestowała Na samo wspomnienie tych przenikliwych szarych oczu ogarniała ją panika. - Nie wiem, co on ci powiedział, ale rano zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Wzięłam go za fotografa, naprawdę. To w pewnym sensie twoja wina, bo gdyby...

- Hillary, przestań się tym przejmować - przerwał jej spokojnie. - To już nie ma znaczenia. O dziewiątej zamelduj się u niego. Do zobaczenia.

- Ale Larry... - urwała, bo odłożył słuchawkę.

Usiadła na łóżku. Bardoff pewnie chce zabawić się jej kosztem, wyśmiać jej głupotę. Niedoczekanie! Pokaże mu, że lepiej z nią nie zadzierać.

Nazajutrz rano starannie wybrała strój. Sukienka z cienkiej białej wełny prostotą kroju podkreślała figurę. Włosy upięła w luźny węzeł, by wyglądać bardziej profesjonalnie. Dziś będzie chłodna i pewna siebie. Żadnych rumieńców czy skrępowania. Buty na obcasie przydadzą wzrostu.

Podjechała taksówką, wsiadła do windy. Tuż przed dziewiątą przedstawiła się ładnej ciemnowłosej recepcjonistce siedzącej za ogromnym biurkiem. Poprowadzono ją długim korytarzem, minęła solidne dębowe drzwi.

W przestronnym, elegancko umeblowanym pomieszczeniu powitała ją atrakcyjna sekretarka Bardoffa.

Przedstawiła się jako June Miles.

- Proszę wejść, pani Baxter. Pan Bardoff czeka na panią - rzekła z uśmiechem.

Bardoff siedział za masywnym dębowym biurkiem, za jego plecami rozciągał się panoramiczny widok na Nowy Jork.

- Witam, Hillary. - Podniósł się na jej widok. - Wejdzie pani dalej czy chce pani tak stać na progu?

Wyprostowała się sztywno.

- Dzień dobry, panie Bardoff - odezwała się chłodnym tonem. - Miło znów pana widzieć.

- Bez hipokryzji, Hillary - skomentował, prowadząc ją do krzesła obok biurka. - Dobrze wiem, co pani naprawdę myśli.

Nie odpowiedziała. Z uśmiechem skierowanym w dal usiadła na wskazanym miejscu.

- Jednak mimo to - ciągnął - pragnę z panią porozmawiać. Pozwoli pani?

- W jakim celu? - rzuciła ostro, bo jego arogancja coraz bardziej ją irytowała.

Bardoff usiadł za biurkiem, przesunął po dziewczynie taksującym spojrzeniem. Nawet nie mrugnęła okiem. Przywykła do takich ocen, były nieodłącznie związane z jej zawodem.

- Mój cel, Hillary - przytrzymał jej wzrok - jest całkowicie biznesowy, choć to może się zmienić w każdej chwili.

Zarumieniła się lekko, słysząc tę uwagę. Zmusiła się, by wytrzymać jego wzrok.

- Na Boga - uśmiechnął się ze zdumieniem. - Prawdziwy rumieniec. Myślałem, że w dzisiejszych czasach to już się nie zdarza. - Uśmiechnął się o wiele szerzej, bo

Hillary jeszcze mocniej poczerwieniała. - Hillary, jest pani ostatnim egzemplarzem zanikającego gatunku.

- Czy moglibyśmy wrócić do sprawy, w jakiej mnie pan poprosił? - przywołała go do porządku. - Domyślam się, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem. Może pan w to nie uwierzy, ale ja również.

- Oczywiście - potwierdził. Uśmiechnął się lekko. - Pamiętam. Mam pomysł na specjalne wydanie „Mode”. - Sięgnął po papierosa. Hillary odmówiła. - Ten pomysł chodzi mi po głowie już od jakiegoś czasu, ale nie natrafiłem na właściwą modelkę i fotografa. - Zmrużył oczy, popatrzył na nią w zamyśleniu. Czuła się jak obiekt obserwowany pod mikroskopem. - Wreszcie znalazłem.

- Mógłby pan przejść do szczegółów, panie Bardoff? Przypuszczam, że zwykle nie rozmawia pan osobiście z modelkami. To chyba wyjątkowa sprawa?

- Tak myślę - przystał. - To byłby numer specjalny, historia opowiedziana zdjęciami. „Różne twarze kobiety”, coś w tym stylu. - Podniósł się. - Chciałbym pokazać kobietę w różnych sytuacjach, w różnych sceneriach. Kobieta pracującą, matkę, sportsmenkę, elegantkę, kobietę niewinną i zmysłową, słowem, wielostronny portret Ewy.

- To wspaniały pomysł - powiedziała szczerze, zarażona jego entuzjazmem. - Sądzi pan, że byłabym odpowiednia do niektórych zdjęć?

- Jak najbardziej - odparł z przekonaniem. - Do wszystkich zdjęć.

Zdumiała się.

- Zamierza pan pracować tylko z jedną modelką?

- Zamierzam zaangażować do tego panią.

- Byłabym głupia, gdybym nie zainteresowała się tą propozycją - powiedziała otwarcie. - Ale dlaczego ja?

- Hillary, dajmy temu spokój - w jego głosie zabrzmiała niecierpliwość. Zastygła, zaskoczona, bo dotknął dłonią jej policzka. - Jest pani piękna i wyjątkowo fotogeniczna.

Mówił tak, jakby oceniał nie żywą osobę, lecz jakiś przedmiot. Dotyk jego rąk trochę ją rozpraszał.

- Panie Bardoff, w Nowym Jorku jest mnóstwo pięknych i fotogenicznych modelek. Chciałabym wiedzieć, dlaczego wybrał pan właśnie mnie.

- Nikt inny nie wchodzi w grę. Pani ma w sobie to coś, niespotykany talent wcielania się w konkretną postać. Właśnie kogoś takiego szukam. Potrzebne mi nie tylko piękno, ale szczerłość przemawiająca ze zdjęć.

- Według pana ja spełniam te warunki.

- Nie byłoby tu pani, gdybym nie miał takiej pewności. Nie podejmuję pochopnych decyzji.

Pewnie tak jest, pomyślała, patrząc mu w oczy. Nie działa na oślepek, dokładnie rozważa każdy szczegół.

- Larry byłby fotografem? - zapytała.

- Tak. - Skinął głową. - Macie doskonały kontakt. To się czuje, patrząc na zdjęcia. Każde z was jest bardzo dobre, ale razem stanowicie wyjątkowy zespół.

- Dziękuję.

- To nie był komplement, tylko stwierdzenie faktu. Larry już zna szczegóły. Wasze kontrakty są gotowe, wystarczy podpisać.

- Kontrakty? - Znów obudziła się w niej czujność.

- Owszem - potwierdził. - Praca nad tym projektem trochę potrwa. Muszę mieć wyłączność do pani twarzy, póki numer nie pojawi się w sprzedaży.

- Rozumiem.,.

- Hillary, to nie jest żadna nieprzyzwoita propozycja

- rzekł chłodno, widząc jej skupioną minę. - Czysty biznes.

- To jest dla mnie oczywiste, panie Bardoff. Po prostu nigdy dotąd nie podpisywałam takiej umowy.

- Muszę mieć wyłączność. Nie chcę, żebyście rozpraszaali się na inne zlecenia. Zostaniecie sownie wynagrodzeni. W razie wątpliwości możemy negocjować. Jedno jest pewne - przez sześć miesięcy mam wyłączne prawa do pani wizerunku.

W milczeniu obserwował twarz dziewczyny. Rozważała za i przeciw. Pomysł jej się podobał, zleceniodawca mniej. To może być fascynująca praca, choć, z drugiej strony, przez wiele miesięcy będzie miała związane ręce. Jeśli podpisze umowę, przestanie być wolnym człowiekiem.

Uśmiechnęła się do Breta. To ten uśmiech sprawił, że stała się rozpoznawalna w całych Stanach.

- Zgoda.

ROZDZIAŁ 2

Bret Bardoff nie zasypiał gruszek w popiele. W ciągu dwóch tygodni umowy zostały podpisane, ustalono harmonogram zdjęć. Pierwsze zaplanowano na początek października. Hillary miała się przeobrazić w nastolatkę tryskającą świeżością i niewinnością.

W rześki październikowy poranek Hillary i Larry spotkali się w parku wybranym przez Bardoffa. Jesienne słońce przeświecało przez gałęzie, było zupełnie pusto. Hillary była gotowa do zdjęć. Zawadiacko podwinięte džinsy, czerwony golf, kucyki przewiązane czerwonymi kokardkami. Wszystko zgodnie ze scenariuszem. Prawie zero makijażu. Naturalnie świeża cera jaśniała, ciemnoniebieskie oczy lśniły.

- Cudownie - zachwycił się Larry, gdy ujrzał ją biegnącą po trawie. - Młoda i niewinna. Jak ty to zrobiłaś?

- Jestem młoda i niewinna, staruszk.

- Dobrze, dobrze. Idź teraz tam - wskazał na plac zabaw dla dzieci. - Pohasaj tam trochę, dziewczynko, a staruszek porobi ci zdjęcia.

Hillary nie trzeba było powtarzać. Podbiegła do zjeżdżalni, wspięła się po drabince i z roześmianą buzią zsunęła w dół, spadając na ziemię. Larry ani na chwilę nie przestawał robić zdjęć.

- Wyglądasz, jakbyś miała dwanaście lat - zaśmiał się.

- Bo mam dwanaście lat! - zawołała, wchodząc na drabinę. - Założę się, że tego nie zrobisz! - Przewiesiła się, zwisając głową do ziemi.

- Niesamowite - znieńcka rozległ się czyjś głos. Hillary odwróciła głowę. Najpierw ujrzała szare spodnie, po chwili, podnosząc wzrok, zobaczyła marynarkę i uśmiechniętą twarz Bardoffa. - Hej, panienko, czy twoja mama wie, gdzie ty się bawisz?

- Co pan tu robi? - Wisząc do góry nogami, nie miała najlepszej pozycji do rozmowy.

- Doglądam mojego projektu. - Uśmiechnął się szerzej. - Długo pani będzie tak wisieć? Cała krew spłynie do głowy.

Podciągnęła się i zręcznie zeskoczyła na ziemię. Stała tuż przed nim. Bret żartobliwie klepnął ją po głowie i zwrócił się do Larry'ego.

- Jak idzie? Wydaje mi się, że całkiem nieźle.

Wdali się w rozmowę o szczegółach technicznych. Hillary powoli bujała się na huśtawce. Przez ostatnie dni kilka razy miała okazję widzieć Bardoffa i zawsze w jego obecności czuła się trochę spięta. Fascynował ją i niepokoił, choć jednocześnie chciała mieć z nim jak najmniej wspólnego. Nie potrzeba jej komplikacji.

- No dobrze - głos Breta wyrwał ją z zamyślenia. - Czyli o pierwszej w klubie. Wszystko będzie gotowe. - Hillary podniosła się z huśtawki, podeszła do Larry'ego. - Ty, panienko, masz teraz godzinę wolnego.

- Tatusiu, ja już nie chcę się huśtać - odparła, dostosowując się do jego tonu. Zarzuciła torebkę na ramię, ale nie uszła nawet dwóch kroków, bo Bret złapał ją za rękę. Odwróciła się, niebieskie oczy błysnęły niebezpiecznie.

- Rozpuszczona dziewczynka, co? - wymamrotał,

zwężając oczy. - Może powinienem przerzucić cię przez kolano.

- To byłoby trudniejsze, niż się panu wydaje, panie Bardoff - zareplikowała z godnością. - Nie mam dwunastu lat, a dwadzieścia cztery. I jestem silna.

- Tak? - Obrzucił wzrokiem jej figurę. - To możliwe - powiedział z powagą, choć w oczach czaiła się drwina. - Chodźmy, mam ochotę na kawę. - Ujął ją za palce. Hillary szarpnęła się, zaskoczona. - Hillary - rzekł, siłąc się na cierpliwość. - Chcę zaprosić panią na kawę. - Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż zaproszenie.

Zdecydowanym krokiem ruszył przez trawę, pociągając za sobą opierającą się Hillary. Musiała dobrze wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Larry, odprowadzający ich wzrokiem, pstryknął fotkę. To była ciekawa scenka - wysoki blondyn w kosztownym garniturze ciągnie za sobą szczupłą, ciemnowłosą kobietę.

W kawiarence usiadła na wprost Breta. Miała zaróżowione policzki - efekt urażonej dumy i szybkiego marszu. Bret zmierzył ją wzrokiem, uśmiechnął się lekko.

- Może zamiast kawy lepsze będą lody - zażartował.
- Lody dla ochłody.

Oszczędziła sobie ciętej repliki, bo akurat podeszła kelnerka. Bret zamówił dwie kawy.

- Dla mnie proszę herbatę - odezwała się Hillary.

- Słucham? - chłodno zapytał Bret.

- Dla mnie herbata, jeśli mogę prosić. Nie pijam kawy, nie działa na mnie dobrze.

- Jedna kawa i jedna herbata - zmienił zamówienie. Popatrzył na Hillary. - Nie wyobrażam sobie, jak człowiek może pracować rano bez filiżanki kawy.

- To zależy od trybu życia.

- Chyba tak. - Podsunął jej papierośnicę, zapalił papierosa. - Z tymi kucykami nikt by ci nie dał dwudziestu czterech lat. - Przez długą chwilę przyglądał się jej włosom. - Co za rzadkie połączenie: kruczoczarne włosy i ciemnoniebieskie oczy. Daje niesamowity, zaskakujący efekt. To po kimś z rodziny?

- Mówią, że jestem bardzo podobna do prababci. - Upiła łyk herbaty. - Była Indianką, pochodziła ze szczepu Arapaho.

- Powinienem się domyślić. - Pokiwał głową. Nadal nie odrywał od niej wzroku. - Klasyczne rysy twarzy, linia kości policzkowych. Tylko te oczy... Na pewno nie po indiańskiej prababci.

- Nie. - Starła się nie okazać zakłopotania, jakie budziła w niej ta wnikliwa obserwacja. - Oczy są moje.

- Twoje. - Skinął głową. - A przez następne sześć miesięcy również moje. To dobrze rokuje. - Hillary skrzywiła się lekko. Bret przesunął wzrok na jej usta. - Hillary, skąd pochodzisz? Bo chyba nie z Nowego Jorku?

- To tak się rzuca w oczy? Miałam nadzieję, że już nabrałam wielkemiejskiej ogłady. - Wzruszyła ramionami. - Jestem z Kansas. Z niewielkiej farmy na północ od Abilene.

- Wygląda na to, że bez żadnych zgrzytów wylądowałaś w betonowej dżungli.

- Powiedzmy. Nowy Jork, o czym każdy wie, stwarza ogromne możliwości. Zwłaszcza w moim zawodzie.

- No tak. - Wolno skinął głową. - Dziewczyna z farmy, wzięta nowojorska modelka. I w każdej roli przekonująca. Trzeba mieć wyjątkowy talent, by umieć się tak przeobrażać.

Hillary lekko wydeła usta.

- Można wyciągnąć wniosek, że jestem bardzo nijaka i wtapiam się w tło.

- Cóż za stwierdzenie! - roześmiał się. - Nie, tu chodzi o coś innego. O rzadko spotykaną zdolność doskonałego dostosowania się do konkretnej sytuacji. Tego nie można się nauczyć, trzeba się z tym urodzić.

Zrobiło się jej bardzo miło. By pokryć zażenowanie, zajęła się mieszaniem herbaty.

- Hillary, chyba grasz w tenisa?

Ta nieoczekiwana zmiana tematu znowu wytrąciła ją z równowagi. Wbiła w niego pytające spojrzenie. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że popołudniowa sesja ma się odbyć na korcie w ekskluzywnym klubie.

- Czasem udaje mi się przebić piłkę przez siatkę - odparła nieśmiało, stremowana jego tonem.

- To dobrze. Zdjęcia będą bardziej naturalne. - Zerknął na zegarek, sięgnął po portfel. - Mam kilka pilnych spraw w biurze. - Podniósł się, wziął ją za rękę. Jakby to było coś zupełnie naturalnego.

- Wsadzę cię do taksówki. Musisz mieć trochę czasu, by z dziewczynki przeobrazić się w tenisistkę. - Popatrzył na nią. Poruszyła się niespokojnie. - Strój już tam jest, a kosmetyki pewnie masz ze sobą? - zapytał, spoglądając na jej wypchaną torbę.

- Niech pan się nie obawia, panie Bardoff.

- Bret - przerwał jej, przesuwając dłonią po kocyku Hillary. - Mówmy sobie po imieniu.

- Nie ma powodu do obaw - powtórzyła, celowo pomijając milczeniem jego propozycję. - Częste zmiany wizerunku to mój zawód.

- Powinno być ciekawie - mruknął. Przybrał poważ-

niejszy ton. - Kort jest zamówiony na pierwszą. To do zobaczenia.

- Do zobaczenia? - Zmarszczyła brwi. Myśl o ponownym spotkaniu zbijała ją z tropu.

- To mój wypieszczony projekt - przypomniał jej. Nie zwracając uwagi na jej opór, niemal siłą wsadził ją do taksówki. - Mam zamiar go doglądać.

W taksówce z trudem próbowała się pozbierać. Bret był wyjątkowo przystojnym mężczyzną, ale w jego obecności czuła się dziwnie nieswojo. Perspektywa niemal codziennych kontaktów tym bardziej budziła jej obawy.

Wcale go nie lubię, skonstatowała w duchu. Jest zbyt pewny siebie, zbyt arogancki... Zapatrzyła się na mijane samochody. Niepotrzebnie zawraca sobie głowę tym Bretem. Jest jej pracodawcą i tylko w takich kategoriach powinna o nim myśleć. W dodatku pracodawcą tymczasowym. Popatrzyła na swoją dłoń jeszcze ciepłą od jego uścisku. Westchnęła. Jeśli chce zachować spokój ducha, musi skoncentrować się wyłącznie na pracy. Czysto biznesowy układ. Nic ponadto. I tego się będzie trzymać.

Aż trudno było uwierzyć, że naiwna trzpiotka tak łatwo przeobraziła się w zapaloną tenisistkę. Krótka biała sukienka wysoko odsłaniała zgrabne, szczupłe nogi. Dzień był piękny, lecz chłodny, więc Hillary zarzuciła lekki blezer, by osłonić gołe ramiona. Ciemnoniebieska przepaska przytrzymała odgarnięte do tyłu włosy. Oczy lekko podmalowane, usta pociągnięte ciemnoróżową pomadką. Strój uzupełniały śnieżnobiałe buty do tenisa i lekka rakietka. Hillary wyglądała olśniewająco i bardzo kobieco. Żłocista karnacja i czarne włosy wspaniale kontrastowały z bielą ubioru.

Wyszła na kort, zaczęła odbijać piłkę w stronę nieistniejącego partnera. Larry biegał wokół niej, pstrykając zdjęcie za zdjęciem.

- Pójdzie ci lepiej, gdy ktoś będzie odbijał twoje piłki.

Odwróciła się. Bret patrzył na nią z uśmiechem. Był w białym stroju do tenisa. Z wrażenia zaniemówiła. Dotąd widziała go tylko w garniturze. Muskularne, szczupłe, wysportowane ciało. Szerokie bary, mocne ramiona...

- Może być? - zapytał z lekkim uśmiechem.

Teraz uświadomiła sobie, że wlepią w niego oczy.

- Nie spodziewałam się takiego stroju... - wymamrotała. Wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Do tenisa taki jest bardziej odpowiedni.

- Mamy razem grać? - Popatrzyła na niego. Trzymał w ręku rakietę.

- Przemawia do mnie dynamiczna akcja... zdjęcia w ruchu - dokończył, uśmiechając się przy tych słowach. - Nie będę grał ostro. Postaram się podawać łatwe piłki.

Miała na końcu języka ciętą uwagę, ale się powstrzymała. Często grywała w tenisa, więc pana Bardoffa czekała mała niespodzianka.

- Spróbuję kilka odbić - rzekła z miną niewiniątka. - Zdjęcia będą bardziej prawdziwe.

- Bardzo dobrze. - Poszedł na drugą stronę kortu. Hillary sięgnęła po piłeczkę. - Umiesz serwować?

- Postaram się - odparła ze słodyczą. Zerknęła, czy Larry jest gotowy i wybiła piłkę w powietrze. Larry fotografował ją z różnych stron. Odbiła piłkę jeszcze raz i zamachnęła się rakieta. Bret odebrał serw. Uderzyła mocno i piłeczka poszybowała w najdalszy róg kortu.

- Chyba przypomniałam sobie, jak się liczy punkty -

zawołała, robiąc skupioną minkę. - Piętnaście - zero, panie Bardoff.

- Nieźle, Hillary. Często grasz?

- Od czasu do czasu - odparła lakonicznie, strzepując ze spódniczki niewidzialny pyłek. - Gotowy?

Kiwnął głową. Piłeczka przelatywała nad siatką. Bardoff odbijał lekko, podając łatwe piłki. Larry bez przerwy robił zdjęcia. Hillary po kilku niezdarnych uderzeniach posłała piłkę na koniec kortu.

- Och - z niewinną miną podniosła palec do ust. - To będzie trzydzieści - zero, prawda?

Bret popatrzył na nią zwięzonymi oczami.

- Coś mi się wydaje, że jestem robiony w konia.

- Tak? Przepraszam, panie Bardoff, ale nie mogłam się powstrzymać. - Odrzuciła głowę i uśmiechnęła się. - Traktuje mnie pan tak protekcyjnie.

- No dobrze. - Uśmiechnął się, a ona odetchnęła z ulgą. - W takim razie koniec z tym. Gramy na poważnie.

- Zacznijmy od początku - zaproponowała, wracając na miejsce.

Gra wyglądała teraz zupełnie inaczej. Szybkie, pewne piłki, mocne uderzenia, kolejne punkty. Zapomnieli o tańczącym wokół nich Larrym.

- To było doskonałe - oznajmił Larry. Hillary, szykująca się do serwu, popatrzyła na niego jak na przybysza z innej planety. - Mamy wspaniałe zdjęcia Hil, wyglądasz jak zawodowa tenisistka. Możemy skończyć, co ty na to?

- Skończyć? Teraz? - zdumiała się. - Czy ty zwariowałaś? Mamy równowagę. - Przez chwilę wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, potrząsnęła głową i wróciła do gry.

Przez kilka następnych minut ze zmiennym

szczęściem walczyli o przewagę. W pewnym momencie Bret zdobył przewagę, potem kolejny punkt. Gra dobiegła końca.

- Porażka jest gorzka - uśmiechnęła się i podeszła do siatki. - Moje gratulacje. - Wyciągnęła do niego obie ręce. - Jest pan bardzo wymagającym graczem.

Przytrzymał jej dłoń.

- Zwycięstwo nie było łatwe. Musimy kiedyś spróbować szczęścia w deblu, oczywiście jako partnerzy. - Popatrzył na jej rękę. - Jaka mała łapka. - Uniósł ją lekko i przyjrzał się uważnie. - Aż się nie chce wierzyć, że potrafi tak wspaniale posługiwać się rakieta. - Odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry i uniósł do ust.

Hillary stała jak oniemiała, wpatrując się w swoją dłoń, niezdolna do żadnego ruchu.

- Chodźmy - Bret uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej rozbawiła go jej reakcja. - Zapraszam na lunch. - Popatrzył na fotografa. - Ciebie też, Larry.

- Dzięki, Bret, ale chcę jak najszybciej wywołać te zdjęcia.

- No cóż, Hillary, w takim razie chodźmy we dwójkę.

- Panie Bardoff... - próbowała się wykręcić. - To nie jest konieczne. Dziękuję za zaproszenie.

- Hillary, Hillary. - Westchnął, potrząsnął głową - Czy zawsze z takimi oporami przyjmujesz zaproszenia? Może tylko te moje?

- Też pomysł - zbagatelizowała, siląc się na spokój. Ciągle nie wypuszczał jej dłoni. Czowała się coraz bardziej skrepowana. - Panie Bardoff, czy mógłby pan puścić moją rękę? - zapytała.

- Bret. Niech ci to wreszcie przejdzie przez gardło,

Hillary. To naprawdę łatwe, jedna sylaba. Śmiało.

Po jego oczach widziała, że jest zdecydowany dopiąć swego. Będzie ją trzymał choćby godzinę. Im dłużej ścisnął jej rękę, tym bardziej była zmieszana.

- Bret, mógłbyś mnie puścić?

- No widzisz, pierwsze koty za płoty. To chyba nie było aż takie trudne? - Wygiął usta w uśmiechu. Gdy tylko uwolnił jej dłoń, Hillary poczuła się pewniej.

- Nie aż tak.

- To przejdźmy teraz do innego tematu. Chodzi mi o lunch. - Gestem uciszył jej protest. - Chyba coś jadasz?

- Oczywiście, ale...

- Nie przyjmuję żadnego „ale”.

Już po chwili siedzieli w klubowej restauracji. Nie tak to sobie wyobrażała. Jak miała w stosunku do niego zachować obojętność i rezerwę, skoro spędzała tak wiele czasu w jego towarzystwie? Nie ma co się oszukiwać - Bret jest atrakcyjny, męski, przystojny, pełen życia. Dobrze chociaż, że nie w jej typie...

- Czy już ci ktoś powiedział, że jesteś cudowną gawędziarką? - jego pytanie wyrwało ją z zamyślenia.

- Przepraszam. - Zaczerwieniła się. - Myślałam o czymś innym.

- Zauważyłem. Czego się napijesz?

- Herbaty.

- Ma być sama herbata, bez niczego?

- Tak - potwierdziła. - Rzadko pijam coś mocniejszego. Alkohol mi nie służy. Po dwóch drinkach wychodzi ze mnie Mr. Hyde. Taki mam metabolizm.

Bret odchylił głowę, roześmiał się.

- Chętnie bym to zobaczył.

Lunch w towarzystwie Breta, wbrew jej obawom,

okazał się całkiem przyjemny. Wprawdzie Bret skrzywił się na widok zamówionej przez nią sałaty, ale nic sobie z tego nie robiła. W trakcie posiłku rozmawiali o planach zdjęciowych na następny dzień.

- Jutro jestem bardzo zajęty, więc nie dam rady wpaść - zapowiedział Bret. - Jak ty na tym wyżyjesz? - nieoczekiwanie zmienił temat, wskazując na jej talerz. - Może coś zamówimy? Jeszcze mi tu zaśląbniesz.

Potrząsnęła głową, z uśmiechem sięgnęła po herbatę. Bret wymamrotał coś o głodzących się modelkach.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - wrócił do wcześniejszego tematu - to następny etap rozpoczniemy w poniedziałek. Jutro Larry chciałby zacząć z samego rana.

- Nie ma sprawy - odparła z westchnieniem. - Jeśli tylko pogoda dopisze.

- Będzie słońce - powiedział z przekonaniem. - Zadbalem o to.

Hillary odchyliła się w krześle, spojrzała badawczo na rozmówcę. Mocna, zdecydowana linia szczęki, oczy patrzące przenikliwie, prosto na nią.

- Myślę, że masz rację. - Kiwnęła głową. Ktoś taki jak on zawsze potrafi dopiąć swego. - Pogoda nie ośmieli się pokrzyżować ci planów.

- Co zjesz na deser?

- Koniecznie chcesz mnie utuczyć, przyznaj się - zaśmiała się. - Jesteś okropnie uparty, ale ja mam bardzo silną wolę.

- Sernik, szarlotka, mus czekoladowy? - kusił, uśmiechając się psotnie. Hillary przecząco pokręciła głową, dumnie uniosła brodę.

- Choćbyś wyszedł ze skóry i tak nie ulegnę.

- Musisz mieć jakiś słaby punkt. Jeszcze trochę, a go

odkryję.

- Bret, kochanie, jaka niespodzianka!

Hillary odwróciła się i popatrzyła na atrakcyjną, rudowłosą dziewczynę stojącą przy ich stoliku.

- Cześć, Charlene. - Bret posłał kobiecie czarujący uśmiech. - Pozwólcie, że dokonam prezentacji. Charlene Mason, Hillary Baxter.

- Witam. - Charlene skinęła głową. Zmrużyła zielone oczy. - Czy już miałyśmy okazję się poznać? Może na jakimś przyjęciu?

- Nie wydaje mi się - odparła Hillary. Tym lepiej, przemknęło jej przez myśl, nie wiadomo czemu.

- Zdjęcia Hillary są na okładkach wszystkich magazynów - wyjaśnił Bret. - Jest jedną z czołowych nowojorskich modelek.

- No tak. - Zielone oczy popatrzyły na nią jeszcze bardziej uważnie. Po chwili Charlene przeniosła wzrok na Breta. Hillary przestała dla niej istnieć. - Dlaczego nie uprzedziłeś, że będziesz tu dzisiaj? Mielibyśmy chwilkę dla siebie.

- Tak wyszło - odparł lakonicznie. - Zresztą nie będę tu długo, to służbowe spotkanie.

Hillary wyprostowała się. Te słowa, nie wiedzieć czemu, sprawiły jej przykrość. A właściwie z jakiego powodu? Bret ma świętą rację, to służbowe spotkanie. Zebrała swoje rzeczy, podniosła się z miejsca.

- Proszę, pani Mason, niech pani usiądzie. Ja właśnie miałam odejść. - Odwróciła się do Breta. Po jego minie widziała, że ten nieoczekiwany obrót sytuacji zaskoczył go. - Dziękuję za lunch, panie Bardoff - powiedziała grzecznie i uśmiechnęła się, widząc jego reakcję. Jest wścikły, że nie zwróciłam się do niego po imieniu, ucieszyła się w duchu. -

Miło mi było panią poznać, pani Mason. - Odwróciła się i odeszła od stolika.

- Nie wiedziałam, że masz zwyczaj zapraszać na lunch swoich pracowników - dobiegło ją zgryźliwe stwierdzenie Charlene. W pierwszym odruchu chciała się cofnąć i usadzić tę damę. Powstrzymała pokusę. Nawet nie zwolniła kroku, by usłyszeć odpowiedź Breta.

Kolejna sesja zdjęciowa okazała się wyjątkowo męcząca. Przez cały dzień pracowali w Central Parku. Dzień był piękny, niebo bezchmurne, powietrze przesycone słonecznym blaskiem. Jesienne liście wirowały w słońcu, czerwono - pomarańczowy dywan zaścierał ziemię. Hillary pozowała, Larry bez przerwy fotografował. Kazał jej biegać, wspinać się na drzewa, karmić gołębie, rzucać frisbee, uśmiechać się do obiektywu. W czasie zdjęć trzy razy zmieniała strój. Co jakiś czas przyłapywała się na tym, że szuka wzrokiem Breta, choć przecież uprzedził, że będzie zajęty. Rozczarowanie, jakie odczuła, zdziwiło ją i dało do myślenia. Nie powinna zaprzętać sobie głowy tym facetem. W ogóle byłoby lepiej, gdyby nigdy go nie poznała.

- Hillary, czemu jesteś taka ponura? Rozchmurz się - głos Larry'ego wyrwał ją z tych rozmyślań. Odepchnęła od siebie myśli o Brezie i skoncentrowała się na pracy.

Wieczorem z ulgą zanurzyła się w gorącej, pachnącej kąpieli. Wszystko ją bolało. Dziesiątki, setki zdjęć... Co za szczęście, że do poniedziałku miała wolne.

Ta praca zapowiada się na prawdziwe wyzwanie, uzmysłowiła sobie. Pewnie będzie wiele takich dni jak dzisiejszy. Numer specjalny „Mode”, cały wypełniony jej zdjęciami. Otwierają się wspaniałe perspektywy. Kto wie,

może wkrótce zdobędzie międzynarodowe uznanie i sławę? „Mode” ma renomę, a wsparcie Breta rokuje jak najlepiej. Ta praca może okazać się kamieniem milowym w karierze.

Spochmurniała. Z jakichś niejasnych powodów wcale jej to nie cieszyło, a przecież taki sukces byłby spełnieniem pragnień. Nieoczekiwanie ujrzała przed sobą twarz Breta. Gwałtownie potrząsnęła głową.

O nie, to wykluczone, stanowczo odepchnęła od siebie ten obraz. Nie pokrzyżujesz moich planów. Ty jesteś panem i władcą, a ja należę do plebsu. I niech tak pozostanie.

Razem z Chuckiem Carlyle'em spędzali wieczór w jednej z modnych nowojorskich dyskotek. Wszędzie rozbrzmiewała wspaniała muzyka, powietrze wibrowało jej rytmem, tańczące pary wynurzały się z mroku oświetlane błyskami kolorowych świateł. Nastrój porywał, muzyka zapadała w duszę.

Hillary zamyśliła się. Postąpiła rozsądnie, utrzymując stosunki z Chuckiem na poziomie bliskiej znajomości. Lubili się, ale ich związek pozostał czysto platoniczny. Tym lepiej...

Mimowolnie zobaczyła przed sobą szare, nieco drwiące oczy Breta. Skrzywiła się, sięgnęła po drinka.

Unikała bliskich związków, bo jeszcze nie spotkała nikogo, kto poruszyłby ją do głębi, wyzwoliłby w niej uczucia i pragnienie, by być z tym kimś na stałe. Może nie dorosła do takiego związku. Miłość nie była jej dana i chyba dobrze się stało. W jej sytuacji każdy związek byłby niepotrzebną komplikacją, zaburzeniem dobrze zorganizowanego życia.

- Nawet nie masz pojęcia, jak przyjemnie jest z tobą

wychodzić - głos Chucka przywołał ją do rzeczywistości. Popatrzyła na jego roześmianą minę. Wskazywał na jej ledwie tkniętego drinka. - Ty nigdy nie próbujesz nad-szarpnąć mojego portfela.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Nie pora roztkliwiać się nad sobą i w nieskończoność zadawać sobie pytania, na które nie ma dobrej odpowiedzi.

- Choćbyś nie wiem jak szukał, nie znajdziesz drugiej, która by tak dbała o twoje finanse.

- Szczerza prawda, niestety. - Westchnął głęboko, zrobił nieszczęśliwą minę. - Wszystkim paniąkom chodzi albo o moje ciało, albo o moje pieniądze. Tylko ty nic ode mnie nie chcesz. - Ujął jej dłonie, ucałował serdecznie. - Gdybyś tylko zgodziła się za mnie wyjść, pozwoliła, bym wyrwał cię z tego dekadenceckiego otoczenia. - Teatralnym gestem wskazał na roztańczoną salę.

- Chuck - powiedziała wolno - chyba dobrze wiesz, że gdybym teraz powiedziała „tak”, to padłbyś bez życia?

- Ty zawsze masz rację. - Znowu westchnął - - W takim razie porywam cię w tę dekadencecką otchłań.

Stanowili doskonałą parę. Oboje świetnie tańczyli, poruszali się z wrodzonym wdziękiem. Trudno było oderwać od nich oczy. Hillary prezentowała się oszłamiająco - Wysokie rozcięcie niebieskiej sukienki odsłaniało zgrabne nogi. Zakończyli efektowną figurą Roześmiani i rozgrzani tańcem ruszyli do stolika. Chuck obejmował ją ramieniem. Naraz tuż przed sobą ujrzała utkwione w nią szare oczy Breta.

- Cześć, Hillary - odezwał się na powitanie. Zamurowało ją. Na szczęście w półmroku nie mógł dostrzec barwy jej twarzy.

- Witam, panie Bardoff - odpowiedziała zaskoczona.

W żołądku czuła dziwne łaskotanie.

- Poznałaś już Charlene, prawda?

Przeniosła wzrok na towarzyszącą mu dziewczynę.

- Tak, oczywiście. Co za miłe spotkanie. - Odwróciła się do Chucka i dokonała prezentacji. Chuck z nieskrywanym entuzjazmem uściśnął dłoń Breta.

- Bret Bardoff? Ten Bret Bardoff? - powtórzył z jawnym podziwem. Hillary skrzywiła się niemal niedostrzegalnie.

- Jedyny, jakiego znam - z uśmiechem odparł Bret.

- Proszę. - Chuck wskazał na ich stół. - Zapraszamy na drinka.

Bret uśmiechnął się szerzej, popatrzył na Hillary. Widział, że dziewczyna czuje się bardzo nieswojo, choć próbuje ukryć zmieszanie.

- Oczywiście, usiądźcie z nami - przyłączyła się do zaproszenia. Popatrzyła Bretowi prosto w twarz. Zerknęła na Charlene. Jej widok wręcz ją rozbawił. Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by widzieć, że Charlene zmusza się do uprzejmości.

- Obserwowaliśmy, jak tańczyliście - zagadnął Bret, zwracając się do Chucka. - Wspaniale wam szło. - Popatrzył na Hillary. - Chyba często ze sobą tańczycie, jesteście niesamowicie zgrani.

- Hillary jest rewelacyjna - z emfazą oświadczył Chuck. Z czułością klepnął jej dłoń. - Potrafi zatańczyć z każdym.

- Naprawdę? - Bret uniósł brwi. - Chętnie się o tym przekonam osobiście.

Przeraziła się. Miałaby z nim zatańczyć? W jej oczach odmalował się lęk.

Niestety, nie miała wyjścia. Bret już się podniósł i

odsunął jej krzesło. Wstała z godnością, choć w głębi duszy czuła się zupełnie bezradna. Ruszyli na parkiet.

- Nie rób miny męczennicy - usłyszała szept Breta.

- Nie opowiadaj bzdur - zareplikowała wyniośle, wściekła na siebie, że tak łatwo wyczytał z jej twarzy skrywane emocje.

Muzyka była teraz wolniejsza, bardziej nastrojowa. Bret przygarnął do siebie Hillary, otoczył ją ramieniem. Ogarnęło ją dziecinne pragnienie, by się wyrwać. Opanowała się. Nie chciała, by coś zauważył. Przytrzymał ją w talii, nie pozwalając się cofnąć. Bezwiednie wspięła się na palce, oparła głowę na jego piersi. Jego zapach odurzał, oszalał. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie wypila drinka zbyt szybko. Serce biło jej jak szalone, krew szumiała w żyłach.

- Powinienem się domyślić, że tak wspaniale tańczysz - Bret wymruczał tuż przy jej uchu. Z wrażenia serce zatrzepotało jej w piersi.

- Naprawdę? - odparła, siłąc się, by zabrzmiało to lekko i obojętnie. Nie może myśleć teraz o tym, że jego usta znajdują się tuż przy jej uchu. - Dlaczego?

- Wystarczy na ciebie spojrzeć. Sposób, w jaki chodzisz, w jaki się poruszasz. Z naturalnym wdziękiem, płynnie.

Chciała zbyć ten komplement uśmiechem, jednak Bret wpatrywał się w nią tak przenikliwie... Zdawkowy komentarz, jaki zamierzała wygłosić, niestety zamarł jej na wargach.

- Szare oczy zawsze kojarzyły mi się z zimną stalą - wymamrotała, nie do końca zdając sobie sprawę, że swoje myśli wypowiada na głos. - Twoje przywołują obraz chmur.

- Sinych i groźnych? - przytrzymał jej spojrzenie.

- Czasami - wyszeptała. - Choć czasami są ciepłe i łagodne jak poranne mgły. Nigdy nie wiem, co przyniosą, burzę czy ciepły deszczyk. Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać.

- Nie wiesz tego? - Mówił cicho, opuścił wzrok na jej piękne usta.

Czuła, że opuszczają ją siły. Ogarniała ją dziwna, słodka niemoc. Musi z tym walczyć, musi się pozbierać.

- Panie Bardoff, chyba nie zamierza pan mnie uwieść na środku zatłoczonego parkietu?

- Trzeba korzystać ze wszystkich możliwości, jakie się nadarzają - odparł lekko.

- Oboje mamy swoje zobowiązania, a poza tym taniec już się skończył.

Nie puścił jej. Przygarnął ją i wyszeptał prosto do ucha:

- Nigdzie nie pójdziesz, jeśli nie przestaniesz używać tej cholernej oficjalnej formy. Prosiłem, żebyś mówiła mi po imieniu. - Gdy nie odpowiedziała, dodał ostrzej: - Nie ma problemu, Hillary, ja mogę sobie tutaj tak stać. Całkiem mi to pasuje. Taką kobietę jak ty każdy chętnie weźmie w ramiona.

- Dobrze - wycedziła przez zęby. - Bret, czy byłbyś łaskaw puścić mnie, zanim połamiesz mi wszystkie zębra?

- Oczywiście. - Rozluźnił uścisk, ale nadal ją obejmował. - Tylko nie opowiadaj, że zrobiłem ci jakąś krzywdę. - Uśmiechał się triumfująco, patrząc na jej niechętną minę.

- Na wszelki wypadek zrobię prześwietlenie.

- Nie jesteś taka krucha, na jaką wyglądasz - rzekł, prowadząc ją do stolika. Nadal obejmował ramieniem jej szczupłą talię.

Przez dobrą chwilę rozmawiali na obojętne tematy. Hillary czuła na sobie ostry wzrok Charlene. Znajoma Breta najchętniej by ją teraz udusiła. Bret albo tego nie widział, albo ignorował tę otwartą wrogość. Hillary musiała dobrze się starać, by panować nad emocjami. Odetchnęła z ulgą, gdy Bret i Charlene wreszcie się podnieśli. Wprawdzie Chuck poprosił, by zostali, jednak Bret podziękował. Charlene nie ukrywała znudzenia.

- Charlene nie przepada za dyskoteką - usprawiedliwił ją Bret. Rudowłosa piękność błysnęła prowokującym uśmiechem. Hillary aż się spięła na ten widok. Ale sama przed sobą nie chciała przyznać, że to była zazdrość. - Przyszła tu, by zrobić mi przyjemność. Zastanawiam się, czy by kolejnej sesji zdjęciowej nie zrobić w dyskotecce. - Popatrzył na Hillary z tajemniczym uśmiechem. - Miałem okazję ujrzeć cię w tańcu. To będzie dla mnie inspiracją.

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczami. W jego tonie usłyszała coś, co dało jej do myślenia. I ten jego uśmieszek. Zrządzenie losu, dobre sobie! Zdążyła go już trochę poznać. Co jak co, ale Bret z pewnością nie liczył na szczęśliwe zbiegi okoliczności. Na pewno zaaranżował to niby przypadkowe spotkanie.

- Do poniedziałku, Hillary - rzekł Bret na pożegnanie.

- Do poniedziałku? - powtórzył Chuck. - Ale z ciebie spryciara! - uśmiechnął się promiennie. - Masz w rękę wielkiego Breta Bardoffa.

- Przesadzasz - prychnęła. - To czysto służbowa znajomość. Pracuję dla jego magazynu. Jest moim pracodawcą, nic więcej.

- Dobra, dobra. - Słyszając jej protesty, Chuck uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Pomyliłem się, po prostu.

Zresztą nie ja jeden.

- O czym ty teraz mówisz?

- Moja słodka Hillary - zaczął cierpliwie tłumaczyć.

- Naprawdę nie czułaś noża wbijającego się w twoje plecy, gdy tańczyłaś ze swoim wielkim pracodawcą? - Widząc jej minę, westchnął głęboko. - Wiesz co, nawet po trzech latach spędzonych w Nowym Jorku, nadal jesteś niewyobrażalnie naiwna. - Wygiął usta w uśmiechu. Braterskim gestem położył dłoń na jej ramieniu. - Ta ruda o mało nie zabiła cię wzrokiem. Bałem się, że zaraz ujrzę cię w kałuży krwi.

- Ależ to absurd. - Zamieszała w szklaneczce resztkę drinka. Spochmurniała. - Pani Mason z pewnością doskonale wie, że Bret spotyka się ze mną wyłącznie w powodu zdjęć do jego pisma.

Chuck popatrzył na nią uważnie, potrząsnął głową.

- Wrócę do tego, co już powiedziałem wcześniej. Hillary, jesteś niewiarygodnie naiwna.

ROZDZIAŁ 3

Poniedziałek przywitał wszystkich chłodem i łożowanymi chmurami. Teraz pogoda nie miała już znaczenia - pierwszy etap zdjęć plenerowych został szczęśliwie zakończony. Widać Bret potrafił nawet naturę przekabacić na swoją stronę, podsumowała Hillary, wchodząc do biurowca należącego do „Mode”.

Miała przeobrazić się dzisiaj w bizneswoman, więc od razu trafiła w ręce fryzjerki. Kruczoczarne włosy zostały upięte w przylegający do głowy węzeł. To uczesanie podkreślało klasyczne rysy Hillary. Przygotowano dla niej trzyczęściowy szary kostium o męskim kroju, dość surowy w wyrazie. Efekt był zaskakujący - wyglądała w nim bardzo kobieco.

Gdy weszła do gabinetu Breta, Larry już tam był. Nawet nie zauważył jej przyjścia. Był całkowicie pochłonięty ustawianiem sprzętu. Hillary obrzuciła wnętrze szybkim spojrzeniem. Eleganckie, a jednocześnie bardzo profesjonalne tło. Z czułością popatrzyła na mruczącego do siebie Larry'ego.

- Geniusz przy pracy - tuż obok usłyszała czyjś szept. Odwróciła się raptownie. Znowu te szare oczy. Prześladowały ją.

- Taka właśnie jest prawda - odparła.

- Wstało się lewą nogą? - domyślnie zagadnął Bret. - Męczycie cię kac?

- Ależ skąd - obruszyła się z godnością. - Nigdy nie piję tyle, żeby się źle poczuć.

- Och, no tak. Zapomniałem, że masz syndrom Mr. Hyde'a.

- O, Hillary, jesteś! - rozległ się głos Larry'ego. - Czemu tak późno?

- Przepraszam. Długo trwało układanie tej fryzury.

Bret patrzył na nią porozumiewawczo, z ledwie widocznym uśmiechem. Gdy ich spojrzenia się spotkały, ogarnęła ją gorąca, słodka fala Pośpiesznie odwróciła oczy, starając się zapomnieć o tym, co przed chwilą poczuła.

- Zawsze tak łatwo się płoszysz? - w cichym głosie Breta zabrzmiała ledwie słyszalna kpina. To pytanie, ten ton... Jakby czytał w jej myślach. Wezbrała w niej bezsilna złość. Uniosła dumnie brodę, oczy błysnęły gniewnie. - O, to mi się podoba - stwierdził z irytującym spokojem. - Z gniewem ci do twarzy. Charakter jest czymś nadzwyczaj istotnym w odniesieniu do kobiet i... - leciutko wygiął w uśmiechu kąciki ust - i do koni.

- Przypuszczam, że masz rację - rzuciła obojętnie, choć aż korciło ją, by na głos wypowiedzieć uwagę, która cisnęła się jej na usta.

- Muszę powiedzieć, że ta fryzura jest doskonała - Larry obrzucił Hillary taksującym spojrzeniem. Oczywiście nic, co przed chwilą zostało powiedziane, do niego nie dotarło. - Wyglądasz bardzo profesjonalnie.

- Też tak uważam - z powagą poparł go Bret. - Kobieta na wysokim stanowisku, bardzo kompetentna, bardzo elegancka.

- Asertywna, agresywna i bezlitosna - przerwała, mroząc go spojrzeniem. - Muszę upodobnić się do pana, panie Bardoff.

- To byłoby fascynujące. Zostawiam was teraz, nie będę przeszkadzać. Sam też biorę się do pracy.

Drzwi zamknęły się za nim i w jednej chwili gabinet wydał się Hillary większy i dziwnie pusty. Odepchnęła od siebie to wrażenie i skoncentrowała się na pracy. Nie czas na zwracanie sobie głowy myślami o Brecie.

Następna godzina minęła jak z bicza strzełił. Zadaniem Hillary było udawanie pochłoniętej pracą bizneswoman.

- Odpocznij sobie trochę. - Larry wreszcie zlitował się nad zmęczoną dziewczyną i wskazał na rozłożysty skórzany fotel.

Hillary nie trzeba było dwa razy powtarzać. Z westchnieniem ulgi opadła na miękkie poduszki, wyciągnęła przed siebie nogi. Padała ze zmęczenia.

- Ty łotrze! - zawołała, bo naraz ciszę przerwało kliknięcie aparatu. Larry bez uprzedzenia zrobił jej zdjęcie w tej niedbalej pozie.

- To będzie świetne ujęcie - rzekł z nieobecny uśmiechem. - Znużona kobieta wykończona odpowiedzialną pracą.

- Wiesz, Larry, masz bardzo specyficzne poczucie humoru - zareplikowała Hillary, nie zmieniając pozycji. - To chyba dlatego, że ani na chwilę nie rozstajesz się z aparatem.

- Hola, hola, tylko bez osobistych wycieczek. Rusz się już z tego fotela. Teraz przenosimy się do sali konferencyjnej, a ty, skarbie, będziesz panią prezes.

Mruknęła coś pod nosem, ale Larry już jej nie słuchał. Był całkowicie pochłonięty ustawianiem sprzętu.

Reszta dnia ciągnęła się w nieskończoność. Larry, niezadowolony z oświetlenia, przez dobre pół godziny

przestawiał lampy. Same zdjęcia też trwały długo. Hillary dosłownie padała z nóg. Gdy wreszcie Larry skończył pracę, marzyła tylko, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

Kierując się do wyjścia, przyłapała się na tym, że mimowolnie rozgląda się za Bretem. Co się z nią dzieje? Przeszła kilka przecznic. Rześkie, jesienne powietrze poprawiło jej nastrój. Postanowiła bardziej się kontrolować. To tylko fizyczne zauroczenie, chwilowy stan, który szybko minie. Wsunęła ręce w kieszenie, przyśpieszyła kroku.

Musi wziąć się w karby, skoncentrować na tym, co jest dla niej ważne. Wtedy przestanie zawracać sobie głowę tym facetem. Gdy nadejdzie właściwy czas, rozejrzy się za odpowiednim mężczyzną. Oczywiście nie takim, jak Bret. Potrzeba jej kogoś, kto da jej poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Poza tym, uzmysłowiła sobie nagle, z rozmysłem nie zwracając uwagi na ogarniający ją żal, Bret nie jest nią zainteresowany. Wyraźnie widać, że woli pięknie zbudowane rudowłose.

Nazajutrz rano znowu zjawiała się w siedzibie „Mode”. Tym razem miała się wcielić w rolę pracującej dziewczyny. Ubrała się w ciemnoniebieską bluzkę i nieco jaśniejszą długą spódnicę. Zdjęcia zaplanowano w sekretariacie Breta. Jego sekretarka nie kryła entuzjazmu.

- Nawet pani nie wie, jaka jestem tym podekscytowana, pani Baxter - wyznała.

Hillary uśmiechnęła się.

- Przyznam, że czasem czuję się jak tresowany słoń. Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała. - Hillary.

- June. Domyślałam się, że dla ciebie takie zdjęcia to rutyna. - Potrząsnęła kasztanowymi lokami. - Ale dla mnie

to prawdziwa przygoda, coś niesamowitego. - Przeniosła wzrok na Larry'ego, jak zwykle całkowicie pochłoniętego swoimi aparatami. - Pan Newmam jest prawdziwym specem, prawda? Bardzo przystojny mężczyzna. Żonaty?

Hillary roześmiała się.

- Tylko ze swoim aparatem.

- Aha. - June uśmiechnęła się. Naraz coś chyba ją uderzyło, bo spoważniała. - Czy może wy... mam na myśli was dwoje... jesteście ze sobą?

- Wiesz, jaki jest nasz układ? Mistrz i jego uniżony sługa - odpowiedziała Hillary, po raz pierwszy przyglądając się Larry'emu jak mężczyźnie. Rzeczywiście był atrakcyjny, a w dodatku wolny. Popatrzyła na ładną buzię June, uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Znasz powiedzenie, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek? Do serca Larry'ego najłatwiej trafić rozmowami o jego pracy. Zapytaj go, jak działa zoom.

Z gabinetu wynurzył się Bret. Na widok Hillary uśmiechnął się szeroko.

- Oto najlepsza przyjaciółka mężczyzny, czyli idealna sekretarka.

Starła się nie zwracać uwagi na gwałtowne bicie serca. Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Dziś nie podejmę żadnych istotnych dla firmy decyzji. Zostałam zdegradowana - odezwała się lekko.

- Tak to bywa w biznesie. - Ze zrozumieniem pokiwał głową. - Dziś jesteś na świeczniku, jutro spadasz do hali maszyn. Prawa dżungli.

- No, wszystko już przygotowane - z końca pokoju rozległ się głos Larry'ego. - Gdzie jest Hillary? - Odwrócił się i ujrzał wlepione w siebie oczy całej trójki. Uśmiechnął się szeroko. - Cześć, Bret. Cześć, Hil. Gotowa?

- Mistrzu, twoja prośba jest dla mnie rozkazem - zaśmiała się Hillary, ruszając w jego stronę.

- Hillary, piszesz na maszynie? - pogodnie zapytał Bret. - Dałbym ci kilka listów do przepisania. Tym sposobem upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Przykro mi, panie Bardoff - odparła lekko. Niesamowity jest ten jego uśmiech, pomyślała w duchu. - Mam niepisany układ ze sprzętem biurowym. Trzymamy się od siebie z daleka.

- Panie Newman, czy mogłabym przez chwilę zostać i poprzyglądać się sesji? - June nieśmiało zwróciła się do Larry'ego. - Niech pan się zgodzi, bardzo mi na tym zależy. Pasjonuję się fotografią.

Larry popatrzył na nią nieobecny wzrokiem. Bret, choć wyraźnie zaskoczony prośbą sekretarki, nie zareagował.

- June, za jakieś pół godziny będziesz mi potrzebna - powiedział tylko.

Sesja toczyła się wartkim rytmem. Hillary posłusznie wykonywała polecenia Larry'ego, często wyprzedzając jego pomysły. Nie zauważyli, kiedy June bezszelestnie wycofała się do gabinetu szefa.

W jakimś momencie Larry opuścił aparat, zapatrzył się w przestrzeń. Hillary o nic go nie pytała. Z doświadczenia wiedziała, że ta przerwa nie oznacza zakończenia zdjęć.

- Wiem, co teraz zrobimy - wymruczał. Oczy mu błyszczały. - Usiądź tutaj, przy biurku. Będziesz zmieniać taśmę w maszynie.

- Larry, no co ty! - zaprotestowała, z uwagą oglądając swoje paznokcie.

- No, idź.

- Larry, ja nie mam pojęcia, jak to się robi.

- No to udawaj, że wiesz - nie zrażał się.

Westchnęła, usiadła za biurkiem i wbiła wzrok w maszynę.

- Hillary - przywołał ją do porządku. Zmarszczył brwi.

- Nie wiem, jak to się otwiera - wymruczała, naciskając przypadkowe guziki. - Przecież to chyba musi się jakoś otwierać - zaczęła się irytować.

- Zobacz, może pod spodem jest jakiś przycisk - cierpliwie pouczył ją Larry. - Czy w Kansas nie ma maszyn do pisania?

- Chyba są. Moja siostra... Och! - wykrzyknęła i uśmiechnęła się z satysfakcją. Tym razem trafiła na właściwy przycisk. Uniosła pokrywę maszyny i zajrzała do środka. Przesunęła palcem po czcionkach.

- Dalej, Hillary! - popędził ją Larry. - Musisz być wiarygodna. Udawaj, że wiesz, co robisz.

Wzięła sobie do serca jego słowa. Z zapamiętaniem złapała za widoczną we wnętrzu czarną taśmę. W skupieniu prześledziła jej bieg, po czym zaczęła ją wyciągać. Im bardziej ciągnęła, tym więcej jej wyciągała. Bezwiednie przesunęła dłonią po twarzy. Na policzku została czarna smuga tuszu.

W rękach miała już wielki kłęb splątanej taśmy. Oprzytomniała. Trudno, nie sprostowała wyzwaniu. Podniosła wzrok, promiennie uśmiechnęła się do Larry'ego. Cyknął ostatnie zdjęcie.

- Super - podsumował Larry, odkładając aparat. - Klasyczne studium niekompetencji.

- Wielkie dzięki, koleżko. Popamiętasz mnie, jeśli opublikujesz te zdjęcia. - Z ostentacją wcisnęła w maszynę

kłąb taśmy. Nabrała powietrza. - Teraz ty się tłumacz przed June, co zrobiliśmy z jej maszyną. Ja wolę się stąd zmyć.

- Święte słowa - z tyłu rozległ się głos Breta. Siedząca przy biurku Hillary odwróciła się gwałtownie. Bret i June stali na progu i z niedowierzaniem wpatrywali się w kłęby taśmy. - Jeśli kiedyś zrezygnujesz z kariery modelki, nie próbuj szukać pracy w biurze.

Zamierzała powiedzieć mu coś do słuchu, ale rzut oka na bałagan, jaki zrobiła na biurku, rozbawił ją. Zachichotała.

- Larry, zabierajmy się stąd, i to szybko! - z udanym przerażeniem popatrzyła na Larry'ego. - Przyłapali nas na gorącym uczynku.

Bret podszedł do biurka, ujął rękę Hillary.

- Oto mamy dowody - rzekł. - Czarno na białym. - Drugą ręką podniósł jej brodę, uśmiechnął się. Serce zabiło jej mocniej. - Nie tylko na rękach. Również na tej pięknej buzi.

Popatrzyła na swoje dłonie.

- O Boże, jak to się stało? Czy to da się zmyć? - z przestraszoną miną zerknęła na June. Odetchnęła, słysząc, że wystarczą woda i mydło. - W takim razie idę pozbyć się tych dowodów - zdecydowała. - A ty - zwróciła się do Larry'ego - zostań i postaraj się ich udobruchać. Może tym razem nam darują - promiennie uśmiechnęła się do June.

Bret był szybszy. Wyprzedził ją i otworzył drzwi. Też wyszedł na korytarz.

- Próbujesz swatać moją sekretarkę?

- Być może - odrzekła tajemniczo. - Larry'emu należy się od życia coś więcej niż tylko ciemnia i aparaty.

- A tobie co się należy? - zapytał miękko, kładąc dłoń na jej ramieniu i odwracając ją ku sobie.

- Ja... ja mam wszystko, czego mi potrzeba - wydukała.

- Wszystko? - powtórzył, nie odrywając od niej oczu. - Szkoda, że jestem zajęty, bo moglibyśmy przejść do szczegółów. - Przygarnął ją lekko i musnął ustami jej wargi. Uśmiechnął się czarująco. - Idź umyć buzię, cała jesteś w tuszu. - Odwrócił się i ruszył korytarzem.

Hillary stała oszołomiona, nie mogąc się pozbierać.

Popołudnie spędziła na zakupach. Chodzenie po sklepach to był jej dawno wypróbowany sposób na rozładowanie stresu i uspokojenie rozdygotanych nerwów. Jednak przez cały czas nie mogła się powstrzymać, by mimowolnie nie wracać myślą do tego, co się wydarzyło. Delikatny dotyk jego ust, uśmiech błędzący w szarych oczach. Jeszcze czuła ciepło na wargach... Chłodny poryw wiatru uderzył ją w twarz, przywracając do rzeczywistości. Zła na siebie, skinęła na taksówkę. Musi się śpieszyć, by zdążyć na spotkanie z Lisa.

Było już po piątej, gdy dotarła do siebie. Torby z zakupami rzuciła na krzesło w sypialni. Zdjęła łańcuch, by Lisa mogła wejść. Ruszyła do łazienki. Z przyjemnością zanurzy się w ciepłej, pachnącej wodzie. Zamierzała poleżeć w kąpieli pełne dwadzieścia minut. Wychodziła z wody, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Pośpiesznie sięgnęła po ręcznik.

- Wejdz, Lisa! - zawołała. Owinęła się i wyszła z łazienki. - Poczekaj minutkę, zaraz będę gotowa. Właśnie wyszłam z wanny i... - zatrzymała się jak wryta. Zamiast drobnej blondynki ujrzała wysokiego mężczyznę. Bret Bardoff.

- Skąd się tu wzięłeś? - wybąkała.

- Teraz czy w ogóle? - zapytał, uśmiechem kwitując

jej zmieszanie.

- Myślałam, że to Lisa. Co ty tu robisz?

- Przyszedłem ci to zwrócić. - Wyciągnął przed siebie złote pióro. - Przypuszczam, że to twoje. Ma wygrawerowane inicjały HB.

- Tak, to moje - potwierdziła chmurnie. - Pewnie mi wypadło z torebki. Niepotrzebnie się fatygowałeś. Odebrałabym jutro.

- Pomyślałem sobie, że może będziesz go szukać.

Przesunął wzrokiem po jej szczupłej sylwetce otulonej skąpym ręcznikiem. Zatrzymał wzrok na zgrabnych nogach, na mgnienie przeniósł go na rysujące się pod tkaniną piersi.

- Poza tym warto było się trudzić.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojego neglizżu. Policzki jej poczerwieniały. Gdy Bret uśmiechnął się szerzej, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

- Za minutę wracam!

Pośpiesznie włożyła brązowe sztruksy i beżowy moherowy sweterek. Drżącą ręką przeczesła włosy, musnęła usta pomadką. Nabrała powietrza i weszła do salonu. Bret siedział wygodnie rozparty na kanapie i palił papierosa.

- Przepraszam, że czekałeś - zagadnęła uprzejmie, starając się przełamać zmieszanie. - To miło, że zadałeś sobie trud i przyniosłeś mi to pióro. - Wzięła od niego pióro i położyła je na mahoniowym stolyczku. - Może... może chciałbyś... - Zagryzła wargi. - Może się czegoś napijesz? Chyba że się śpieszysz...

- Nie śpieszę się. - Udawał, że nie widzi jej zmieszanej miny. - Chętnie wypiję szklaneczkę szkockiej, jeśli masz. Bez niczego.

- Powinam mieć. Muszę sprawdzić. - Poszła do kuchni i zaczęła myszkować po półkach.

Bret wstał, też przyszedł do kuchni. Hillary odwróciła się, serce zabiło jej mocniej. Potężna sylwetka Breta zdawała się wypełniać niewielkie pomieszczenie. To ją peszyło i jednocześnie dziwnie ekscytowało. Zajrzała do kolejnej szafki. Ciągle miała świadomość, że Bret obserwuje jej poczynania. Stał niedbale oparty o lodówkę, rękę wsunął w kieszenie.

- Jest! - wykrzyknęła triumfalnie, wyciągnęła butelkę. - Szkocka.

- To świetnie.

- Zaraz ci podam. Samą tak chciałeś, prawda? - Odgarnęła włosy. - Czyli bez lodu, tak?

- Wspaniała z ciebie barmanka. - Z uśmiechem wziął od niej butelkę i napełnił sobie szklaneczkę.

- Prawie nie piję alkoholu - wymamrotała.

- Pamiętam, mówiłaś. Maksymalnie dwa drinki. Możemy usiąść? - Ujął jej dłoń. Zrobił to tak naturalnie, że nawet nie ośmieliła się zaprotestować. - Masz bardzo przyjemne mieszkanie - pochwalił, gdy oboje usiedli na kanapie. - Robi miłe wrażenie. Pełne koloru, dużo przestrzeni. Czy to wewnątrz odzwierciedla charakter właścicielki?

- Podobno tak jest.

- Otwartość i dobre nastawienie do ludzi to wielki plus, ale powinnaś być bardziej ostrożna. I zamykać drzwi na łańcuch. Jesteśmy w Nowym Jorku, nie na farmie w Kansas.

- Czekałam na kogoś.

- A przyszedł ktoś, kogo się wcale nie spodziewałaś.

- Zajrzał jej w oczy. - Jak sądzisz, co mogłoby się stać,

gdyby to kto inny wszedł do środka i ujrzał piękną dziewczynę owiniętą kusym ręcznikiem? - Poczowała, że policzki jej płoną. Opuściła głowę. - Powinnaś starannie zamykać drzwi, Hillary. Nie każdy mężczyzna pozwoliłby ci się wymknąć.

- Wiem, proszę pana - zareplikowała. Bret ostrzegawczo zmrużył oczy. Pochwycił ją szybkim ruchem, ale nawet jeśli zamierzał wymierzyć jej karę, nie zdążył, bo zadzwonił telefon. Hillary z ulgą poderwała się z kanapy. Złapała słuchawkę.

- Cześć, Lisa! Gdzie jesteś?

- Hillary, przepraszam cię - Lisa mówiła zdyszczanym głosem. - Zdarzyło się coś niebywałego! Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie.

- Nie ma sprawy. Ale co się stało?

- Mark zaprosił mnie na kolację.

- Czyli posłuchałaś mojej rady i podstawiałaś mu nogę, gdy przechodził obok twojego biurka. Dobrze wnioskuje?

- Mniej więcej.

- Och, Lisa! - z przejęciem wykrzyknęła Hillary. - Nie mówisz tego poważnie?

- No nie - przyznała. - Było inaczej. Oboje targaliśmy przed sobą stosy kodeksów i po prostu wpadliśmy na siebie.

- Już to widzę! - zaśmiała się. - To przynajmniej było zagranie z klasą.

- Nie masz do mnie żalu o dzisiejszy wieczór?

- Mogłabym dopuścić, by pizza stanęła na drodze prawdziwej miłości? - obruszyła się. - Leć na to spotkanie i baw się dobrze. Do zobaczenia później.

Odłożyła słuchawkę, odwróciła się. Bret patrzył na

nią, w oczach płonęła mu ciekawość.

- W życiu nie przysłuchiwałem się tak fascynującej rozmowie - rzekł z niedowierzaniem.

Hillary uśmiechnęła się promiennie. Pokrótce opowiedziała mu historię nieodwzajemnionego uczucia koleżanki.

- A ty wmawiałaś jej, że najlepszym rozwiązaniem jest podstawienie biednemu chłopakowi nogi. Żeby padł do jej stóp - podsumował.

- Dzięki temu ją zauważył.

- A teraz koleżanka wystawiła cię do wiatru. Wybrałyście się na pizzę, tak?

- Moja tajemnica wyszła na jaw. Nie piśnij o tym słowa, liczę na twoją dyskrecję. Mam słabość do pizzy. Jeśli co jakiś czas nie wbiję w nią zębów, wpadam w szał. To mało przyjemny widok.

- Cóż, w takim razie trzeba koniecznie coś zrobić, byś nie dostała piany na ustach. - Odstawił szklaneczkę, wstał z kanapy. - Bierz płaszcz, zabieram cię na pizzę. Należy ci się trochę przyjemności.

- Nie, nie, daj spokój!

- Na Boga, nie wracajmy znowu do tego. Włóż coś ciepłego i chodźmy - zarządził, podnosząc ją z fotela. - Ja też jestem głodny.

Nie oponowała dłużej. Włożyła krótką zamszową kurteczkę, Bret sięgnął po swoją skórzaną kurtkę.

- Wzięłaś klucze? - przypomniał jej przy drzwiach.

Nie minęło wiele czasu, a znaleźli się we włoskiej restauracyjce zaproponowanej przez Hillary. Usiedli przy stoliku z obrusem w czerwono - białą kratkę. W świeczniku z butelki po winie płonęła świeca.

- Co zamawiasz, Hillary? - zapytał Bret.

- Pizzę.
- To wiadomo - powiedział z uśmiechem. - Ale z czym?

- Z podwójnym cholesterolem.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- I to wszystko?

- Chyba tak. Nie chcę przesadzić. W tych sprawach bardzo łatwo stracić nad sobą kontrolę.

- A jakieś wino?

- Nie wiem, czy powinnam. - Zawahała się, wreszcie wzruszyła ramionami. - Właściwie czemu nie? W końcu raz się żyje.

- To prawda. - Skinął na kelnera, złożył zamówienie.

- Chociaż patrząc na ciebie, mam wrażenie, że to nie jest twoje pierwsze życie. W poprzednim wcieleniu chyba byłaś indiańską księżniczką. Pewnie dzieciaki wołały za tobą Pocahontas.

- Tylko te, które nie były wystarczająco rozsądne - odpowiedziała. - Raz za takie przezwiska oskalpowałam jednego chłopca.

- Nie mów! - Zaintrygowała go. Pochylił się do przodu, oparł twarz na rękach. - Opowiedz mi.

- Dobrze. Jeśli takie krwawe opowieści nie przeszkadzają ci w jedzeniu. - Odgarnęła włosy, oparła łokcie na stole. - Chodziłam do szkoły z Martinem Collinsem. Bardzo mi się podobał, byłam w nim śmiertelnie zakochana. Tylko że Martin wołał Jessie Winfield, drobniutką blondyneczkę o wielkich brązowych oczach. Umierałam z zazdrości. Miałam wtedy jedenaście lat. Byłam wysoka, chuda, same ręce i nogi. Któregoś razu minęłam ich, gdy razem wracali ze szkoły. Martin niósł jej tornister, czego nie mogłam przeboleć. Przeszłam obok, a

on zawołał: „Wracaj w góry, Pocahontas”. To przepeliło czarę goryczy. Poczułam się dotknięta do żywego. Musiałam się zemścić. Wzięłam małe nożyczki mamy, potem pomalowałam twarz jej najlepszą pomadką i poszłam zacząć się na ofiarę.

- Wyczekałam na odpowiedni moment i skoczyłam na niego znienacka. Przewróciłam go i przydusiłam do ziemi. Przyciskałam go sobą, by nie mógł się wyrwać. Jak szalona obcinałam mu włosy, ile się tylko dało. Martin krzyczał, ale nie puszczałam. Wreszcie przybiegli moi bracia i oderwali mnie od niego. Martin poderwał się i uciekł jak tchórz. Prosto w objęcia swojej mamusi.

Bret śmiał się gromko.

- Ależ z ciebie był potwór!

- Odpokutowałam to. - Sięgnęła po kieliszek z winem. - Dostało mi się wtedy solidnie. Ale nie żałowałam, miałam satysfakcję. Martin przez kilka tygodni chodził w czapce.

Przyniesiono zamówioną pizzę. Podczas jedzenia rozmowa toczyła się wartko. Było bardzo przyjemnie. Gdy zniknął ostatni kawałek pizzy, Bret odchylił się i popatrzył na Hillary.

- Nigdy bym nie uwierzył, że potrafisz tyle zjeść.

Uśmiechnęła się. Czuła się błogo. Rozluźniona winem, jedzeniem, sympatycznym towarzystwem.

- Nie robię tego często.

- Jesteś niesamowita. Stale mnie zaskakujesz. Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać. Składasz się z samych przeciwieństw.

- Bret, czy aby nie dlatego mnie zatrudniłeś? - Po raz pierwszy impulsywnie zwróciła się do niego po imieniu. - Właśnie dlatego, że trudno mnie zaszufładkować?

Uśmiechnął się, podniósł kieliszek do ust, zostawiając jej pytanie bez odpowiedzi.

W drodze powrotnej dobry nastrój Hillary nagle się ulotnił. Im było bliżej jej mieszkania, tym większy ogarniał ją niepokój. Starła się nie okazywać tego. Gdy stanęli pod drzwiami, z wymuszonym spokojem sięgnęła do torebki po klucze.

- Może miałbyś ochotę wstąpić na kawę? - zaproponowała.

Bret wyjął klucze z jej dłoni, otworzył zamek i popatrzył na Hillary.

- Wydawało mi się, że nie pijasz kawy.

- Bo tak jest. Jednak większość ludzi za nią przepada, więc zawsze mam w domu trochę rozpuszczalnej.

- Podobnie jak szkocką - dopowiedział, otwierając drzwi i przepuszczając ją przodem.

Hillary zdjęła kurtkę. Wczuła się w rolę gospodyni.

- Usiądź, a ja zajmę się kawą. To nie potrwa długo.

Bret ściągnął kurtkę, nonszalancko rzucił ją na oparcie krzesła.

Hillary nastawiała wodę, wyjęła z szafki filiżanki, ustawiła je na tacy. Jeszcze cukierniczka i śmietanka. Dla siebie zaparzyła herbatę, dla Breta kawę. Wszystkie te czynności wykonywała niemal automatycznie. Unosząc ostrożnie tacę, ruszyła do salonu. Postawiła ją na niskim stoliku, uśmiechnęła się lekko. Bret stał przy etażerze i oglądał kolekcję płyt.

- Niezły zestaw - zagadnął, spoglądając na nią z od dali. Poczowała ukłucie lęku. Jej pewność siebie przepadła bez śladu. - Tak to sobie wyobrażałem - rzekł, wyrывая ją z niespokojnych rozmyślań. - Chopin, gdy jesteś w ro-

mantycznym nastroju, Denver, kiedy ci smutno i tęsknisz za domem, B.B. King, gdy jesteś w dołku, McCartney, kiedy tryskasz humorem.

- Mówisz jak ktoś, kto mnie doskonale zna - podsumowała. Z jednej strony rozbawił ją, z drugiej czuła się trochę osaczona. Bret przejrzał ją na wylot.

- Jeszcze nie - zareplikował, odkładając płytę i podchodząc do stolika. - Ale pracuję nad tym.

Był teraz niebezpiecznie blisko. Na wszelki wypadek wołała się nieco odsunąć.

- Kawa ci stygnie - powiedziała pośpiesznie i zaczęła zestawiać z tacy filiżanki i resztę rzeczy. Niechcący upuściła łyżeczkę. Oboje schylili się po nią w tej samej chwili. Mocne palce Breta zacisnęły się na palcach dziewczyny. Przeszył ją nagły dreszcz, oczy jej pociemniały. Podniosła na niego wzrok.

Oboje milczeli. Ich spojrzenia się spotkały i naraz zdała sobie sprawę, że teraz nastąpi to, co nieuchronne. Od pierwszej chwili, gdy spotkali się w studiu Larry'ego, wszystko ku temu zmierzało. Już wtedy czuła, że między nimi coś jest, jakieś podskórne napięcie, wzajemna fascynacja, trudna do nazwania tęsknota. Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo Bret pociągnął ją w górę. I już była w jego ramionach.

Całował ją, najpierw lekko i delikatnie, potem coraz mocniej. Dotyk jego ciepłych, zmysłowych ust oszałamiał, budził uśpione pragnienia. Jego ramiona obejmowały ją mocno, rozkosznie. Zarzuciła mu ręce na szyję.

Nie opierała się, gdy wziął ją na ręce. Nie odrywał od niej gorących ust. Miękkie poduszki kanapy uginały się pod ich ciężarem. Bret obsypywał ją drobnymi, gorącymi pocałunkami, jego usta błędziły po jej szyi, po twarzy.

Westchnęła, gdy przesunął dłonią po jej ciele.

Jak odurzona poddawała się pieszczotom. Całe ciało wyrywało się do niego, błagało o więcej. Dotąd nie wiedziała, że potrafi tak przeżywać, tak pragnąć.

Poczuła, że jego dłonie zatrzymują się na brzuchu, manipulują przy guziku spodni. Szarpnęła się raptownie, ale Bret nie zwracał na to uwagi. Znowu zamknął jej usta pocałunkiem.

- Bret, proszę, nie. Bret, przestań.

Przestał całować jej szyję, podniósł głowę i zajrzał jej w oczy. Z lękiem uświadomiła sobie, że jeśli natychmiast go nie powstrzyma, sytuacja wymknie się jej z rąk.

- Hillary - wymruczał zdławionym szeptem i znowu przypadł do jej ust. Odwróciła głowę, odepchnęła go.

- Nie, Bret, proszę.

Odsunął się, wstał. Sięgnął po leżącą na stoliku papierosnicę. Hillary usiadła, zacisnęła ręce i opuściła głowę.

- Hillary, wiem, że potrafisz zaskakiwać - rzekł, zapaliwszy papierosa. Zaciągnął się, wypuścił chmurkę dymu. - Ale nie myślałem, że chcesz się tylko ze mną podroczyć.

- Wcale nie! - zaprotestowała, przerażona jego cierpkim tonem. - Nie mów tak. Tylko dlatego, że nie chciałam, że nie pozwoliłam, żebyś... - głos jej się łamał. Czowała się strasznie. Speszona, zmieszana i jednocześnie przepełniona pragnieniem, by znów znaleźć się w jego ramionach.

- Nie jesteś dzieckiem - powiedział ostro. Usta jej zadrgały. - Dobrze wiesz, czym kończą się takie pocałunki, do czego prowadzą. Jeśli kobieta na to przyzwala, robi to świadomie. - Oczy błyszczały mu gniewnie. Hillary siedziała jak trusia. Nie spodziewała się po nim takiej złości. -

Też tego chciałaś, nie mniej niż ja. Przestań bawić się ze mną w kotka i myszkę. Jesteś dorosłą kobietą. Przestań zachowywać się jak niewinna dziewczynka.

Hillary, słysząc to, zarumieniła się po czubek nosa. Za późno opuściła powieki, Bret zdążył dostrzec zmieszanie malujące się w jej oczach. Wlepił w nią niedowierzające spojrzenie. Na jego twarzy, oprócz złości, pojawiło się szczere zdumienie.

- Na Boga, ty jeszcze nigdy nie byłaś z mężczyzną?

Zamknęła oczy, nie mogąc znieść upokorzenia. Milczała uparcie.

- Jak to możliwe?

- To wcale nie takie trudne - wymamrotała, uciekając wzrokiem w bok. - Zwykle nie dopuszczam, by sytuacja zaszła tak daleko. - Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Powinnaś najpierw uświadomić mężczyźnie, jak naprawdę jest, nim jeszcze do czegoś dojdzie - rzekł nieco zjadliwie, z pasją zgniatając papierosa.

- Może powinnam wypisać sobie na czole czerwoną farbą, że jestem dziewicą - odparowała ze złością, dumnie podnosząc brodę.

- Pięknie wyglądasz, kiedy się tak złościysz. - W jego głosie zabrzmiał gniew. - Na przyszłość uważaj, bym nie przekroczył wyznaczonej przez ciebie granicy.

- Nigdy nie przepuścisz dziewczynie, co? - skomentowała zgryźliwie, gdy sięgał po kurtkę.

Bret znieruchomiał. Odwrócił się i popatrzył na nią zwężonymi oczami, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów. Poczula się niepewnie.

- Raczej nie - powiedział wolno i cicho. Popchnął ją na poduszki. - Potrafię dopiąć swego. - Niespiesznie przesunął wzrokiem po jej ciele, zatrzymał się na

nabrzmiąłych od pocałunków ustach. Zadrżała pod jego spojrzeniem. - Mógłbym cię mieć zaraz, z twoim przyzwoleniem, ale... - ruszył do drzwi - wolę jeszcze poczekać.

ROZDZIAŁ 4

Przez kolejne tygodnie zdjęcia szły zgodnie z planem, bez żadnych zakłóceń. Larry był nadzwyczaj zadowolony z postępu prac. Część gotowych już zdjęć udostępnił Hillary, by mogła je w spokoju obejrzeć.

Studiowała je w skupieniu. Rzeczywiście wyszły niezłe, musiała to obiektywnie przyznać. To chyba ich najlepsze zdjęcia w dotychczasowej karierze. Zaplanowane studium kobiecości nabierało kształtu. Jeśli praca nadal będzie posuwać się równie szybko, skończą przed czasem. Specjalne wydanie „Mode” według planów Breta miało ukazać się wczesną wiosną.

Następną sesję zdjęciową zaplanowano po Świącie Dziękczynienia. Hillary cieszyła się, że dzięki temu będzie miała trochę czasu dla siebie, no i uniknie towarzystwa Breta. Coraz trudniej przychodziło jej odpychanie od siebie myśli na jego temat. Prześladował ją nawet we snach.

Po tamtym wieczorze szła do pracy z duszą na ramieniu, ale jej obawy się nie potwierdziły. Bret przywitał ją jakby nigdy nic. W pewniej chwili nawet sama zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko jej się nie przywidziało. Ani słowem nie wspomniał o wspólnej kolacji czy tym, co wydarzyło się później.

Była poruszona, lecz wiedziała, że musi się wziąć w garść. W środku wezbrane emocje, na zewnątrz chłód i obojętność. Tak postanowiła. I choć nie było to łatwym zadaniem, grała swoją rolę.

I tylko od czasu do czasu Larry przywoływał ją do rzeczywistości, prosząc, by się odprężyła i rozpogodziła.

Hillary stanęła przy oknie, zapatrzyła się na ulicę. Pogoda dokładnie odzwierciedlała jej stan ducha - ciężkie, łożowane chmury wiszące nad miastem, ponure, sine światło. Szpecące niebo wieżowce, zimne, odhumanizowane biurowce. Drzewa ogołocone z liści, przy chodnikach resztki zrudziałej trawy. Wszystko wyglądało przygnębiająco.

Nieoczekiwanie ogarnęła ją tęsknota za domem. W Kansas jest tak inaczej! Oczami wyobraźni zobaczyła szerokie, ciągnące się po horyzont pola, falujące złociste łany zbóż, wysokie niebo. Podeszła do szafki, sięgnęła po płytę Denver. Naraz zastygła. Tak samo stał tutaj Bret, też oglądał płyty. To było tak niedawno. Niemal czuła jego obecność. Jego mocne ciało, bijące od niego ciepło... Zapomniała o domu, o tęsknocie za rodzinnymi stronami. Bret przesłonił jej wszystko. To coś więcej niż tylko fizyczna fascynacja, uzmysłowiła sobie w przeblysku intuicji. Włączyła odtwarzacz, pokój wypełniła łagodna muzyka.

Musi o nim zapomnieć. Ma swoje plany na życie, dokładnie określone, starannie obmyślane. Nie było w nich miejsca na miłość. Nie teraz. Usiadła na kanapie, zamknęła oczy. Natrętne myśli otuliły ją jak ciężka, nabrzmiąta wilgocią mgła.

Było już późno, gdy dotarła do domu. Dobrze, że dała się wyciągnąć na świąteczną kolację. Indyk był przepyszny, Lisa i Mark tryskali humorem. Starła się robić dobrą minę do złej gry, by nie psuć im nastroju. Nie miała apetytu; wykorzystwała pretekst, że musi dbać o figurę. Wieczór był bardzo miły, ale kiedy już zamknęła za sobą drzwi,

odetchnęła z ulgą. Wreszcie nie musi udawać, że wszystko jest świetnie. Szła powiesić płaszcz, gdy zadzwonił telefon.

- Słucham - odezwała się znużonym tonem.

- Cześć, Hillary. Nie było cię?

Nie musiał się przedstawiać. Od razu poznała go po głosie. Szczęście, że przez telefon nie słyhać, jak szalenie bije jej serce.

- Witam, panie Bardoff - powiedziała z udanym chłodem. - Czy zawsze wydzwania pan po nocy do swoich pracowników?

- Coś nie jesteśmy w humorze - zareplikował spokojnie. - Miałaś przyjemny dzień?

- Bardzo - skłamała - Właśnie wróciłam do domu. Byłam na kolacji. A ty?

- Też miałem miły wieczór. Przepadam za indykiem.

- Dzwonisz, żeby porównać menu, czy może masz jakiś inny cel? - zapytała ostrzej, niż zamierzała.

- Co byś powiedziała na świątecznego drinka, oczywiście jeśli jeszcze masz tę butelkę szkockiej?

- Och... - zaniemówiła. Ogarnęła ją panika. Chrzęknięła, by zyskać na czasie. - Nie, to znaczy tak - wybąkała. - Mam tę whisky, ale już jest późno i...

- Boisz się? - przerwał jej łagodnie.

- Ależ skąd! - obruszyła się. - Po prostu jestem zmęczona. Właśnie miałam iść do łóżka.

- Naprawdę? - W jego głosie brzmiało nieukrywane rozbawienie.

- Naprawdę. - Poczwała, że się rumieni. Ogarnęła ją złość na siebie. - Czy ty musisz ciągle się ze mnie nabijać?

- Przepraszam. - W jego tonie nie było ani krzty skruchy. - No dobrze, nie będę robić zamachu na twoje zapasy. - Umilkł, po chwili dodał: - Dobranoc, Hillary. Do

zobaczenia w poniedziałek. Dobrej nocy.

- Dobranoc - wymamrotała, przepełniona nagłym żalem. Odłożyła słuchawkę, rozejrzała się po salonie. Bez Breta tak tu pusto, tak smutno. Westchnęła, odgarnęła włosy. Przecież nie zadzwoni do niego, zresztą nawet nie wie, gdzie go szukać.

Dobrze, że tak się stało, przekonywała się w duchu. Musi trzymać się od niego z daleka. Im mniej kontaktów, tym lepiej. Jeśli chce przestać o nim myśleć, powinna zachować dystans. Wtedy Bret szybko się zniechęci. Zwłaszcza że ktoś inny chętnie go pocieszy. Charlene w sam raz do niego pasuje, dużo bardziej niż ja, przemawiała do siebie, jeszcze boleśniej rozdrapując rany. Ja nawet nie mogę się z nią równać, i to pod żadnym względem. Charlene z pewnością zna francuski, orientuje się w gatunkach win i nie plecie trzy po trzy, nawet gdy wypije więcej niż kieliszek szampana.

W sobotę umówiły się z Lisa na lunch. Hillary miała nadzieję, że wyjście do restauracji poprawi jej humor. Gdy przyjechała, sala była pełna. Dostrzegła Lisę siedzącą przy małym stoliku. Pomachała do niej i ruszyła przez tłum.

- Przepraszam, że się spóźniłam - uśmiechnęła się przepraszająco, sięgając po kartę. - Był straszny korek. W ogóle ledwie złapałam taksówkę. Naczekałam się i wymarzałam. Czuję się, że zima tuż - tuż.

- Zima? - z uśmiechem zdziwiła się Lisa. - Ja ciągle mam wrażenie, że jest wiosna.

- To miłość tak na ciebie podziałała. Wytrąciła cię z równowagi - zaśmiała się Hillary. - Ale nawet jeśli z twoją głową coś jest przez to nie tak, cała reszta kwitnie. Wyglądasz olśniewająco, aż bije od ciebie blask.

Lisa uśmiechnęła się promiennie.

- Wiem, że od kilku tygodni nie chodzę po ziemi - przyznała. - Pewnie już nie możesz na mnie patrzeć.

- Nie mów głupstw. Gdy widzę, jak promieniejesz, od razu robi mi się lżej na sercu.

Zamówiły potrawy, zajęły się rozmową.

- Powinam znaleźć sobie na koleżankę brzydulę z haczykowatym nosem - nieoczekiwanie zmieniła temat Lisa.

Hillary na chwilę przestała jeść.

- Możesz powtórzyć? - zapytała.

- Nie masz pojęcia, jaki facet właśnie wszedł. Po prostu boski! Ale na mnie nawet nie zerknął. Jest wpatrzony w ciebie.

- Pewnie kogoś szuka - podsunęła spokojnie. - Umówił się tu z kimś.

- Akurat. Jest z panienką uwieszoną na jego ramieniu - zareplikowała Lisa, nie odrywając wzroku od sali. - Hillary, on przez cały czas na ciebie patrzy! Nie, nie odwracaj się! - syknęła, bo zaciekawiona Hillary poruszyła głową. - O Boże, on tutaj idzie!

- Zachowujesz się, jakbyś zobaczyła ducha - spokojnie odrzekła Hillary, rozśmieszona zachowaniem koleżanki.

- Cześć, Hillary! Ciągle wpadamy na siebie, co?

Oczy Hillary rozszerzyły się ze zdumienia. Popatrzyła na równie zdumioną Lisę, przeniosła wzrok na stojącego przy stoliku mężczyznę. Bret uśmiechał się filuternie.

- Cześć - odpowiedziała bez tchu. Była tak poruszona, że brakowało jej powietrza. Popatrzyła na rudowłosą ślicznotkę uczeponą jego ramienia. - Witam,

pani Mason, miło mi panią widzieć - powiedziała ze spokojem.

Charlene niemal niezauważalnie skinęła głową. Hillary aż się wzdrygnęła pod zimnym spojrzeniem jej zielonych oczu. Na mgnienie zapadła cisza.

- Lisa MacDonald, Charlene Mason i Bret Bardoff - Hillary opamiętała się i pośpiesznie dokonała prezentacji.

- Och, to pan jest z „Mode” - wypaliła Lisa. Oczy jej błyszczały. Hillary marzyła, by zapaść się pod ziemię.

- Mniej więcej.

Hillary mogła tylko bezradnie patrzeć, jak Bret obdarza Lisę ujmującym uśmiechem.

- Jestem zagorzałą fanką pana pisma, panie Bardoff - szczebiotała Lisa, nie zauważając gniewnych spojrzeń Charlene. - Nie mogę się doczekać tego specjalnego wydania ze zdjęciami Hillary. To będzie coś niesamowitego.

- Przynajmniej tak się zapowiada. - Odwrócił się do Hillary. - Chyba przyznasz mi rację, Hillary?

- Tak - rzuciła lekko.

- Bret - wtrąciła się Charlene. - Chodźmy już i pozwólmy paniom w spokoju dokończyć posiłek.

- Miło mi było panią poznać, Liso. Do zobaczenia, Hillary. - Na widok uśmiechu Breta serce zabiło Hillary jak szalone. Wymamrotała zdawkowe pożegnanie, nerwowym gestem sięgnęła po filiżankę z herbatą.

Lisa przez kilka sekund odprowadzała Breta wzrokiem.

- No! - rzuciła z przejęciem, przenosząc na Hillary spojrzenie brązowych oczu. - Nic nie mówiłaś, że on jest taki fantastyczny! Aż coś mi się zrobiło, gdy się uśmiechnął!

- Lisa, opanuj się. Przecież twoje serce już jest

zajęte.

- To prawda - potwierdziła. - Ale nadal jestem kobietą - Popatrzyła znacząco na Hillary i dodała psotnie: - Chyba mi nie powiesz, że on cię wcale nie rusza? Za dobrze się znamy.

- Odpowiem ci szczerze. Jasne, że jestem podatna na zabójczy urok pana Bardoffa, ale też doskonale wiem, że muszę się na niego uodpornić. Co najmniej na kilka miesięcy.

- A nie zastanawiałaś się, czy to zainteresowanie nie jest obustronne? Ty też masz w sobie bardzo wiele uroku.

- Widziałaś tę rudą wczepioną w niego pazurami? Jak bluszcz obrastający ceglana ścianę.

- Trudno, żebym jej nie zauważyła. Miałam wrażenie, że czeka, aż padnę przed nią na kolana. Kim ona właściwie jest? Jakaś królowa czy co?

- Doskonała partia dla monarchy - mruknęła Hillary.

- Słucham?

- Nie, nic takiego. Skończyłaś jedzenie? Jeśli tak, to zbierajmy się stąd. - Nie czekając na odpowiedź, Hillary sięgnęła po torebkę i wstała. Wyszył z restauracji.

Poniedziałkowy poranek przywitał ją pierwszym śniegiem. Z rozjaśnioną buzią spoglądała w niebo, a delikatne śniegowe płatki wirowały w powietrzu i spadały na jej policzki. Nie mogła się doczekać, kiedy wkoło zrobi się białe. Od razu przypomniała sobie zimę w rodzinnych stronach: jazdę na saneczkach, bitwę śnieżkami, ośnieżone drzewa i pola. Nawet większe niż zazwyczaj korki nie zdołały popsuć jej nastroju. Do studia Larry'ego wpadła podniecona i roześmiana.

- Cześć, staruszkule! - zawołała. - Jak udał się świą-

teczny weekend? - W długim płaszczu i nasuniętej na czoło futrzanej czapeczce wyglądała prześlicznie. Policzki zaróżowione od chłodu, radośnie błyszczące oczy.

Larry odłożył aparat, popatrzył na nią pogodnie.

- Widzę, że pierwszy śnieg sprawił ci wielką przyjemność. Wyglądasz jak z reklamówki zimowych wakacji.

- Jesteś niemożliwy. - Zdjęła płaszcz i czapeczkę, skrzywiła się z udaną przyganą. - Wszystko kojarzy ci się tylko i wyłącznie z fotografią.

- Tak to już jest, skrzywienie zawodowe. June mówi, że mam wyjątkowe oko do zdjęć - dodał bez zastanowienia.

- June? - Popatrzyła na niego pytająco.

- Hm, no tak. Ona pasjonuje się fotografią.

- Rozumiem. - W jej tonie zabrzmiała lekka ironia.

- June bardzo interesuje się aparatami.

- Głównie pociągają ją zoom i szerokokątne obiektywy. - Z powagą kiwnęła głową.

- Hil, daj już spokój - wymruczał Larry i zabrał się za ustawianie sprzętu.

Hillary podbiegła do niego, uściśnęła go serdecznie.

- Daj buziaka, spryciarzu. Już ja cię znam!

- Przestań, Hil - wymamrotał, oswobadzając się z jej uścisku. - Co ty dzisiaj przyszałaś tak wcześniej? Jesteś pół godziny przed czasem.

- Coś takiego! Wiesz, która jest godzina! - przewróciła oczami. Larry skrzywił się tylko. - Pomyślałam, że przejrzę sobie gotowe zdjęcia.

- Tam leżą - wskazał na zawalone papierami biurko w rogu studia. - Pozwól mi w spokoju skończyć przygotowania.

- Tak, mistrzu. - Wycofała się w stronę biurka, znalazła teczkę ze zdjęciami. Zaczęła oglądać je wnikliwie.

Po jakimś czasie wyjęła fotkę, na której grała w tenisa. - Poproszę taką odbitkę! - zawołała do Larry'ego. - Wyglądam tu jak zawodowa tenisistka. - Larry nie odpowiedział. Popatrzyła w jego stronę. Był całkowicie pochłonięty swoim sprzętem. - Oczywiście, Hillary, nie ma sprawy - odparła za niego. - Dla ciebie wszystko, złotko. Popatrz tylko na siebie - ciągnęła z przejęciem, wlepiając wzrok w zdjęcie. - Wspaniała postawa i całkowita koncentracja. Wimbledon stoi przed tobą otworem. - Odsapnęła i zaczęła innym tonem: - Dzięki, Larry. Za wsparcie i słowa uznania. Naprawdę czuję się zakłopotana.

- Takich, co gadają do siebie, zamyka się w salach bez klamek - tuż za nią rozległ się męski głos. Podskoczyła z wrażenia. Zdjęcie wypadło jej z dłoni i poleciało na biurko. - Nerwy w strzępach... to też źle rokuje.

Odwróciła się, popatrzyła mu prosto w twarz. Z bliska. Mimowolnie zrobiła krok do tyłu. To też nie uszło jego uwagi. Wygiął kąciki ust.

- Nie życzę sobie, żebyś się tak skradał.

- Przepraszam, ale... - urwał i znacząco wzruszył ramionami.

Uśmiechnęła się z ociąganiem.

- Czasami Larry wyłącza się w trakcie rozmowy i wtedy ja kontynuuję za niego. - Kiwnęła ręką w stronę fotografa - Sam zresztą zobacz. On nawet nie ma pojęcia, że ty tu jesteś.

- Hm, może powinienem to wykorzystać. - Odgarnął z jej twarzy pasmo włosów. Wystarczyło, że poczuła ciepło jego dłoni, a serce zabiło jej jak oszalałe.

- Och, cześć, Bret! Skąd ty się tu wziąłeś?

Na dźwięk głosu Larry'ego, Hillary westchnęła głęboko. Choć sama nie wiedziała, czy było to

westchnienie ulgi, czy żalu.

Powoli mijał grudzień. Zdjęcia posuwały się szybko, wyglądało na to, że mogą zakończyć się przed Bożym Narodzeniem. Kontrakt podpisany przez Hillary i Larry'ego kończył się w marcu. Wprawdzie istniała teoretyczna szansa, że Bret da jej wolną rękę, jednak wydawało się to mało prawdopodobne.

Może znajdzie mi inne zlecenie na ten czas, spekulowała A może da mi wolne? Jeszcze niedawno taka perspektywa by jej nie odpowiadała, ale teraz, co dziwne, wcale nie budziła w niej oporów. Czemu to przypisać? Przecież lubiła tę pracę. Potem, gdy nadejdzie pora, pomyśli o poważnym związku. Znajdzie kogoś, z kim będzie się czuła dobrze i bezpiecznie, wyjdzie za niego, założy rodzinę. To sensowny plan. Tylko dlaczego teraz nagle wydał jej się tak mało emocjonujący, wręcz nudny i beznadziejny?

W ten grudniowy poranek w studiu Larry'ego panował wyjątkowy gwar. Kręciło się też znacznie więcej osób niż zazwyczaj. Dziś miała się odbyć szczególna sesja - z Hillary jako mamą małego bobaska.

Część studia zaaranżowano na wewnątrz domowe. Wszystko było gotowe do zdjęć. Jeszcze ostatnie poprawki fryzury i Hillary mogła wyjść na plan. Larry, ostatni raz sprawdzając sprzęt, wymieniał uwagi z Bretem. Hillary popatrzyła na pochłoniętych rozmową mężczyzn, zatrzymała wzrok na sylwetce Breta. I skrzywiła się w duchu, zła na siebie za tę chwilę słabości.

Odwróciła się i poszła przywitać się z mamą dziecka i z bobasem. Ten brzdąc okazał się kompletnym zaskocze-

niem - był wyjątkowo do niej podobny. Andy, jak przedstawiła go młoda mama, miał czarne jak noc włoski i nieprawdopodobnie niebieskie oczka.

- Zdajesz sobie sprawę, jak trudno znaleźć malca o takiej urodzie? - Bret podszedł do zajętych rozmową kobiet. Hillary trzymała dziecko na kolanach, bawiąc się z nim. Na dźwięk głosu Breta oboje podnieśli na niego niebieskie oczy. - Niesamowite podobieństwo. I te szafirowe oczy.

- Czyż on nie jest piękny? - z uśmiechem zapytała Hillary, delikatnie pocierając policzkiem o jedwabiste włoski chłopczyka.

- Prześliczny - potwierdził. - Mógłby być twoim dzieckiem.

Te niebacznie rzucone słowa obudziły w niej dziwną tęsknotę. Opuściła powieki, by nie widział wyrazu jej oczu.

- Rzeczywiście podobieństwo jest uderzające. To co, jesteście gotowi?

- Tak.

- Idziemy, kolego. - Podniosła się, oparła sobie dziecko na biodrze. - Trzeba się brać do roboty.

- Pobaw się z nim - przykazał Larry. - Nie musisz robić niczego specjalnego, idź za głosem serca. To ma być naturalne. - Popatrzył na okrągłą buzię chłopczyka. - On chyba rozumie, co mówię.

- Oczywiście - z przekonaniem potwierdziła Hillary. - To bardzo mądre dziecko.

- Będziemy robić zdjęcia z ukrycia, żeby go nie rozpraszać. Postaraj się nawiązać z nim kontakt. Z takim małym szkrabem nie da się pracować dłużej niż kilka minut, potem musi być przerwa.

Usiadła z Andym na miękkiej wykładzinie, rozłożyła

zabawki. Cierpliwie układała klocki z literkami, a malec z radością je rozrzucał. Zabawa nabierała tempa. Wkrótce Hillary zapomniała o Larrym i trzaskającym aparacie. Leżąc na brzuchu, z nogami w górze, układała kolejną wieżę z klocków. W pewnej chwili uwagę Andy'ego przyciągnęły jej włosy. Zacisnął piąstkę wokół miękkiego pasma i próbował wsunąć je sobie do buzi.

Hillary przekręciła się na plecy, uniosła dziecko. Malec zagulgotał z radości, zachwycony nową zabawą. Hillary położyła go sobie na brzuchu i z uśmiechem przyglądała się, jak Andy ze skupioną miną szarpie za perłowy guziczek jej bluzki. Nie mogła się oprzeć, by nie przeciągnąć koniuszkiem palca po jego twarzyczce. I znowu przepełniła ją ta rozpaczliwa tęsknota. Uniosła chłopczyka i kołysząc nim na boki, zaczęła wydawać dźwięki imitujące silnik samolotu. Andy aż pisał z radości.

Podniosła się razem z dzieckiem i zakręciła się wokół, przyciskając je mocno do piersi. Tego chcę, uświadomiła sobie nagle, przytulając dziecko do siebie. Własnego maleństwa. Poczuć na szyi uścisk drobnych rączek. Mieć dziecko z ukochanym mężczyzną. Zamknęła oczy, dotknęła policzkiem policzka Andy'ego. Gdy podniosła powieki, ujrzała przed sobą oczy Breta.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. I wtedy spłynęło na nią olśnienie. To jest ten mężczyzna. To jego kocham, jego dziecko chcę trzymać w ramionach. Intuicyjnie wiedziała o tym już wcześniej, ale nie dopuszczała do siebie tej wiedzy.

Andy szarpnął ją za włosy. Czar prysł. Hillary odwróciła się, poruszona do głębi tym, o czym przed chwilą myślała. Nie takie miała plany. Jak to się mogło

stać?

Odetchnęła z ulgą, gdy Larry obwieścił koniec sesji. Musiała się zmuszać, by niczego po sobie nie okazać.

- Rewelacja! - oznajmił Larry. - Po prostu brak mi słów. Oboje byliście świetni. Wspaniała robota.

Mylisz się, poprawiła go w duchu. To nie była praca, a senne marzenie. Świat czystej wyobraźni. Może jej kariera też jest tylko fantazją, może całe jej życie jest jedynie imaginacją? Czuła, że ogarniają ją histeria. Nie, dość tego. Nie czas na rojenia, na medytacje nad stanem swoich uczuć, na szukanie odpowiedzi na te wszystkie prześladowające ją pytania.

- Teraz zrobimy sobie przerwę przed kolejną sesją. - Larry popatrzył na zegarek. - Hil, idź coś zjeść, zanim zaczniesz się przebierać. Masz jakąś godzinę luzu.

Ucieszyła się, że choć na trochę zostanie sama.

- Pójdę z tobą.

- Nie - zaoponowała, sięgając po płaszcz i pośpiesznie ruszając do drzwi. Bret popatrzył na nią pytająco. Szybko zmieniła ton. - Z pewnością masz mnóstwo pracy.

- Owszem, ale od czasu do czasu muszę coś zjeść.

Wziął od niej płaszcz i pomógł go jej włożyć. Przez chwilę czuła na ramionach jego dłonie. Ciepło przenikało przez tkaninę, paliło skórę. Poruszyła się niespokojnie. Zaciśnął palce mocniej.

- Hillary, nie powiedziałem, że planuję zjeść ciebie na lunch - powiedział, zniżając głos. Oczy pociemniały mu niebezpiecznie. - Czy ty nigdy nie przestaniesz się mnie obawiać?

Ulice były oczyszczone, ale na poboczach i zaparkowanych samochodach leżała warstewka śniegu. Wsiedli do auta. W zacisznym wnętrzu Hillary czuła się jak w pułapce.

Ukradkiem zerknęła na długie palce Breta na kierownicy mercedesa. Jechali skrajem Central Parku. Powoli zaczęła się rozluźniać.

- Popatrz, jak jest pięknie - wskazała na mijane drzewa. Nagie gałęzie obsypane śniegiem, śniegowe płatki lśniły w słońcu jak tysiące drobniutkich diamentów. - Uwielbiam śnieg - paplała, by przerwać nieznośną ciszę. - Wszystko wydaje się czyste, świeże i miłe. Od razu jest inaczej, jakby się było...

- W domu? - odpowiedział.

- Tak - odparła ciszej.

Dom, zamyśliła się. Gdyby Bret był przy niej, dom mógłby być wszędzie. Ale nigdy mu tego nie powie. Nigdy się przed nim nie zdradzi. Miłość spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

Przy stoliku rozmawiała na obojętne tematy, jakby tym trajkotaniem starała się zagłuszyć to, co naprawdę było dla niej najważniejsze. I co chciała ukryć jak najgłębiej.

- Hillary, dobrze się czujesz? - nieoczekiwanie zapytał Bret, gdy na chwilę urwała, by zaczerpnąć oddechu. - Ostatnio wydajesz mi się bardzo nerwowa. - Przyglądał się jej badawczo, przenikliwie. Przez moment bała się, że wszystkiego się zaraz domyśli.

- Pewnie, że dobrze - odparła z wymuszonym spokojem. - Po prostu jestem podekscytowana tym projektem. Niedługo skończymy zdjęcia i trochę się denerwuję.

- Jeśli tylko to cię niepokoi - jego ton zabrzmiał ostrzej, niż się spodziewała - to niepotrzebnie się przejmujesz. Przewiduję wielki sukces. - Spojrzał na nią badawczo. - Jesteś świetna, Hillary. Zostaniesz zasypana propozycjami. Od pism, stacji telewizyjnych, agencji reklamowych. Będziesz mogła wybierać i wybrzydzać.

- Och - tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

Bret spochmurniał.

- To cię nie cieszy? Czyż nie o tym zawsze marzyłaś?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała, siląc się na entuzjazm, którego w niej nie było. - Jestem ci ogromnie wdzięczna, że dałeś mi taką szansę.

- Zachowaj tę wdzięczność dla siebie - uciał cierpko.

- Ten projekt to nasze wspólne dzieło. Sama sobie zapracowałaś na sukces. - Wyjął z kieszeni portfel. - Muszę wracać do biura. Jeśli skończyłaś jedzenie, to po drodze podrzucę cię do studia.

W milczeniu skinęła głową. Nie miała pojęcia, co go tak zdenerwowało.

To już jedne z ostatnich zdjęć, pomyślała Hillary, szykując się w niewielkim pokoju na zapleczu studia. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i z wrażenia wstrzymała oddech. Gdy wyjmowała ten peniuar z pudełka, wydał się jej ładny, ale bez wyrazu. Dopiero teraz, gdy miała go na sobie, nabrał życia. Delikatna jak mgielka, biała, cieniutka tkanina opływała figurę i miękkimi falami opadała aż do kostek. Wycięcie pod szyją głębokie, ale nie przesadnie.

Wcześniej Hillary pozowała do zdjęć w futrze z soboli. Na samo wspomnienie westchnęła tęsknie. Larry uchwycił moment, gdy z rozkoszą i zachwytem zanurzyła buzię w jedwabistym kołnierzu. Ale teraz, gdyby miała wybierać między futrem a tym peniurem, wybrałaby bieliznę. Bez sekundy namysłu.

Wyszła z zaplecza i popatrzyła na Larry'ego. Jak zwykle uwijał się wśród rozstawionego sprzętu.

- O, dobrze, że już jesteś gotowa. - Odwrócił się, popatrzył na nią uważnie i gwizdnał z uznaniem. - Wyglądasz fantastycznie, Hil. Każdy facet z miejsca zakocha się w tobie na śmierć i życie. A każda kobieta będzie chciała być taka, jak ty. Czasami nadal mnie zaskakujesz.

Roześmiała się i podeszła do niego. Nagle ktoś otworzył drzwi studia. Odwróciła się, biała mgiełka otulająca jej szczupłą sylwetkę zafalowała. Na progu stał Bret. Z Charlene u boku. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały, potem Bret przesunął wzrokiem po sylwetce Hillary.

- Wyglądasz olśniewająco, Hillary.

- Dzięki - szepnęła. Przeniosła spojrzenie na Charlene i aż się wzdrygnęła. Charlene mroziła ją wzrokiem.

- Właśnie zaczynamy - rzeczowo oznajmił Larry, przerywając rosnące napięcie. Trzy głowy zwróciły się w jego stronę.

- Nie zwracajcie na nas uwagi - spokojnie rzekł Bret.
- Róbcie swoje, my tylko popatrzymy. Charlene koniecznie chciała zobaczyć projekt, który mnie tak pochłania.

Czyli Charlene ma bardzo dużo do powiedzenia, przemknęło Hillary przez myśl. Ogarnęła ją rozpacz, ale postanowiła wziąć się w garść. Nie pozwoli sobie na słabość, nie pogrzy się w depresji.

- Stań tutaj, Hil - zarządził Larry, a ona usłuchała bez sprzeciwu.

Miękkie światło łagodnie oświetlało jej buzię, ozłacając skórę delikatnym blaskiem. Lekka poświata z tyłu przeświecała przez cieniutką tkaninę, zachwycająco wydobywając zarys zgrabnej sylwetki.

- Tak jest dobrze. - Oku Larry'ego nie uszedł żaden

szczegół. Włączył dmuchawę, powiew lekki jak tchnienie poruszył tkaninę, rozwiął włosy modelki. - Doskonale.

Larry wziął aparat i zaczął robić zdjęcia.

- Świetnie. - Teraz unieś włosy. Dobrze, jeszcze raz. Zwariują na twoim punkcie. - Sprawnie wydawał polecenia, Hillary dostosowywała się do nich bez namysłu. - Teraz popatrz w obiektyw. Wyobraź sobie, że to mężczyzna, którego kochasz. Zbliży się, by wziąć cię w ramiona. - Mimowolnie spojrziała na Breta stojącego z Charlene w odległym kącie studia. - Hillary, spokojnie. To ma być uniesienie, nie panika. Jeszcze raz, kotku.

Przełknęła ślinę, zrobiła, co kazał. Powoli się rozluźniła, poddała wyobraźni. Niech ten obiektyw będzie teraz Bretem. Patrzy na nią, a w jego spojrzeniu jest nie tylko pragnienie, ale miłość. Zbliży się, by ją objąć, przytulić do siebie mocno. Tak jak wtedy wieczorem. Jego dłonie błądzą po jej ciele...

- Doskonale, Hillary. Super.

Zamrugła gwałtownie. Głos Larry'ego wyrwał ją z rozmarzenia. Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Byłaś cudowna. Ja sam się w tobie zakochałem.

Odetchnęła głęboko, przymknęła oczy.

- To może powinniśmy się pobrać i mieć gromadkę małych obiektywów - wymamrotała i ruszyła na zaplecze.

- Bret, strasznie mi się podoba ten peniuar - głos Charlene zatrzymał ją w miejscu. - Jest przepiękny. Koniecznie chcę go mieć - przemawiała zmysłowym, uwodzicielskim głosem.

- Hm? Oczywiście - przystał, nie odrywając oczu od Hillary. - Jeśli tak ci na tym zależy.

Hillary aż otworzyła buzię. Tego się nie spodziewała. Przez kilka sekund niemo wpatrywała się w

Breta, potem wyszła ze studia.

W garderobie bezradnie oparła się o ścianę. Jak on mógł? Zamknęła oczy, zatkała z bezradnej złości. Przecież oczami wyobraźni już widziała, jak Bret ją obejmuje, przytula do siebie, przesuwając dłońmi po tej zwiewnej tkaninie.... a teraz ten strój dostanie Charlene. To ją Bret będzie przytulać, ją będzie podziwiał. Piekący ból zamienił się w złość. Dobrze, skoro tak, niech go sobie biorą. Pośpiesznie wyplątała się z białej tkaniny, sięgnęła po swoje ubranie.

Gdy weszła do studia, Charlene nie było. Bret siedział pochylony nad biurkiem Larry'ego. Wyprostowała się, podeszła do niego z godnością i położyła na blacie pudło z bielizną.

- To dla twojej przyjaciółki. Może najpierw oddaj do pralni.

Odwróciła się, ale Bret przytrzymał ją za rękę.

- Hillary, co cię tak gnębi? - Podniósł się i stanął tuż obok niej. Nadal nie puszczał jej ręki.

- Co mnie gnębi? - powtórzyła, patrząc na niego gniewnie. - O co ci chodzi?

- Daj spokój - odrzekł nieco ostrzejszym tonem. Oczy mu pociemniały. - Jesteś wściekła i chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Wściekła? - Szarpnęła rękę. Daremnie. Dalej ją przytrzymał. Zagotowało się w niej. - Nawet jeśli, to wyłącznie mój interes. W kontrakcie nie było słowa, że mam ci się zwierzać z najskrytszych uczuć. - Spróbowała uwolnić się, używając drugiej ręki, ale Bret przytrzymał ją za barki.

- Uspokój się - powiedział. - Co cię ugryzło?

- Chcesz wiedzieć? To zaraz cię oświecę! -

parsknęła, włosy zafalowały jej wokół głowy. - Przyszedłeś tu ze swoją rudowłosą damą i teraz ten peniuar ma być jej. Wystarczyło, że powiedziała słowo, a ty natychmiast polecieś mi go oddać.

- I o to całe zamieszanie? - zdumiał się niepomiernie. - O Boże, dziewczyno, jeśli tak ci na tym zależy, dostaniesz go.

- Daruj sobie ten protekcyjnalny ton! - wybuchnęła. - Nie omamisz mnie świecidełkami. Zachowaj swoją hojność dla tych, którzy potrafią ją docenić. I puść mnie!

- Nie puszczę, póki się nie uspokoisz i nie wyjaśnimy sobie wszystkiego do końca.

Poczuła łyzy w oczach. Nie mogła ich powstrzymać.

- Ty nic nie rozumiesz - wykrztusiła z trudem.

- Przestań. - Zaczął palcami ocierać jej mokre od łez policzki. - Nie mogę znieść, kiedy ktoś płacze. Nie mogę na to patrzeć. Hillary, błagam cię, przestań.

- Nie mogę - załkała rozdzierająco.

Bret zaklął pod nosem.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Nic z tego nie rozumiem. Bo przecież nie o tę szmatkę! - Chwycił pudło z biurka, wcisnął jej w ręce. - Charlene ma mnóstwo takich rzeczy - dodał, by poprawić jej nastrój, ale jego słowa odniosły dokładnie odwrotny efekt.

- Nie chcę! Nie chcę tego więcej widzieć! - wykrzyknęła głosem zmienionym przez łyzy. - Mam nadzieję, że spodoba się tobie i twojej przyjaciółce. - Odkręciła się na pięcie, złapała płaszcz i biegiem wypadła ze studia.

Zatrzymała się na chodniku, opamiętała nieco. Jestem głupia! - wyrzucała sobie w duchu. Widząc nadjeżdżającą taksówkę, zrobiła krok do przodu, ale w tym

samym momencie ktoś złapał ją za ramię.

- Mam już dość twoich hysterii, Hillary. I nie życzę sobie, by ktoś rzucał wszystko i wychodził w połowie rozmowy - odezwał się cicho. W jego głosie brzmiała skrywana groźba.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Mylisz się. Zostało sporo do wyjaśnienia.

- Ty i tak nic byś nie zrozumiał - powiedziała cierpliwym tonem, jak dorosły zwracający się do mało bystrego dziecka. - Jesteś mężczyzną.

Usłyszała, jak nabiera powietrza. Przysunął się bliżej.

- Pod tym względem masz rację. Jestem mężczyzną - odezwał się, zniżając głos do szeptu. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Kiedy wreszcie ją puścił, cofnęła się. Z trudem łapała powietrze.

- Skoro już udowodniłeś swoją męskość, pora się zbierać. Naprawdę muszę już iść.

- Wejdźmy na górę. Dokończymy naszą rozmowę.

- Ona już została zakończona.

- Nie całkiem. - Zaczął ciągnąć ją w kierunku drzwi.

Nie mogę tam iść, uzmysłowiła sobie z lękiem. Nie mogę znaleźć się z nim sam na sam. Nie teraz, kiedy jestem tak wytrącona z równowagi.

- Bret - odezwała się z wymuszonym spokojem. - Nie chcę robić scen, ale jeśli nadal będziesz zachowywać się jak jaskiniowiec, zacznę krzyczeć. Sam mnie do tego zmuszasz. A umiem się drzeć bardzo głośno.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię - skontrowała. - Zobacysz.

- Hillary. - Próbował przemówić jej do rozsądku. -

Powinniśmy wyjaśnić sobie wszystko do końca.

- Słuchaj, nie zawracajmy sobie głowy czymś, co nie jest tego warte. Poniosło nas, i ciebie, i mnie. Trudno, stało się. Przejdźmy nad tym do porządku. Poszło o bzdurę.

- Wcześniej to wcale nie była dla ciebie taka bzdura.

- Bret, zostawmy to, proszę.

- No dobrze - przystał po zastanowieniu. -
Zostawmy to na razie.

Westchnęła. Kącikiem oka dostrzegła nadjeżdżającą taksówkę. Włożyła palce do ust i gwizdnęła.

Bret uśmiechnął się.

- Ty nigdy nie przestaniesz mnie zdumiewać.

Zamiast odpowiedzi usłyszał trzaśnięcie drzwiczek.

ROZDZIAŁ 5

Święta zbliżały się wielkimi krokami. W mieście już czuło się atmosferę Bożego Narodzenia. Świątecznie przystrójone ulice, gwiazdkowe dekoracje. Hillary oparła głowę o szybę, zapatrzyła się na samochody mknące ulicą, ludzi śpieszących po chodnikach. Typowa świąteczna krzątanka. Śnieg już spadł, otulał świat białą pierzynką.

Zdjęcia zostały zakończone i przez ostatnie dni właściwie nie widziała Breta. Teraz tak już będzie, uświadomiła sobie nagle. Westchnęła, jej dobry nastrój prysnął. Pokręciła głową. Cóż, jutro jadę do domu na święta, pocieszyła się w duchu.

Na dziesięć dni przeniesie się w inny świat. To jej pomoże popatrzeć na wszystko z innej perspektywy, wyciszyć się, zastanowić nad tym, co jest dla niej ważne. Jeszcze raz przemyśleć swoje plany - całkiem niedawno rozsądne i warte poświęcenia, a teraz dziwnie nieciekawe, wręcz odpychające.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, kładąc rękę na klamce.

- Święty Mikołaj.

- Bret? - zdumiała się, nie wierząc własnym uszom.

- Nie dasz się oszukać, co? - Po chwili milczenia, dodał: - Wpuścisz mnie do środka czy będziemy rozmawiać przez drzwi?

- Och, przepraszam - pośpiesznie zdjęła łańcuch, otworzyła drzwi. Bret stał niedbale oparty o framugę.

- Widzę, że zaczęłaś się zamykać - rzekł, obrzucając Hillary spojrzeniem od stóp do głów. Miała na sobie perłową welurową podomkę. Przeniósł wzrok na buzię dziewczyny. - Wpuścisz mnie?

- Och, no jasne. - Przesunęła się, by zrobić mu przejście. Gorączkowo próbowała wziąć się w garść. - Myślałam, że Święty Mikołaj wchodzi przez komin.

- Nie ten - odparł spokojnie. Zdjął płaszcz. - Chętnie bym przyjął szklaneczkę twojej szkockiej. Okropnie dziś zimno.

- No nie, teraz dopiero czuję się mocno rozczarowana. Byłam przekonana, że Święty Mikołaj wręcz uwielbia mleko i ciasteczka.

- Jeśli jest choć w połowie taki, za którego go mam, to zawsze chowa w kieszeni płaszcza flaszkę czegoś mocniejszego.

- Co za cynizm - prychnęła. Poszła do kuchni. Tym razem bez problemu znalazła butelkę. Nalała whisky do szklaneczki.

- Bardzo profesjonalnie - pochwalił Bret, przyglądający się od progu jej poczynaniom. - Nie przyłączysz się? Trzeba uczcić nadchodzące święta.

- Nie, dzięki. Odrzuca mnie od whisky. Ma taki smak, że od razu kojarzy mi się z mydłem.

- Niczego się nie napijesz?

Wyjęła dzbanek z sokiem pomarańczowym.

- Lubisz ryzyko, co? - zażartował. Poszli do salonu.

- Podobno jutro jedziesz do Kansas? - zagadnął, siadając na kanapie.

Hillary przezornie usiadła na fotelu na wprost niego.

- Owszem. Jadę do domu. Wracam dopiero po Nowym Roku.

- W takim razie życzę ci wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku. - Uniósł szklaneczkę. - Pomyślę o tobie, gdy wybije dwunasta.

- Podejrzewam, że będziesz zbyt zajęty, by o północy zaprzętać sobie mną głowę - odparła impulsywnie.

Bret uśmiechnął się, upił łyk whisky.

- Na pewno znajdę minutę. Mam coś dla ciebie, Hillary. - Wstał, sięgnął do kieszeni i wyjął niewielkie zawiniątko. Hillary zastygła z wrażenia. Popatrzyła na pakiecik, przeniosła spojrzenie na Breta.

- Och, ale ja... Nie pomyślałam... Ja dla ciebie nic nie mam - wybąkała.

- Nic nie masz? - powtórzył powoli. Poczwała, że się rumieni.

- Bret, naprawdę. Ja nie mogę tego od ciebie przyjąć.

- Uznaj, że to podarek od cesarza dla jednego z jego poddanych. - Położył jej na dłoni paczuszkę.

- Masz dobrą pamięć - uśmiechnęła się blado.

- Jestem pamiętliwy jak słoń - odparł. - Otwórz.

Popatrzyła na zawiniątko, westchnęła.

- Nigdy nie mogę się oprzeć, gdy widzę prezent w świątecznym opakowaniu. - Delikatnie szarpnęła elegancki papier. Z zapartym tchem popatrzyła na maleńkie pudełeczko, podniosła wieczko. W wyłożonym aksamitem wnętrzu zajaśniały szafirowe kolczyki.

- Przypominają twoje oczy, ciemnoniebieskie i pełne blasku - rzekł Bret. - Po prostu nie mogłem ich nie kupić. Są wymarzone dla ciebie.

- Piękne, naprawdę - wyszeptała. Podniosła na niego oczy. - Nie powinieneś mi ich kupować, ja...

- Nie powinienem - nie dał jej skończyć - ale jesteś

zadowolona, że to zrobiłem.

- Tak. Bardzo się cieszę. I nie wiem, jak ci dziękować.

- Ale ja wiem. - Podniósł ją z fotela, otoczył ramionami. Delikatnie dotknął jej ust. Wahala się jedynie przez mgnienie. Przecież to tylko podziękowanie, nic więcej, usprawiedliwiła się szybko w duchu. Zatopiła się w jego ramionach. Gdy Bret oderwał od niej usta, wirowało jej w głowie.

- Kolczyki są dwa. - Bret przygarnął ją do siebie, odszukał usta. Topniała w jego objęciach. Zarzuciła mu ręce na szyję, zanurzyła palce we włosach. Zapomniała o bożym świecie.

Popatrzył na nią, oczy mu błyszczały.

- Szkoda, że masz tylko jedną parę uszu - rzekł zmienionym, miękkim głosem.

Hillary oparła głowę na jego piersi. Brakowało jej tchu.

- Bret, proszę - wyszeptala. - Gdy mnie całujesz, nie mogę myśleć.

- Teraz też? - Dotknął ustami jej włosów. - To bardzo ciekawe. - Ujął ją dłonią pod brodę, zajął w oczy. - Hillary, to bardzo niebezpieczne wyznanie. Mogę ulec pokusie i wykorzystać sytuację. - Umilkł, badawczo przyglądając się delikatnej, bezbronnej buzi dziewczyny. - Nie tym razem. - Puścił ją. Ledwie się powstrzymała, by znowu do niego nie przywrzeć. Podeszedł do stolika, wypił pozostałą w szklaneczce whisky. Już w drzwiach odwrócił się i uśmiechnął ujmująco. - Wesółych świąt, Hillary.

- Wesółych świąt, Bret - odpowiedziała szeptem.

Powietrze było świeże i rześkie. Na błękitnym

niebie ani jednej chmurki. Szerokie, ciągnące się po horyzont pola, rodzinne zabudowania...

- Tom, co tam tak długo robisz? - Hillary usłyszała głos mamy. Sarah Baxter wyszła z kuchni, otarła dłonie o biały fartuch. - Hillary! - zawołała na widok córki stojącej na środku pokoju. - Jesteś!

Hillary podbiegła do niej, uściśnęła ją serdecznie.

- Och, mamó, jak dobrze być w domu!

Sarah przytuliła Hillary, po chwili cofnęła się i popatrzyła na nią uważnie.

- Kilka kilogramów więcej dobrze by ci zrobiło.

- A kogóż to przywiał nam nowojorski wiatr! - Od progu rozległ się wesoły głos Toma Baxtera. Uściśnął córkę mocno. Pachniał świeżym sianem i stajnią. - Niech no ci się przyjrzę. - Ponad głową córki uśmiechnął się do żony. - Dochowaliśmy się wspianiałej córeczki, Sarah.

Oddychała domową atmosferą. Wszystko było jak zawsze. Na kuchni gotowały się domowe potrawy, przepelniając dom apetycznym zapachem. Mama, nie przerywając pracy, barwnie opowiadała o braciach i ich rodzinach. Hillary wzięła się do pomocy. Nie chciała myśleć o Brezie. Lepiej się czymś zająć.

Mimowolnie dotknęła dłonią kolczyków. I w tej samej chwili ujrzała przed sobą twarz Breta. Był tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Pośpiesznie odwróciła głowę.

Rano obudziło ją słońce. Dziś jest Boże Narodzenie, przypomniała sobie. Położyła się późno, ale przez całą noc tylko przewracała się z boku na bok, daremnie próbując zasnąć. Całymi godzinami wpatrywała się w sufit. Nie mogła przestać myśleć o Brezie. Widziała przed sobą jego twarz, jego oczy. I marzyła, by był przy niej, by wypełnił

bolesną pustkę w jej sercu.

Teraz, za dnia, też nie było lepiej. Znów wbiła oczy w sufit. Nic nie poradzę, uzmysłowiła sobie bezradnie. Cóż mogę zrobić? Kocham go. Kocham go i nienawidzę za to, że on mnie nie kocha. Jak to się stało? Dlaczego? Przecież tak się broniłam, byłam czujna. Jest arogancki, zaczęła w duchu wyliczać jego wady. Jest zapalczywy, wymagający i zbyt pewny siebie. Tylko dlaczego wcale mi to nie przeszkadza? Dlaczego nie mogę przestać o nim myśleć choćby na pięć minut?

Dziś jest Boże Narodzenie, przypomniała sobie znowu. Zamknęła oczy, by odepchnąć od siebie obraz Breta. Musi się otrząsnąć.

Odrzuciła kołdrę, włożyła szlafrok i poszła do łazienki.

W domu już panował ruch, z kuchni dobiegał gwar głosów. Wkrótce dom wypełnił się ludźmi. Radosnym rozmowom przy choince nie było końca. Zgromadzeni domownicy i goście składali sobie życzenia, oglądali prezenty.

Nieco później Hillary wymknęła się na dwór. Cienka warstewka lodu chrzęściła pod nogami, śnieg skrzył się w słońcu. Chłodne powietrze szczypało w twarz, cisza dzwoniła w uszach. Hillary szczelniej otuliła się znoszoną ojcowską kurtką, weszła do stajni. Bez zastanowienia dołączyła do taty, który karmił konie.

- Moja dzielna pomocnica. Tak jak dawniej, co?

- Tak, chyba tak.

- Hillary - głos mu złagodniał, gdy zobaczył jej buzię. - Co się stało?

- Nie wiem. - Westchnęła. - Czasami Nowy Jork jest dla mnie zbyt zatłoczony, zbyt hałaśliwy. Czuję się jak w

klatce.

- Sądziiliśmy, że jesteś tam szczęśliwa.

- Byłam... jestem - poprawiła się i uśmiechnęła blado. - To cudowne miejsce, ciągle się coś dzieje. - Odepchnęła od siebie obraz prześladowających ją szarych oczu. - Czasami brakuje mi spokoju, przestrzeni, ciszy. Wiem, gadam bzdury. - Potrząsnęła energicznie głową. - Po prostu zaczęłam tęsknić za domem. Ten ostatni projekt był fascynujący, ale trochę męczący.

- Córeczko, jeśli coś cię dręczy... Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

Przez chwilę kusiło ją, by oprzeć się na jego ramieniu i wyrzucić z siebie wszystkie smutki, podzielić się wątpliwościami. Ale co komu z tego przyjdzie? Jak tata może jej pomóc? Pokochała nieodpowiedniego mężczyznę, to wszystko. Bret złamał jej serce i nawet o tym nie wiedział. Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się do taty.

- Dzięki, ale nic takiego się nie stało. To tylko spadek nastroju po dość wyczerpującej pracy. Pójdę teraz nakarmić kury.

Świąteczne zamieszanie wybiło ją z tych ponurych rozważań. Śmiech, wesołe rozmowy, krzyki i piski bawiących się dzieci skutecznie poprawiły jej nastrój.

Było już późno, ale nie chciało się jej iść do łóżka. Skuliła się w fotelu, zapatrzyła na choinkowe lampki. Ponownie zaczęła myśleć o Brezie. Jak on spędza święta? We dwójkę z Charlene, a może na świątecznej kolacji w wiejskim klubie? Teraz pewnie siedzą sobie razem przed kominkiem, wpatrzeni w migoczący ogień.

Przeszyło ją ukłucie bólu, przepełniła mieszanina palącej zazdrości i czarnej rozpacz.

Dni w rodzinnym domu mijały szybko. Hillary odprężyła się, uspokoiła. Powtarzalność codziennych zajęć łagodziła napięte nerwy. Hillary zaczęła żyć innym rytmem, a buszujący po polach wiatr rozwiewał jej smutki. Długie samotne spacery też zrobiły swoje. Z każdym dniem wszystko wydawało się prostsze.

Ludzie z miasta nigdy tego nie pojmą, uświadomiła sobie nieoczekiwanie. Jak mogliby zrozumieć coś, co jest im zupełnie obce? Rozłożyła szeroko ręce, popatrzyła na ciągnącą się w nieskończoność przestrzeń. Zamknięci w supernowoczesnych apartamentach ze szkła i stali nie wiedzieli, co to znaczy być częścią natury.

Kocham tę ziemię, uzmysłowiła sobie, krzyżując mocno ramiona. Gdy czuję ją na palcach, latem pod bosymi stopami. Kocham ten czysty, świeży zapach. Tak naprawdę, choć zaszłam tak daleko, nadal jestem wiejską dziewczyną. Ruszyła w stronę domu. I co teraz? Co powinnam zrobić? Mam przed sobą karierę, mieszkam w Nowym Jorku. Mam dwadzieścia cztery lata. Nie mogę tak po prostu wszystkiego rzucić i wrócić na farmę. Nie. Potrząsnęła głową, czarne włosy zafalowały. Muszę wracać do miasta i robić swoje.

Gdy wchodziła do domu, zadzwonił telefon.

- Halo? - odezwała się, zdejmując kurtkę.

- Cześć, Hillary.

- Bret?

- Co u ciebie?

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Rozpaczliwie próbowała się opanować. - Nie spodziewałam się, że zadzwonisz. Czy jest jakiś problem?

- Problem? - powtórzył. - Ależ skąd. Pomyślałem tylko, że na wszelki wypadek przypomnę ci o Nowym

Jorku. Żebyś nie zapomniała wrócić.

- Nie zapomnę. - Nabrała powietrza. - Czy może masz jakieś plany w związku ze mną? - przybrała profesjonalny ton.

- Czy mam plany? Cóż, można to tak ująć. - Umilkł na chwilę. - Już ciągnie cię do pracy?

- Hm, tak. Nie chcę wyjść z rytmu.

- Rozumiem.

Ty nic nie rozumiesz, pomyślała z żalem i złością.

- Zobaczymy, co się da zrobić. Szkoda by było nie wykorzystać twoich talentów. - Mówił z roztargnieniem, jakby już układał w głowie jakiś plan.

- Wiem, że wymyślisz coś ciekawego - dorzuciła rzeczowym tonem.

- Hm, wracasz w końcu tygodnia?

- Tak.

- Odezwe się. Na razie nie planuj sobie czasu - dodał. - Postawimy cię przed obiektywem, skoro tak ci na tym zależy.

- Dobrze. W takim razie... dziękuję za telefon.

- No to do zobaczenia po powrocie.

- Bret... - gorączkowo szukała pretekstu, by przedłużyć rozmowę.

- Słucham?

- Nie, nic. - Zamknęła oczy. - Będę czekać na twój telefon.

- Świetnie. - Umilkł. I dodał miękko: - Miłego pobytu w domu, Hillary.

ROZDZIAŁ 6

Pierwsze, co zrobiła po wejściu do mieszkania, to telefon do Larry'ego. Nieoczekiwanie w słuchawce rozległ się kobiecy głos. Hillary zawahała się.

- Przepraszam, to chyba pomyłka... - wycofała się grzecznie.

- Hillary, to ty? - kobieta nie dała jej dokończyć. - Tu June.

- June? - powtórzyła zaskoczona. Opamiętała się szybko. - Jak się miewasz? Przyjemnie spędziłaś święta?

- Doskonale, dziękuję. Larry mówił, że na święta pojechałaś do domu. Jak było? Odpoczęłaś trochę?

- Tak, jasne.

- Hillary, poczekaj, zaraz zawołam Larry'ego.

- Och, może nie, ja...

Nie dokończyła, bo w słuchawce rozległ się głos Larry'ego. Zaczęła gorączkowo przeproszać.

- Hil, nie wygłupiaj się. June pomaga mi porządkować stare papiery.

- Chciałam ci tylko dać znać, że już jestem z powrotem - wyjaśniła. - Tak na wszelki wypadek.

- Hm, dobrze. Wiesz co, może powinnaś odezwać się do Breta. W końcu podpisaliśmy kontrakt - zastanowił się Larry. - Zadzwoń do niego, tak będzie najlepiej.

- Nie przejmuj się Bretem - odparła. - Powiedziałam mu, że będę w Nowym Jorku po pierwszym styczniu. - I

dodała ciszej: - On wie, gdzie mnie znaleźć.

Minęło kilka dni, a Bret się nie odezwał. Przez prawie cały czas Hillary siedziała w domu. Na zewnątrz było zimno i ponuro, pogoda nie zachęcała do wyjścia. W dodatku Hillary miała podły nastrój. Oczami wyobraźni widziała ogromne, otwarte przestrzenie rodzinnego Kansas, w mieście czuła się jak w więzieniu. Całymi godzinami wystawała w oknie, wpatrując się w zatłoczone ulice. I ogarniała ją coraz większa rozpacz.

Któregoś wieczoru umówiła się z Lisa na wspólną kolację i plotki. Siedziały w kuchni, Hillary myła sałatę. Zadzwonił telefon. Hillary popatrzyła na mokre dłonie i poprosiła Lisę, by odebrała.

Lisa podniosła słuchawkę i odezwała się najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

- Rezydencja pani Hillary Baxter. Mówi Lisa MacDonald. Słucham...

- Lisa! - z dezaprobatą roześmiała się Hillary, biegnąc do telefonu. - Jesteś niemożliwa! Nie można mieć do ciebie za grosz zaufania.

- Spokojnie, nie denerwuj się - odparła Lisa, podając jej słuchawkę. - To jakiś męski i bardzo zmysłowy głos.

- Dzięki. - Hillary przyłożyła słuchawkę do ucha. - Przepraszam, mojej koleżance zebrało się na żarty.

- Nic się nie stało. To najciekawsza rozmowa, jaka mi się dziś przydarzyła.

- Bret? - Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła usłyszeć jego głos.

- Zgadłaś od pierwszego razu. Witamy w betonowej dżungli, Hillary. Jak było w Kansas?

- Dobrze - wymamrotała. - Dziękuję.

- Hm, wiele się dowiedziałem. Święta były przyjemne?

- Tak, bardzo. - Dźwięk jego głosu sprawił, że nie mogła zebrać myśli. - A jak tobie minęły święta? - zapytała pośpiesznie. - Było miło?

- Owszem, choć z całą pewnością znacznie spokojniej niż u ciebie.

- W każdym razie inaczej - podsumowała.

- Tak czy siak już to mamy za sobą. Dzwonię do ciebie w związku z weekendem.

- W związku z weekendem?

- Tak. Planuję wycieczkę w góry.

- Wycieczkę w góry?

- Czy ty jesteś papugą? - zirytował się nieco. - Masz już jakieś plany na weekend?

- Zaraz, chyba...

- Ależ dziś jesteś rozmowna - zniecierpliwił się.

- Nie. To znaczy, nie mam nic szczególnie ważnego...

- To dobrze. Byłaś kiedyś na nartach?

- Na nartach? W Kansas? - Odzyskała zimną krew. - Przecież tam nie ma gór.

- No tak - potaknął z roztargnieniem. - Mam pomysł na zimowe zdjęcia. Śliczna dziewczyna bawi się na śniegu. Mam górską chatkę w Adirondacks, to niedaleko Lake George. Doskonale się do tego nada. W ten sposób uda się nam połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Nam? - zaniepokoiła się.

- Nie masz powodów do obaw - zapewnił ją. - Nie zamierzam wywieźć cię na odludzie i uwieść. - Urwał, po chwili zaśmiał się pogodnie. - Czuję, że się zarumieniałaś!

- Bardzo śmieszne - fuknęła. Dlaczego on zawsze

czyta w jej myślach? - Teraz przypominam sobie, że jednak na ten weekend mam coś wyjątkowo pilnego, więc.

- Daj spokój, Hillary - znowu jej przerwał. - Podpisałaś kontrakt. Jesteś zobligowana do pracy dla „Mode” jeszcze przez dobrych kilka tygodni. Zresztą sama chciałaś, bym znalazł ci jakieś zajęcie.

- No tak, ale...

- Jeśli wątpisz, przeczytaj jeszcze raz umowę. I zarezerwuj sobie ten weekend. Nie bój się, jadą z nami Larry i June. Potem dojedzie jeszcze Bud Levis, mój asystent i dyrektor artystyczny.

- Aha.

- Ja... to znaczy „Mode”... - ciągnął Bret - zatroszczymy się o stroje dla ciebie. Więc tym sobie nie zawracaj głowy. W piątek przyjadę o wpół do ósmej rano. Bądź gotowa.

Odłożyła słuchawkę, zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem, pogrążona w myślach.

- Co się stało? - Lisa wynurzyła się z kuchni. - Wyglądasz jak ogluszona.

- Jadę na weekend w góry - odpowiedziała cicho.

- W góry? - z przejęciem powtórzyła Lisa. - Z mężczyzną o fascynującym głosie?

- To służbowy wyjazd - wyjaśniła. - Dzwonił Bret Bardoff. Tam będzie sporo osób - dodała.

Piątkowy poranek był zimny, ale na szczęście zapowiadał się piękny dzień. Spakowana torba stała obok kanapy, a Hillary kończyła drugą filiżankę herbaty. Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Dzień dobry, Hillary - powitał ją Bret, - Jesteś gotowa na zdobywanie nieznanego lądu?

W tym stroju wyglądał jak rasowy podróżnik. Krótki kożuszek, grube sztruksy, zimowe buty. W niczym nie przypominał wymuskanego biznesmena. Zacisnęła palce na klamce, przybrała obojętną minę.

Gdy wszedł do środka, zaniósła do kuchni filiżankę. Sięgnęła po płaszcz, narzuciła go na siebie. Założyła ciemnobrazową czapeczkę. Bret przyglądał się temu w milczeniu.

- Jestem gotowa - powiedziała i zwilżyła językiem usta. - Idziemy?

Bret kiwnął głową, schylił się po jej torbę. Chciała zrobić to samo. Szarpnęła się w ostatniej chwili, bo omal się nie zderzyli. Wyprostowała się i zarumieniła gwałtownie. Bret uśmiechnął się lekko, ujął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

Wkrótce znaleźli się za miastem. Bret płynnie prowadził auto, kierując się na północ. Co jakiś czas zamieniali ze sobą kilka zdań. Powoli Hillary się odprężyła. W ciepłym wnętrzu samochodu było jej wygodnie i całkiem miło. Z ciekawością obserwowała mijane po drodze osady i miasteczka. Do tej pory stan Nowy Jork kojarzył się jej z Manhattanem i wieżowcami. Bez zastanowienia podzieliła się z Bretem tym wrażeniem. Zdjęła czapkę, ciemna kaskada włosów opadła jej na ramiona.

- Dopiero się przekonasz, jak naprawdę wyglądają te strony - Bret uśmiechnął się wesoło. - Tu naprawdę jest wszystko: góry, doliny, lasy. Myślę, że ci się spodoba.

- Do tej pory Nowy Jork kojarzył mi się wyłącznie z miejscem, gdzie pracuję - przyznała, obracając się w jego stronę. - Głośny, zatłoczony i nieprawdopodobnie wciągający, ale czasami niesamowicie męczący. Przez ten

ciągły ruch, ciągły pęd. Tym bardziej doceniam ciszę, gdy wracam do domu w Kansas.

- Tam nadal jest twój dom, prawda? - Odniosła wrażenie, że jego myśli nagle poszybowały w zupełnie innym kierunku.

Ciągle jechali na północ. Straciła poczucie czasu, zafascynowana zmieniającą się scenerią. Gdy na horyzoncie zarysowały się dalekie góry, niemal podskoczyła z wrażenia. Bezwiednie złapała Breta za ramię.

- Zobacz! - zawołała. - Prawdziwe góry!

Odwróciła się, popatrzyła na niego rozpromieniona. Odwzajemnił uśmiech, a jej serce zatrzepotało w piersi. Znowu popatrzyła na góry.

- Pewnie uważasz, że zachowuję się jak dziecko, ale nigdy przedtem nie widziałam gór.

- Bardzo mi się podoba takie świeże spojrzenie. Uważam, że jesteś czarująca.

Ujął ją za rękę, odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry i pocałował. Od tego pocałunku przebiegł ją słodki dreszcz. Przyzwyczaiła się do jego drwiących uwag i irytujących uśmiezków, ale wobec takich gestów była bezbronna. A przecież powinna mieć się przed nim na baczności. Tylko jak to zrobić? Jak ma się bronić przed jego urokiem?

- Napiłbym się kawy. - Głos Breta wyrwał ją zamyślenia. - A ty? Nie masz ochoty na filiżankę herbaty? - zapytał, odwracając się do niej.

- Bardzo chętnie - odparła.

Bret wjechał do mijanego miasteczka, zatrzymał się na parkingu przed niewielką knajpką. Otworzył drzwi i wysiadł. Hillary zrobiła to samo. Z zachwytem popatrzyła na wznoszące się w niebo góry.

- Wydają się wyższe, niż są w istocie - rzekł Bret. -
Mają ledwie kilkaset metrów nad poziom morza.
Chciałbym zobaczyć twoją minę na widok Alp czy Gór
Skalistych.

Wziął ją za rękę i pociągnął do kawiarenki. W
środku panowało przyjemne ciepło. Usiedli przy małym
stoliku. Hillary zdjęła płaszcz, wlepiła wzrok w krajobraz
za oknem.

- Dla mnie kawę, a dla pani herbatę - zamówił Bret.
- Hillary, nie jesteś głodna?

- Słucham? Och, nie... to znaczy może trochę - przy-
pomniała sobie, że przecież nie jadła śniadania.

- Mają fantastyczne ciasto kawowe - kusił Bret. Nim
zdążyła zaoponować, zamówił dwie porcje.

- Zwykle nie jadam takich rzeczy - zaprotestowała,
marszcząc czoło.

- Hillary, złotko, jeden kawałek ciasta nie zrobi
żadnej szkody twojej figurze. A zresztą - dodał z irytującą
szczerością - spokojnie mogłabyś odrobinę przytyć.

- Tak uważasz? - Zdenerwował ją nieco tym stwier-
dzeniem. Uniosła dumnie brodę. - Jakoś do tej pory nikt nie
miał zastrzeżeń.

- Nie wątpię. Ja też żadnych nie wnoszę. Wysokie,
wiotkie dziewczyny bardzo mi się podobają. Chociaż -
ciągnął, pochylając się i odgarniając jej z twarzy pasemko
włosów - taka kruchość czasami trochę rozprasza.

- Bardzo mi się podoba ta jazda - dyplomatycznie
zmieniła temat. - Ile jeszcze przed nami?

- Jesteśmy w połowie drogi. - Sięgnął po śmietankę
do kawy. - Koło południa powinniśmy być na miejscu.

- A jak dojedzie reszta?

- Larry i June zabiorą się jednym samochodem. -

Uśmiechnął się, nabił na widelczyk kawałek ciasta. - Można powiedzieć, że przyjadą na doczepkę do sprzętu Larry'ego. I tak nie mogę się nadziwić, że ten dziwak zgodził się zabrać June. W jednym aucie z jego drogocennymi aparatami.

- Nie możesz się nadziwić? - uśmiechnęła się.

- Chyba nie powinienem tak reagować - przyznał, kiwając głową. - Zauważyłem, że nasz ulubiony fotograf coraz bardziej przychylnie spoziera na moją sekretarkę. Był wyjątkowo zadowolony z perspektywy tej wspólnej podróży.

- Parę dni temu, gdy do niego zadzwoniłam, June pomagała mu porządkować stare papiery. Aż się nie chce wierzyć, że zgodził się na coś takiego. - Podniosła widelczyk z ciastem, popatrzyła na Breta. - Larry naprawdę zainteresował się June. Kobieta z krwi i kości.

- Każdemu to się zdarza - podsumował gładko.

Cichy szum silnika działał uspokajająco, ciepło panujące we wnętrzu auta usypiało. Hillary początkowo chłonęła wzrokiem krajobraz, potem powoli rozluźniła się, oparła wygodniej i przymknęła oczy. Powieki ciążyły, znajomy głos opowiadającego coś Breta działał kojąco. Nawet się nie spostrzegła, kiedy usnęła.

Poruszyła się niespokojnie, gdy zmieniła się droga. Obudziła się. Jej głowa spoczywała na ramieniu Breta. Wyprostowała się pośpiesznie.

- Och, przepraszam, że zasnęłam. Długo tak spałam?

- Można tak powiedzieć - z uśmiechem patrzył, jak odgarnia z twarzy potargane włosy. - Przez dobrą godzinę.

- Godzinę? - powtórzyła z niedowierzaniem. - To gdzie teraz jesteśmy? - wymamrotała, wyglądając przez

Okno. - Dużo straciłam?

- Troszeczkę. Jesteśmy na bocznej drodze prowadzącej do mojej chatki.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się, już całkiem rozbudzona.

Po obu stronach drogi rosły dorodne sosny, teraz pokryte śniegiem. Zielone igielki skrzyły się w słońcu, biały puch przykrywał gałęzie, przysłaniał skały. Cała ziemia była pokryta miękkim, białym dywanem.

- Ile tu drzew! - Wychyliła się, by wyrzeć przez okno z jego strony. Niechący potrąciła go kolanem.

- Tu jest cały las.

- Nie nabijaj się ze mnie. - Żartobliwie szturchnęła go w ramię. - Dla mnie to wszystko jest zupełnie nowe. - Znowu zapatrzyła się w okno.

- Wcale się nie nabijam. Twój entuzjazm jest zaraźliwy.

Bret zatrzymał samochód. Hillary aż jęknęła. Na niewielkiej polance wznosiła się drewniana górská chatka. Promienie słońca odbijały się w oknach, wokół obsypane śniegiem drzewa, ziemia zasłana białym puchem.

- Chodź, zobacz z bliska - zachęcił ją Bret. Wysiadł, wyciągnął do niej dłoń. Ręka w rękę ruszyli w stronę domku. Śnieg skrzypiał pod stopami, rześkie powietrze chłodziło twarz. W pobliżu domku płynął wartki strumień, lodowe sople odbijały światło. Hillary, ciągnąc Breta za rękę, popędziła w stronę strumienia.

- Jak tu pięknie - wyszeptała. Rozejrzała się wokół, ogarniając wzrokiem polankę, otaczający ją las, wznoszące się góry. - Prawdziwa, niczym nieskażona natura, taka jak przed wiekami.

- Czasami uciekam tu z miasta - powiedział. - Gdy

czuję, że w biurze zaczynam się dusić, gdy już mam dość.

Popatrzyła na niego z nieukrywaniem zdumieniem. Nie spodziewała się takiego wyznania. Przez myśl jej nie przeszło, że ktoś taki jak on może potrzebować chwili oddechu, szukać samotności, by odreagować miejski stres. Uważała go za twardego biznesmena. Teraz nagle zobaczyła go w innym świetle.

Bret odwrócił się, popatrzył jej w oczy.

- Poza tym to zupełnie odludzie - dodał lżejszym tonem.

Oczy się jej rozszerzyły, poczuła ogarniającą ją panikę. Uciekła wzrokiem, by Bret się niczego nie domyślił. Popatrzyła na otaczające ich skały i drzewa. Byli w środku dzicy, zupełnie sami. Bezwiednie zagryzła usta. Powiedział, że przyjedzie jeszcze kilka osób. A jeśli skłamał? Czy powinna mu wierzyć? Nie zadała sobie trudu, by zadzwonić do Larry'ego, w ogóle o tym nie pomyślała. A jeśli...

- Uspokój się, Hillary - usłyszała jego śmiech. - Nie porwałem cię. Reszta wkrótce się zjawi. - Celowo mnie podpuścił, uzmysłowiła sobie. Wezbrała w niej złość. Odwróciła się, by powiedzieć, co o nim myśli, ale nim otworzyła usta, Bret dodał: - Oczywiście, jeżeli nie pobłądzą i tu trafią. - Uśmiechnął się znowu. Wziął za rękę zmieszaną dziewczynę i pociągnął w stronę domku.

Wnętrze było zaskakująco przestrzenne. Wysoki belkowany sufit, drewniane schody wiodące na galerijkę, ogromne okna, kamienny kominek zajmujący całą ścianę. Sosnową podłogę zdobiły owalne, kolorowe chodniczki.

- Jak tu pięknie - z rozmarzeniem powiedziała Hillary. Podeszła do okna.

Podszedł do niej, zdjął z niej płaszcz.

- Co to za zapach? - wymruczał, delikatnie masując jej kark. - Zawsze taki sam, ulotny i bardzo przyjemny.

- To kwiat jabłoni.

- Hm, nie zmieniaj go, bardzo do ciebie pasuje... Umieram z głodu - oznajmił nieoczekiwanie, odwracając ją ku sobie. - Może coś przyrządzimy? Mogłabyś otworzyć jakąś puszkę, a ja przez ten czas rozpalę kominek. Kuchnia jest dobrze zaopatrzona, na pewno znajdziesz coś odpowiedniego.

- Dobrze - przystała z uśmiechem. - Przecież nie mogę dopuścić, żebyś padł z głodu. Gdzie jest kuchnia?

Kuchnia była urządzona ze staroświeckim wdziękiem. Hillary z rezerwą popatrzyła na kuchenkę. Taką chyba miała jej babcia. Dopiero po chwili spostrzegła, że to tylko stylizacja. Kuchenka była jak najbardziej współczesna. Przelewała zupę z puszki do garnka, gdy usłyszała kroki wchodzącego do kuchni Breta.

- Szybko się sprawiłeś! - zawołała z podziwem. - Chyba byłeś wzorowym skautem.

- Mam taki zwyczaj, że przed wyjazdem z domku zostawiam przygotowany kominek - wyjaśnił, stając za nią - Kiedy przyjeżdżam, wystarczy podłożyć zapałkę.

- Jesteś świetnie zorganizowany - podsumowała.

- Jesteś dobrą kucharką, Hillary?

- Każdy potrafi otworzyć puszkę, do tego nie trzeba szczególnych zdolności - głos uwiązał jej w gardle, bo Bret rozsunął jej włosy na karku i delikatnie musnął ustami skórę szyi. - Zacznę szykować kawę - powiedziała pośpiesznie, próbując oswobodzić się z jego uścisku. Nie puścił jej. Jego usta nadal błędziły po jej karku. - Myślałam, że jesteś głodny...

- Bo jestem - wyszeptał, skubiąc zębami jej ucho. - I

to szalenie.

Wtulił twarz w wygięcie jej szyi.

- Bret, nie - jęknęła bezradnie, czując ogarniającą ją falę gorąca. Wiedziała, że musi natychmiast się wycofać. Inaczej przypadnie.

Bret wymamrotał coś, przygarnął ją mocniej i całował szaleńczo.

Znała jego pocałunki, ale teraz było inaczej. Wcześniej zawsze się kontrolował. Teraz całował ją mocno, namiętnie, nie zważając na jej protesty. Przestała walczyć; poddała się pieszczocie, ogarnięta radosnym uniesieniem. Przyłgnęła do niego całym ciałem, rozkoszując się pocałunkami, palącym dotykiem jego rąk.

Przed domem rozległ się odgłos podjeżdżającego samochodu. Bret zaklął, oderwał usta od Hillary i westchnął.

- Znaleźli nas, Hillary. Lepiej otwórz jeszcze jedną puszkę.

ROZDZIAŁ 7

Za drzwiami słychać było gwar głosów, śmiech June i znajomy głos Larry'ego. Bret wyszedł im na powitanie, Hillary stała nieruchomo, porażona tym, czego doświadczyła ledwie parę sekund temu. Gdyby nie przyjazd June i Larry'ego nie wiadomo, jak to by się skończyło. Oboje, i ona, i Bret, stracili nad sobą kontrolę. To, co czuła, porывało i oszałamiało, budziło tak dzikie, nieokiełznane pragnienia, że chyba by uległa. Przycisnęła dłonie do roz-płomienionych policzków, podeszła do kuchenki. Może, jeśli zajmie się czymś prozaicznym, szybciej ochłonie.

- Cześć, widzę, że Bret już znalazł ci zajęcie! - June, obciążona torbami z zakupami, weszła do kuchni.

- Cześć! - Hillary odwróciła się. - Co masz w tych torbach?

- Zapasy na długi zimowy weekend. - Zaczęła wyjmować z toreb przywiezione zakupy: mleko, sery, różne produkty.

- Jak zwykle perfekcyjna - skomentowała Hillary. Rozluźniła się wreszcie i uśmiechnęła do June.

- Nie jest łatwo być doskonałym - z westchnieniem stwierdziła June. - Ale cóż, niektórzy już się z tym rodzą.

Gdy zupa była gotowa, zasiedli w jadalni przy wielkim, wygodnym stole. Cała czwórka jadła z ogromnym apetytem. Początkowo Hillary była trochę spięta, jednak powoli napięcie ustąpiło. Bret zachowywał się całkiem naturalnie, jakby nic się nie stało. Stopniowo Hillary

uspokoila się, włączyła do rozmowy.

Po posiłku panowie zostali na dole, by omówić szczegóły jutrzejszych zdjęć, Hillary i June poszły na górę obejrzeć swój pokój. Nie zawiodły się - przestronna sypialnia była wykończona w drewnie. Ogromne okna wychodziły na las i góry. Kolorowe narzuty przykrywały dwa łóżka, mosiężne lampy harmonizowały z drewnianymi meblami, oblewały wnętrze miękkim światłem.

Hillary zaczęła wyjmować stroje na jutrzejszą sesję, June wyciągnęła się na łóżku.

- Czyż tu nie jest fantastycznie? - zapytała, wpatrując się w wysoki sufit. Westchnęła z zadowoleniem.
- Żadnych telefonów, maszyn do pisania, interesantów. Może nas zasypie i zostaniemy aż do wiosny?

- O ile Larry przywiózł wystarczająco dużo filmów. Inaczej to marzenie ściętej głowy - zareplikowała Hillary. Wyjęła z torby czerwoną kurtkę i narciarskie spodnie. - To będzie świetnie wyglądać na śniegu.

- Ty będziesz świetnie w tym wyglądać - sprostowała June. Założyła ręce pod głowę. - To twój kolor. Na białym śniegu, przy twoich włosach i karnacji... Szefer ma oko. Nigdy się nie myli.

Nieoczekiwanie ciszę za oknem przerwał dźwięk samochodu. Podbiegły do szyby. Bud Lewis pomagał Charlene wysiąść z auta.

- No cóż - skrzywiła się June. Westchnęła. - Choć chyba raz się pomylił.

Hillary z niedowierzaniem wpatrywała się w płomienne włosy Charlene.

- Nie wiedziałam... Bret nic nie mówił, że ona też tu będzie... - Była zła. Nie tak wyobrażała sobie ten weekend.

- Być może teraz ja się mylę, ale z tego co wiem,

Bret też nie miał o tym pojęcia. - June odwróciła się, oparła plecami o parapet. - Może ją wepchnie w śnieg.

- Może - odmruknęła Hillary, z hałasem zamykając walizkę. To jej trochę pomogło. - A może ucieszysz się na jej widok.

- Niczego się nie dowiemy, jeśli będziemy tu siedzieć. - June zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. - Chodź, przekonajmy się na własne oczy.

Już na schodach usłyszały głos Charlene.

- Chyba nie masz mi za złe, że przyjechałam bez zapowiedzi? Chciałam ci zrobić miłą niespodziankę.

W tym właśnie momencie weszły do salonu. Hillary zdążyła spostrzec, jak Bret jedynie wzrusza ramionami. Siedział na kanapce przed kominkiem.

- Chatka na odludziu nie jest w twoim stylu, Charlene - odparł spokojnie. - Skoro miałaś ochotę przyjechać, trzeba mi było powiedzieć to wprost, a nie wmawiać Budowi, że ma cię tu przywieźć na moje polecenie.

- Kochanie, to było tylko niewinne kłamstewko. - Pochyliła głowę, zatrzepotała rzesami. - Mała intryga.

- Miejmy nadzieję, że ta „mała intryga” nie zmieni się w „wielką nudę”. Od Manhattanu dzieli nas szmat drogi.

- Ja przy tobie nigdy się nie nudzę.

Ten pieszczotliwy głos działał Hillary na nerwy. Chyba mimowolnie wydała jakiś dźwięk, bo Bret i Charlene popatrzyli na stojące na progu dziewczyny. Charlene zacisnęła usta, uśmiechnęła się z przymusem.

Po zdawkowym przywitaniu Hillary przysiadła się do Buda. Woląла znaleźć się jak najdalej od Charlene. Rudowłosa ślicznotka znowu zajęła się Bretem.

- Myślałam, że już nigdy nie dojedziemy - zaszczębiotała. - Po co ci domek na takim odludziu? - Popatrzyła na niego zimnymi zielonymi oczami. - Przecież tu nic nie ma, tylko skały, drzewa i śnieg. I to przeraźliwe zimno. - Wzdrygnęła się demonstracyjnie, przywarła do niego. - Jak ty tu wytrzymujesz, co cię tu ciągnie?

- Potrzeba odmiany - odparł. Zapalił papierosa. - Poza tym góry tętnią życiem. - Wskazał na las za oknem. - Tu mieszkają wiewiórki, króliki, lisy, całe mnóstwo małych zwierząt.

- Nie to miałam na myśli - uwodzicielskim głosem wymruczała Charlene.

- Dla mnie to bardzo dobre towarzystwo. Lubię obserwować zwierzęta. Często, gdy stoję przy oknie, zdarza mi się widzieć przechodzącego jelenia, czasem nawet niedźwiedzia.

- Niedźwiedzia?! - wykrzyknęła Charlene, kurczowo zaciskając palce na jego ramieniu. - To okropne!

- Tu są prawdziwe niedźwiedzie? - z przejęciem zapytała Hillary.

- Tak, baribale - odparł, uśmiechem przyjmując jej reakcję. - Teraz nam nie zagrażają, śpią - dodał, zerkając na Charlene.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą.

- Podoba ci się w górach? - Bud zwrócił się do Hillary.

- Tak - potwierdziła żarliwie. - Wyglądają tak jak przed wiekami. Żadnych zabudowań, żadnych śladów człowieka. Nieskażona przyroda.

- Och, jaki entuzjazm - pogardliwie skomentowała Charlene.

Hillary zmroziła ją wzrokiem.

- Hillary wychowała się na farmie w Kansas - wyjaśnił Bret, któremu nie uszły uwagi gniewne ogniki w oczach Hillary. - Nigdy wcześniej nie widziała gór.

- Coś takiego - mruknęła Charlene, uśmiechając się zjadliwie. - W waszych stronach chyba uprawia się zboże czy coś podobnego? Domyślam się, że jesteś przyzwyczajona do prymitywnych warunków.

- Wbrew temu, co pani sądzi, panno Mason, nasza farma nie jest ani mała, ani prymitywna. Osobom z pani środowiska z pewnością trudno wyobrazić sobie bezmiar falujących łąnów zboża, ciągnące się kilometrami łagodne wzgórza. Życie nie jest tak wyrafinowane jak w wielkiej metropolii, ale za to bliższe naturze.

- Widzę, że lubisz przyrodę - znudzonym głosem odparła Charlene. - Do mnie bardziej przemawia miasto, wygoda i kultura.

- Pójdę się przejść, zanim zrobi się ciemno. - Hillary podniosła się z miejsca.

- Idę z tobą - Bud poderwał się i ruszył za nią do drzwi. Poczekał, aż założy płaszcz. - Cały dzień musiałem się z nią bujać - szepnął konspiracyjnie. - Tym bardziej potrzeba mi świeżego powietrza.

Nie mogła się nie roześmiać. Miała świadomość, że Bret odprowadza ją wzrokiem.

Gdy znaleźli się na dworze, roześmiali się pełną piersią. Dopiero teraz poczuli pełną swobodę. Zgodnym krokiem skierowali się do strumienia. Zaczęli iść ścieżką biegnącą wzdłuż nurtu, coraz bardziej zagłębiając się w las. Promienie zachodzącego słońca przeświecały przez zielone gałęzie, śnieg lśnił i migotał. Bud był świetnym kompanem, czas miło upływał na lekkiej pogawędce. Hillary odzyskała dobry nastrój.

Zatrzymali się, usiedli na wystającym skalnym występie.

- Och, jak miło - odezwał się Bud, a Hillary potwierdzająco skinęła głową - Nareszcie znowu czuję się jak człowiek - dodał, puszczając do niej oko. - Ta kobieta jest nie do wytrzymania. Nie mam pojęcia, co szef w niej widzi.

Hillary uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- To dziwne, ale w pełni się z tobą zgadzam.

Ruszyli w drogę powrotną. Słońce już zaszło, zaczynał zapadać zmierzch. Wracali po swoich śladach odcisniętych w białym puchu. Rozbawieni i ożywieni weszli na polankę.

- Czy wy nie macie krzty zdrowego rozsądku? - powitał ich Bret. - Chodzić po górach po zmierzchu?

- Po zmierzchu? Bret, jeszcze wcale nie jest tak ciemno. - Hillary, stojąc na jednej nodze, usiłowała ściągnąć but z drugiej. - Poszliśmy wzdłuż strumyka, wróciliśmy tą samą drogą. - Zachwiała się, niechcący popychając Buda. Bud uchwycił ją w talii, by nie upadła.

- Zostawiliśmy wyraźne ślady na śniegu - z uśmiechem potwierdził Bud. - Po nich wróciliśmy prosto do domu.

- W górach zmrok zapada bardzo szybko - odezwał się Bret. - Dziś będzie bezksiężycowa noc. Bardzo łatwo się zgubić.

- Ale nam się udało, wróciliśmy - skwitowała Hillary. - A gdzie jest June?

- Poszła do kuchni szykować kolację.

- Pomogę jej. - Uśmiechnęła się promiennie i ominęła stojących mężczyzn, zostawiając Buda na pastwę rozeźlonego Breta.

- Nie ma to jak domowe zajęcia - westchnęła Hillary, wchodząc do kuchni. - Ledwie jedno skończysz, a już jest następne.

- Powiedz to naszej ważniaczce - skrzywiła się June. Była zajęta odpakowywaniem steków. - Poczula się taka zmęczona po tej uciążliwej podróży - June przesadnym gestem przyłożyła dłoń do czoła, zrobiła cierpiętniczą minę - że po prostu musiała pójść się położyć przed kolacją.

- I bardzo dobrze. - Hillary też wzięła się do pracy. - Kto przydzielił nam wachtę w kuchni? Wydaje mi się, że w moim kontrakcie nic nie ma na ten temat.

- To moja inicjatywa.

- Z własnej woli?

- Zaraz ci to wyjaśnię. - June przeszukiwała szafki. - Miałam okazję przetestować kulinarne umiejętności Larry'ego. I wystarczy. Szef ma dwie lewe ręce do gotowania. Nawet jego kawa jest nie do wypicia. Co do Buda... jak go znam, nie pali się do takich wyzwaniań.

- Rozumiem.

Praca szła im sprawnie. Wkrótce zaszczękały talerze, na patelni skwierczało mięso. Na progu wyrósł Larry. W skupieniu wciągał powietrze.

- Och, jestem taki głodny, że już nie mogę się doczekać - oznajmił. - Długo jeszcze?

- Trzymaj. - June wcisnęła mu w ręce talerze. - Idź i nakryj do stołu. Dzięki temu czas szybciej ci minie.

- Przeczuwałem, że lepiej trzymać się od was z daleka - wymruczał, znikając za drzwiami.

- To górskie powietrze tak na nas działa - zauważyła Hillary, gdy zasiedli przy stole. - Ja też umieram z głodu.

Po kolacji panowie zaoferowali pomoc przy sprząta-

niu, ale było z tego więcej zamieszania niż pożytku. W końcu June nie wytrzymała i kazała im zająć się swoimi sprawami.

- To ja jestem szefem - obruszył się Bret. - I do mnie należy wydawanie poleceń.

- Nie wcześniej niż w poniedziałek - nie ustępowała June. Stanowczo wypchnęła go z kuchni.

Charlene skorzystała z okazji. Uwieszona ramienia Breta zniknęła za progiem. June odprowadziła ją chmurnym spojrzeniem.

Wieczór spędzili przy kominku. Hillary podziękowała Bretowi za proponowaną jej brandy, usiadła na niskim stołeczku blisko ognia. Zapatrzyła się w tańczące w kominku ogniki. Ciepły blask oblewał jej buzię, odbijał się we włosach, łagodnym, miękkim światłem wydobywał z mroku jej wdzięcznie upozowaną sylwetkę.

- Ogień cię zahipnotyzował? - głos Breta przywołał ją do rzeczywistości.

- Tak, chyba tak - przyznała. - Lubię patrzeć w ogień. Jeśli się dobrze przyjrzeć, można zobaczyć tam różne rzeczy. Zamek, konia z rozwianą grzywą...

- Starca bujającego się w fotelu - łagodnie dodał Bret.

Odwróciła się, zaskoczona. Nie spodziewała się, że on też widzi obrazy tworzone przez ogień. Zarumieniła się pod jego spojrzeniem. Podniosła się zmieszana.

- To był długi dzień - zagaiła, unikając jego wzroku. - Myślę, że na mnie już pora. Idę się położyć. Nie chcę, żeby rano Larry zrywał się, że kiepsko wyglądam.

Pożegnała się i nie dając Bretowi czasu na odpowiedź, wyszła z salonu.

Kiedy się przebudziła, za oknem już świtało. Wczoraj bała się, że nie uśnie. Była zbyt poruszona, zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. A jednak zasnęła od razu.

June nadal spała, szczelnie okryta kołdrą. Oddychała miarowo. Hillary na palcach wysunęła się z łóżka, ubrała po cichutku. Ciepły sweter w odcieniu zgaszonej zieleni, sztruksowe spodnie. Makijaż sobie darowała. Włożyła narciarski komplet, na głowę nasunęła czapkę.

Ostrożnie zeszła po schodach. W całym domu panowała niczym niezmacona cisza. Hillary wyszła na dwór.

Dzień był piękny. Bezchmurne niebo, słońce odbijające się od śniegu, rześkie zimowe powietrze.

Cisza dźwięczała w uszach. Zielone, majestatyczne drzewa, surowe góry. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, że znalazła się w cudownym, bajkowym świecie, w którym poza nią nikogo nie ma.

- Jestem sama - powiedziała na głos. - Sama jedna na całym świecie. - Rzuciła się biegiem po śniegu, przepelniona szaleńczą, dziecięcą radością. - Jestem wolna! - Nabrała w dłonie śniegu, rzuciła go do góry.

Ogarnęła ją ogromna, wręcz dziecinna radość. Jest tak pięknie, świat jest taki cudowny! Nabrała pełne garście śniegu i wyrzuciła go w powietrze, z błyszczącymi oczami przyglądając się, jak na ziemię opada biała, skrząca się w słońcu mgiełka. Ulegając nagłej pokusie, rzuciła się plecami w śnieg. Rozłożyła szeroko ręce i leżąc na mięciutkiej, białej pierzynie, wpatrywała się w niebo. Aż do chwili, gdy tuż nad sobą ujrzała roześmiane szare oczy.

- Co ty wyrabiasz, Hillary?

- Robię anioła - odparła z uśmiechem. - Nie wiesz,

jak to się robi? Leżysz na śniegu i poruszasz rękami i nogami, o tak - zademonstrowała. Zmarszczyła lekko brwi. - Tylko trzeba bardzo delikatnie wstawać, żeby nie popsuć śladu na śniegu. - Usiadła, zaczęła się podnosić. - Podaj mi rękę - poprosiła. - Trochę wyszłam z wprawy. - Chwyciła go za rękę i poderwała się. Odwróciła się, żeby ocenić efekt. - Widzisz - rzekła z dumą - Prawdziwy anioł.

- Piękny - potaknął. - Jesteś bardzo zdolna.

- Jasne - potwierdziła. - Myślałam, że wszyscy jeszcze śpią - dodała, otrzepując się ze śniegu.

- Widziałem przez okno, jak płąsałaś po śniegu.

- Po prostu dawałam upust radości.

- Ale tutaj człowiek nigdy nie jest sam. Popatrz - pokazał ręką na skraj polanki. Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia. Między gałęziami dojrzała łeb wielkiego jelenia. Rozłożyste rogi wyglądały spod igieł.

- Niesamowity - wyszeptwała.

- Jeleń, jakby słysząc jej zachwyty, dumnie poruszył głową i zniknął w zaroślach.

- Och, uwielbiam to miejsce!

- Naprawdę? - Śniegowa kula pacnęła ją w tył głowy. Hillary odwróciła się i popatrzyła na Breta ostrzegawczo.

- Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza wojnę?

Nabrała w dłonie śniegu, zrobiła kulę i wycelowała w Breta. Rozgorzała szalona bitwa na śnieżki. Uchylali się przed nimi ze śmiechem, śnieg iskrzył się w słońcu, echo powtarzało wesołe okrzyki. Wreszcie Bret pochwycił Hillary i przewrócił na śnieg. Miała zaróżowione od zimna policzki, błyszczące, roześmiane oczy. Ledwie łapała powietrze.

- No dobra, dobra, wygrałeś - wydusiła zdyszonym

głosem.

- Wygrałem - potwierdził. - I należy mi się nagroda.
- Śmiech zamarł jej na ustach, gdy poczuła dotyk jego warg. - Wcześniej czy później, zawsze wygram - wyszeptał, całując jej zamknięte oczy. - Za rzadko to robimy - wymamrotał. Zawirowało jej w głowie. - Masz buzię całą w śniegu. - Poczuela, że musnął ustami jej policzek. - Och Hillary, jesteś nieprawdopodobna - wyszeptał, unosząc głowę i zaglądając jej w oczy. - Odetchnął głęboko, dłonią delikatnie zsunął grudki śniegu z jej twarzy. - Reszta już pewnie zaczęła się budzić. Wracajmy na śniadanie.

- Stań teraz tam, Hil - ze skupioną miną przykazał Larry. Popatrzył w obiektyw. - Dobrze.

Wydawało się jej, że zdjęcia ciągną się w nieskończoność. Było jej zimno. I marzyła o chwili, gdy wreszcie usiądzie przed kominkiem z kubkiem pysznej gorącej czekolady.

- Hillary, obudź się i zejdz na ziemię. Masz tryskać radością, a nie myśleć o niebieskich migdałach.

- Mam nadzieję, że ten obiektyw zaraz ci zamarznie - zareplikowała, posyłając mu promienny uśmiech.

- Przestań - wymruczał, nie przestając jej fotografować.

- No, wystarczy - oznajmił wreszcie. Uradowana Hillary padła na śnieg, udając zemdloną Larry nie przepuścił okazji; stanął nad nią i pstryknął kilka fotek. Hillary zamknęła oczy, roześmiała się serdecznie.

- Postanowiłeś przedłużyć sesję czy chodzi o mnie?

- O ciebie - odparł. - Kończysz się, kotku. Najlepsze już za tobą.

- Zaraz ci pokażę, kto tu się kończy! - Poderwała się,

lepiąc kulę ze śniegu.

- Hil, nie! - Zasłonił ręką aparat, zaczął się wycofywać. Hillary dogoniła go, wskoczyła mu na barana. Żartobliwie biła go po głowie.

- Bij mnie, duś, rób, co chcesz - jęczał. - Ale nie dotykaj mojego aparatu.

- Hej! - Bret wyszedł im na powitanie. - Skończyliście?

Z zadowoleniem stwierdziła, że siedząc Larry'emu na plecach, nie musi podnosić głowy, by spojrzeć Bretowi w twarz.

- Muszę porozmawiać z panem, panie Bardoff na temat nowego fotografa Ten właśnie mi oświadczył, że się kończę.

- Nic nie poradzę, jeśli twoja kariera się załamie - mruknął Larry. - Ciągnę cię za uszy, teraz wręcz na własnym grzbiecie. Wydaje mi się, że nabrałaś wagi.

- Tego już za wiele - oznajmiła Hillary. - Teraz już nie mam wyjścia Muszę cię zabić.

- Odłóż to na chwilę, co? - poprosiła June, która właśnie podeszła do drzwi. - On jeszcze o tym nie wie, ale chciałam wyciągnąć go na spacer po lesie.

- Zgoda - przystała łaskawie Hillary. - Postaw mnie, Larry. Dostałeś odroczenie.

- Zmarzłaś? - zapytał Bret, gdy Hillary weszła do środka.

- Zamarzłam. Nie czuję rąk i nóg.

- Praca modelki nie jest taka łatwa i przyjemna, jak się wydaje, co? - skomentował, strzepując jej śnieg z głowy. - Odpowiada ci ten zawód? - zapytał znienacka, ujmując ją za brodę i zaglądając głęboko w oczy. Zrobił się bardzo poważny. - Nie ciągnie cię do czegoś innego?

- To jest moja praca - odrzekła.

- Ale czy właśnie tego chcesz? - nie zrażał się. - Czy to już wszystko, o czym marzysz?

- Czy wszystko? - powtórzyła, odpychając od siebie dziwną tęsknotę, jaka nagle ją przepełniła. Wzruszyła ramionami. - A czy to mało?

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, w końcu też wzruszył ramionami i odszedł. Nawet w zwyczajnych dzinsach porusza się z wdziękiem, zauważyła mimowolnie. Odprowadziła go wzrokiem.

Popołudnie upłynęło spokojnie. Hillary, wygodnie umieszczona w fotelu przed kominkiem, powoli popijała czekoladę. Sennym wzrokiem przyglądała się, jak Bret i Bud rozgrywają partyjkę szachów. Larry, jak zwykle, był pochłonięty swoimi aparatami.

Charlene nie odstępowała Breta, choć dawała do zrozumienia, że jest śmiertelnie znudzona. Gdy panowie skończyli grę, wyciągnęła Breta na spacer.

Powoli zaczął zapadać zmrok. Po spacerze Charlene, skrzywiona i wyraźnie z czegoś niezadowolona, od razu poszła na górę.

Kolacja również nie przypadła Charlene do gustu. Gulasz wołowy jej nie smakował, ledwie go tknęła. Za to nie żałowała sobie wina. Reszta towarzystwa nie przejmowała się jej marudzeniem. Atmosfera była miła i niezobowiązująca, czas upływał przyjemnie.

Sprzątaniem po kolacji tradycyjnie już zajęły się Hillary i June. June zaśmiała się, że chyba wystąpi o podwyżkę. Prawie kończyły, gdy do kuchni weszła Charlene. W rękę trzymała kieliszek z winem. Kolejny.

- No jak, kończycie swoje kobiece zajęcia? - zapytała zjadliwie.

- Owszem. I doceniamy twoje towarzystwo - odparła June, chowając talerze do szafki.

- Chciałabym zamienić słowo z Hillary, jeśli pozwolisz.

- Pozwolę - odrzekła June, nie przerywając pracy.

Charlene odwróciła się do czyszczącej kuchenkę Hillary.

- Nie zamierzam dłużej znosić twojego zachowania.

- Cóż, skoro chcesz to dokończyć... - Podała jej ścierkę.

- Obserwowałam cię dziś rano - ze złością wycedziła Charlene. - Widziałam, jak rzuciłaś się na Breta.

- Tak? - Hillary wzruszyła ramionami. - Rzuciałam tylko śnieżkami. Myślałam, że śpisz.

- Obudziłam się, gdy Bret wychodził z łóżka. - Jej przesłanie zabrzmiało wystarczająco jasno.

Przeszył ją gwałtowny ból. Ja on mógł? Tak ją poniżyć, tak upokorzyć. Zamknęła oczy. Czowała, że krew odpłynęła jej z twarzy. Radosne poczucie bliskości, jakiego doświadczyła rankiem, nagle stało się warte funta kłaków. Odwróciła się, lodowatym wzrokiem zmierzyła triumfującą Charlene.

- Każdy ma prawo robić, co mu się podoba.

Charlene zaczerwieniła się gwałtownie i z furią zakręciła kieliszkiem, oblewając Hillary czerwonym winem.

- Tym razem przesadziłaś! - wybuchnęła June. - To ci nie ujdzie na sucho!

- Uwważaj, co mówisz, bo pożegnasz się z pracą.

- Tylko spróbuj! Niech no szef zobaczy, co...

- Daj spokój - wtrąciła się Hillary, z trudem hamując gniew. - June, nie warto robić scen, wystarczy.

- Ale...

- Zostawmy to, proszę. - Marzyła, by jak najszybciej zaszyć się w sypialni. - Nie ma co wplątywać w to Breta. Naprawdę.

- Skoro tak - przystała June.

Hillary, nie czekając dłużej, wyszła z kuchni. U stóp schodów wpadła na Breta.

- Byłaś na wojnie? - ze zdziwieniem popatrzył na czerwoną plamę na jej swetrze. - Chyba tym razem przegrałaś.

- Nie miałam czego przegrać - wymamrotała, próbując go wyminąć.

- Hej - przytrzymał ją za ramię. - Co się stało?

- Nic - odparła, czując, że jeszcze chwila, a przestanie nad sobą panować.

- Nie mów do mnie tak. Popatrz na mnie, Hillary - odezwał się poważniej. - Powiedz mi, co ci się stało?

- Nic mi się nie stało - odparła, biorąc się w garść. - Po prostu mam już trochę dość takiego szarpania.

Oczy pociemniały mu niebezpiecznie. Zacisnął mocniej palce na jej ramieniu.

- Masz szczęście, że nie jesteśmy tu sami. Inaczej bym ci pokazał, że to jeszcze nic. Szanuję kruchą niewinność. I na przyszłość będę trzymał ręce z daleka od ciebie.

Puścił ją. Minęła go i zaczęła wchodzić na górę.

ROZDZIAŁ 8

Minał luty, rozpoczął się marzec. Pogoda nie rozpieszczała, nadal było zimno i ponuro, hulał wiatr. Nastroj Hillary nie odbiegał od tego, co działo się za oknem. Posępne myśli, brak chęci do działania. I tak dzień po dniu.

Od tego weekendu w Adirondack Bret się do niej ani razu nie odezwał...

Zgodnie z przewidywaniami „Mode” z jej zdjęciami okazało się ogromnym sukcesem. Cały nakład sprzedał się niemal od ręki. Posypały się propozycje współpracy i intrygujących kontaktów. Ale to wcale nie poprawiło jej nastroju. Za to coraz częściej zastanawiała się, po co jej to wszystko.

Przerzucała pismo, obojętnie patrząc na roześmianą, szczupłą dziewczynę. Miała wrażenie, że widzi kogoś zupełnie obcego.

Odetchnęła lżej, gdy pewnego dnia odebrała telefon od June. Bret zapraszał ją do siebie do biura.

Bardzo starannie wybrała strój. Zdecydowała się na bladożółty, elegancki kostium. Upięte włosy, kapelusz z szerokim rondem. Z satysfakcją popatrzyła na swoje odbicie. Spokój i wyrafinowana elegancja.

June powitała ją serdecznie.

- Możesz wchodzić od razu. Szef już na ciebie czeka.

Hillary uśmiechnęła się z przymusem i weszła do

jaskini lwa.

- Witam, Hillary. - Odchylił się w fotelu. Nie wstał. -
Chodź, usiądź tutaj.

- Cześć, Bret - odezwała się równie uprzejmym i
chłodnym tonem.

- Świetnie wyglądasz - zagadnął.

- Dziękuję, ty też - odpowiedziała spokojnie. Co za
bzdury! - pomyślała w duchu.

- Znowu przeglądałem nasz specjalny numer.
Rzeczywiście odniósł niesamowity sukces, tak jak
zakładaliśmy.

- Cieszę się, że tak się stało.

- Która z tych dziewczyn jest tobą? - rzucił od
niechcenia. - Beztraska trzpiotka, elegantka z wyższych
sfer, kobieta sukcesu, kochająca żona, oddana matka,
zmysłowa kusicielka? - Nieoczekiwanie podniósł wzrok i
popatrzył na nią z napięciem.

- To tylko obraz, twarz i ciało. Robię to, co mi każą.

- Czyli jesteś jak kameleon, zmieniasz się w
zależności od potrzeb.

- Za to mi płacą.

- Podobno dostałaś masę ofert. Domyślam się, że
jesteś bardzo zajęta.

- Owszem - daremnie starała się wzbudzić w sobie
więcej entuzjazmu. - Jestem w rozterce. Jeszcze nie
zdecydowałam, które wybrać. Radzono mi, bym skorzy-
stała z pomocy kogoś z zewnątrz, znalazła sobie menażera.
Znana firma kosmetyczna zaproponowała, bym została ich
twarzą - rzuciła nazwę. - Ale to by była umowa na trzy lata.
Łącznie z reklamami w telewizji i, rzecz jasna, w
magazynach. To chyba najbardziej atrakcyjna propozycja.

- Słyszałem, że zwróciła się do ciebie jedna ze stacji

telewizyjnych.

- No tak. Tylko że tam trzeba również grać. Dlatego muszę to sobie porządnie przemyśleć.

Bret podniósł się, odwrócił i zapatrzył w okno. Przyglądała mu się w milczeniu, nie bardzo wiedząc, do czego właściwie zmierza.

- Nasz kontrakt już dobiegł końca - zaczął Bret. - Mam dla ciebie pewną propozycję, jednak zdaję sobie sprawę, że nie będzie tak lukratywna jak oferta z telewizji.

Teraz wszystko stało się jasne. To dlatego ją do siebie zawezwał. By zaproponować jej następny kontrakt, następny świstek papieru. Nie, już nigdy więcej nie narazi się na nieustanny kontakt z tym człowiekiem.

Podniosła się z fotela.

- Dziękuję za propozycję. Doceniam ją. Jednak muszę myśleć o mojej karierze. Jestem ci naprawdę ogromnie wdzięczna, że dzięki tobie dostałam taką wielką szansę, ale... - mówiła spokojnie.

- Już ci powiedziałem, że nie potrzebuję twojej wdzięczności! - Odwrócił się raptownie, oczy błysnęły mu gniewnie. - Sama na wszystko zapracowałaś. Zdejmij ten kapelusz, żebym mógł zobaczyć twoją twarz.

Zaschło jej w gardle. Mierzył ją gniewnym spojrzeniem. Wytrzymała je i nawet nie mrugnęła.

- Nie spodziewam się, że przyjmiesz moją ofertę. Ale gdybyś zmieniła zdanie, możemy pogadać. Bez względu na to, co wybierzesz, życzę powodzenia. Chciałbym, byś była szczęśliwa.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się blado i ruszyła jak automat do wyjścia.

- Hillary.

Na mgnienie przymknęła oczy. Musi znaleźć w

sobie siłę, by spojrzeć mu w twarz.

- Słucham?

- Do widzenia.

- Do widzenia. - Nacisnęła klamkę i wyszła.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie bezsilnie.

June niespokojnie popatrzyła na nią zza biurka.

- Dobrze się czujesz, Hillary? Coś się stało?

- Nie, nic - wyszeptała. - Och, wszystko.

Z jej piersi wyrwał się stłumiony szloch. Wyszła na korytarz.

Kilka dni później dała namówić się June i Larry'emu na przyjęcie u Buda Levisa. Wyszła na ulicę, by złapać taksówkę. Osłoniła się szczelniej szalem.

Bud, powitawszy Hillary gorąco, otoczył ją ramieniem i od razu poprowadził do baru. Już miała jak zwykle poprosić o słabego drinka, gdy jej uwagę przyciągnęła szklana czara z musującym różowym napojem.

- Och, a co to jest? - zapytała ciekawie.

- To poncz - odparł Bud, od razu napełniając dla niej kielich.

To mi nie zaszkodzi, uspokoiła się w duchu. Kolejni goście porwali Buda. Upiła pierwszy łyk. Smakowało wybornie. Wmieszała się w tłum gości.

Było wyjątkowo przyjemnie. Spotykała znajomych, poznawała nowych ludzi. Wesole rozmowy, śmiechy, sącząca się w tle muzyka. Z każdą chwilą robiło się jej lżej na duszy, smutek i rozpacz rozwiały się bez śladu. Właśnie tego mi było trzeba, uświadomiła sobie w jakimś momencie.

Ogarniał ją coraz lepszy nastrój. Piła trzeciego

drinka, beztrosko flirtując z nowo poznanym Paulem, wysokim, przystojnym brunetem, gdy nagle tuż za sobą usłyszała znajomy głos.

- Cześć, Hillary. Miło cię widzieć. Co za spotkanie.

Odwróciła się z lekkim zdziwieniem. Nie spodziewała się ujrzeć tu Breta. June zarzekła się, że Bret ma inne plany na dzisiejszy wieczór. W sumie tylko dlatego Hillary zdecydowała się tu przyjść. Uśmiechnęła się zdawkowo, przez mgnienie zastanawiając się, czemu jego obraz jest jakiś zamazany.

- Cześć, Bret. Czyżbyś postanowił zabawić się dziś z plebsem?

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Zaróżowione policzki, nieobecny uśmiech, chwiejne ruchy. Znowu popatrzył jej w twarz, nieco uniósł brew.

- Od czasu do czasu wpadam na takie imprezy.

- Uhm. - Skinęła głową, wysączyła ostatnie krople z kieliszka i odrzuciła niesforny lok. Z promiennym uśmiechem odwróciła się do Paula. - Paul, bądź tak miły i przynieś mi jeszcze jednego drinka. To ten poncz, stoi tam w szklanej wazie.

- Ile już wypijaś, Hillary? - zainteresował się Bret, gdy Paul zniknął w tłumie gości. Wziął ją pod brodę, by musiała popatrzeć mu prosto w oczy.

- Dziś nie mam żadnego limitu. Świątuję swoje odrodzenie. Poza tym to tylko poncz owocowy.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, te owoce mają nadzwyczaj dużo procentów - zareplikował. - Może raczej powinnaś napić się kawy?

- Przestań zrzędzić - obruszyła się, przeciągając końcami palców po guzikach jego koszuli. - Jedwab - stwierdziła z promiennym uśmiechem. - Mam słabość do

jedwabiu. Wiesz, że Larry też tu dziś przyszedł - dodała z przesadnym przejęciem - i to bez aparatu. Omal go nie poznałam.

- Jeszcze trochę, a nie będziesz w stanie poznać własnej matki - rzekł.

- Co ty, moja mama robi zdjęcia polaroidem, i to tylko od wielkiego dzwonu - oświadczyła. Popatrzyła na Paula, który właśnie przybył z jej drinkiem. Upiła łyk i z uśmiechem ujęła Paula za ramię. - Zatańczmy. Uwielbiam taniec. Masz - wręczyła swój kieliszek Bretowi. - Potrzymaj mi go przez chwilę.

Czuła się wspaniale. Radosna, przepełniona poczuciem wolności, lekka jak piórko. Jak mogła tak się przejmować tym Breta, zadreć się z jego powodu? Zupełnie bez sensu. Pokój wirował w rytm muzyki, co wprowadzało ją w jeszcze większą euforię. Paul szeptał jej coś do ucha. Nie usłyszała dokładnie, ale odpowiedziała mu niezobowiązującym westchnieniem.

Gdy muzyka ucichła, ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się. Bret stał tuż obok niej.

- Odbijany? - zapytała, odgarniając w tył włosy.

- W pewnym sensie - odparł, ciągnąc ją za sobą do wyjścia. - Zmykamy stąd.

- Ja jeszcze nie chcę wychodzić. - Zaczęła się opierać. - Jest całkiem wcześnie, poza tym dobrze się bawię.

- Właśnie widzę. - Nie zwracając uwagi na jej opór, szedł do drzwi, popychając ją teraz przed sobą - Mimo to zabieram cię do domu.

- Nie musisz. Zadzwoń po taksówkę, a może Paul zechce mnie odwieźć.

- Bankowo - wymamrotał, nie zwalniając kroku.

- Mam ochotę jeszcze potańczyć. - Zatrzymała się, wpadła na niego. - Zatańczysz ze mną?

- Nie dzisiaj, Hillary. - Westchnął głęboko, popatrzył na nią. - Chyba jednak nie mam wyboru.

Zręcznym ruchem zarzucił ją sobie na ramię i ruszył przez rozbawiony tłum. Wcale nie poczuła się urażona tak obcesowym potraktowaniem, przeciwnie, to tylko wprawiło ją w szampański nastrój.

- Och, jak fajnie! - chichotała. - Mój tata też mnie tak kiedyś nosił.

- Rzeczywiście fajne.

- Tędy, szefie. - June otworzyła drzwi, podała mu torebkę i szal Hillary. - Masz wszystko pod kontrolą?

- Jasne. - Ruszył korytarzem do wyjścia.

Na dole bezceremonialnie wrzucił ją do samochodu.

- Trzymaj - wcisnął jej w ręce szal. - Okryj się, żebyś nie zmarzła.

- Wcale mi nie jest zimno. - Rzuciła szal na tylne siedzenie. - Czuję się cudownie.

- Widzę. - Usiadł za kierownicą, popatrzył na dziewczynę z desperacją. Przekręcił kluczyk. - Masz w żyłach tyle alkoholu, że mogłabyś ogrzać piętrowy blok.

- Piłam tylko poncz - obruszyła się. Oparła się wygodnie. - Popatrz, jaki księżyc! - Wbiła wzrok w ciemność rozjaśnioną srebrzystą poświatą. - Uwielbiam pełnię księżyca. Chodźmy się przejść.

Bret zatrzymał się na światłach, popatrzył na dziewczynę.

- Nie - uciał krótko.

Odwróciła się do niego, zmierzyła go zwężonymi oczami, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś taki nudny.

Bret znowu ruszył. Hillary zaczęła podśpiewywać.

Wjechał do garażu, zaparkował i popatrzył na nią sceptycznie.

- No dobrze, Hillary. Dasz radę iść czy mam cię zanieść? Zastanów się...

- Oczywiście, że mogę iść. Umiem chodzić od lat. - Udało się jej otworzyć drzwi, wysiadła. Zabawne, pomyślała, nie miałam pojęcia, że ta podłoga jest wyłożona kafelkami. - Widzisz? - powiedziała na głos, starając się utrzymać równowagę. Zachwiała się lekko. - Nic mi nie jest, naprawdę.

- Jasne. Poruszasz się, jakbyś szła po linie. - Ujął ją za ramię, by się nie przewróciła. Po czym, nie czekając dłużej, wziął ją na ręce i ruszył do windy. Nie protestowała. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak jest dużo lepiej - oświadczyła, gdy winda ruszyła. - Wiesz, co zawsze chciałam zrobić?

- Nie mam pojęcia - odparł z roztargnieniem, nie patrząc nawet na nią. Hillary musnęła ustami jego ucho. - Hillary - zaczął, ale nie dała mu dokończyć.

- Masz fascynujące usta. - Przeciągnęła po nich koniuszkiem palca.

- Hillary, przestań.

Zachowywała się, jakby nic do niej nie docierało.

- Twarz też - teraz błędziła palcem po jego policzkach. - I te oczy! - Dotknęła ustami jego szyi i karku. Bret głośno wypuścił powietrze. Winda się zatrzymała. - Pięknie pachniesz.

Z dziewczyną w ramionach nie było mu łatwo poradzić sobie z zamkiem. W dodatku Hillary nie przestawała dotykać ustami jego ucha.

- Hillary, przestań - rzekł stanowczo. - Bo jeszcze

chwila, a zapomnę o zasadach.

Wreszcie udało mu się otworzyć drzwi. Oparł się o nie, zaczerpnął powietrza.

- Myślałam, że mężczyźni lubią być uwodzeni - wyszeptała, pocierając policzkiem jego policzek.

- Hillary, opamiętaj się. - Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo przywarła do jego ust.

- Uwielbiam cię całować. - Ziewnęła i wtuliła buzię w jego szyję.

- Hillary, na litość boską!

Szeptała mu do ucha, gdy niósł ją do sypialni.

Zamierzał położyć ją na łóżku, ale nie chciała go puścić. Zaciskała ramiona na jego szyi. Pochylił się i oboje upadli na łóżko. Znowu zaczęła go całować.

Zmełł pod nosem przekleństwo, daremnie próbując uwolnić się z jej uścisku.

- Hillary, ty sama nie wiesz, co robisz.

Dziewczyna zamruczała cicho, przymknęła oczy.

- Masz coś pod tą sukienką? - zapytał, zdejmując jej buty.

- Tylko komplecik.

- Jaki komplecik?

Popatrzyła na niego z sennym uśmiechem, wymamrotała coś niezrozumiałego. Wziął głęboki oddech, przekręcił ją i rozpiął suwak na plecach. Zaczął ściągać z niej sukienkę.

- Zapłacisz mi za to - wymruczał przez zaciśnięte zęby. Krew szumiała mu w żyłach na widok gładkiej, złocistej skóry osłoniętej jedynie cieniutkim jedwabiem. Zaklął soczyście. Odsunął kołdrę; Hillary wślizgnęła się pod nią, przyłożyła głowę do poduszki.

Podszedł do drzwi, oparł się o framugę i jeszcze raz

przesunął wzrokiem po śpiącej już dziewczynie.

- Nie, chyba zwariowałem - powiedział na głos. -
Wsluchał się w jej głęboki oddech, oczy mu się zwięziły. -
Rano się nie pozbieram. - Zaczerpnął powietrza i wyszedł
do kuchni. Poszuka tej napoczętej butelki.

ROZDZIAŁ 9

Obudziło ją słońce przeświecające przez powieki. Otworzyła oczy, zamrugła, jeszcze nie całkiem przebudzona, próbując skoncentrować wzrok na znajomych przedmiotach. Usiadła, jęknęła cicho. Głowa pęka z bólu, w ustach przykry niesmak. Opuściła stopy na podłogę. Chciała wstać, ale po pierwszym ruchu z powrotem osunęła się na łóżko, bo cały pokój zawirował jak szalony. Objęła głowę rękami, zacisnęła je mocno.

Boże, co ja wczoraj wypiłam? To pytanie kołatało jej po głowie, gdy daremnie próbowała przypomnieć sobie wydarzenia wczorajszego wieczoru. Co było w tym ponczu, że tak fatalnie się czuje? Chwiejnym krokiem podeszła do szafy, by wyjąć szlafrok.

Zatrzymała się. Na podłodze leżała zmięta sukienka. Popatrzyła na nią z niedowierzaniem. W ogóle nie pamiętała, że ją zdejmowała. Potrząsnęła głową, zdezorientowana. Skronie rozsadał ból. Przycisnęła je dłońmi. Musi się pozbierać. Aspiryna, sok i zimny prysznic, to ją postawi na nogi. Niepewnym krokiem ruszyła do kuchni i naraz zatrzymała się jak wryta. Oparła się o ścianę, by nie upaść. W salonie, tuż przy kanapie, stały męskie buty. Obok marynarka.

- Boże... - wyszeptała z przerażeniem. Teraz zaczynała coś sobie przypominać. Bret odwiózł ją z przyjęcia, a ona... Jak przez mgłę przypominała sobie swoje zachowanie w windzie. Co wydarzyło się później? Pamiętała

tylko urwane fragmenty, których za nic nie dawało się złożyć w całość, ale już na samą myśl, co mogło się stać, robiło się jej słabo.

- Dzień dobry, skarbie.

Odwróciła się powoli. Jej i tak blada twarz zrobiła się biała jak papier. Bret uśmiechał się szeroko. Był tylko w spodniach, koszulę niedbale przerzucił przez ramię. Wilgotne włosy świadczyły, że właśnie wyszedł spod prysznic. Jej prysznic. Pulsowanie w głowie jeszcze się wzmogło.

- Zrobię kawę, kotku. - Musnął ją w policzek. Zrobił to tak naturalnie, jakby łączyła ich głębsza zażyłość. Poczula skurcz w żołądku. Bret minął ją i wszedł do kuchni. Bezwiednie podążyła za nim. Nastawił czajnik, odwrócił się i wziął ją w ramiona. - Byłaś cudowna. - Poczula na twarzy jego usta. Wiedziała, że zaraz zemdleje. - Tobie też się podobało tak jak mnie?

- Ja... ja chyba... ja nic nie pamiętam...

- Nie pamiętasz? - Popatrzył na nią z jawnym zdumieniem. - Jak możesz nie pamiętać? Byłaś niesamowita.

- Ja... Och... - Zakryła twarz dłońmi. - Moja głowa.

- Troszeczkę nadużyłaś alkoholu? - Popatrzył na nią współczująco. - Zaraz coś na to zaradzimy. - Odwrócił się i otworzył lodówkę.

- Nadużyłam alkoholu? - oparła się o drzwi. - Przecież ja piłam tylko poncz.

- Poncz z trzema gatunkami rumu.

- Rumu? - powtórzyła jak echo, marszcząc czoło. - Piłam tylko...

- Planter's poncz. - Odwrócony tyłem, przyrządzał coś w skupieniu. - Główny składnik to ram. Białe, złote i ciemne.

- Nie wiedziałam. - Jeszcze mocniej wsparła się o framugę. - Za dużo wypiałam. Nie jestem przyzwyczajona. A ty, ty mnie wykorzystałeś.

- Ja ciebie wykorzystałem? - Odwrócił się. Patrzył na nią ze szczerym zdumieniem. - Kochanie, to ty nie chciałaś mnie puścić. - Uniósł brew, uśmiechnął się figlarnie. - Prawdziwa z ciebie tygrysica.

- Boże, nie mogę tego słuchać! - wybuchnęła i jęknęła, bo ból mało nie rozsadził jej głowy.

- Proszę, weź to i wypij. - Podał jej szklanekę.

Zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Co to jest?

- Nie pytaj - rzekł. - Po prostu wypij.

Wychyliła zawartość jednym haustem i aż się gwałtownie wzdrygnęła.

- Fu!

- Kara za grzechy, skarbie - odparł lekko. - Skoro się upiłaś...

- Wcale się nie upiłam - zaoponowała. - Tylko trochę się wstawiłam... a ty - spiorunowała go wzrokiem - wykorzystałeś mnie.

- Mogę przysiąc, że było zupełnie inaczej.

- Ja sama nie wiedziałam, co robię.

- Ależ skąd, jak najbardziej wiedziałaś... co i jak robić - uśmiechnął się znacząco. Na widok jego miny jęknęła głośno.

- Nic nie pamiętam. Naprawdę niczego nie pamiętam.

- Spokojnie, Hillary - odezwał się, widząc jej zmieszanie. - Rozluźnij się. Nie ma niczego do pamiętania.

- Jak to? - Otarła łzy z oczu.

- Nie tknąłem cię. Nadal jesteś czysta i nieskalana.

Przespałaś noc w swoim panieńskim łóżeczku, a ja na tej okropnie niewygodnej kanapie.

- To ty nie... to my nie...

- Dwa razy nie. - Odwrócił się, by wyłączyć gwizdzący czajnik i nalał wrzątek do kubka.

Początkowe uczucie ulgi nagle przemieniło się w złość.

- Dlaczego nie? Co ze mną jest nie tak?

Jej wybuch zaskoczył go. Przyglądał się jej ze zdumieniem, po chwili zaniósł się śmiechem.

- Och, Hillary, ale ty jesteś nieprawdopodobna! Dopiero co rozpaczałaś, że skradłem ci cnotę, a sekundę później czujesz się urażona, że tak się stało.

- Dla mnie to wcale nie jest śmieszne - odpaliła. - Celowo dałaś mi do zrozumienia, że ja... że my...

- Że ze sobą spaliśmy - dokończył gładko, spokojnie pijąc kawę. - To ci się należało. Gdy niosłem cię z windy do sypialni, doprowadzałaś mnie do szaleństwa. - Uśmiechnął się, widząc jej reakcję. - Pamiętasz to, prawda? To teraz zapamiętaj sobie na przyszłość jeszcze jedno: w takiej sytuacji większość facetów nie pójdzie grzecznie spać na kanapę. Więc uważaj na to, co pijesz.

- Ja już do końca życia nie wezmę do ust alkoholu! - przysięgła, ocierając rękami oczy. - Żadnych drinków. Teraz muszę się napić herbaty albo może kawy, cokolwiek. - Dzwonek u drzwi jeszcze spotęgował ból pulsujący w skroniach. Zaklęła pod nosem.

- Zaparzę ci herbaty - zaproponował Bret, uśmiechem kwitując jej zachowanie. - Idź otworzyć.

Chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, przekręciła zamek. Na progu stała Charlene. Zimnym wzrokiem taksującą popatrzyła na Hillary.

- Wejdz do środka - powiedziała Hillary, przepuszczając ją. Zatrzasnęła drzwi. Wizyta Charlene nie wróżyła niczego dobrego.

- Podobno wczoraj zrobiłaś z siebie niezłe widowisko.

- Dobre wieści szybko się roznoszą. Pochlebia mi, że tak się o mnie martwisz.

- Ty obchodzisz mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. - Charlene strzepnęła z jaskrawozielonego zakietu niewidoczny pyłek. - Chodzi mi o Breta. Najwyraźniej weszło ci w zwyczaj rzucać się na niego, a ja nie mam zamiaru dłużej tego tolerować.

Teraz to już przeciągnęła strunę, ze wzbierającą w niej złością pomyślała Hillary. W dodatku dręczy mnie, gdy tak fatalnie się czuję. Stłumiła ziewnięcie, przybrała znużoną minę.

- To już wszystko?

- Jeśli sądzisz, że pozwolę, by ktoś taki jak ty psuł reputację mężczyzny, za którego zamierzam wyjść, to bardzo się mylisz.

Złość uleciała bez śladu. Poczwała rozdzierający ból. Resztką woli zmusiła się do zachowania spokoju. Głowa pękała.

- Moje gratulacje dla ciebie. I kondolencje dla Breta.

- Zniszczę cię, zobaczysz - zagroziła Charlene. - Postaram się, by twoje zdjęcia już nigdzie się nie ukazały.

- Cześć, Charlene - rozległ się spokojny głos Breta. Wszedł do przedpokoju. Tym razem był w koszuli.

Rudowłosa odwróciła się jak rażona gromem. Popatrzyła na Breta, potem na jego marynarkę leżącą na kanapie w salonie.

- Co... co ty tu robisz?

- Wydaje mi się, że odpowiedź jest całkiem oczywista - odparł, siadając na kanapie. Zaczął zakładać buty. - Skoro nie chcesz wiedzieć, to po co przychodziłaś mnie sprawdzać?

Znowu próbuje się mną posłużyć, oświeciło Hillary. Wykorzystuje mnie, by wzbudzić w niej zazdrość. Ogarnęła ją złość. I bolesne uczucie zawodu i urażonej dumy.

Twarz Charlene płonęła.

- Nie zatrzymasz go! - wykrzyknęła. - Kim ty jesteś? Tanią panienką na jedną noc! Nie minie tydzień, a będzie cię mieć po dziurki w nosie! Nawet się nie obejrzysz, jak do mnie wróci! - krzyczała.

- Jestem pod wrażeniem. - Czowała, że lada moment przestanie nad sobą panować. - Domyślam się, że tylko na to czekasz. Więc zabieraj się z nim, ja już mam was szczerze dość. Wynoś się stąd, i to już! - Dramatycznym gestem wskazała na drzwi. - Spadajcie!

- Chwileczkę, Hillary - przerwał Bret, zapinając ostatni guzik koszuli.

- Ty się nie wtrącaj! - prychnęła, mierząc go gniewnym spojrzeniem. Odwróciła się do Charlene. - Nie jestem teraz w formie do dalszych dyskusji. Jeśli chcesz, możemy porozmawiać później.

- Nie mamy o czym. - Charlene odrzuciła w tył głowę. - Ty jesteś dla mnie nikim. W końcu co Bret może widzieć w takiej taniej dziewczce jak ty?

- Powtórz to - cichy głos Hillary skrywał groźbę. - Powtórz to jeszcze raz.

- Uspokój się, Hillary. - Bret poderwał się z miejsca, objął ją w talii. - Opamiętaj się.

- Niezła z ciebie dzikuska - zjadliwie rzuciła Charlene.

- Dzikuska? Zaraz ci pokażę! - daremnie próbowała uwolnić się z uścisku Breta.

- Uspokój się, Charlene - w głosie Breta zabrzmiała groźna nuta. - Bo jak nie, to puszczę ją na ciebie.

Trzymał wyrrywającą się Hillary, póki nie opadła z sił.

- Puść mnie. Nic jej nie zrobię - wydusiła wreszcie. - Niech ona stąd spada. - Popatrzyła na Breta. - Ty też idź sobie! Mam was dość, obojga! Nie będziecie mną manipulować. Jeśli chcesz wzbudzić w niej zazdrość, znajdź sobie inną do odstawiania szopki! Nie chcę was więcej widzieć! - Uniosła dumnie głowę, nie zważając na łzy płynące po policzkach. - Nie chcę więcej mieć z wami do czynienia!

- Hillary, posłuchaj mnie. - Ujął ją za ramiona, potrząsnął lekko.

- Nie. - Wyszarpnęła się z jego uścisku. - Nie zamierzam cię słuchać, mam tego dość. Rozumiesz? Wyjdź stąd i zabierz ze sobą swoją przyjaciółkę. Zostawcie mnie w spokoju.

Bret sięgnął po marynarkę. Przez chwilę mierzył wzrokiem zaróżowione, mokre od łez policzki dziewczyny.

- Dobrze. Zabiorę ją stąd, a potem wrócę. Będziesz miała czas, by wziąć się w garść. Musimy porozmawiać.

Odprowadzała ich wzrokiem, póki drzwi się za nimi nie zamknęły. Nie mogła powstrzymać łez. Zapowiedział, że wróci. Niech sobie wraca, ale jej tu nie będzie.

Wpadła do sypialni, pośpiesznie wyciągnęła walizki. Wkrótce wylądowała w nich cała zawartość szafy. Mam dość! Dość Nowego Jorku, dość Charlene, dość Breta! Wracam do domu.

Gwałtownie zastukała do Lisy. Na widok

zdenewrowanej Hillary, Lisie uśmiech zamarł na wargach.

- Co się stało? - zaczęła, ale Hillary nie pozwoliła jej skończyć.

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. Wyjeżdżam, weź moje klucze. - Wcisnęła jej klucze do ręki. - W lodówce i w kredensie jest jedzenie. Zostawiam to na twojej głowie, zrób, co chcesz. Ja nie wrócę.

- Ale, Hillary...

- O meble i resztę rzeczy zatroszczę się później. Napiszę do ciebie i wszystko wytłumaczę.

- Hillary! - głos Lisy gonił ją korytarzem. - Dokąd się wybierasz?

- Do domu - odpowiedziała, nie odwracając się i nie zwalniając. - Do siebie.

Nawet jeśli rodzice byli zaskoczeni jej niezapowiedzianym przyjazdem, nie dali po sobie niczego poznać. O nic nie pytali, niczego od niej nie chcieli. Powoli dochodziła do siebie, napięte nerwy zaczęły się rozluźniać. Dni mijały jak dawniej, niespiesznym, znajomym rytmem. Nawet się nie spostrzegła, jak upłynął tydzień od jej powrotu.

Odpoczywała. Nikt niczego od niej nie oczekiwał, spokój leczył duszę. Lubiła przesiadywać na ganku, patrzeć w niebo, wsłuchiwać się w ciszę. Najbardziej ceniła chwile przed zapadnięciem zmierzchu, niosące zapowiedź nocy i snu.

Huśtawka skrzypiała cichutko, miarowo przerywając ciszę nadchodzącego wieczoru. Wygodnie oparta, Hillary wpatrywała się w wędrujący po niebie księżyc. Zatrzeszczała podłoga, w powietrzu rozniósł się lekki zapach tytoniu. Fajka taty. Usiadł obok córki na huśtawce.

- Pora, byśmy trochę pogadali, córeczko - powiedział, otaczając Hillary ramieniem. - Co się stało, że tak niespodziewanie wróciłaś?

Hillary westchnęła głęboko, oparła głowę na jego ramieniu.

- Z wielu powodów. Przede wszystkim dlatego, że czuję się zmęczona.

- Zmęczona?

- Tak. Mam dość, wszystkiego. Podporządkowywania innym, naginania do ich wymagań, oglądania się na zdjęciach. Co chwila muszę się zmieniać, dopasowywać, robić miny, udawać kogoś, kim nie jestem. Mam dość tego ciągłego zgiełku, tłumy, który stale się wokół kłębi. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Po prostu jestem zmęczona.

- Myśleliśmy, że robisz to, o czym marzyłaś.

- Myliłam się. To wcale nie jest to, co bym chciała robić. To nie jest wszystko. - Podniosła się z huśtawki, stanęła przy barierce. Zapatrzyła się w noc. - Zastanawiam się, czyja w ogóle do czegoś doszłam.

- Dokonałaś bardzo wiele. Ciężką pracą osiągnęłaś sukces. I zawdzięczasz to tylko sobie. Masz się czym pochwalić. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

- Wiem, że sama sobie na wszystko zapracowałam. Że jestem dobra w tym, co robię. - Odeszła od barierki. - Wyjeżdżając, chciałam przekonać się, na co mnie stać. Wiedziałam, co chcę osiągnąć, na czym mi zależy. Wszystko miałam dokładnie poustawiane. Tylko że teraz, kiedy zdobyłam to, o czym marzy większość dziewczyn, inaczej na to patrzę. Przestało mi na tym zależeć, to już mnie na bawi. Mam dość wcielania się w cudzą skórę.

- Czyli pora dać sobie z tym spokój. Tylko wydaje

mi się, że za twoją decyzją kryje się coś więcej. Czy przypadkiem nie ma to związku z mężczyzną?

- To zamknięta sprawa. - Wzruszyła ramionami. - Nie jesteśmy z tej samej klasy.

- Hillary, co ty opowiadasz!

- Tak jest. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Człowiek może nabrać ogłady, ale jego natura się nie zmienia. Jesteśmy z innych światów. On jest bogaty, wykształcony, wyrafinowany. A ja ciągle się zapominam. Wiesz, że zdarza mi się zagwizdać na taksówkę? Jesteś, jaki jesteś. I tego się nie zmieni. Choćby się nie wiem jak starać. - Wzruszyła ramionami, wbiła wzrok w ciemność. - Między nami nic naprawdę nie było, a każdym razie nie z jego strony.

- W takim razie chyba brak mu rozumu - podsumował tata.

- Uważaj, bo jeszcze ktoś powie, że się uprzedziłeś. - Uścisnęła go serdecznie. - Chciałam przyjechać do domu, to mi było potrzebne. Idę się położyć. Skoro jutro wszyscy się zjeżdżają, będziemy mieli co robić.

Przyjemnie było odetchnąć rześkim porannym powietrzem. Wskoczyła na konia, ruszyła przed siebie. Wiatr rozwiewał włosy, uderzał w twarz. Czuła się wolna i lekka, problemy zostawały daleko, zapominała o smutku. Przed sobą miała bezbrzeżne połacie złocistego, falującego na wietrze zboża, nad sobą wysokie, bezchmurne niebo.

Wiosna w Kansas. Czyż może być piękniej? Zapach rozgrzanej słońcem ziemi, kwitnących traw, niebiańska cisza...

- Teraz potrzeba mi czasu. - Poklepała konia po mocnej szyi. - Po prostu trochę czasu.

Skierowała konia w stronę domu. Wracali powoli, rozkoszując się przejażdżką. Gdy w oddali zamajaczyły zabudowania, Conchise zarżał.

- No dobrze, łobuziaku, niech ci będzie! - zaśmiała się. Kopyta dudniły o ziemię, wiatr bił w twarz. Płynnym ruchem przeskoczyli drewniany płot, a przestraszone stado ptaków poderwało się do lotu.

Byli już blisko, gdy nagle spostrzegła kogoś opartego o ogrodzenie. Gwałtownie ściągnęła wodze.

ROZDZIAŁ 10

- Co za piękny widok! - Bret wyprostował się i ruszył w jej stronę. - Jesteście tak zgrani, że trudno powiedzieć, gdzie kończy się koń, a zaczyna dziewczyna.

- Skąd ty się tu wzięłaś? - zapytała bezceremonialnie.

- Przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę.

Hillary zacisnęła zęby, zeskoczyła na ziemię.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Lisa usłyszała, jak się do ciebie dobijałem. Powiedziała, że pojechałaś do domu. - Wydawał się całkowicie pochłonięty nawiązaniem przyjaźni ze zwierzęciem. - Piękny koń. - Odwrócił się. - Świetnie sobie z nim radzisz, naprawdę.

- Teraz muszę zaprowadzić go do stajni.

- Jak ma na imię? - Bret szedł tuż obok niej.

- Conchise - odparła krótko, nie wdając się w zbędne dyskusje.

- Jest takiej maści, że świetnie do ciebie pasuje. - Oparł się o ściankę boksu.

- To akurat najmniej istotny powód przy wybieraniu konia. - Odwrócona do Breta tyłem, zawzięcie czesała zwierzę.

- Dawno go masz?

- Wychowałam go od źrebaka.

- To wszystko wyjaśnia Dlatego stanowicie taką zgraną parę.

Zaczął rozglądać się po stajni. Hillary nie przestawała zajmować się koniem. Na końcu języka miała wiele pytań, ale nie odważyła się ich zadać. Cisza stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Wreszcie Hillary odłożyła zgrzebło i ruszyła do wyjścia.

- Dlaczego uciekłaś? - nieoczekiwane pytanie Breta zaskoczyło ją.

- Nigdzie nie uciekałam - odpowiedziała szybko, gorączkowo szukając rozsądnego wyjaśnienia. - Muszę w spokoju przemyśleć oferty, jakie otrzymałam.

- Rozumiem.

- Muszę iść, mam sporo roboty - powiedziała z udanym spokojem. - Obiecałam pomóc mamie w kuchni.

Chyba wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, bo w tym samym momencie na progu domu pojawiła się mama.

- Hillary, może oprowadzisz Breta po farmie?

- Ale miałyśmy piec ciasto - zaprotestowała.

- Zdążymy, jest mnóstwo czasu. A zanim będzie kolacja, Bret na pewno chętnie obejrzy sobie nasze gospodarstwo. To jak?

- Twoja mama była tak miła, że zaprosiła mnie na kolację. - Uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy Hillary.

- No to chodźmy. - Gdy oddalili się nieco od domu, popatrzyła na niego z uśmiechem pełnym wymuszonej słodyczy. - Co chciałbyś obejrzeć najpierw? Kury w kurniku czy świński chlewik?

- Zostawiam to twojej decyzji - odparł lekko.

Hillary z pochmurną miną ruszyła przodem.

Spodziewała się, że Bret szybko będzie mieć dość, ale wcale nie wyglądał na znudzonego. Przeciwnie, wszystko oglądał z prawdziwym zainteresowaniem. Ciekawiła go farma, warzywnik mamy, rolnicze maszyny taty. Zadawał też mnóstwo pytań.

Nieoczekiwanie położył rękę na jej ramieniu. Patrzył na ciągnące się po horyzont pola.

- Teraz wiem, co miałaś na myśli, Hillary - powiedział w zamyśleniu. - To naprawdę coś niesamowitego. Jak złocisty ocean.

Chciała iść, ale zatrzymał ją w pół kroku.

- Widziałaś kiedyś tornado?

- Też pytanie. Skoro mieszkasz w Kansas dwadzieścia lat, nie da się tego nie widzieć - odparła krótko.

- To musi być coś niesamowitego.

- Owszem - potwierdziła. - Pamiętam, jak kiedyś, miałam wtedy może z siedem lat, zapowiedzieli nadchodzące tornado. Wszyscy się uwijali jak w amoku. Zabezpieczali zwierzęta, sprzęt. Stałam wtedy mniej więcej w tym miejscu. - Zatrzymała się, pochłonięta wspomnieniami. - Przyglądałam się, jak z daleka zbliża się czarna trąba. Z każdą chwilą była coraz bliżej. Wszystko zastygło. Czuło się wręcz ciężar wiszącego powietrza. Stałam i patrzyłam zafascynowana. Wtedy mój tata złapał mnie na ręce, przerzucił przez ramię i zaniósł do schronu. Było niesamowicie cicho, jakby cały świat umarł. I naraz rozległ się straszny huk. Zupełnie jakby nad nami przelatywały setki odrzutowców.

Bret patrzył na nią z uśmiechem. Od tego uśmiechu robiło się jej ciepło na sercu.

- Hillary. - Uniósł do ust jej dłoń. - Jesteś niepra-

wdopodobnie słodka.

Ruszyła przed siebie, na wszelki wypadek głęboko wsuwając ręce w kieszenie. Oboje milczeli. Okrążyli farmę. Hillary zbierała się na odwagę.

- Przyjechałeś do Kansas w interesach? - zaryzykowała po chwili.

- Można to tak ująć - odparł wymijająco.

- Czemu nie wysłałeś kogoś ze swoich poddanych, zamiast sam się tu ciągnąć?

- Niektóre sprawy wolę załatwiać osobiście.

Gdy wrócili, rodzina już się zjechała. Bret nie miał problemu z nawiązaniem kontaktu. Z miejsca zjednął sobie nie tylko rodziców, ale i całą resztę. Nie minęło pół godziny, a obie bratowe były nim zachwycone, bracia pełni szacunku, a młodsza siostra nie odrywała od niego oczu. Hillary wycofała się do kuchni, wymawiając się pilnymi pracami.

- Jak tu swojsko - nagle usłyszała za sobą głos Breta. Odwróciła się gwałtownie.

- Masz mąkę na nosie. - Musnął palcem czubek jej nosa. Cofnęła się, zaczęła znowu wałkować placek na stolnicy. - Jakie to będzie ciasto? - zapytał, opierając się wygodnie o blat, jakby zamierzał tu zostać na dłużej.

- Cytrynowe z bezą - rzekła krótko.

- To lubię. Połączenie kwaskowatej goryczki i słodczy. - Uśmiechnął się, widząc jej skwaszoną minę. - To przypomina mi ciebie. - Posłała mu krzywe spojrzenie, ale Bret wcale się tym nie przejął. - Dobrze ci idzie - skomentował, przyglądając się, jak wałkuje drugi placek.

- Lepiej mi się pracuje, gdy nikt nade mną nie stoi.

- To jest ta wiejska gościnność, o której się tyle słyszy?

- Nie udało ci się wprosić na kolację? - Z furią zaatakowała placek. - Po co tu przyjechałeś? Chcesz rozejrzeć się po mojej farmie, a potem razem z Charlene wyśmiewać się z mojej rodziny?

- Przestań. - Podszedł i wziął ją za ramiona. - Jak możesz coś takiego mówić? Naprawdę tak mało ich cenisz? - Patrzyła na niego zaskoczona. Złość od razu jej przeszła. - Wasza farma zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Twoja rodzina również. To wspaniali ludzie, otwarci, ciepłi. Twoja mama już mnie zawojowała.

- Przepraszam - wymamrotała.

Bret wsunął ręce w kieszenie, podszedł do drzwi.

Drzwi się za nim zamknęły. Patrzyła, jak przyłącza się do grających w baseball.

Mama, która weszła do kuchni, zagadła do niej, ale Hillary ciągle nie mogła się otrząsnąć. Mimowolnie nasłuchiwała, co dzieje się na dworze.

- Może już idź ich zawołać, niech myją ręce - głos mamy wyrwał ją z zamyślenia. Bez zastanowienia podeszła do drzwi, wsunęła palec w usta i gwizdnęła. I dopiero wtedy się opamiętała. Znowu wygłupiła się przed Bretem. Cofnęła się, zatrzasnęła drzwi.

Podczas kolacji siedziała obok Breta. Zacisnęła zęby i wzięła się w garść. Przecież nie może pokazać, jak bardzo jest spięta. Nikt nawet nie powinien się tego domyślić.

Później, gdy wszyscy przenieśli się do salonu, celowo zaczęła zajmować się bratankiem. Siedząc na podłodze, bawili się samochodzikami. Bret z ożywieniem rozmawiał z tatą. Młodszy bratanek wspiał mu się na kolana. Spod rzęs patrzyła, jak Bret huśta go na nodze.

- Mieszkasz z ciocią Hillary w Nowym Jorku? - nagle zapytał chłopczyk. Hillary z wrażenia upuściła

malutki samochodzik.

- Niezupełnie. - Z uśmiechem patrzył, jak Hillary oblewa się rumieńcem. - Ale mieszkam w Nowym Jorku.

- Ciocia obiecała zabrać mnie na górę Empire State Building - z dumą oznajmił chłopiec. - To bardzo wysoko nad ziemią. Możesz pojechać z nami - zaproponował wielkodusznie.

- Z największą przyjemnością. - Bret potargał dziecko po głowie. - Daj mi tylko znać, kiedy się wybieracie.

- Nie może być dużego wiatru. Ciocia mówi, że od takiego wiatru ma się mokrą buzię.

Jego poważne stwierdzenie wywołało śmiech zgromadzonych. Hillary podniosła się, pociągnęła chłopca do kuchni.

- Chodź, dam ci ciasta. Trzeba zamknąć ci buzię.

Było już prawie ciemno, gdy bracia wraz z rodzinami zebrali się do odjazdu. Na horyzoncie jeszcze różowił się odblask zachodzącego słońca. Hillary usiadła na ganku, zapatrzyła się w zapadający zmrok. Na niebie zajaśniały pierwsze gwiazdy, gdzieś w oddali zakwilił ptak.

W domu panowała cisza. Słysząc było tylko tykanie starego dziadkowego zegara. Hillary umościła się w fotelu i z uwagą śledziła partię szachów rozgrywaną przez tatę i Breta.

- Szach i mat. - Głos Breta wyrwał ją z zamyślenia. Ojciec znieruchomiał, po chwili potarł brodę.

- No tak. - Uśmiechnął się do Breta, zapalił fajkę. - Umiesz grać w szachy, synu. Bardzo mi się podobało.

- Mnie też. - Bret odchylił się w fotelu, zapalił papierosa. - Mam nadzieję, że jeszcze wiele razy będziemy mieli okazję ze sobą pograć. Trzeba to wykorzystać, bo

zamierzam ożenić się z twoją córką.

Powiedział to spokojnie i rzeczowo, nie zmieniając tonu. Hillary zamarła. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Jako głowa rodziny - ciągnął Bret, nawet nie zerkając w jej stronę - zapewnię Hillary całkowite zabezpieczenie finansowe. Nie stawiam przeszkód, jeśli zechce kontynuować karierę, oczywiście wyłącznie dla własnej satysfakcji.

Tom pociągnął fajeczkę, skinął głową.

- To przemysłana decyzja - mówił Bret, niespiesznie wypuszczając kółeczko dymu. - Człowiek dochodzi w życiu do etapu, gdy postanawia mieć żonę i dzieci. - Jego głos brzmiał bardzo poważnie. Tata też patrzył na niego z powagą - Hillary jak najbardziej mi odpowiada. Jest piękną dziewczyną, a każdy mężczyzna potrafi docenić urodę. Jest inteligentna, wystarczająco silna i ma dobre podejście do dzieci. Wprawdzie jest nieco za szczupła - dodał z lekkim żalem, a Tom, który kiwnięciem głowy potwierdzał kolejne zalety córki, zrobił przepraszającą minę.

- Nigdy nie mogliśmy jej bardziej podpaść.

- Oczywiście, jest jeszcze sprawa jej charakteru - Bret miał minę człowieka, który w skupieniu rozważa wszystkie za i przeciw. - Ale - machnął dłonią - to mi się nawet podoba. Lubię, gdy kobieta ma w sobie ikrę.

Hillary poderwała się na równe nogi. Tak się w niej gotowało, że przez dobrą chwilę nie mogła znaleźć słów.

- Jak wy śmiecie! - wykrzyknęła. - Jak śmiecie siedzieć tu sobie i oceniać mnie w taki sposób! Mówić o mnie, jakbym była zwierzęciem wystawianym na sprzedaż! I to ty! - spiorunowała wzrokiem ojca - Mój własny ojciec.

- A nie mówiłem, że ma dziewczyna temperament? -

zagadnął Bret, a Tom potakująco kiwnął głową.

- Ty nadęty bubku, ty...

- Hillary, uważaj, bo niepotrzebnie się zapędzisz - powstrzymał ją Bret. Zdusił papierosa.

- Jeśli się łudzisz, że za ciebie wyjdę, to chyba zupełnie oszalałeś! Postradałeś rozum! Z miejsca możesz to sobie wybić z głowy! Więc zabieraj się stąd do swojego Nowego Jorku i... i wydawaj te swoje magazyny! - wykrzyczała mu prosto w twarz i pędem wybiegła z domu.

Bret odprowadził ją wzrokiem, odwrócił się do Sarah.

- Jestem pewien, że Hillary chciałaby, by ślub i wesele były tutaj. Skoro jesteście na miejscu, może mógłbym przygotowania pozostawić na waszej głowie.

- Nie ma sprawy, Bret. Kiedy to by miało się odbyć?

- W przyszły weekend.

Sarah szeroko otworzyła oczy, zastanowiła się i spokojnie wróciła do robótki.

- Zdaj się na mnie.

Bret podniósł się, uśmiechnął do Toma.

- Myślę, że Hillary już ochłoneła. Pójdę jej poszukać.

- Jest w stajni - powiedział Tom, stukając palcem w fajeczkę. - Zawsze tam szuka schronienia, gdy poniosą ją nerwy. - Bret kiwnął głową, wyszedł z salonu.

- No i co ty na to, Sarah? - Tom popatrzył na żonę. - Wygląda na to, że Hillary znalazła swoją połówkę.

W stajni panował półmrok. Hillary, nerwowo przemierzając pomieszczenie od ściany do ściany, nie mogła pohamować wściekłości.

- Jeden wart drugiego! - prychała pod nosem. Szkoda, że jeszcze nie zaglądali mi w zęby!

Drzwi otworzyły się na oścież, w snopie światła zamajaczyła postać Breta.

- Hej, Hillary, możemy już pogadać o naszych planach weselnych?

- Nigdy o niczym nie będę z tobą rozmawiać! - odpaliła ze złością.

Bret uśmiechnął się, słysząc jej wybuch. Wcale się nie przejął. To jeszcze bardziej ją rozdrażniło. Wściekłość ją rozsadzała.

- Nie wyjdę za ciebie, nigdy, nigdy, nigdy! Prędzej poślubię trzygłowego potwora!

- Wyjdiesz za mnie, Hillary - odrzekł z irytującą pewnością siebie. - Choćbym miał siłą doprowadzić cię do ołtarza, nawet gdybyś się wrywała i wydzierała, zostaniesz moją żoną.

- Już ci powiedziałam, że nie! - szybkimi krokami krążyła po stajni. - Nie namówisz mnie w żaden sposób.

Wziął ją za ramiona, z bliska popatrzył jej prosto w oczy.

- Na pewno?

Przygarnął ją do siebie, pochylił się, szukając ust.

- Puść mnie! - fuknęła, szarpnęła się w tył. - Puszczaj natychmiast!

- Proszę bardzo - odparł, zwalniając uścisk. Hillary straciła równowagę i upadła na stertę siana.

- Och ty! - wybuchnęła, próbując się podnieść, ale Bret już przyciskał ją swoim ciężarem.

- Zrobiłem tylko to, o co prosiłaś - powiedział, uśmiechając się psotnie. - Poza tym tak jest znacznie lepiej.

Hillary poruszyła się niespokojnie, próbując się uwolnić. Odwróciła głowę. Bret zaczął całować jej szyję.

- Przestań. Nie możesz tego robić - zaoponowała,

czując, że jej opór słabnie z każdą sekundą.

- Jak najbardziej mogę - wyszeptał, nakrywając ustami jej usta. Nie umiała dłużej ze sobą walczyć. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągnęła do siebie. Bret potarł nosem jej nos.

- Ty draniu! - wyszeptała, przytulając się jeszcze mocniej i oddając pocałunek.

- No to jak, wyjdiesz za mnie? - Popatrzył na nią z uśmiechem, odgarnął z jej policzka pasmo włosów.

- Nie mogę teraz myśleć - wymamrotała i zamknęła oczy. - Nie jestem w stanie myśleć, gdy mnie całujesz.

- Nie chcę, żebyś myślała. - Jego dłoń zaczęła bawić się guzikami jej bluzeczki. - Chcę tylko usłyszeć „tak”. - Przesunął dłonią po jej piersi. - Powiedz to, Hillary - poprosił, obsypując pocałunkami jej szyję. - Powiedz, a dam ci czas na pomyślenie.

- Dobrze - westchnęła radośnie. - Wygrałeś. Wyjdę za ciebie.

- To dobrze - rzekł tylko i znowu odszukał jej usta.

Czuła, że traci nad sobą kontrolę, że z każdą chwilą świat staje się coraz bardziej nierzeczywisty.

- Nie grasz czysto - zarzuciła mu.

Bret tylko wzruszył ramionami. Nie wypuszczał jej z objęć.

- Kochanie, w miłości i na wojnie wszystkie środki są dozwolone. - Przestał się uśmiechać, teraz patrzył na nią w skupieniu. - Kocham cię, Hillary. Jesteś dla mnie wszystkim. Pragnę cię do szaleństwa - Pocałował ją tak, że świat wokół niej zawirował.

- Och, Bret! - wyszeptała, obsypując go żarliwymi pocałunkami. - Ja tak cię kocham. Tak bardzo, że to aż ponad moje siły. Przez cały czas myślałam... Kiedy

Charlene powiedziała, że wkrótce się pobierzecie, że ją kochasz, myślałam...

- Poczekaj. - Ujął jej twarz w obie dłonie. - Posłuchaj mnie. Po pierwsze, układ z Charlene był zakończony, zanim cię poznałem. Tylko ona nie mogła się z tym pogodzić. - Uśmiechnął się, musnął jej usta. - Odkąd cię poznałem, nie byłem w stanie o nikim innym myśleć, stałaś się moją obsesją. Zresztą byłem tobą zauroczony, jeszcze nim się poznaliśmy.

- Jak to?

- Twoje zdjęcia. Oczarowałaś mnie.

- Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że możesz myśleć o mnie poważnie. - Zanurzyła palce w jego gęstych włosach.

- Najpierw sądziłem, że to tylko fizyczna fascynacja. Marzyłem o tobie jak jeszcze o żadnej kobiecie. Wtedy u ciebie, gdy dotarło do mnie, że jesteś niewinna, byłem jak porażony. - Z niedowierzaniem potrząsnął głową, zanurzył twarz w jej włosach. - Uświadomiłem sobie, że to coś więcej, że to uczucie.

- Ale nigdy nie dałeś niczego po sobie poznać.

- Bo nie chciałem cię spłoszyć. Gdy tylko się do ciebie zbliżałem, natychmiast rzucałaś się do ucieczki. Bałem się, że cię wystraszę. Wiedziałem, że nie mogę cię pośpieszać, że potrzeba ci czasu. Starłem się zachować spokój, odczekać. To nie było łatwe. - Przesunął koniuszkiem palca po policzku dziewczyny. - Ale wtedy w górach niewiele brakowało. Przestałem nad sobą panować. Gdyby Larry i June się nie pojawili, chyba wszystko potoczyłoby się inaczej. Gdy później wybuchłaś, że masz dość ciągłego szarpania, miałem ochotę cię udusić.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak

zabrzmiało. Myślałam...

- Wiem - przerwał jej. - I bardzo żałuję, że wtedy tego nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, do czego jest zdolna Charlene. Potem zacząłem myśleć, że zależy ci wyłącznie na karierze, że tylko ona jest dla ciebie ważna. Gdy przyszedłaś do mnie do biura, byłaś tak zdystansowana i chłodna, całkowicie pochłonięta rysującymi się przed tobą perspektywami, że ledwie nad sobą panowałem. Mało nie wyrzuciłem cię przez okno.

- To były tylko pozory - wyszeptwała, pocierając policzkiem o jego policzek. - Nigdy mi na tym nie zależało. Zależało mi tylko na tobie.

- Dopiero po jakimś czasie June opowiedziała mi o wybrykach Charlene. Przypomniałem sobie twoją reakcję i wtedy wszystko zaczęło mi się układać. Poszedłem na przyjęcie do Buda, żeby się z tobą spotkać. - Uśmiechnął się. - Chciałem z tobą porozmawiać, ale gdy dotarliśmy do ciebie, nie byłaś w nastroju do rozmów o miłości. Sam nie wiem, jak to zrobiłem, że nie uległem pokusie, że nie poszedłem do ciebie. Byłaś taka słodka, taka piękna. .. i taka rozkoszna! Mało nie zwariowałem.

Pochylił się, pocałował ją namiętnie. Czują na sobie jego dłonie, ciepło bijące od jego ciała. Wtuliła się w niego, przywarła całym ciałem.

- O Boże, Hillary! - westchnął z głębi piersi. - Przewrócił się na plecy, ale Hillary nie przestała go całować. Odsunął ją zdecydowanym ruchem, zaczerpnął powietrza. - Co by powiedział twój tata, gdybym wziął jego córeczkę na sianie w jego własnej stajni.

Objął ją ramionami, przytulił do siebie.

- Nie mogę dać ci Kansas - zaczął cicho. Hillary popatrzyła na niego. - Nie możemy zamieszkać tutaj na stałe,

przynajmniej nie teraz. Jestem związany z Nowym Jorkiem, po prostu nie byłbym w stanie stąd wszystkim kierować.

- Och, Bret - odezwała się, ale nie dał jej dojść do głosu. Przytulił ją mocniej.

- Możemy osiąść gdzieś w pobliżu Nowego Jorku. Będiesz mieć dom na wsi, jeśli tego pragniesz. Dom z ogrodem, konie, kury, gromadkę dzieci. Do Kansas będziemy przyjeżdżać tak często, jak to tylko będzie możliwe, a na długie weekendy możemy jeździć do domku w górach. Tylko we dwoje. - Popatrzył na nią z niepokojem, bo po policzkach dziewczyny płynęły łzy. - Hillary, nie płacz. Nie chcę, żebyś czuła się nieszczęśliwa. Wiem, że tutaj jest twój dom. - Zaczął ocierać jej mokre odleż policzki.

- Bret, kocham cię. - Przytuliła policzek do jego policzka. - Jestem niewyobrażalnie, wariacko szczęśliwa.

- Na pewna, najdroższa?

Uśmiechnęła się i przysunęła, podając mu usta. Niech pocałunek wystarczy za odpowiedź.